ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Joseph Conrad

Lord Jim

publio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Joseph Conrad

Lord Jim

Tłumaczenie Emilia Węsławska

Warszawa 2012

Spis treści

Tom I

- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI
- Rozdział VII
- Rozdział VIII
- Rozdział IX
- Rozdział X
- Rozdział XI
- Rozdział XII
- Rozdział XIII
- Rozdział XIV

Tom II

- Rozdział XV
- Rozdział XVI
- Rozdział XVII
- Rozdział XVIII
- Rozdział XIX
- Rozdział XX
- Rozdział XXI
- Rozdział XXII
- Rozdział XXIII

Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Rozdział XXX
Rozdział XXXI
Rozdział XXXII
Rozdział XXXIII
Rozdział XXXIV
Rozdział XXXV
Rozdział XXXVI
Metryczka książki

Tom I

Rozdział I

Potężnie zbudowany, bardzo wysoki, szedł prosto na ciebie z lekkim pochyleniem ramion, głową naprzód, patrząc spode łba, jak byk gotujący się do ataku. Jego głęboki, niski głos, nacechowany pewnością siebie, nie miał w sobie nic przykrego. Był niepokalanie czysty, biało ubrany od trzewików do kapelusza i w rozmaitych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie w charakterze agenta okrętowego, cieszył się wielką popularnością.

Agent okrętowy nie potrzebuje zdawać żadnych egzaminów, ale musi posiadać zdolność abstrakcyjnego myślenia i umieć wykazać je w praktyce. Jego praca polega tym, by przy pomocy pary, żagli lub wioseł ścigać się z innymi agentami na widok zarzucającego kotwicę okrętu, serdecznie powitać kapitana i wsunąć mu swą kartę – kartę agenta okrętowego – a przy pierwszej jego wizycie na wybrzeżu stanowczo, lecz bez ostentacji skierować go do obszernego, podobnego do winiarni magazynu, gdzie jest wszystko, co się pije i je na statku; gdzie kupić można wszystko, co jest potrzebne do użytku i upiększenia okrętu, począwszy od łańcuchów z hakami, poprzez ozdoby steru aż do książek o złotych kartkach, i gdzie kapitan okrętu przyjmowany jest z otwartymi ramionami przez agenta okrętowego, którego przedtem nigdy w życiu nie widział. Tam jest chłodna izba, wygodne fotele, butelki, cygara, materiały piśmiennicze, kopie przepisów portowych i ciepło powitania topiące całą sól zebraną w sercu marynarza po trzymiesięcznej wędrówce po morzu. Zawarta w ten sposób znajomość trwa tak długo, dopóki okręt pozostaje w porcie, gdyż

agent pamięta o złożeniu codziennej wizyty. Dla kapitana jest wierny jak przyjaciel, uważny jak syn, odznacza się cierpliwością Hioba, oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później za to wszystko posyła się rachunek. Jest to piękne, humanitarne zajęcie. Dlatego też dobrych agentów nie liczy się na tuziny. Gdy taki jegomość jest nie tylko posiada zdolność abstrakcyjnego myślenia, ale jest jeszcze oswojony z morzem, to dla swego pracodawcy przedstawia niemałą wartość i zasługuje na to, by mu dogadzano. Jim otrzymywał zawsze doskonałą pensję i dogadzano mu tak, że można by w ten sposób kupić wierność samego czarta. Pomimo to z czarną niewdzięcznością rzucał on nagle służbę i zmykał. Przyczyny, jakie podawał, wydawały się pracodawcom dziwaczne. „Przeklęty głupiec" mówili za jego plecami, krytykując w ten sposób jego nadzwyczajną drażliwość.

Dla białych ludzi prowadzących interesy w porcie i dla kapitanów okrętów był on po prostu Jimem. Miał, rozumie się, również nazwisko, ale bardzo pragnął, by go nie wymieniano. Jego incognito, podziurawione jak rzeszoto, kryło nie osobnika, lecz pewne zdarzenie. Gdy wiadomość o nim rozniosła się w porcie, gdzie w tym czasie przebywał – rzucał to miejsce i udawał się gdzie indziej – najczęściej dalej na wschód. Trzymał się morskich portów, gdyż był wygnanym z morza marynarzem, a miał zdolność do tego rodzaju abstrakcyjnego myślenia, które przydatne jest tylko w pracy agenta okrętowego. Znany był w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penang, Batawii – i w tych wszystkich miejscowościach Jim był agentem okrętowym. Później, gdy jego wysubtelnione odczucia odciągnęły go na dobre od portów morskich i białych ludzi, skrył dane mu od natury, a niewygodne własności duchowe w dziewiczych lasach i tam mieszkańcy dżungli, Malajczycy, dodali

słówko do jego jednozgłoskowego incognito. Nazwali go Tuan Jim, co się równa mianu Lord Jim.

Pochodził z probostwa. Wielu kapitanów handlowych okrętów pochodzi z tego przybytku pobożności i spokoju. Ojciec Jima posiadał pewną dozę wiadomości o rzeczach niezbadanych, które potrzebne są ludziom mieszkającym w skromnych domkach, a nie naruszają spokoju umysłowego ludzi, którym nieomylna Opatrzność zamieszkiwać każe w pałacach. Mały kościółek na wzgórzu miał szarą barwę skały widzianej poprzez zasłonę z zielonych liści. Stał tam już od wieków, a otaczające go drzewa pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny. Poniżej czerwony dach probostwa tworzył ciepłą plamę na tle gazonów i grządek kwiatowych. Warzywny ogródek znajdował się w głębi, żwirowany dziedziniec na froncie, a szklany dach oranżerii wznosił się nad ceglanym murem. Od kilku już pokoleń dom ten należał do rodziny, ale Jim był jednym z pięciu synów, więc gdy po początkowych studiach nad literaturą objawiło się jego powołanie do kariery marynarza, został wysłany natychmiast „na okręt, gdzie kształcono przyszłych oficerów floty handlowej".

Nauczył się tam trochę trygonometrii i nabył zręczności we wdrapywaniu się na wysokie maszty. Ogólnie był lubiany. Był trzeci w sztuce pływania i wiosłował zawsze w pierwszej łodzi. Mając mocną głowę i doskonałe zdrowie, czuł się dobrze na dużych wysokościach. Stanowisko jego było na samym szczycie masztu i często spoglądał stamtąd z pogardą człowieka przeznaczonego do błyszczenia wśród niebezpieczeństw na spokojne dachy domów, między którymi wiła się ciemna wstęga rzeki, na kominy faktorii wznoszące się prostopadle na tle szarego nieba, wysmukłe jak ołówki i wyrzucające dymy jak wulkany. Mógł patrzeć na odpływające wielkie okręty, na szerokie promy w nieustannym

ruchu, na malutkie łódeczki, uwijające się pod jego stopami, na mglistą wspaniałość oddalonego morza, pieszcząc nadzieję przebywania w świecie pełnym przygód i niebezpieczeństw.

Na dolnym pokładzie, wśród gwaru dwóchset głosów zapadał w marzenia i z góry przeżywał historie zaczerpnięte z opisów podróży morskich. Zdawało mu się, że ratuje ludzi z tonących okrętów, odcinając maszty przy huku nawałnicy, że trzymając się liny walczy z bałwanami; albo znów jako samotny rozbitek, nagi, bosy, wdrapuje się po skałach, szukając ślimaków, by się ratować od śmierci głodowej. Spotykał się z dzikusami na podzwrotnikowych wybrzeżach, uspakajał bunty i w małej łódeczce rzuconej na łaskę oceanu, podtrzymywał na duchu zrozpaczonych towarzyszy. Zawsze był wzorem człowieka oddanego swym obowiązkom, zawsze niewzruszony – jak bohater w książce.

– Coś się stało na górze. Lećmy!

Zerwał się. Chłopcy ciągnęli drabiny. Na górze słychać było bieganinę i krzyki, a gdy wylazł przez otwór – stanął jak skamieniały.

Był zmierzch zimowego dnia. Od południa wiatr wzmógł się, zatrzymując ruch na rzece, teraz wył w strasznym huraganie, a wybuchy jego sprawiały wrażenie wystrzałów armatnich. Deszcz lał całymi strugami, które to wisiały w powietrzu, to wiatrem pchnięte – rozsuwały się; w takiej chwili Jim dojrzał małe statki przy brzegu ciskane falami, olbrzymie gmachy niewyraźnie rysujące się na wybrzeżu, szerokie łodzie promowe szarpiące się na kotwicach, pomosty podrzucane w górę i zalewane pianą wodną. Nowy tuman zakrył to wszystko. Powietrze przepełnione było lecącą wodą. Był jakiś śmiały cel w tym wichrze, jakaś wściekła stanowczość w jego wrzeniu, w tym brutalnym rozhukaniu nieba i ziemi, które zdawało się zwracać przeciw niemu

i zaparło mu dech z przerażenia. Stał nieporuszony. Zdawało mu się, że jest porwany w jakiś wir.

Popchnięto go. „Śpieszcie się, do łodzi!" – ktoś krzyknął. Mali marynarze przebiegli obok niego. Jeden z kutrów pływających zwykle wzdłuż wybrzeży, szukając schronienia, wpadł na statek stojący na kotwicy, a któryś z okrętowych instruktorów dostrzegł wypadek. Gromada chłopaków wgramoliła się na belki poprzeczne i skupiła się u otworów zewnętrznych. „Zderzyły się statki. Akurat przed nami. Pan Simons widział to!" Nowe pchnięcia, Jim zatoczył się do środkowego masztu i schwycił się za sznur. Stary „okręt-szkoła" przymocowany do swych pali, zadrgał całym ciałem, łagodnie chyląc swój przód w stronę wiatru, zdawał się nucić niskim basem przebrzmiałą piosenkę młodości.

„Spuszczać łódź!" Ujrzał lekko opuszczającą się łódź i rzucił się za nią. Usłyszał plusk. „Dalej! Naprzód!" Pochylił się jeszcze bardziej. Woda naokoło gotowała się, rozpryskując jasne smugi. Przy zapadającej ciemności widać było łódkę targaną niemiłosiernie wichrem. Przeciągły krzyk doszedł niewyraźnie uszu Jima. „Równo, szczeniaki, jeżeli chcecie kogoś wyratować! Równo!" Nagle łódź, pchnięta zręcznymi wiosłami, podniosła wysoko swój dziób i przeskoczyła huczący bałwan, zwyciężając zaklęcie rzucone na nią przez wicher i wodę.

Jim uczuł, że ktoś go mocno schwycił za ramię. „Za późno, smyku!" Kapitan okrętu położył swą ciężką rękę na ramieniu chłopca, który, zdawało się, chce się rzucić do wody. Jim spojrzał w górę z wyrazem bolesnego zawodu w oczach. Kapitan uśmiechnął się przyjaźnie. „Będziesz miał więcej szczęścia innym razem. To cię nauczy zwinności!"

Radosne okrzyki powitały powracającą łódź. Tańczyła na falach do połowy napełniona wodą, wioząc dwóch uratowanych ludzi.

Cała groza wzburzonych żywiołów zdawała się teraz Jimowi godna pogardy, zwiększając żal, że te marne pogróżki zdołały rozbudzić w nim taki strach. Teraz wiedział, co o tym myśleć. Przekonany był, że nic a nic nie boi się huraganu. Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. Potrafiłby tego lepiej dokonać niż inni. Nie pozostała w nim ani odrobina strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się na uboczu, gdyż chłopiec, który pośpieszył na pomoc zagrożonemu statkowi, był bohaterem dolnego pokładu. Chłopiec ten, o twarzy dziewczyny i dużych szarych oczach, zarzucany był pytaniami przez cisnących się do niego towarzyszy.

– Gdy ujrzałem – opowiadał – wynurzającą się z wody jego głowę, cisnąłem do wody hak ratunkowy. Utkwił w jego majtkach, a ja o mało nie wyleciałem z łódki i byłbym wypadł, gdyby stary Simons nie porzucił rudla i nie schwycił mnie za nogi. To porządny chłop ten stary Simons. Ani trochę nie mam żalu do niego, że gdera na nas tak często. Przeklinał mnie cały czas, trzymając mnie za nogę, ale to był jego sposób ostrzegania, bym nie puścił z ręki liny. Stary Simons prędko się unosi, to prawda. Nie, nie ten jasnowłosy, to tamten z brodą. Gdyśmy go wciągnęli do łodzi, jęczał: „Oj, moja noga! Moja noga!" i przewracał oczami. Pomyślcie sobie, taki wielki chłop, a mdlał jak dziewczyna. Czy który z was mdlałby od ukąszenia takiego haka? Bo ja to nie. Taki kawałek wlazł mu w mięso! – Pokazywał hak, który w tym celu przyniósł ze sobą na dół, i wywołał wielkie wrażenie. – To śmieszne, doprawdy! Że tam dużo krwi stracił, to się rozumie.

Jim pomyślał, że to niełądnie tak przechwalać się swymi czynami. Huragan wywołał w tym chłopcu równie fałszywy heroizm, jak w nim strach. Gniewał się na ten brutalny spisek nieba i ziemi, który go zaskoczył niespodzianie i ogłuszył gotowość na wszystkie niebezpieczeństwa. Gdyby nie to, byłby nawet rad, że nie przystąpił

do czynu, skoro tak prędko dało się to załatwić. Poszerzył swoje wiadomości bardziej niż ci, którzy tej pracy dokonali. Gdy wszyscy będą się wahać, on, czuł to doskonale, będzie wiedział, jak działać wobec grozy wzburzonego oceanu i wichru. Wiedział, co o tym myśleć. Nie czuł w sobie najmniejszego wzruszenia na wspomnienie nawałnicy i ostateczny skutek tego wypadku był taki, że trzymając się z dala od hałaśliwej gromady chłopców, drżał nową żądzą przygód, wierząc w swą niezachwianą, wszechstronną odwagę.

Rozdział II

Po dwóch latach takiego oswajania się z niebezpieczeństwami morskimi znalazł się na pełnym oceanie i wchodząc w krainy tak dobrze znane jego imaginacji, ze zdziwieniem przekonywał się, że są zupełnie ogołocone z nadzwyczajnych przygód. Odbył wiele podróży. Poznał magiczną jednostajność istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzką krytykę, prozaiczną surowość codziennych obowiązków, których wypełnianie daje chleb, ale za które jedyną nagrodą jest prawdziwe umiłowanie swej pracy. Ta nagroda omijała go. A nie mógł już cofnąć się, gdyż nic tak nie wiąże, nic tak nie pozbawia złudzeń, a zarazem zniewala – jak życie na morzu. Przy tym jego przyszłość przedstawiała się w dobrych barwach. Będąc dżentelmenem poważnym, łagodnym w obejściu, posiadał głęboką znajomość swych obowiązków; z czasem, chociaż jeszcze bardzo młody, został pomocnikiem kapitana na pięknym okręcie, nie przeszedłszy nawet przez próby wystawiające na światło dzienne wewnętrzną wartość człowieka, jego temperament i rodzaj substancji tworzącej jego jestestwo, co poświadczyłoby tajemną prawdę jego dążności i aspiracji, nie tylko wobec innych, ale dla niego samego.

Raz tylko w ciągu całego tego czasu miał przedsmak tego, czym grozi rozhukany ocean. Ta prawda nie przejawia się tak często, jak może się wydawać. W niebezpieczeństwach huraganu rozmaite są odcienie i tylko od czasu do czasu okazuje się jawnie cała ponura gwałtowność złych zamiarów – coś nieokreślonego, co każe umysłowi i sercu ludzkiemu uwierzyć, że ta komplikacja

wypadków, te żywiołowe siły rzucają się na niego z całym rozmysłem złośliwości, z siłą przechodzącą wszelką kontrolę, z nieokiełznanym okrucieństwem, pragnącym wydrzeć z niego wszelką nadzieję, obawę, ból wyczerpania i żądzę spoczynku; coś, co chce zmiażdżyć, zniszczyć, zniweczyć wszystko, co widział, znał, kochał, co go cieszyło lub czego nienawidził; wszystko, co jest bezcenne i konieczne: promienie słońca, pamięć, przyszłość – coś, co chce zmieść cały ogromny świat raz na zawsze sprzed jego oczu przez prosty a bezlitosny akt pozbawienia go życia.

Jim obezwładniony ciosem spadającego nań masztu na początku tygodnia (o którym jego szkocki kapitan zwykł był później powtarzać: „Ludzie! To cud, doprawdy, że okręt przetrwał to wszystko!") spędził wiele dni wyciągnięty na grzbiecie, oszołomiony, przybity, zgnębiony, przechodząc męki jak na dnie przepaści, w której nie ma ukojenia. Nie dbał o to, jaki będzie koniec i w chwilach przytomności był na wszystko obojętny. Niebezpieczeństwo, gdy się go nie widzi, posiada nieokreśloność właściwą myśli ludzkiej. Bojaźń kryje się w cieniu, imaginacja, wróg ludzi, źródło wszelkich strachów, niepodsycana niczym zapada w spokój wyczerpanych wzruszeń. Jim nie widział nic poza nieładem panującym w potrząsanej kajucie. Leżał, patrząc na otaczające go spustoszenie i rad był, że nie potrzebuje iść na pokład, ale od czasu do czasu chwytał go jakiś niezwalczony niepokój; dyszał i wił się pod kołdrą i wówczas bezmyślna brutalność istnienia, która naraziła go na takie odczucia, napełniała go rozpaczliwym pragnieniem ucieczki za jakąkolwiek cenę. Następnie wróciła piękna pogoda i nie myślał już o tym więcej.

Powstał jednak kulawy i słaby i gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, musiał pójść do szpitala. Powoli wracał do zdrowia, więc pozostawiono go w szpitalu.

Było tam jeszcze tylko dwóch białych pacjentów: jakiś marynarz ze złamaną nogą i dostawca kolejowy sąsiedniej prowincji, tknięty jakąś tajemniczą chorobą podzwrotnikową, który utrzymywał, że doktór jest osłem i leczył się patentowanymi środkami przemycanymi przez oddanego mu sługę. Ci dwaj opowiadali sobie nawzajem swoje życie, grali trochę w karty lub leżąc na fotelach, w szlafrokach, ziewali dzień cały, nie mówiąc ani słowa. Szpital stał na wzgórku i łagodny wietrzyk, wpływając przez zawsze szeroko otwarte okna, przynosił łagodność nieba, obezwładnienie ziemi, to czarowne tchnienie wschodnich wód. Były w nim balsamiczne wonie, sugestie nieskończonego spokoju, dary wiecznych marzeń. Jim patrzył poprzez gąszcze ogrodów, dachy miasta, ponad palmami rosnącymi na wybrzeżu na tę przystań upstrzoną wysepkami, oblaną wspaniałymi promieniami słońca, ze swymi okrętami, podobnymi z dala do dziecinnych zabawek, z tą błyszczącą ruchliwością, przypominającą jakąś świąteczną paradę, i ze sklepieniem niebios wieczystego, wschodniego spokoju, ze słodkim uśmiechem wschodnich mórz, władających przestrzenią aż po daleki widnokrąg.

Gdy tylko mógł chodzić bez kija, poszedł do miasta, szukając sposobności dostania się do domu. W owej chwili nic się nie nadarzało, więc naturalnie zawarł znajomość w porcie z ludźmi swego powołania. Natknął się na dwa ich rodzaje. Jedni, nieliczni i rzadko tam widywani, prowadzili tajemnicze życie, zachowali niespożytą energię, z temperamentem rozbójników morskich, a spojrzeniem marzycieli żyli w jakimś chaosie planów, nadziei, niebezpieczeństw, przedsięwzięć wyprzedzających cywilizację; śmierć zdawała się być jedynym pewnym zdarzeniem w ich fantastycznej egzystencji. Większość zaś ludzi była tak jak on sam rzucona tu przez jakiś przypadek i pozostała w charakterze oficerów

na miejscowych okrętach. Wstrętna im była teraz myśl służby na europejskich okrętach z jej trudniejszymi warunkami, surowszym pojęciem obowiązków i niebezpieczeństwami burzliwych oceanów. Nastroili się do wiecznego spokoju morza i nieba Wschodu. Polubili krótkie wędrówki, wygodne fotele na pokładzie, liczne załogi złożone z tuziemców i wyróżnianie z powodu białości skóry. Drżeli na myśl o ciężkiej pracy i pędzili wygodne życie, oczekując niby lada chwila nowych rozkazów, służąc Chińczykom, Arabom, Metysom – diabłom samym gotowi służyć, gdyby praca była lekka. Wiecznie opowiadali o jakichś szczęśliwych wypadkach: jak ktoś tam otrzymał dowództwo statku idącego do Chin – rzecz bardzo przyjemna; to znów w Japonii ktoś dobrze sobie żyje; tamten zaś używa we flocie syjamskiej; w tym wszystkim, co mówili – w swoich czynach, w spojrzeniach, w całych postaciach – zdradzali swój słaby punkt, świadczący o pewnym zepsuciu, o postanowieniu, by bezpiecznie przepróżnować życie.

Jimowi ten plotkujący tłum niby-marynarzy wydawał się z początku złożony nie z istot ludzkich, lecz cieni. W końcu jednak zaczął go pociągać widok tych ludzi, dziwił się tym pozorom szczęścia przy tak małej dozie obowiązków, przy zupełnym braku niebezpieczeństw i przygód. I z czasem, obok początkowej pogardy, powoli zbudziło się w nim nowe uczucie; i nagle porzucił myśl o powrocie do domu, a zaciągnął się jako pomocnik kapitana na parowcu „Patna".

„Patna" był to lokalny parowiec stary jak świat, długi jak chart, bardziej zjedzony przez rdzę niż garnek od dawna porzucony w wodzie. Należał do Chińczyka, wydzierżawiony był przez Araba, a komendantem na nim był pewien renegat, Niemiec z południowej Nowej Walii o purpurowym nosie i rudych wąsach, bardzo wyklinający publicznie swą ojczyznę, ale w zgodzie

ze zwycięską polityką Bismarcka brutalizujący wszystkich, których się nie obawiał i przybierający minę „żelaznego" człowieka. Gdy parowiec został wymalowany na zewnątrz, a wybielony wewnątrz, mniej więcej ośmiuset pielgrzymów znalazło pomieszczenie na jego pokładzie.

Napływali nań trzema drogami, napływali pchani wiarą i nadzieją otrzymania królestwa niebieskiego, napływali z nieustannym hałasem i tupotaniem bosych nóg, bez słowa, bez szemrania, bez jednego spojrzenia za siebie; i gdy usunięto wszystkie belki, dzielące pokład na części, rozleli się po nim na wszystkie strony, zajęli jego przód i tył, przelewali się na dół przez ziejące otwory, zapełnili wszystkie wewnętrzne kryjówki okrętu – na kształt wody wpływającej do cysterny, napełniającej wszystkie szpary i pęknięcia, podnoszącej się powoli aż do brzegów. Ośmiuset ludzi, mężczyzn i kobiet, z wiarą i nadzieją, z jakimiś swoimi serdecznymi przywiązaniami i wspomnieniami zebrało się tam, przybywając z północy, południa, znad granic wschodnich, depcząc po dróżkach prowadzących z dżungli, idąc wzdłuż rzek, przeprawiając się w małych łódeczkach z wyspy na wyspę, znosząc cierpienia, napotykając dziwne zjawiska, ulegając dziwnym obawom – a podtrzymywało ich tylko jedno pragnienie. Przybywali z samotnych szałasów, z ludnych osad, nadbrzeżnych wiosek. Na głos jednej idei porzucili swe lasy, wyręby, opiekę swoich rządów, swoje powodzenie, swą nędzę, znane od lat młodzieńczych otoczenie i groby ojców. Przybyli pokryci pyłem, potem, sadzą, łachmanami – silni mężczyźni na czele całych rodzin, chudzi starcy, śpieszący naprzód bez nadziei powrotu; młodzi chłopcy z nieustraszonymi oczami patrzącymi ciekawie; nieśmiałe małe dziewczątka ze zwichrzonymi, długimi włosami; zakwefione

kobiety, tulące do piersi owinięte w brudne chusty dzieci – nieświadomi pielgrzymi posłuszni przepisom wymagającej wiary.

– Spojrzyj na to bydło – rzekł Niemiec-dzierżawca do swego nowego pomocnika.

Arab, wódz tej pobożnej podróży, przyszedł ostatni. Szedł powoli na pokład, piękny, poważny, w białej szacie i szerokim turbanie. Szła za nim cała gromada służących, niosąc jego pakunki. „Patna" podniosła kotwicę i odpłynęła od przystani.

Przepłynęła między dwiema małymi wysepkami, objechała miejsce, gdzie żaglowce zarzucają kotwice, zatoczyła półkole w cieniu jakiegoś wzgórza i znalazła się obok szeregu wzdymanych wiatrem żagli. Arab, stojąc na przodzie parowca, głośno odmawiał modlitwy za podróżujących po morzu. Wzywał łaski Wszechmocnego na tę podróż, błagał o Jego błogosławieństwo dla pracy ludzkiej i tajemnych pragnień ich serca; przy zapadającym zmierzchu parowiec pruł spokojne wody cieśniny; a tam w dali, w tyle parowca, latarnia morska, postawiona przez niewiernych na zdradliwej mieliźnie, zdawała się mrużyć swe płomienne oko, patrząc na odpływający parowiec, jakby szydząc z jego pobożnych zamiarów.

Przebywszy cieśninę, „Patna" dążyła dalej przez przesmyk „One-degree" prosto do Morza Czerwonego pod spokojnym, palącym, niezmąconym żadną chmurką niebem, spowita gorejącymi promieniami słońca, zabijającymi wszelką myśl, przygnębiającymi serce, niwecącymi całą wolę i energię. A pod tą groźną wspaniałością nieba morze błękitne i głębokie pozostało spokojne, bez jednego ruchu, bez jednej zmarszczki, gęste, stojące, martwe. „Patna" z lekkim świstem płynęła tą równiną świetlaną a gładką, rozwijała czarną wstęgę dymu na tle jasnego nieba, a poza sobą, na wodzie, pozostawiała białą wstęgę piany niknącej natychmiast

jak widmo szlaku pozostałe na martwym morzu po widmie parowca.

Każdego ranka słońce, jak gdyby zawarło ugodę z tym dążącym na pielgrzymkę parowcem, z cichym a nagłym wybuchem światła ukazywało się zawsze w tym samym miejscu, w tyle parowca, w południe doganiało go, zlewając skoncentrowany żar swych promieni na pobożne zamiary ludzkie, przechylało się dalej i zapadało tajemniczo do morza wieczór za wieczorem. Pięciu białych na parowcu żyło na śródokręciu, w odosobnieniu od ludzkiego ładunku. Rozciągnięte płótno tworzyło biały dach nad pokładem od końca do końca i jedynie niejasny pomruk, cichy szept smutnych głosów zdradzał obecność tego tłumu ludzi na olbrzymim przestworze wód. Takie były te dni spokojne, gorące, ciężkie, znikające jeden po drugim w przeszłości, jak gdyby wpadały w wiecznie otwartą przepaść; a parowiec, samotny pod słupem dymu, trzymał się stale jednego kierunku, czarny, dymiący w tym świetlistym bezmiarze, jakby spalony ogniem, lecącym nań z bezlitosnego nieba.

Zapadająca noc zdawała się błogosławieństwem.

Rozdział III

Cudowna cisza zapanowała nad światem, a gwiazdy wraz ze spokojem swych promieni zdawały się zlewać na ziemię zapewnienie wiecznotrwałego bezpieczeństwa. Księżyc w swej pierwszej kwadrze błyszczał na zachodzie, podobny do wióra odciętego od złotej sztaby, a Morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka jak przestrzeń lodowa, rozciągało swą doskonałą płaszczyznę pod spokojnym koliskiem ciemnego widnokręgu. Parowiec szedł naprzód, jego ruchy zdawały się harmonizować z bezpieczeństwem wszechświata; a po obu stronach głębokie fałdy wody, wystające i ciemne na tej błyszczącej równi, wchłaniały w swe proste i poprzeczne bruzdy delikatną białą pianę, wypryskującą z lekkim świstem, małe fale, zmarszczki, zwoje, które, gdy pozostały w tyle, mąciły przez chwilę powierzchnię morza po przejściu parowca, a później się uspakajały, wygładzały, ginąc w ogólnym spokoju nieba i wody, po której poruszała się czarna plama łupiny okrętu, pozostając wiecznie w jej centrum.

Jim, stojąc na mostku, przeniknięty był tą wielką pewnością bezgranicznego bezpieczeństwa i spokoju, jaki się daje czytać ze spokojnego stanu natury, podobnie jak czyta się pewność i pieczołowitą miłość rozlaną na twarzy matki. Pod płóciennym dachem, poddawszy się wiedzy i odwadze białych ludzi, ufając w potęgę i moc żelaznej skorupy ich ognistego okrętu, pielgrzymi, wyznawcy wymagającej wiary, spali na matach, derach, deskach, na wszystkich pokładach, we wszystkich ciemnych kątach, owinięci w farbowane sukna, okutani w brudne łachmany, z głowami

opartymi na małych zawiniątkach, z twarzami wciśniętymi w podłożone pod nie ręce; mężczyźni, kobiety, dzieci; starzy z młodymi, niedołężni z krzepkimi – wszyscy równi wobec snu, będącego bratem śmierci.

Podmuch powietrza, wepchnięty z przodu parowca szybkością ruchu, przechodził wzdłuż, muskał szeregi wyciągniętych ciał; zawieszone tu i ówdzie na słupach lampy rzucały mdłe światło, w którego niejasnych kręgach, rzucanych na dół i drgających lekko wskutek niewyczuwalnych ruchów parowca, ukazywała się to zwrócona do góry broda, to para zamkniętych oczu, ciemna ręka ze srebrnymi pierścionkami, chude ciało owinięte w łachman, głowa odrzucona w tył, naga stopa lub gardło, obnażone i naprężone, wystawione jakby pod nóż. Zamożniejsi urządzili dla swoich rodzin zakątki przy pomocy ciężkich pak i okurzonych mat; ludzie spoczywali pokotem, z całym swym bogactwem związanym w jeden węzeł pod głową; samotni starcy spali z wyciągniętymi nogami na dywanikach służących do modlitwy, rękami zakrywali uszy, a łokcie sterczały im po obu stronach twarzy; jakiś ojciec ze wzniesionymi ramionami i kolanami stykającymi się z głową – drzemał, trzymając na plecach chłopca ze zwichrzonymi włosami, który spał wyciągając nakazującym gestem rękę; kobieta spowita jak trup w białe płótno od stóp do głowy, trzymała po nagim dziecku w zagłębieniu każdego ramienia; bogactwo i cnota rezydowały w jednym miejscu na przodzie parowca, gdzie utworzyła się wysoka góra o nierównych zarysach i w blasku wiszącej nad nią lampy na tle niewyraźnych kształtów zgromadzonych tam przedmiotów połyskiwały brzuchate miedziane dzbany, ostrza oszczepów, gdzieś pochwa starej szabli spoczywała na kupie poduszek, gdzie indziej znów wysuwał się dzióbek dzbanka do kawy. Umieszczony w pobliżu przyrząd periodycznie

wydzwaniał każdą milę przebytą na tej drodze osłodzonej nadzieją i wiarą. Nad uśpionym tłumem unosiło się słabe, cierpliwe tchnienie, od czasu do czasu tylko zmącone, gdy z głębi parowca wydobywały się krótkie, metaliczne dźwięki, ostry zgrzyt szpadla podnoszącego węgiel, gwałtowny stukot zatrzaskiwanych drzwiczek pieca, jak gdyby ludzie tam, w głębi, trzymający w rękach tajemniczą władzę, mieli piersi przepełnione wściekłym gniewem, podczas gdy górna łupina parowca szła równo naprzód, bez jednego chybnięcia się masztu, prując nieustannie wielkie spokojne wody pod niedostępnym w swej błogości niebem.

Jim przeszedł w poprzek mostka, a własne kroki w tej niezmąconej ciszy doszły tak wyraźnie jego uszu, jak gdyby odbiły się echem o czuwające gwiazdy; jego oczy, błądząc po linii widnokręgu, zdawały się łakomie spoglądać w niedostępny świat, nie widząc cienia zbliżających się wypadków. Jedynym cieniem na morzu był cień czarnego dymu, ciężkim, olbrzymim słupem wybuchający nieustannie i rozpływający się w powietrzu. Dwaj Malajczycy, milczący i prawie nieruchomi, stali po obu stronach koła, którego mosiężny brzeg błyszczał kawałkami w owalu światła padającego z klatki kompasu. Co chwila w oświetlonej części ukazywała się ręka z czarnymi palcami, puszczająca i chwytająca szprychy; zwoje łańcucha kołowego ciężko chrzęściły w zagłębieniu beczki. Jim rzucał okiem na kompas, to znów na ten niedościgniony widnokrąg, to wyciągał się tak, że wszystkie stawy trzeszczały i było mu dobrze; jakby ośmielony tym widokiem nienaruszalnego spokoju czuł, że nie dba o to, co się z nim stać może, zanim nastąpi kres życia. Od czasu do czasu spoglądał leniwie na mapę przytwierdzoną czterema pluskiewkami do niskiego, trójnożnego stolika, umieszczonego w tyle okrętu. Ćwiartka papieru, uświadamiająca o głębokości morza, tworzyła błyszczącą

powierzchnię w świetle lampy, powierzchnię gładką i równą jak połyskliwa przestrzeń wód. Spoczywały na niej narzędzia miernicze; położenie parowca o północy zaznaczone było małym, czarnym ołówkiem, a prosta linia zakreślona ołówkiem aż do Perim, wykazywała kierunek okrętu – drogę, wiodącą dusze do świętego miejsca, do nadziei zbawienia, nagrody żywota wiecznego.

„Jak on równo idzie" – pomyślał Jim ze zdziwieniem, z jakimś uczuciem wdzięczności za ten niewzruszony spokój morza i nieba. W takich chwilach myślał o spełnieniu wielkich czynów: kochał te marzenia i wierzył w powodzenie swych wielkich zamiarów. Były one najlepszą cząstką jego życia, jego tajemną prawdą, ukrytą rzeczywistością. Cechowała je dumna męskość, urok nieokreśloności, poprzedzały go krokiem bohaterskim; unosiły z sobą jego duszę i poiły ją boską ambrozją bezgranicznej ufności w siebie samego. Nie było rzeczy, której by nie mógł stawić czoła. Był zadowolony ze swych myśli i uśmiechał się, patrząc przed siebie, a gdy przypadkiem rzucił okiem poza siebie, widział na morzu bruzdę, zostawioną przez parowiec, tak prostą, jak ta linia wykreślona ołówkiem na papierze.

Metaliczny dźwięk spuszczanych i wyciąganych cebrów z popiołem ostrzegł go, że zbliża się koniec jego czuwania. Westchnął z ukontentowaniem, a zarazem z żalem, że musi pożegnać się z tym spokojem, podniecającym awanturniczą lotność jego myśli. Chciało mu się też trochę spać i czuł przyjemne obezwładnienie wszystkich członków, jak gdyby cała krew w ciele zamieniła się w gorące mleko. Kapitan podszedł cicho w szlafroku i w nocnej koszuli szeroko rozchylonej na piersiach. Czerwony na twarzy, tylko na wpół rozbudzony, lewe oko miał zamknięte, prawe patrzało głupio, szkliście; pochylił wielką głowę nad kartą i skrobał się po żebrach. Coś wstrętnego było w widoku tego

obnażonego ciała. Naga pierś błyszczała od tłuszczu, jak gdyby w czasie snu cały wytopił się na wierzch. Wypowiedział fachową, niezbędną uwagę głosem ostrym, ochrypłym, przypominającym zgrzyt piły o deskę; fałdy podwójnego podbródka wisiały jak worek pod szczękami. Jim zerwał się i odpowiedź jego pełna była szacunku; ale wstrętna, mięsista postać, widziana po raz pierwszy w ten sposób, utkwiła w jego pamięci na zawsze jako wcielenie wszystkiego, co niskie, podłe, a bytujące w ukryciu na świecie, który kochamy; bowiem w głębi serc wiarę w nasze zbawienie pokładamy w ludziach nas otaczających, w widokach napełniających nasze oczy, w dźwiękach dochodzących naszych uszu i w powietrzu napełniającym nasze płuca.

Cienki, złoty wiór księżyca, płynąc powoli w dół, zginął nareszcie w czarnej powierzchni wód, a pozaświatowa wieczność zdawała się zbliżać do ziemi wraz ze zwiększonym błyskiem gwiazd, z głębszym odcieniem połysku na wpół przezroczystego sklepienia wiszącego nad płaskim kręgiem nieprzezroczystego morza. Parowiec szedł tak łagodnie, że jego ruch naprzód był nieodczuwalny dla zmysłów ludzkich, jak gdyby był zatłoczoną planetą śpieszącą przez ciemną przestrzeń eteru za rojem słońc, we wzruszającym spokoju i samotności czekających tchnienia przyszłych kreacji.

– Tam na dole, to mało powiedzieć: gorąco – odezwał się jakiś głos.

Jim uśmiechnął się, nie oglądając. Kapitan wystawił całą szerokość swych pleców; była to ulubiona sztuczka renegata – udawać, że nie widzi wcale czyjejś obecności, chyba że spodobało mu się zwrócić na kogoś nagle swój wściekły wzrok, a następnie zacząć wylewać nań potoki dzikich obelg, wybuchających jak brudy ze ścieku. Teraz tylko chrząknął niemile; drugi maszynista, stojąc na szczycie drabiny, gniotąc rękami brudny, mokry od potu

łachman, ciągnął dalej swe jeremiady. Marynarzom dobrze się tu dzieje na górze, a jaki z nich pożytek na świecie, to on by dużo dał, żeby to wiedzieć, a biedni maszyniści muszą pilnować, by parowiec szedł, a przy tym mogą doskonale i inne rzeczy robić – takie życie to...

– Milcz! – mruknął groźnie Niemiec.

– A tak! Milcz! A gdy coś złego się dzieje, to lecisz pan do nas, co? – odparł tamten.

On jest na wpół ugotowany, pewny jest tego; ale w każdym razie nie dba już o liczbę swych grzechów, gdyż przez ostatnie trzy dni przeszedł przez próbę życia, jakie będą pędzili źli ludzie po śmierci – tak, tak – a przy tym jest prawie ogłuszony tym hałasem, hukiem na dole. Tam wre, kipi jak w piekle, a dlaczego on dzień i noc ryzykuje życie, dane mu od Boga, tego sam powiedzieć nie może. Widocznie urodził się taki głupi. Już on...

– Gdzieżeś się upił? – pytał Niemiec dzikim głosem, ale nie ruszając się z miejsca; światło od kompasu padało na niego, uwydatniając tę niezgrabną figurę jakby wyciętą z kawała tłuszczu.

Jim odchodził, uśmiechając się do niknącego widnokręgu; jego serce przepełnione było szlachetnymi popędami, a myśli podziwiały własną wyższość.

– Upił? – powtórzył maszynista pogardliwie; uwiesił się rękami na belce, tworząc ciemną plamę, poruszającą się miarowo. – Nie pana kosztem, kapitanie! Jesteś na to za skąpy, do pioruna! Wolałbyś widzieć, jak porządny człowiek umiera, a nie dałbyś mu kropli sznapsa. To wy, Niemcy, nazywacie oszczędnością!

Stawał się sentymentalny. Poczciwy pierwszy maszynista dał mu naparsteczek o dziesiątej „tylko jeden, Bóg mi świadkiem!" – poczciwy stary; ale żeby takiego starego wygę jak on, wyprowadzić z równowagi – na to nie wystarczyłaby i pięciowiadrowa beczka.

O nie! W każdym razie nie dziś w nocy. Szef śpi sobie słodko jak niemowlę z butelką doskonałej wódki pod poduszką!

Z grubego gardła kapitana „Patny" wypłynął basowy pomruk, w którym dźwięk słowa „Schwein" unosił się to wysoko, to nisko, jak kapryśne piórko przy lekkim podmuchu wiatru. On z tym pierwszym maszynistą już od wielu lat byli kamratami, służąc jowialnemu, sprytnemu, staremu Chińczykowi z okularami w rogowej oprawie i kawałkami czerwonego jedwabiu wplecionymi w siwe włosy warkocza. W porcie, gdzie zwykle stawała „Patna", krążyła pogłoska, że co się tyczy bezczelnego okradania skarbu państwa, „to ci dwaj kompani zrobili wszystko, co się tylko dało". Zewnętrznie byli niedopasowani: jeden z ponurym wejrzeniem, zły, o korpulentnej budowie ciała; drugi – długi, chudy, kanciasty, z głową kościstą i długą jak u starego konia, z zapadłymi policzkami, z obojętnym, szklistym wzrokiem zapadłych oczu. Wyrzucony został gdzieś na wschodnich wybrzeżach – w Kantonie, Szanghaju lub może w Jokohamie, przed dwudziestu, a może i więcej laty; zapewne sam nawet nie chciał pamiętać dokładnie miejscowości, ani przyczyny rozbicia się okrętu. Sprawa ta nie nabrała rozgłosu, gdyż dzięki jego młodości, poprzestano na wydaleniu go z okrętu spokojnym kopnięciem nogą. Żegluga po tych morzach coraz bardziej zaczynała się rozwijać, a ludzi jego zawodu było jeszcze niewielu, więc „wypłynął na wierzch". Chętnie dawał do zrozumienia obcym ludziom, że on w tej pracy „zęby zjadł". Gdy się poruszał, zdawało się, że pod ubraniem dzwonią kości szkieletu; włóczył się nieustannie po okręcie, paląc fajkę na bardzo długim cybuchu, z ogłupiałą powagą myśliciela, wyprowadzającego system filozoficzny z mglistego przebłysku prawdy. Zwykle trząsł się nad swym zapasem trunków; ale tej nocy odstąpił od swych zasad, a to wyszło

na korzyść jego pomocnika, młodego chłopca o słabej głowie, który wskutek niespodziewanej uczty i tęgości materiału – stał się szczęśliwy, poufały i rozmowny. Wściekłość Niemca z Nowej Południowej Walii nie miała granic; sapał jak wypalona fajka, a Jim, zabawiony trochę tą sceną, niecierpliwił się jednak, chcąc już zejść na dół; ostatnie dziesięć minut czuwania było tak denerwujące jak wyczekiwanie na wystrzał dubeltówki. Ci ludzie nie należeli do świata bohaterskich przygód, choć niezłe z nich chłopy. Nawet ten kapitan. Mdło mu się zrobiło, gdy spojrzał na tę drgającą masę mięsa, z której wypływały, charczące dźwięki, brudny potok ohydnych wyrażeń; ale był zanadto obezwładniony, by w tej chwili zdobyć się na nielubienie kogoś lub czegoś. Wartość tych ludzi nie obchodziła go; ocierał się o nich, ale nie mogli go dotknąć; dzielił z nimi wdychane powietrze, ale różnił się od nich... Czy kapitan rzuci się na maszynistę?... Życie płynie łatwo, a on jest tak pewny siebie, zbyt pewny, by... Linia dzieląca jego rozmyślania od zupełnego zaśnięcia cieńsza była od pajęczej nici.

Pomocnik maszynisty łatwym zwrotem przeszedł do kwestii swoich finansów i odwagi.

– Kto pijany? Ja? Nie, kapitanie! Tak nie można. Musi pan wiedzieć, że mój starszy jest tak skąpy, że i wróbla by nie upoił. Nigdy w życiu tak nie pościłem, jak teraz; a ten gatunek wódki nikomu w głowie nie zaprószy. Ja mógłbym pić roztopiony ogień, a byłbym zimny jak lód. Gdybym myślał, że jestem pijany, rzuciłbym się do morza, skończyłbym ze sobą, do pioruna. Tak! Prosto! A z mostka nie zejdę. Gdzie pan myślisz, że będę szukał świeżego powietrza w taką noc jak dzisiaj, co? Może na dolnym pokładzie, między tym robactwem? Przypuszczam, że nie! A zresztą, wcale się pana nie obawiam.

Niemiec wzniósł w górę dwa ciężkie kułaki, potrząsał nimi, nie mówiąc słowa.

– Ja nie znam, co to strach – ciągnął dalej maszynista z zapałem szczerego przekonania. – Nie boję się pracować w tej zgniłej skorupie! To szczęście niemałe dla pana, że jest nas kilku na świecie, co się o własne życie nie boimy – inaczej – gdzie byłby pan sam – i ten stary grat, z bokami cienkimi jak papier – tak, papier – może nie? To wszystko bardzo pięknie dla pana – ciągnie pan sobie pieniążki, czy tak, czy owak; ale cóż mi z tego – co ja z tego mam? Mizernych sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Chciałbym się pana z uszanowaniem spytać – z uszanowaniem, uważaj pan, kto by nie plunął na takie psie zajęcie jak to?... Nie gadaj, że bezpieczne – to nieprawda! Tylko że ja jestem jednym z tych nieustraszonych ludzi...

Puścił trzymaną belkę i wykonywał szerokie ruchy, jak gdyby chcąc wskazać kształt i doniosłość swej wartości; jego cienki głos rozchodził się po morzu jak przeciągły kwik, pochylał się to naprzód, to w tył, i nagle runął głową naprzód, jak gdyby pchnięty z tyłu. „Psia krew!" – zawołał padając i chwila ciszy nastała po tym okrzyku. Jim i kapitan, jakby jedną myślą tknięci, rzucili się naprzód, a opanowawszy się, stanęli sztywni i patrzyli wciąż ze zdumieniem na niezmąconą powierzchnię morza. Następnie spojrzeli w górę na gwiazdy.

Co się stało? Maszyna sapnęła ciężko. Czy ziemia została wstrzymana w swym biegu? Nie mogli zrozumieć; i nagle to spokojne morze, to niepokalanie czyste niebo wydało się strasznie niepewne w swej nieruchomości, jak gdyby zwiastowało zbliżanie się ogólnego zniszczenia. Maszynista całym swym ciałem podskoczył w górę i opadł znów jak bezkształtna masa. Ta masa jęknęła: „A co to?" ze stłumionym akcentem wielkiego gniewu. Odgłos grzmotu, grzmotu nadzwyczaj oddalonego, mniej niż głos,

trochę więcej niż wibracja, przeszedł powoli, a w odpowiedzi parowiec zadrżał, jak gdyby ten grzmot zagrzmiał głęboko w wodzie. Oczy dwóch Malajczyków przy kole błysnęły w stronę białych ludzi, ale ciemne ich ręce pozostały przy szprychach koła. Długa łupina, płynąc dalej, zdawała się wznosić na kilka cali stopniowo, przez całą swą długość, jak gdyby stała się giętka i znów powróciła do swej sztywności, i dalej pruła gładką powierzchnię morza. Drżenie jej ustało, ścichł też głos grzmotu, jak gdyby parowiec przepłynął przez wąski pas drgającej wody i dźwięczącego powietrza.

Rozdział IV

W miesiąc czy później potem, gdy Jim w odpowiedzi na rozmaite pytania starał się powiedzieć uczciwie całą prawdę o przeszłych wypadkach, wyraził się tak o parowcu:

– Przeszedł tak łatwo przez to, co tam było, jak wąż prześlizgujący się po kiju.

Określenie to było dobre: pytania miały na celu zbadanie faktów, a śledztwo odbywało się w policyjnym gmachu, w jednym z portów wschodnich. Jim stał na wzniesieniu, w miejscu dla świadków, z pałającymi policzkami, w chłodnej, obszernej izbie; wysoko nad jego głową umieszczony wentylator poruszał się miarowo, a z dołu spoglądały ku niemu oczy z ciemnych twarzy, białych twarzy, czerwonych twarzy, twarzy skupionych, oczarowanych, jak gdyby wszyscy ci ludzie, siedzący w równych rzędach na wąskich ławach, byli pod wpływem hipnozy jego głosu. A był on donośny, brzmiał zadziwiająco dla jego własnych uszu, był to jedyny dźwięk słyszalny na świecie, gdyż te okrutnie wyraźne pytania, które wydzierały jego odpowiedzi, zdawały się kształtować same w bólu i rozpaczy wewnątrz jego piersi i dochodziły do niego, bolesne a milczące, jak okrutne pytania własnego sumienia. Tam, za tą salą sądową słońce przypiekało, wewnątrz wiał wiatr z wielkich wentylatorów wywołując dreszcze, wstyd palił, spojrzenia tych utkwionych oczu były jak ostrza sztyletów. Twarz prezydującego urzędnika, gładko wygolona i niewzruszona, patrzała na Jima, trupio blada, w otoczeniu dwu czerwonych twarzy urzędników morskich. Przez szerokie okno

umieszczone pod sufitem spływało światło na głowy i ramiona tych trzech ludzi, którzy odcinali się wyraźnie w półświetle wielkiej sali sądowej, gdzie audytorium zdawało się być złożone z ruchomych cieni. Domagali się faktów. Faktów! Domagali się od niego faktów, jak gdyby te fakty mogły wszystko wytłumaczyć!

– Gdy doszedł pan do przekonania, że zetknęliście się z czymś pływającym, powiedzmy z jakąś resztką rozbitego okrętu, kapitan kazał panu pójść na przód parowca, by się przekonać, czy nie został uszkodzony. Czy sądził pan, że siła zderzenia mogła to zrobić? – spytał urzędnik siedzący na lewo.

Miał cienką, w podkowę podciętą brodę, wystające kości policzkowe, a oparłszy oba łokcie na stole, składał i rozkładał grube palce, patrząc na Jima badawczymi, niebieskimi oczyma; drugi, ciężki, pełen pogardy mężczyzna, rozparty w krześle, wyciągnął na całą długość lewą rękę i delikatnie bębnił palcami po bibule leżącej przed nim; po środku nich siedział prosto w wysokim fotelu sędzia, głowę lekko pochylił na ramię, ręce złożył na piersiach; obok kałamarza stały kwiaty zanurzone w szklance wody.

– Nie – odparł Jim. – Powiedziano mi, by nie wołać nikogo i nie robić żadnego hałasu z obawy przed wywołaniem paniki. Uważałem tę ostrożność za konieczną. Wziąłem jedną z lamp wiszących pod płótnem i poszedłem na przód parowca. Otworzyłem klapę i usłyszałem bulgotanie wody. Spuściłem lampę jak mogłem najgłębiej i przekonałem się, że otwór jest do połowy wypełniony wodą. Wiedziałem już, że tam w dole musi być wielka dziura.

Umilkł.

– Tak – rzekł gruby urzędnik, uśmiechając się do bibuły; jego palce nieustannie skakały po papierze nie wywołując stuku.

– Nie pomyślałem jeszcze o niebezpieczeństwie. Mogłem być trochę oszołomiony; wszystko to się stało tak spokojnie, tak nagle. Wiedziałem, że w parowcu nie ma innego spojenia, tylko tam w dziobie, gdzie pusta przestrzeń dzieli dno od dolnego pokładu. Wróciłem do kapitana, by mu to powiedzieć. Natknąłem się na drugiego maszynistę, który podnosił się z ziemi u stóp drabiny wiodącej na pomost; zdawał się oszołomiony i powiedział mi, że prawdopodobnie ma złamane lewe ramię; potknął się na jednym ze stopni, gdy ja byłem na przedzie statku. Krzyknął: „Boże mój! To zgniłe, zardzewiałe żelastwo rozpadnie się za chwilę, a przeklęty parowiec pójdzie na dno jak bryła ołowiu!" Odepchnął mnie prawą ręką, wyprzedził i drapiąc się po drabinie krzyczał. Lewe ramię wisiało mu bezwładnie. Podążyłem za nim i widziałem, jak kapitan rzucił się na niego i powalił na plecy. Nie bił go więcej; pochylił się tylko nad nim mówiąc coś gniewnie, lecz cicho. Zdaje mi się, że mówił mu, dlaczego, u diabła, nie zatrzymał maszyny, zamiast wrzeszczeć na pokładzie. Słyszałem, jak powiedział: „Ruszaj się! Leć, prędzej!" Przeklinał wciąż. Maszynista spuścił się po drabinie i poleciał, jęcząc przy tym boleśnie...

Jim mówił powoli; przypominał sobie wszystkie szczegóły szybko i z nadzwyczajną dokładnością; mógłby jak echo powtórzyć jęki maszynisty dla lepszego objaśnienia wszystkiego tym ludziom domagającym się faktów. Po pierwszych chwilach buntu zrozumiał, że tylko drobiazgowe świadectwo wydobędzie na wierzch rzeczywistą okropność całej tej sprawy. Fakty, których ci ludzie tak gwałtownie się domagają, były widoczne, zrozumiałe dla zmysłów, zajmowały swoje miejsce w przestrzeni i czasie, wydarzyły się na parowcu ważącym tysiąc czterysta ton w ciągu dwudziestu siedmiu minut podczas warty; tworzyły całość mającą zarysy, swój wyraz, skomplikowany wygląd, który można zapamiętać oczami,

a oprócz tego było coś niewidzialnego, jakiś kierowniczy duch zatracenia zamieszkiwał tam jak złośliwa dusza we wstrętnym ciele. Koniecznie chciał to wyjaśnić. To nie była zwykła sprawa, wszystko w niej miało niezmierną doniosłość, ale na szczęście pamiętał wszystko doskonale. Chciał wypowiedzieć wszystko ze względu na miłość prawdy, a może także i dla własnego dobra; i gdy mówił z rozmysłem, umysł jego krążył i krążył wokoło grupy faktów, które zbiły się, ogarniając go całego, aby go odciąć od reszty ludzi; był istotą jakby uwięzioną w ogrodzeniu o wysokich palach, rzucającą się to tu, to tam, szukającą słabszego miejsca, jakiejś szczeliny, otworu, by móc się wyśliznąć i uciec. Ta nadzwyczajna czynność umysłowa sprawiała, że chwilami wahał się w swych odpowiedziach...

– Kapitan przebiegał pomost nieustannie; wydawał się dość spokojny, tylko potknął się kilkakrotnie; raz, chcąc mu coś powiedzieć, stanąłem naprzeciw niego, wpadł na mnie, jak gdyby był zupełnie ślepy. Nie dał mi żadnej określonej odpowiedzi na moje sprawozdanie. Mruczał do siebie; pochwyciłem parę słów, brzmiących coś jak: „przeklęta para”! „piekielna para”! Myślałem...

„To do rzeczy nie należy” – rzucenie tego ostrego zdania przerwało jego mowę jakby bolesnym ciosem i poczuł się bardzo zniechęcony i zmęczony. Już, już dochodził do tego, a teraz, brutalnie zmuszony do zamilknięcia, musi odpowiadać tak lub nie. Odpowiedział uczciwie krótkim: „Tak, zrobiłem to” i, piękny na twarzy, potężnie zbudowany, z młodością i blaskiem w oczach, trzymał się prosto i pewnie, gdy dusza wiła się w nim. Musiał odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie, tak niby ścisłe, a tak bezużyteczne – i znów czekał. W ustach miał taką suchość, jak gdyby jadł pył, gorycz i słoność, jak po wypiciu wody morskiej. Otarł wilgotne czoło, przesunął język po spalonych wargach, zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Gruby urzędnik spuścił powieki i bębnił bez hałasu, obojętny, ponury; oczy drugiego, ponad ogorzałymi, złożonymi palcami, zdawały się jaśnieć dobrocią; sędzia pochylił się naprzód; jego blada twarz znalazła się w pobliżu kwiatów, potem pochylając się na ramię fotela, wsparł głowę na dłoni. Wiatr z wentylatorów muskał głowy, spadał na tuziemców o ciemnych twarzach, na Europejczyków, siedzących w mundurach tak obcisłych, że zdawały się przylegać jak skóra; służba sądowa w opiętych, długich, białych surdutach uwijała się wzdłuż murów, biegając nagimi stopami tak cicho, jak gdyby nie byli to ludzie, lecz cienie. Czerwone pasy i czerwone turbany dodawały im malowniczości.

Oczy Jima, błąkające się po sali w chwilach milczenia, spoczęły na białym człowieku siedzącym z dala od innych, z twarzą chmurną, zmęczoną, ale oczami spokojnymi, patrzącymi prosto, ciekawie i jasno. Jim znów dał odpowiedź i miał ochotę krzyknąć: „Ale po cóż to? Po co?!...". Tupał z lekka nogą, zagryzł wargi i spojrzał w dal. Spotkał się ze wzrokiem białego człowieka. Zwrócone na niego spojrzenie nie miało tego hipnotycznego wyrazu, co inne. Był to akt inteligentnej woli. Jim zapomniał się tak dalece między dwoma pytaniami, iż znalazł czas na myśl. „Ten człowiek – myślał – patrzy na mnie, jak gdyby widział kogoś czy coś za moimi plecami". Musiał tego człowieka gdzieś widzieć – może na ulicy. Pewny jest, że nigdy z nim nie rozmawiał. Od wielu, wielu dni nie rozmawiał z nikim, milczał, prowadząc długie rozmowy z sobą samym jak więzień zamknięty w celi lub rozbitek w puszczy. Teraz odpowiadał na pytania niemające żadnego znaczenia, chociaż stawiane w pewnym celu, ale wątpił, czy kiedykolwiek będzie znów rozmawiać. Dźwięk jego własnych zeznań potwierdzał z góry powzięte mniemanie, że mowa już mu nie jest więcej potrzebna. Ten człowiek tam zdawał się rozumieć jego beznadziejne położenie.

Jim spojrzał na niego, później odwrócił się energicznie, jak gdyby żegnał się z nim ostatecznie.

Później nieraz, w rozmaitych stronach świata będąc, Marlow chętnie wspominał Jima.

Może to było po obiedzie, na werandzie udrapowanej nieruchomą zielonością, ozdobionej kwiatami, w głębokim zmroku upstrzonym błyszczącymi końcami cygar. Wydłużone trzcinowe fotele były wszystkie zajęte. Tu i ówdzie błysnęło nagle czerwone światełko, roztaczając blask na palce ociężałej ręki, na część spokojnej twarzy lub zapalało iskierkę w myślących oczach, ocienionych cząstką gładkiego czoła; z pierwszym wypowiedzianym słowem ciało Marlowa wyciągnęło się w fotelu i pozostało zupełnie nieruchome, jak gdyby duch jego cofnął się w czasy minione i przemawiał stamtąd przez jego usta.

Rozdział V

– Ach, tak, byłem obecny przy tym badaniu – rzekł – i do tej pory nie przestałem się dziwić, po co tam poszedłem. Skłonny jestem wierzyć, że każdy z nas ma anioła stróża, jeżeli zgodzicie się z tym, że każdy z nas ma również swego złego ducha. Chcę, byście to przyznali, gdyż nie mam ochoty wyróżniać się od innych, a wiem, że go posiadam – złego ducha, chcę powiedzieć. Nie widziałem go, rozumie się, ale mam na to dowody. Siedział on sobie we mnie, a będąc złośliwej natury, pchnął mnie, bym wmieszał się w tego rodzaju sprawę. W jaką sprawę? – pytacie. – No, w to badanie, w to śledztwo, gdzie niespodziewanym, szatańskim sposobem spotkałem ludzi najrozmaiciej skalanych, którzy na mój widok rozpuścili swe języki, by mi czynić swe piekielne zwierzenia, jak gdybym nie mógł sam sobie czynić zwierzeń, jak gdybym – na Boga! – nie posiadał dość wiadomości o sobie, dręczących duszę moją do końca życia. A chciałbym wiedzieć, co zrobiłem, by na taką łaskę zasłużyć. Oświadczam, że mam tyle samo własnych spraw na głowie, co i każdy człowiek, a pamięć mam tak samo dobrą, jak przeciętny pielgrzym na tym świecie; widzicie więc, że nie jestem wyjątkowym naczyniem do zbierania zwierzeń ludzkich. Więc po cóż mam mówić? Chyba dla zabicia czasu po obiedzie. Karolu, kochany chłopcze, obiad twój był wyjątkowo doskonały i w rezultacie ci oto ludzie uważają spokojnego robra za coś męczącego, wymagającego wysiłku. Pogrążyli się w twych wygodnych fotelach i myślą sobie: „nie chce nam się ruszać, niech Marlow opowiada”.

Opowiadać! Niech i tak będzie. Łatwo opowiadać o panu Jimie po dobrej uczcie, z pudełkiem przyzwoitych cygar pod ręką, w chłodny, gwiaździsty wieczór, mogący sprawić, że najlepszy z nas zapomni, że jesteśmy tu po to tylko, by cierpieć i drążyć swą drogę w wędrówce poprzez światła, licząc się z każdą minutą i krokiem, wierząc, że u kresu wydobędziemy się z tego jakoś przyzwoicie. I niewiele pomocy możemy oczekiwać od tych, o których ocieramy się łokciami. Rozumie się, że tu i ówdzie są ludzie, dla których całe życie jest jakby jedną poobiednią godziną, spędzoną z cygarem w ustach: łatwe, przyjemne, puste, może ożywione jakąś bajką o walce, bajką, o której się zapomina, zanim się usłyszało jej koniec, jeżeli w ogóle ma jakiś koniec.

Nasze oczy spotkały się po raz pierwszy w czasie tego przesłuchania. Trzeba wam wiedzieć, że znajdowali się tam wszyscy jakimkolwiek sposobem związani z morzem, dlatego że sprawa ta była powszechnie znana od chwili, gdy doszedł nas ten tajemniczy telegram z Adenu. Mówię tajemniczy, gdyż w pewnym sensie taki był, chociaż zawierał nagi fakt, tak nagi i szpetny, jak tylko fakt być może. Cała marynarka mówiła tylko o nim. Tego dnia z rana, gdym się ubierał, usłyszałem poprzez ścianę, jak mój Parsee Dubash szwargotał o „Patnie" z okrętowym stewardem łaskawie ugoszczonym herbatą w spiżarni. Gdy znalazłem się na wybrzeżu, spotkałem znajomego, a pierwsze jego słowa były: „czy słyszałeś kiedyś o czymś podobnym?" Jeden, drugi, trzeci powtarzał to samo, to uśmiechając się cynicznie, to patrząc smutnie, to klnąc, zależnie od swego charakteru. Zupełnie obcy ludzie poufale zagadywali do siebie jedynie w celu ulżenia swym przemyśleniom na ten temat; każdy pracujący w mieście zachodził do knajpy, by tam przy kieliszku pomówić o tej sprawie; słyszało się o tym w porcie, w sklepach, od agentów, od białych ludzi, od tuziemców,

metysów, od każdego na wpół nagiego rybaka siedzącego na kamiennych stopniach. Było oburzenie i żarty, a przede wszystkim nieskończone dysputy o tym, co się też z nimi stało. Tak rzeczy stały przez parę tygodni czy dłużej, aż zaczęła przeważać opinia, że to, co było tajemniczego w tej sprawie, okaże się tragiczne, gdy pewnego pięknego poranka, stojąc w cieniu przy schodach portowego gmachu, ujrzałem czterech ludzi, idących ku mnie wybrzeżem. Rozmyślałem przez chwilę, skąd oni się tu nagle znaleźli, gdy raptem, mogę powiedzieć, krzyknąłem do siebie: „Oto oni!".

Tak, to byli z pewnością oni, trzej w całej okazałości, a jeden o tak okazałej tuszy, że u człowieka aż niewiarygodnej; właśnie wysiedli, dobrze napasieni z parowca Dale, który przybył w godzinę po wschodzie słońca. Nie mogło być omyłki; poznałem tego hulakę, dzierżawcę „Patny", na pierwszy rzut oka; był to najtłuściejszy człowiek, jakiego te błogosławione podzwrotnikowe krainy nosiły. Przed dziewięciu miesiącami natknąłem się na niego w Samarango. Jego parowiec ładowano w Roads, a on wymyślał na tyrańskie instytucje państwa niemieckiego i wlewał w siebie piwo od rana do wieczora, dzień w dzień, w składzie trunków De Junghi. Ten De Jungha za każdą butelkę brał dukata, nie mrugnąwszy nawet okiem, ale w końcu wziął mnie na bok i krzywiąc swą pomarszczoną twarz, oświadczył mi w zaufaniu: „Interes interesem, ale patrząc na tego człowieka, kapitanie, mam mdłości! Tfu!" Patrzyłem na niego, nie ruszając się z miejsca. Wysunął się trochę naprzód, słońce, padając na niego, dziwnie uwydatniało jego brzuch. Przywiódł mi na myśl małego słonia, chodzącego na tylnych nogach. Był też niezwykle ekstrawagancko ubrany w brudną pidżamę w jaskrawo zielone i pomarańczowe pasy, słomiane poranne pantofle miał wdziane na bose stopy, a czyjś zbyt

mały, bardzo brudny kapelusz, przywiązany był sznurkiem na czubku jego wielkiej głowy. Łatwo zrozumieć, że taki człowiek niełatwo może znaleźć kogoś, kto by mu chciał użyczyć swego ubrania. Otóż tak. Biegł on pośpiesznie, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, przeszedł obok mnie i w niewinności serca pośpieszył do biura portowego złożyć zeznania, raport, czy jak tam to nazwiecie.

Okazało się, że w pierwszej instancji zwrócił się do głównego inspektora żeglugi. Archibald Ruthvel właśnie przyszedł i, jak opowiadał, miał zacząć żmudny dzień pracy od porządnego natarcia uszu swemu pomocnikowi. Może kto z was znał go – uprzejmy, mały Portugalczyk, Metys, z chudą szyją, wiecznie mający nadzieję, że wyłudzi coś do jedzenia od kapitanów okrętowych, jakiś kawał solonej wieprzowiny, worek biskwitów, kartofli, czy coś podobnego. Po jednej podróży, pamiętam, dałem mu żywą owcę pozostałą z zapasów okrętowych, nie dlatego, bym potrzebował, by coś dla mnie zrobił – nie mógłby, wiecie to dobrze – ale dlatego, że ta jego dziecinna wiara w święte prawa łapówki wzruszała mnie. Była ona tak silna, iż stawała się piękna. Rasa – dwie rasy razem – i klimat... Zresztą – wszystko jedno. Wiem, gdzie mam przyjaciela na życie całe.

Otóż Ruthvel opowiadał, że właśnie wygłaszał poważną przemowę – zapewne na temat etyki urzędniczej – gdy usłyszał jakiś ruch za plecami, a odwróciwszy głowę, spostrzegł, takie były jego słowa, coś okrągłego, olbrzymiego, przypominającego ogromną beczkę cukru owiniętą w pasiastą flanelę i rzuconą na środek jego biura. Ze zdumienia przez czas jakiś nie pomyślał nawet, że ta rzecz jest żywa, siedział i dziwił się, w jakim celu i jakim sposobem przedmiot ten postawiono przed jego biurkiem. W drzwiach prowadzących do przedpokoju tłoczyli się ludzie obsługujący

wachlarze punkah, zamiatacze, służba policyjna i rozmaitego rodzaju gapie; wyciągali szyje, prawie włazili na plecy jeden drugiemu. Zupełne zbiegowisko. Tymczasem ten jegomość zdołał szarpnięciem kapelusz z głowy i z lekkim ukłonem zbliżył się do Ruthvela, który mówił mi, że widok ten był tak deprymujący, że jakiś czas słuchał, zupełnie nie mogąc zrozumieć, czego to zjawisko żąda od niego. Mówiło głosem ostrym, ponurym i Archibald powoli zaczął się domyślać, że rzecz dotyczy sprawy „Patny". Mówił, że gdy tylko zrozumiał, kto przed nim stoi, źle mu się zrobiło, ale prędko opanował się i krzyknął:

– Dość! Nie mogę tego słuchać. Proszę iść do kapitana portu. Ja nie mogę pana wysłuchać. Kapitan Elliot to właśnie człowiek, którego pan potrzebuje. Tędy, tędy.

Skoczył, przebiegł wzdłuż pokoju, pokazywał, ciągnął; tamten zdziwiony, lecz posłuszny z początku, ulegał mu, ale przy drzwiach prywatnego gabinetu jakiś instynkt zwierzęcy rzucił go w tył i zaczął sapać jak przestraszony byk.

– No, no, o co chodzi? Puść mnie pan! Co jest?

Archibald, nie słuchając, otworzył szeroko drzwi.

– Właściciel „Patny"! – krzyknął. – Wejdź, kapitanie.

Widział, jak zajęty pisaniem starzec tak gwałtownie podniósł głowę, iż spadły mu okulary z nosa; zatrzasnął drzwi i pobiegł do biurka, gdzie rozmaite papiery czekały na jego podpis; ale mówił, że hałas w sąsiednim pokoju był tak straszny, że nie mógł dostatecznie skupić myśli, by przesylabizować własne nazwisko. Archibald jest najwrażliwszym dyrektorem na obu półkulach. Oświadczył, iż zdawało mu się, że rzucił człowieka w paszczę zgłodniałego lwa. Hałas był wielki, to nie ulega wątpliwości. Słyszałem go na dole i miałem pewne dane, by sądzić, że rozchodził się po całej esplanadzie. Stary papcio Elliot miał ogromny zapas

słów i umiał krzyczeć i nic go nie obchodziło, na kogo krzyczy. Krzyczałby na samego wicekróla. Miał zwyczaj powtarzać:

– Doszedłem tak wysoko, jak tylko mogłem, pensję mam zapewnioną. Odłożyłem sobie małą sumkę, a jeżeli nie podoba im się moje pojęcie o obowiązkach, mogę sobie równie dobrze pójść do domu. Jestem starym człowiekiem i zawsze mówiłem, co myślę. Dbam tylko o jedną rzecz, chcę, by moje córki wyszły za mąż, zanim umrę.

Miał małego bzika na tym punkcie. Trzy jego córki były bardzo przystojne, chociaż zadziwiająco do niego podobne, a gdy z rana zbudził się czarno widząc ich matrymonialną przyszłość, całe biuro czytało to w jego oczach i drżało, gdyż, jak mówili, z pewnością kogoś pożre na śniadanie. Ranka tego nie zjadł renegata, ale, jeżeli mogę wyrazić się metaforycznie, przeżuł go na drobne kawałeczki i – a! wypluł go z powrotem.

Za chwilę więc ujrzałem monstrualny brzuch schodzący pośpiesznie z góry i zatrzymujący się o parę kroków przede mną. Potwór zatrzymał się widocznie dla namysłu; jego wielkie purpurowe policzki drżały. Gryzł swój kciuk, a po chwili, ujrzawszy mnie, rzucił długie spojrzenie z ukosa. Trzej jego towarzysze stworzyli małą grupę i zatrzymali się w pewnym oddaleniu. Był tam mały mężczyzna o żółtej cerze, z ręką na temblaku i jakaś długa osobistość w ubraniu z niebieskiej flaneli, sucha jak szczapa, z obwisłymi siwymi wąsami, oglądająca się wokoło z wyrazem ogłupienia. Trzecim był prosto się trzymający, szeroki w plecach młodzieniec z rękami w kieszeniach; odwrócił się tyłem od swych towarzyszy rozmawiających z wielkim ożywieniem. Patrzył na pustą esplanadę. Jakiś trzęsący się wózek stanął naprzeciw tej grupy i woźnica, zakładając prawą nogę na kolano, oddał się krytycznemu oglądaniu swych palców. Młodzieniec, nie ruszając

się, nie podnosząc nawet głowy, patrzył w przestrzeń zalaną słońcem. W takich okolicznościach pierwszy raz ujrzałem Jima. Wyglądał tak obojętnie i niedostępnie, jak tylko młodzi mogą wyglądać. Stał tam w czystym ubraniu i o jasnej twarzy, mocno trzymając się na nogach, słońce nigdy nie świeciło chyba jeszcze nad bardziej obiecującym chłopcem; a patrząc na niego, wiedząc wszystko, co on wie i trochę więcej jeszcze, byłem tak zły, jak gdybym odkrył, że chce on coś wydrzeć ze mnie przy pomocy rozmaitych wykrętów. Jak on może wyglądać tak krzepko i zdrowo? Pomyślałem sobie: no, jeżeli tego rodzaju człowiek może tak się zhańbić... czułem, że mógłbym zerwać kapelusz z głowy i deptać po nim z serdecznego zmartwienia – widziałem, jak robił to pewien Włoch, właściciel barki, gdy idiota majtek nie umiał sobie poradzić z kotwicą, zarzucając ją w przystani napełnionej okrętami. Widząc go tak spokojnym i pewnym siebie, zadawałem sobie pytanie: czy on głupi – czy też zatwardziały? Zdawało się, że za chwilę zacznie gwizdać wesołą piosenkę. A zwróćcie tylko uwagę, że nic a nic nie interesowało mnie zachowanie się tamtych. A przecież osobistości te były przedmiotem gawęd publicznych i miały stanąć teraz przed sądem.

– Ten stary wariat, łotr, nazwał mnie psem! – rzekł kapitał „Patny".

Nie wiem, czy on mnie poznał – przypuszczam, że tak – w każdym razie nasze spojrzenia się spotkały. Wytrzeszczył oczy, a ja uśmiechnąłem się; pies był to najłagodniejszy epitet z tych, które doszły moich uszu przez otwarte okna.

– Doprawdy? – spytałem wskutek dziwnej niezdolności utrzymania języka za zębami.

Skinął głową, gryzł znów kciuk i przeklinał; nagle podniósł głowę i patrząc na mnie z ponurą i bezczelną pasją – zawołał:

– Ba! Ocean Spokojny wielki jest, przyjacielu! Wy, przeklęci Anglicy, możecie sobie robić, co wam się podoba; ja wiem, gdzie się zawsze znajdzie miejsce dla takiego jak ja człowieka; znają mnie dobrze w Apia, w Honolulu, w...

Zatrzymał się, namyślając, a ja bez wielkiego wysiłku mogłem sobie wyobrazić gatunek ludzi, którzy go dobrze znali w tamtych okolicach. Nie chcę robić z tego tajemnicy, że sam znałem niejeden podobny okaz. Są takie chwile, że człowiek musi postępować tak, jak gdyby mu słodko było w każdym towarzystwie. Przeżyłem i takie chwile, a co więcej, nie będę udawał, że bolałem nad tą koniecznością, gdyż wielu osobników z tego złego towarzystwa pozbawionego moralności – co mówię, moralnych póz – było dwa razy bardziej ciekawych i dwadzieścia razy zabawniejszych od zwykłego szanowanego złodzieja, którego wy wszyscy sadzacie przy stole bez rzeczywistej konieczności, z przyzwyczajenia, tchórzostwa, z dobroci serca, z tysiąca niezrozumiałych lub niskich powodów.

– Wy, Anglicy, jesteście wszyscy łajdakami – mówił australijski patriota z Flensburga czy Szczecina. Nie mogę sobie przypomnieć teraz, jaki przyzwoity port na wybrzeżu Bałtyku był gniazdem tego rzadkiego ptaka. – Kto wy jesteście, żeby wrzask podnosić? Co? Powiedzcie mi. Nie jesteście lepszym od innych narodem, a tamten, stary łajdak, śmiał mi wymyślać.

Grube jego cielsko drżało na nogach, zdających się być słupami; drżał cały od stóp do głów.

– Wy, Anglicy, to tylko potraficie: wrzask podnosicie dla najmniejszej rzeczy, dlatego, że nie urodziłem się w waszym przeklętym kraju. Odebrać moje świadectwa! A bierzcie je! Nie potrzebuję świadectw. Człowiek taki jak ja nie potrzebuje waszych verfluchte świadectw. Pluję na nie! – Plunął. – Zostanę obywatelem

amerykańskim – krzyczał tupiąc, przestępując z nogi na nogę, jak gdyby chciał uwolnić się od niewidzialnej a tajemniczej siły, niepozwalającej mu odejść z tego miejsca. Tak się przy tym rozgorączkował, że szczyt jego okrągłej głowy parował.

Mnie trzymała na miejscu siła nietajemnicza: ciekawość jest najsilniejszym uczuciem i to ona nie dawała mi odejść; chciałem zobaczyć, jakie wrażenie wywoła to wszystko na młodym chłopcu, który stał z rękami w kieszeniach, odwrócony plecami i patrzył poprzez gazony esplanady na żółty portyk hotelu Malabar, z miną człowieka wybierającego się na spacer, gdy tylko przyjaciel jego będzie gotów. Taką miał minę i było to wstrętne. Czekałem, by go ujrzeć zgnębionego, zmieszanego, przeszytego na wskroś, wijącego się jak ćma na szpilce, a zarazem bałem się to zobaczyć, jeżeli rozumiecie moją myśl. Nic okropniejszego, niż patrzeć na człowieka, który był schwytany nie na zbrodni, ale na gorszej niż zbrodnia słabości. Zwykły hart ducha nie pozwala nam stać się zbrodniarzami w rzeczywistym słowa tego znaczeniu; żaden z nas nie może się jednak zabezpieczyć przed nieznaną słabością, może podejrzewaną tylko, jak w niektórych częściach świata podejrzewacie, że pod każdym krzakiem kryje się zdradliwy wąż – słabości ukrytej, świadomej lub nieświadomej, pogardzanej, powściąganej lub nieznanej przez większą część życia. Jesteśmy pchani do czynów, za które spadają na nas przekleństwa, do czynów, za które wieszają nas, a duch może to wszystko przeżyć, przeżyć wydany wyrok, przeżyć stryczek, na Jowisza! A są rzeczy, wydające się czasami małymi, przez które niejeden z nas zostaje całkowicie, zupełnie zgubiony. Patrzyłem na tego młodzieńca: podobał mi się jego wygląd; znałem takich ludzi; pochodził z porządnego środowiska, był jednym z nas. Wyszedł on z gromady tych kobiet i mężczyzn, może ani zabawnych, ani inteligentnych, ale których istnienie

oparte jest na uczciwej wierze i na odwadze. Nie mówię tu o wojskowej czy cywilnej odwadze ani o żadnym rodzaju zwykłej odwagi. Mam na myśli tę wrodzoną zdolność patrzenia prosto w oczy pokusom, tę nieocenioną siłę oporu, tę nieobmyśloną a błogosławioną sztywność wobec wewnętrznej czy zewnętrznej zgrozy, wobec potęgi natury i zwodniczego zepsucia ludzi, podpartą niewzruszoną wiarą wobec siły faktów, zarazy złego przykładu, podszeptów idei. Do diabła z ideami! To są włóczędzy, żebracy dobijający się do tylnych drzwi naszych umysłów; każdy zabiera odrobinę twej substancji, unosi odrobinę tej wiary w kilka prostych pojęć, których musisz trzymać się ze wszystkich sił, jeżeli chcesz żyć przyzwoicie i zakończyć życie spokojnie!

Nie ma to nic wspólnego z Jimem, tyle że zewnętrznie wyglądał, jakby należał do tego rodzaju ludzi dobrych, głupich, jakich chętnie widzimy obok siebie w życiu, typu osób nietarganych wybrykami inteligencji lub zboczeniami, powiedzmy, nerwów. Był to gatunek człowieka, któremu oddałbyś w opiekę cały okręt, mówiąc w przenośni i wyrażając się fachowo zarazem. Mówię, że ja bym tak zrobił, a powinienem się na tym znać. Czy to mało miałem do czynienia z młokosami w swoim czasie, mało to przyuczałem do związanych z morzem obowiązków, których cały sekret może być wyrażony jedną krótką sentencją, a jednak musi być co dnia wpychany w młodą głowę, póki nie stanie się częścią składową każdej budzącej się myśli, póki nie stanie się obecny w każdym młodzieńczym ich śnie! Morze było dla mnie dobre; ale gdy wspomnę sobie tych wszystkich chłopców, co przeszli przez moje ręce – jedni wyrośli już, drudzy leżą na dnie morza, ale dobry był z nich wszystkich materiał – nie sądzę, żeby moja praca poszła na marne. Gdybym jutro wrócił do domu, założę się, że zanim dwa dni upłyną, na pierwszym lepszym doku natknę się na jakiegoś

ogorzałego od wiatru morskiego pomocnika kapitana, który na mój widok zawoła: „Czy pan mnie poznaje? Nie! Jestem taki i taki. Byłem na takim i takim okręcie. To była moja pierwsza podróż”. A ja przypomnę sobie małego smyka nie wyższego od tego krzesła, jego matkę i siostrę, jak stały spokojnie na wybrzeżu zbyt wzruszone, by powiewać chustkami na widok oddalającego się powoli okrętu; albo może ojca w średnich latach, który przybył wcześnie, by widzieć, jak syn jego odjeżdża i został cały ranek, bo go wszystko interesowało, został zbyt długo i musiał zmykać na wybrzeże, nie mając już czasu na pożegnanie? Retman krzyczy przeciągle: „Kapitanie – zatrzymaj linę na chwilę – jakiś pan chce się dostać na brzeg... No, już! O mało nie pojechałeś pan do Talcahuano, co? A teraz, jazda dalej!” Kurzy się z komina, jakby się w piekle paliło, a statek płynie, rozbijając na pianę spokojne wody; jegomość na wybrzeżu otrzepuje z piasku kolana, poczciwy majtek wyrzucił za nim jego parasol. Wszystko w porządku. Złożył cząstkę swej ofiary morzu i teraz może iść do domu, udając, że nic go to nie obchodzi; a mały marynarz, zanim na nowo słońce zejdzie, dowie się, co to jest choroba morska. Powoli dowie się o wszystkich małych tajemnicach swego rzemiosła i o jednej największej, a wówczas będzie potrafił żyć lub umierać, zależnie od tego, jaki wyrok morze na niego wyda; a człowiek, który do tego rękę przyłożył, będzie się cieszyć, gdy go taka młoda ciężka dłoń uderzy po ramieniu, a wesoły donośny głos zawoła: „Czy pan mnie pamięta? Mały ten i ten!”.

Mówię wam, że to bardzo przyjemna chwila; ona jest dowodem, że przynajmniej raz w życiu udało wam się coś zrobić. Bywałem tak poklepany i nieraz skrzywiłem się, gdyż uderzenie to było ciężkie, ale promieniałem dzień cały i jeszcze kładąc się do łóżka, czułem się mniej samotny na świecie dzięki temu serdecznemu powitaniu.

Czyż ja nie pamiętam tych smyków? Mówię wam, ja muszę się znać na przyzwoitym wyglądzie. Powierzyłbym pieczę nad okrętem temu młokosowi na mocy jednego spojrzenia i spałbym jak zabity, ale, na Jowisza, czy by to było zupełnie bezpieczne? W tej myśli mieści się cała przepaść okropności. Wyglądał jak szczere złoto, ale była jakaś piekielna domieszka w metalu, z jakiego był zrobiony. Ile tego było? Jedna kropla czegoś niezwykłego a feralnego; ostatnia kropla! A swoją drogą, gdy stał tak z miną obojętną, przychodziło mi na myśl, że w istocie ma wartość nie wyższą niż zwykła miedź.

Nie mogłem w to uwierzyć! Mówię wam, że pragnąłem zobaczyć, jak wić się będzie w obronie honoru swego zawodu. Tamci dwaj, ujrzawszy kapitana, powoli zaczęli zbliżać się ku nam. Rozmawiali idąc, ale ja nie zwracałem na nich uwagi, jak gdyby oko moje nie mogło ich dostrzec. Wykrzywiali się do siebie, puszczając jakieś żarciki, czy ja wiem? Spostrzegłem tylko, że jeden ma złamaną rękę; drugi, o siwych wąsach, był głównym maszynistą, osobistością pod wielu względami wybitną i znaną z najgorszej strony. Dla mnie byli niczym. Zbliżyli się. Kapitan patrzył na swe nogi: zdawał się być spuchnięty do niemożliwych rozmiarów wskutek jakiejś strasznej choroby lub działania tajemniczej a nieznanej trucizny. Podniósł głowę, ujrzał tych dwóch stojących przed nim, otworzył usta z nadzwyczajnym wykrzywieniem wydętych policzków, chcąc do nich przemówić, jak sądzę – i nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl. Grube purpurowe wargi zamknęły się, nie wydawszy głosu, poszedł pewnym krokiem do powoziku i z taką brutalną niecierpliwością zaczął szarpać jego drzwiczki, iż byłem przekonany, że wszystko się na niego przewróci: powozik, konik i woźnica. Ten ostatni, zbudzony z zamyślenia nad swą piętą, zaczął natychmiast zdradzać objawy natężonego strachu, schwycił się rękami za kozioł i patrzył na tego potwora pakującego

się do wózka. Powozik trząsł się gwałtownie, a purpurowy kark, szerokość bioder, olbrzymi ciężar pleców przykrytych pasiastą flanelą, cały wysiłek ohydnej masy działał na zmysły jak coś śmiesznego i okropnego zarazem, jak wizje męczące w gorączce. Znikł. Myślałem, że buda powoziku pęknie na dwoje, a sam wózek rozpadnie się jak dojrzały strączek, ale on tylko ugiął się ze zgrzytem gniecionych resorów i nagle opadła jedna z firanek. Ukazały się ramiona w ciasnym otworze; wysunęła się głowa, wielka, trzęsąca się jak balon, spocona, wściekła, wrzeszcząca. Szturchnął woźnicę pięścią czerwoną jak kawał surowego mięsa. Krzyczał, by ruszać jak najprędzej. Dokąd? Do Oceanu Spokojnego może. Woźnica śmignął biczem; konik chrapnął, stanął dęba i puścił się galopem. Dokąd? Do Apia? do Honolulu? Miał 6000 mil podzwrotnikowego pasa, gdzie mógł się zabawiać, lecz ja nie dosłyszałem dokładnego adresu. Prychający konik uniósł go w mgnieniu oka i nigdy go więcej nie widziałem, a co więcej, nie znam takiego, co by go widział po tym zniknięciu z moich oczu w powoziku, który pomknął na zakręcie w tumanie białego kurzu. Odjechał, znikł, rozpłynął się, zapadł się pod ziemię i dziwnym sposobem zdawało się, że zabrał z sobą powozik, gdyż nigdy później nie natknąłem się na kasztanowatego konika z przeciętym uchem i biednego woźnicę z chorą nogą. Ocean Spokojny jest rzeczywiście wielki; ale czy kapitan „Patny" gdziekolwiek znalazł miejsce do rozwoju swych talentów, czy nie, faktem jest, że znikł w przestrzeni jak czarownica na miotle. Młody chłopiec z ręką na temblaku rzucił się za powozikiem, wrzeszcząc: „Kapitanie! Słuchaj! Słu-u-chaj!" – ale po chwili stanął, spuścił głowę i wracał powoli. Na zgrzyt kół młodzieniec odwrócił się, stojąc na miejscu. Nie poruszył się więcej, nie dał żadnego znaku, patrzył tylko w nowym kierunku, gdzie powozik znikł z oczu.

Wszystko to trwało znacznie krócej niż moje opowiadanie, gdyż usiłuję wytłumaczyć wam słowami momentalne wrażenia wzrokowe. Za chwilę ukazał się na scenie urzędnik, Metys, wysłany przez Archibalda, żeby zobaczył, co się dzieje z biednymi rozbitkami z „Patny". Wyleciał z gołą głową, rzucał okiem na prawo i lewo, przejęty swoją misją. Przeznaczenie chciało, że co do głównej osobistości usiłowania jego musiały być daremne, ale zbliżył się do pozostałych z krzykliwą pewnością siebie; został jednak prawie natychmiast wciągnięty do gwałtownej sprzeczki z chłopcem mającym rękę na temblaku. On nie myśli czekać na rozkazy. On wcale się nie boi takiego franta z polewanym nosem, jego pogróżki tyle go obchodzą, co zeszłoroczny śnieg! Wrzeszczał, że chce, pragnie i musi iść do łóżka. „Gdybyś nie był spodlonym Portugalczykiem – słyszałem jak wrzeszczał – wiedziałbyś, że szpital jest dla mnie najodpowiedniejszym miejscem pobytu!" Podsunął pięść swej zdrowej ręki pod nos tamtego; tłum zaczął się zbierać; metys pomieszany robił, co mógł, by zachować swą godność, usiłował wyjaśnić swoje zamiary. Odszedłem, nie czekając na koniec sprawy.

Ale zdarzyło się, że miałem znajomego w szpitalu i poszedłem odwiedzić go na dzień przed rozpoczęciem rozprawy sądowej i ujrzałem tego chłopaka leżącego na łóżku z ręką ujętą w łupki na oddziale dla białych. Ku wielkiemu memu zdziwieniu i tamta druga osobistość z obwisłymi wąsami znalazła się tutaj również. Przypominam sobie, że widziałem go, jak w czasie sprzeczki usiłował zręcznie zniknąć i nie okazać swego przerażenia. Okazało się, że nie jest obcy na tym wybrzeżu, gdyż w tej chwili niebezpieczeństwa znalazł schronienie w winiarni Marianiego położonej niedaleko bazaru. Znany włóczęga, Mariani, znał tego ptaszka i w rozmaitych okolicach świata brał udział w jego przeróżnych sprawkach, teraz więc skłonił się do ziemi, że tak

powiem, na jego widok i zamknął go z zapasem butelek w głównej salce swej ohydnej dziury. Okazało się, że chuda osobistość miała niejasne obawy co do swego bezpieczeństwa i pragnęła skryć się. Wiele później ten sam Mariani (gdy przyszedł na pokład domagać się od jednego z mych ludzi zapłaty za jakieś cygara) opowiadał mi, że zrobiłby dla niego daleko więcej, nie pytając o nic przez wdzięczność za jakieś szatańskie przysługi oddane mu przed laty, ale bliższych wyjaśnień otrzymać nie mogłem. Uderzył się dwa razy w ciemną pierś, przewracał olbrzymimi gałkami ocznymi błyszczącymi od łez i wołał: „Antonio nigdy nie zapomina! Antonio nigdy nie zapomina!" Nie udało mi się nigdy dowiedzieć, jakiego rodzaju niemoralność cechowała tę wyświadczoną mu przysługę; w każdym razie mógł za to siedzieć sobie teraz pod kluczem, mając materac w kącie, stolik i krzesło i podtrzymując się na duchu środkami podniecającymi, będącymi w posiadaniu Marianiego. Trwało to aż do wieczora dnia trzeciego, gdy wydawszy kilka przeraźliwych okrzyków, był zmuszony salwować się ucieczką z powodu napastujących go owadów – stonóg. Wybił drzwi, jednym susem przebył małe brudne schodki, spadł na wystający brzuch Marianiego, podniósł się i jak ścigany królik wyleciał na ulicę. Z rana policja podniosła go z jakiejś kupy gałganów. Z początku wydało mu się, że go chcą poprowadzić na szubienicę, więc walczył jak bohater, chcąc się wyrwać z ich rąk, ale gdy znalazłem się przy jego łóżku, był już od dwóch dni zupełnie spokojny. Długa, ciemna jego głowa z białymi wąsami ładnie odbijała się na tle poduszek, jak głowa żołnierza steranego trudami wojennymi; jego dusza wyzierająca z tego spokoju mogłaby się zdawać duszą dziecka, gdyby nie cień strachu przebłyskujący w jego źrenicach, jakby trwoga, przybrawszy nieopisany kształt, pełzała w milczeniu za ciemną szybą. Był tak nadzwyczajnie spokojny,

iż zacząłem nabierać nadziei, iż usłyszę od niego jakieś wyjaśnienia tej głośnej sprawy z jego punktu widzenia. Dlaczego pragnąłem grzebać się w smutnych szczegółach wypadku, który obchodził mnie tylko jako członka pewnej trudnej do zdefiniowania grupy ludzi, których łączy tylko wspólnota nienagrodzonego trudu i wierność wobec określonego sposobu postępowania – wytłumaczyć nie umiem. Możecie to nazwać niezdrową ciekawością, jeżeli chcecie; ale ja mam niejasne poczucie, że chciałem coś zbadać. Może nieświadomie miałem nadzieję, że znajdę to coś, jakąś głęboką, odkupiającą przyczynę, jakieś wyjaśnienie, jakiś przekonywający cień usprawiedliwienia. Teraz widzę doskonale, że spodziewałem się niemożliwości, uspokojenia tego, co jest najoporniejszym duchem w człowieku, tego niepokojącego podejrzenia, wątpliwości podnoszącej się jak tajemnicza mgła, toczącej jak robak, a bardziej mrożącej niż pewność śmierci – wątpliwości co do istnienia siły suwerennie władającej ustalonymi zasadami naszego postępowania. Potknąć się tutaj, to rzecz najcięższa; z tego zwątpienia rodzi się skowyt paniki i małe, spokojne podłostki; to jest istotny cień nieszczęścia, klęski. Czy ja wierzyłem w cuda i dlaczego pragnąłem ich tak gorąco? Czy to dla mego własnego dobra chciałem znaleźć cień usprawiedliwienia dla tego młodego chłopca, któregom nigdy przedtem nie widział, ale którego sam wygląd dodał jakiegoś osobistego interesu do myśli zbudzonych wiadomością o jego słabości, zaniepokoił i przestraszył jak ostrzeżenie przed zgubnym losem czyhającym na nas wszystkich, których młodość swego czasu podobna była do jego młodości? Zdaje mi się, że taka była tajemnicza pobudka mych pragnień. Nie ma wątpliwości, że oczekiwałem cudu. Jedyna rzecz, która mnie teraz po takim czasie uderza jako nadzwyczajna, to bezmiar mej głupoty. Doprawdy, miałem nadzieję usłyszeć od tego

wynędzniałego, poturbowanego chorego zaklęcie rozpraszające widmo zwątpienia. Musiałem być w rozpaczliwym nastroju ducha, kiedy nie tracąc czasu, po kilku obojętnych i przyjacielskich sentencjach, na które odpowiedział chętnie, jakby to zrobił każdy przyzwoity chory, rzuciłem wyraz „«Patna»" spowity w delikatne pytanie jak w miękki jedwab. Byłem tak delikatny z pobudek egoistycznych – nie chciałem go przerazić – a nie przez troskliwość o niego; nie czułem gniewu, ani żalu, jego losy nic mnie nie obchodziły, nie szło mi o jego zbawienie. Zestarzał się dopuszczając się małych występków, nie mógł wzbudzać już ani obrzydzenia, ani litości. Powtórzył „«Patna»" pytająco, zdawał się natężać uwagę i rzekł:

– Ach, tak! Stary wyga ze mnie, ja się na tym znam. Widziałem, jak tonęła.

Chciałem okazać oburzenie, słysząc takie kłamstwo, ale on dodał łagodnym tonem:

– Pełna była gadów!

To kazało mi zamilknąć. O czym on mówi? Niepewne widmo strachu w głębi szklistych źrenic stanęło i patrzyło na mnie bacznie.

– Wyrzucili mnie z mego barłogu w połowie nocy, abym patrzył, jak tonęła – mówił, jakby się namyślał.

Nagle głos jego nabrał przeraźliwej siły. Żałowałem, że byłem tak nieostrożny. Nigdzie nie widziałem białego czepka dozorczyni, tylko tam dalej, w rzędzie pustych żelaznych łóżek siedział jakiś chory na łóżku, czarny, wychudzony, z białym bandażem, siedzącym na głowie na bakier. Nagle mój interesujący chory wyciągnął rękę z palcami zakrzywionymi jak szpony i chwycił mnie za ramię.

– Tylko moje oczy dojrzeć to mogły. Sławny jestem z powodu mego wzroku. Dlatego też zapewne mnie zawołali. Żadnemu z nich nie udało się zobaczyć, jak tonęła, ale rozumieli, że tonęła – ot tak

sobie... – Zawył jak wilk, a ten głos przeniknął do najskrytszych zakątków mojej duszy.

– O! Każ mu być cicho! – jęknął z rozdrażnieniem drugi chory.

– Nie wierzysz mi pan, przypuszczam – odezwał się znowu mój chory z wyrazem przechwałki i zarozumiałości. – Mówię panu, że nie ma takich drugich oczu jak moje. Spojrzyj pod łóżko.

Rozumie się, że natychmiast pochyliłem się; przekonany jestem, że każdy by to zrobił.

– Co tam pan widzisz? – spytał.

– Nic – odparłem, wstydząc się strasznie samego siebie.

Patrzył na mnie z wyrazem dzikiej, głębokiej pogardy.

– Rozumie się – rzekł – ale gdybym ja tam zajrzał – widziałbym – nie ma takich oczu jak moje, już ja to panu mówię. – Znów schwycił me ramię, ciągnął w dół, chcąc ulżyć sobie poufnym zwierzeniem. – Miliony różowych żab! Nie ma takich oczu jak moje. Miliony różowych ropuch! To gorzej niż patrzeć na tonący okręt. Mógłbym patrzeć na tonący okręt cały dzień i palić fajkę. Dlaczego nie oddają mi mojej fajki? Paliłbym sobie, pilnując tych ropuch. Okręt przepełniony był nimi. Trzeba było je pilnować, pan rozumie!

Mrugnął okiem figlarnie. Z mojej głowy pot kroplami spadał na niego, mundur przylgnął mi do mokrych pleców; popołudniowy wietrzyk wdzierał się przez otwarte okna, ciężkie fałdy firanek poruszały się na metalowych kijach, kapy pustych łóżek powiewały wzdłuż całej linii, a ja drżałem zziębnięty do szpiku kości. Łagodny wiatr podzwrotnikowy igrał sobie w tej nagiej sali szpitalnej jak wiatr zimowy w starej, pustej stodole u nas.

– Niech pan mu nie daje wpadać w pasję – krzyczał z daleka rozpaczliwie gniewny głos, który, obijając się o mury, robił wrażenie głosu dobywającego się z tunelu.

Palce jak szpony wpijały się w moje ramię: spoglądał na mnie spod oka porozumiewawczo.

– Okręt przepełniony był nimi, wie pan, a my musieliśmy uciekać skrycie – szepnął nadzwyczaj pośpiesznie. – Wszystkie różowe, wielkie jak brytany, z okiem na szczycie głowy i pazurami naokoło wstrętnych paszcz. Och! O-o-ch!

Szybkie rzuty wywołane jakby galwanicznym prądem, uwydatniały pod cienką kołdrą zarysy chudych, ruchliwych nóg; puścił moje ramię i chwytał coś w powietrzu; ciało jego drgało przeciągle jak rozluźniona struna harfy, a gdy spojrzałem w dół, straszna groza przedarła się przez szkliste jego spojrzenie. Natychmiast twarz starego żołnierza o szlachetnych, spokojnych zarysach znikła sprzed moich oczu zepsuta wyrazem podstępnej chytrości, wstrętnej obawy i rozpaczliwej zgrozy. Powstrzymał krzyk.

– Szaa! Co one tam robią teraz na dole? – spytał – wskazując na podłogę z dziwaczną ostrożnością w głosie i geście, a znaczenie tego było dla mnie jasne.

– Wszystkie śpią – odparłem – patrząc na niego badawczo.

Tak, to chciał usłyszeć; to były właściwe słowa, mogące go uspokoić. Odetchnął głęboko.

– Szaa! Cicho, spokojnie! Stary wyga ze mnie. Znam te bestie. Roztrzaskaj głowę pierwszej, która się poruszy. Za dużo ich tu jest, a okręt zaledwie dziesięć minut utrzymać się jeszcze może! – Rzucił się znów. – Śpiesz się – wrzasnął nagle i już krzyczał jednym głosem. – Zbudziły się wszystkie! Miliony ich! Depczą po mnie! Czekaj! O! Czekaj! Zgniotę je na miazgę jak muchy! Czekajcie na mnie! Pomocy! Ra-a-tun-ku!

Przeciągłe wycie dopełniło miary mego niepowodzenia. Widziałem, jak drugi chory rozpaczliwym ruchem podniósł obie

ręce do obandażowanej głowy; felczer z fartuchem zawiązanym aż pod brodę ukazał się w perspektywie, zdawało mi się, że patrzę na niego wąskim końcem teleskopu. Wyznaję, że sam byłem zbity z tropu i bez dalszych ceregieli uciekłem na zewnętrzną galerię przez jedno z długich okien. Wycie ścigało mnie jak zemsta. Zawróciłem na puste schody i nagle otoczyły mnie cisza i spokój; idąc powoli i w milczeniu, mogłem zebrać myśli. Na dole spotkałem miejscowego chirurga, który mnie zatrzymał.

– Odwiedzałeś swego chorego, kapitanie? Zdaje mi się, że go jutro rano można będzie uwolnić. Chociaż ci idioci nie mają żadnego pojęcia, jak trzeba zachować się po chorobie. A wie pan, mamy tu głównego maszynistę z tego okrętu z pielgrzymami. To ciekawy wypadek. Delirium tremens najgorszego rodzaju. Pił przez trzy dni w tym szynku Greka czy Włocha. Więc czegóż można się spodziewać? Cztery butelki dziennie najmocniejszej wódki – mówiono mi. Jeżeli to prawda, to tylko dziwić się trzeba, że wytrzymał. To jakby łykał roztopione żelazo. Że mu się w mózgu pomieszało, to się rozumie, ale to dziwne, że w jego bredzeniu jest pewna metoda. Próbuję ją zbadać. Logiczna nić w takim delirium – to rzecz niezwykła. Zgodnie z tradycją takich wypadków powinien widzieć węże, ale on ich nie widzi. Dobre stare tradycje wzięły teraz w łeb. Jego wizje należą do świata żab. Ha! Ha! Nie, doprawdy, nie przypominam sobie, by mnie kiedy wypadek białej gorączki tak interesował. On po takim traktamencie powinien był umrzeć, ale to twarda natura! A te dwadzieścia cztery lata podzwrotnikowego życia też znaczą niemało. Powinieneś pan, doprawdy, spojrzeć na niego. Szlachetnie wyglądający opój. Dziwniejszego człowieka nie spotkałem nigdy, z punktu widzenia medycznego rozumie się. Nie chce pan?

Przez cały ciąg jego przemowy okazywałem wielkie zainteresowanie się tym przedmiotem, grzeczność tego wymagała, ale teraz, przybierając wyraz żalu, szepnąłem coś o braku czasu i pospiesznie uścisnąłem jego rękę.

– On nie może być obecny na śledztwie! – krzyknął za mną. – Czy jego zeznanie jest niezbędne?

– Nie, wcale! – zawołałem już z bramy.

Rozdział VI

Władze najwidoczniej były tego samego zdania. Rozprawa sądowa nie została odłożona. Odbyła się w wyznaczonym dniu, tłumu na nim nie brakło zapewne dlatego, że w wypadku tym wchodziły w grę rozliczne odczucia ludzkie. Nie było żadnych wątpliwości co do faktów – przynajmniej co do jednego materialnego faktu. Jakim sposobem „Patna" została uszkodzona, nie sposób było się dowiedzieć; sąd nawet nie spodziewał się odkrycia tej tajemnicy, a w całym audytorium ani jeden człowiek nie interesował się tym. Jak już mówiłem, wszyscy marynarze znajdujący się w tym czasie w forcie byli obecni w sądzie, licznie reprezentowany był też cały handel nadmorski. Wiedzieli o tym czy nie, ciągnęło ich tu zainteresowanie czysto psychologicznej natury – oczekiwanie na wyjawienie całej siły, potęgi, całej okropności ludzkich wzruszeń. Rozumie się, że nic podobnego nie mogło zostać wyjawione. Przesłuchanie jedynego człowieka, który był w stanie i chciał poddać się śledztwu, obracało się bezużytecznie wokół dobrze znanego faktu i pytania rzucane w tej kwestii były równie pouczające jak stukanie młotkiem o żelazne pudełko, w którym mieści się poszukiwany przedmiot. Urzędowe badanie nie mogło być czym innym. Celem jego było nie zasadnicze „dlaczego", ale powierzchowne „jak" całej tej sprawy.

Ten młody człowiek mógłby dać istotne wyjaśnienie, ale chociaż ta właśnie rzecz interesowała całe audytorium, zadawane mu pytania odciągały go z konieczności od tego, co dla mnie na przykład byłoby jedyną prawdą godną poznania; ale czyż

możecie się spodziewać, by ukonstytuowane władze zbadały stan duszy ludzkiej – lub przynajmniej stan jego wątroby? Ich zadaniem było rozpatrywanie skutków i, mówiąc szczerze, urzędnik policyjny i asesorowie floty niezdatni są do niczego innego. Wcale nie twierdzę, że byli oni głupcami. Prezes sądu był bardzo cierpliwy. Jeden z asesorów był kapitanem żaglowca, miał rudą brodę i świętoszkowaty charakter. Drugi – był to Brierly. Wielki Brierly. Słyszeliście pewno o nim – o kapitanie najwytworniejszego okrętu linii Blue Star!

Zdawał się skrajnie znudzony honorem, jakiego dostąpił. Nigdy w swym życiu nie popełnił omyłki, nie miał żadnego wypadku, niepowodzenia, nie doświadczył żadnego wahania się w swojej karierze i był to jeden z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie znają uczucia niezdecydowania, a tym mniej niedowierzania sobie. Mając lat trzydzieści dwa, otrzymał najlepszą komendanturę i umiał to docenić. Nie było równej posady na całym świecie; gdybyście go przyparli do muru, ręczę, że wyznałby, iż w jego mniemaniu nie ma drugiego takiego komendanta. Wybór padł na odpowiedniego człowieka. Reszta ludzkości, niedowodząca szesnastowęzłowym stalowym parowcem Ossa, należała do rzędu marnych istot. Niejednemu uratował życie na morzu, szedł z pomocą zagrożonym okrętom, dostał złoty chronometr od towarzystwa asekuracyjnego i binokle z odpowiednim napisem od jakiegoś obcego państwa na pamiątkę oddanych usług. Był głęboko przekonany o swych zasługach i słuszności otrzymywanych nagród. Ja go dość lubiłem, chociaż wiem, że wielu moich znajomych, skądinąd łagodnych i poczciwych, zupełnie nie mogło go znieść. Nie miałem najmniejszej wątpliwości co do tego, że czuł wobec mnie wyższość – gdybyś był władcą Wschodu i Zachodu, nie mógłbyś nie odczuć niższości w jego obecności – ale ja nie odczuwałem żadnego rodzaju

obrazy. Nie pogardzał mną za coś, czemu mógłbym zapobiec, lecz za to, czym byłem. Stałem się jednostką niegodną uwagi dla tej prostej przyczyny, że nie byłem uprzywilejowaną osobistością – Montagiem Brierly, komendantem Ossy, właścicielem złotego chronometru i binokli oprawnych w srebro, świadczących o doskonałości mojej jako marynarza oraz o nieposkromionej odwadze; nie posiadałem tak jasnej świadomości moich zasług i doniosłości mych nagród obok uwielbienia i miłości nadzwyczajnego psa – gdyż nigdy taki człowiek nie był tak kochany przez takiego psa. Wszystko to były braki nie do naprawienia; ale gdy się zastanowiłem, że mój nieszczęsny los dzielą miliony istot ludzkich, uznałem, że mogę znieść przypadającą na mnie cząstkę jego pogardliwej litości przez wzgląd na coś nieokreślonego a pociągającego w tym człowieku. Nigdy nie zdołałem określić sobie tej atrakcyjności, ale były chwile, że mu jej zazdrościłem. Życie nie zostawiło na jego duszy śladu większego od drapnięcia szpilką po gładkiej powierzchni skały. To było godne zazdrości. Gdy patrzyłem na niego, gdy siedział obok skromnego, bladego urzędnika przewodniczącego śledztwu, jego zupełne zadowolenie z siebie przedstawiało dla mnie i całego świata powierzchnię twardą jak granit. Wkrótce potem odebrał sobie życie.

Nic dziwnego, że sprawa Jima nudziła go i gdy ja myślałem z czymś podobnym do strachu o bezmiarze jego pogardy dla przesłuchiwanego młodzieńca, on prawdopodobnie prowadził badanie swej wewnętrznej istoty. Werdykt w tej sprawie musiał być bezwarunkowo obwiniający, zaś to, jakie znalazł dowody, pozostanie tajemnicą, którą zabrał ze sobą, rzucając się do morza. Jeżeli znam się trochę na ludziach, była to sprawa pierwszorzędnej wagi, jedna z tych, które budzą drzemiące idee – powołują do życia pewne myśli, do których towarzystwa nieprzyzwyczajony człowiek

woli zakończyć życie. Wiem doskonale, że przyczyną samobójstwa nie były ani pieniądze, ani pijaństwo, ani kobieta. Rzucił się w morze w tydzień po skończonym śledztwie, trzeciego dnia po wypłynięciu z portu, jak gdyby w tym właśnie miejscu, w środku wód, ujrzał wrota tamtego świata otwierającego się na jego przyjęcie.

A jednak to nie był impuls jednej chwili. Jego osiwiały pomocnik, marynarz pierwszej wody, przyjemny dla obcych, ale w stosunku ze swym zwierzchnikiem najoprysklіwszy z ludzi – opowiadał mi tę historię ze łzami w oczach. Podobno, gdy przyszedł tego dnia na pokład, Brierly zajęty był pisaniem w kabinie kompasowej.

– Było dziesięć minut do czwartej – mówił – strażnicy nie zeszli jeszcze ze swego stanowiska. Usłyszał, że rozmawiam na pomoście z jednym z majtków i zawołał mnie. Ociągałem się z pójściem, to prawda, kapitanie Marlow – ja nie mogłem wytrzymać z kapitanem Brierly, mówię to panu ze wstydem; nigdy nie wiemy, z jakiej gliny człowiek jest ulepiony. Został wyniesiony ponad niejedną głowę, nie licząc mojej, i miał taki przeklęty sposób bycia, że czułeś się wobec niego mały, choćby nic innego prócz „dzień dobry" nie mówił. Zwracałem się do niego tylko w kwestiach odnoszących się do moich obowiązków, a i tak z trudnością utrzymywałem język za zębami i zachowywałem się przyzwoicie. – (Pochlebiał sobie. Często dziwiłem się, jak Brierly może znieść jego sposób bycia dłużej niż przez połowę podróży). – Mam żonę i dzieci – mówił dalej – służyłem dziesięć lat, oczekując wciąż jak głupiec jaki – komendantury. On wołał zawsze: „Proszę tu podejść, panie Jones" – tym swoim pyszałkowatym głosem – „Proszę tu podejść, panie Jones!" Poszedłem. „Sprawdzimy pozycję" – rzekł pochylając się nad kartą z narzędziem mierniczym w ręce. Zgodnie z przepisami oficer

pełniący obowiązki strażnika, schodząc z pozycji, powinien był to zrobić. W każdym razie nic nie odpowiedziałem i patrzyłem, jak oznaczał położenie okrętu małym krzyżykiem i zapisywał datę miesiąca i godzinę. Zdaje mi się, że go widzę, jak zapisuje: siedemnasty, czwarta rano. Rok wypisany czerwonym atramentem na górze. Mapa wystarczała kapitanowi Brierly tylko na rok. Mam ją teraz u siebie. Gdy skończył robotę, patrzył z uśmiechem na zapisane cyfry i nagle spojrzał na mnie. „Jeszcze tak przebędzie trzydzieści dwie mile – rzekł wówczas – wszystko będzie dobrze i możesz zmienić kierunek na dwadzieścia stopni więcej ku południowi!"

Właśnie mijaliśmy od północy Hector Bank. Odparłem: „Dobrze, panie kapitanie!", dziwiąc się, dlaczego zawraca mi tym głowę, kiedy przed zmianą kierunku będę musiał i tak zwrócić się do niego. Osiem razy zadzwoniono: wyszliśmy na pomost, oficer schodząc z placówki, ogłosił w zwykły sposób: „siedemdziesiąt jeden!" Kapitan Brierly spojrzał dookoła. Było jeszcze ciemno, a gwiazdy błyszczały tak jasno jak w mroźną noc w strefach północnych. Nagle rzekł z lekkim westchnieniem: „Idę na tył okrętu i ustawię za ciebie miernik na zerze, w ten sposób nie zajdzie już omyłka, trzydzieści dwie mile w tym kierunku i wówczas będziecie bezpieczni. Należy więc poprawić na sześć setnych, to znaczy trzydzieści na cyferblacie. Po co mamy tracić czas – prawda?" Nigdy nie słyszałem, aby tak długo rozmawiał o rzeczach w mym mniemaniu bezużytecznych. Milczałem. Zszedł po drabinie, a pies, towarzyszący mu zawsze i w dzień, i w nocy, szedł za nim, z nosem wysuniętym naprzód. Słyszałem stukot obcasów kapitana, gdy nagle się zatrzymał, mówiąc do psa: „wracaj Rover. Na pomost, piesku! No – dalej!" Następnie zawołał do mnie: „Zamknij tam psa, panie Jones, dobrze?".

Tak to po raz ostatni słyszałem jego głos, kapitanie Marlow. Takie były jego ostatnie słowa zwrócone do istoty ludzkiej, panie! – Tu głos starego zadrżał. – Widocznie bał się, że ta bestia skoczy za nim, rozumie pan? – ciągnął dalej z tłumionym łkaniem. – Tak, kapitanie Marlow, wszystko za mnie zrobił i – uwierzy pan? – nalał oliwy, gdzie trzeba było. Naczynie z oliwą stało tam, gdzie je zostawił. Jeden z majtków poszedł o pół do szóstej prać bieliznę na tyle okrętu, raptem rzucił wszystko i przybiegł na pomost. „Panie Jones, chodź pan" rzekł. „Tam jest dziwna rzecz, boję się tego dotknąć". Był to złoty chronometr kapitana Brierly powieszony starannie pod belką.

Jak tylko to zobaczyłem, coś mnie tknęło i wiedziałem już wszystko. Nogi się pode mną zachwiały. To tak, jak gdybym go widział, gdy padał; mogłem powiedzieć, jak daleko pozostał. Miernik wskazywał osiemnaście mil i trzy czwarte, a z głównego masztu wyrwano cztery żelazne gwoździe. Zapewne włożył je do kieszeni, by powiększyć ciężar, ale Boże, czymże mogły być te gwoździe dla takiego człowieka jak kapitan Brierly! Może jego zaufanie w siebie samego zachwiane zostało w ostatniej chwili. To chyba był jedyny taki wypadek w jego życiu; ale mogę przysiąc za niego, że gdy się raz znalazł w morzu, nie kiwnął palcem, by się wyratować, jak również, że miałby dość odwagi, by walczyć cały dzień, gdyby wypadł z okrętu przypadkiem. Tak, panie. Nikt mu nie dorównywał, sam to mówił, słyszałem kiedyś. W nocy napisał dwa listy: jeden do Towarzystwa, drugi do mnie. Dał mi mnóstwo wskazówek co do podróży – choć byłem już marynarzem, kiedy go jeszcze na świecie nie było – jak również niezliczone rady co do postępowania mego z naszymi ludźmi w Szanghaju, abym mógł pozostać komendantem Ossy. Pisał jak ojciec do ukochanego syna, kapitanie Marlow, a ja byłem od niego o dwadzieścia pięć lat

starszy i znałem smak morskiej wody, gdy on jeszcze koszulę w zębach nosił. W liście do właściciela – który pozostawił otwarty, widocznie abym go przeczytał – pisał, że zawsze spełniał swe obowiązki, aż do tej chwili – a nawet i teraz nie zdradza położonego w nim zaufania, gdyż powierza okręt pieczy najbardziej wytrawnego marynarza, jakiego tylko znaleźć można – myślał o mnie, o mnie, panie! Mówił im, że jeżeli przez swój ostatni czyn nie stracił zaufania, jakie mieli do niego, to ocenią moją wierną służbę i zwrócą uwagę na jego gorące polecenia, gdy pomyślą o jego następcy. I wiele jeszcze podobnych rzeczy. Oczom własnym nie wierzyłem. Zatrzęsło mną całym – opowiadał stary wyga z wielkim wzruszeniem, rozgniatając coś w kącie oka palcem szerokim jak łopata. – Czy myślisz pan, że jego skok dał sposobność nieszczęśliwemu człowiekowi do wydobycia się nareszcie na wierzch? Taka nagła śmierć wytrąciła mnie z równowagi na cały tydzień, a nadzieja, że stanę się kimś odbierała mi przytomność. Ale nie ma obawy. Na Ossę został przeniesiony kapitan Pelionu – wsiadł w Szanghaju na pokład, wyświeżony jak laleczka, w szarym garniturku, z włosami rozczesanymi na dwie strony. „O – jestem – a – waszym nowym kapitanem, panie – panie – Jones!" Tak był zlany jakimiś zapachami, że aż śmierdział, kapitanie Marlow. Śmiem twierdzić, że to spojrzenie, jakie mu rzuciłem, spowodowało, że się jąkał. Mruknął coś o moim zawodzie – i że lepiej, bym się od razu dowiedział, że jego pomocnik został kapitanem na Pelionie – ale on tu nic nie zawinił. A ja mu rzekłem: „Daj pan pokój staremu Jonesowi, do diabła z nim, on przywykł do tego". Od razu spostrzegłem, że uraziłem jego delikatne ucho i gdyśmy po raz pierwszy jedli razem śniadanie, w brzydki sposób czepiał się to tego, to owego. Takiego głosu nie słyszałem dawno. Zacisnąłem zęby, oczy wpiłem w jakiś punkt i trzymałem się, jak mogłem

najdłużej; ale w końcu coś mu odpowiedziałem; a on jak nie skoczy, jak nie machnie tymi pięknymi piórkami niby walczący kogut, jak nie krzyknie! „Przekonasz się, że masz do czynienia z kim innym, nie z nieboszczykiem kapitanem Brierly!" – „Przekonałem się" – odparłem ponuro, udając, że jestem bardzo zajęty krajaniem mięsa. „Jesteś starym łajdakiem, panie – a – Jones! Mało tego, znany jesteś z tego wśród załogi!" – rzucił mi w oczy. Przeklęty pomywacz stał obok i otwierał gębę od ucha do ucha, słuchając tych słów. „Może jestem twardą sztuką – odparłem – ale nie na tyle, by znieść pański widok na miejscu kapitana Brierly!" Mówiąc to, położyłem mój nóż i widelec. „Chciałbyś tu sam siedzieć – ot, jak wyłazi szydło z worka!" – szydził. Wyszedłem z jadalni, zebrałem manatki i znalazłem się na wybrzeżu z całym mym majątkiem. Tak. Na los szczęścia – rzucony na wybrzeże – po dziesięciu latach służby – sześćset mil od żony i czworga dzieci, które każdy kąsek chleba otrzymywały tylko z mojej pensji. Tak, panie! Wolałem to, niż słyszeć złe słowo o kapitanie Brierly. Zostawił mi te szklanki – oto są – i pragnął, bym się zaopiekował psem. Oto jest. – No, Rover, biedny piesku! Gdzie kapitan?

Pies spojrzał na nas smutnymi żółtymi oczyma, rozpaczliwie zawył i wgramolił się pod stół.

Wszystko to się działo ponad dwa lata później, na pokładzie starej landary „Tire Queen", nad którą pieczę powierzono Jonesowi zupełnie przypadkowo. Stary gadał dalej:

– Ach, panie, kapitan Brierly będzie wspominany tutaj, choćby na całym świecie o nim zapomniano. Napisałem szczegółowo do jego ojca i nie otrzymałem jednego słowa odpowiedzi – ani „dziękuję", ani „idź do diabła!" – nic! Może nie chcieli o tym słyszeć.

Widok starego Jonesa wycierającego spoconą, łysą głowę czerwoną chustką, smutne skomlenie psa, nędza tej pełnej much

kabiny będącej jedynym relikwiarzem wspomnień po zmarłym kapitanie Brierly, rzucało światło niewymownie lichego patosu na tę pamiętną postać; było ono jakby pośmiertną zemstą losu za jego wiarę we własną wspaniałość, która wyrzuciła z jego życia wszelkie niemiłe uczucia. Ale czy wszystkie! Kto wie, może i w swym samobójstwie znalazł coś dla siebie pochlebnego?

– Dlaczego on popełnił ten czyn gwałtowny, kapitanie Marlow – czy nie domyśla się pan? – pytał Jones, zaciskając dłonie. – Po co? Dlaczego? – Stuknął się po niskim, pomarszczonym czole. – Gdyby był stary, miał długi lub pomieszanie zmysłów! Ale on nie należał do tego rodzaju ludzi, co tracą zmysły! Możesz mi pan wierzyć. Wszak każdy pomocnik wie o swym kapitanie wszystko, co warto wiedzieć. Młody, bogaty, ze świetną pozycją... Siedzę tu czasami i myślę, myślę, aż w głowie mi się kręci. Ale musiała być jakaś przyczyna.

– Może być pan pewny, panie Jones – rzekłem – że było coś takiego, co ani mnie, ani panu spokoju by nie zakłóciło.

A wówczas, jak gdyby jakieś światło rozjaśniło jego otumaniony mózg, biedny stary Jones znalazł słowa o dziwnej głębi. Otarł nos i kiwając z ubolewaniem głową, rzekł:

– Oj! Oj! Żaden z nas, panie, nie myślał tak dobrze o sobie samym.

Wspomnienie ostatniej mej rozmowy z Brierlym zabarwione jest świadomością tego, jaki koniec wkrótce potem go spotkał. Rozmawiałem z nim po raz ostatni w trakcie trwania śledztwa. Było to po pierwszej przerwie, wyszliśmy razem na ulicę. Był w stanie podniecenia, rozdrażnienia, co mnie mocno zdziwiło, zwykle zachowywał najzupełniejszy chłód i raczył rozmawiać z odcieniem rozbawienia i pobłażliwości, jak gdyby egzystencja jego interlokutora była niezłym żartem.

– Złapali mnie do tej roboty, jak pan widzi – zaczął i narzekał na niedogodności codziennego stawiania się w sądzie. – A Bóg raczy wiedzieć, jak długo to potrwa. Trzy dni, przypuszczam! – Przysłuchiwałem się w milczeniu; był to moim zdaniem równie dobry jak każdy inny sposób trzymania jego strony. – I po co to? To najgłupsze wyjście, jakie można sobie wyobrazić – ciągnął dalej w uniesieniu. Zrobiłem uwagę, że tu nie było wolnego wyboru. Przerwał mi gwałtownie. – Cały czas czuję się jak głupiec. – Spojrzałem na niego. Bardzo daleko już to zaszło, skoro Brierly tak mówił o Brierlym. Stanął nagle, chwycił klapę mego surduta i z lekka pociągnął. – Po co dręczymy tego młodego chłopca? – spytał.

To pytanie tak harmonizowało z pewnymi mymi myślami, że mając w oczach postać tego ohydnego renegata – odparłem natychmiast:

– Powieś mnie pan, jeżeli wiem, chyba dlatego, że on pozwala wam na to.

Zdziwiłem się, widząc, że on się nie oburza na ten mój okrzyk, który powinien mu się wydać tajemniczy. Odparł gniewnie:

– No cóż, tak. Czyż on nie widzi, że ten jego przeklęty kapitan umknął? Na cóż on czeka? Nic go nie zdoła uratować. On jest zgubiony. – Szliśmy dalej w milczeniu. – Po co mamy się babrać w tym całym błocie? – krzyknął ze wschodnią energią, z jaką spotkać się można w okolicach pięćdziesiątego południka.

Zdumiewałem się kierunkiem jego myśli, ale teraz mocno podejrzewam, że to było zgodne z jego charakterem: w gruncie rzeczy biedny Brierly musiał myśleć o sobie. Wyjaśniłem mu, że kapitan „Patny” podobno sobie usłał wygodne gniazdko i zawsze i wszędzie będzie miał środki, by umknąć, gdy zajdzie tego potrzeba. Z Jimem rzecz się miała inaczej: rząd trzyma go

w pomieszczeniu przeznaczonym dla majtków, a on z pewnością nie ma grosza przy duszy. Ucieczka kosztuje.

– Doprawdy? Nie zawsze – zawołał, gorzko śmiejąc się, a na dalsze moje uwagi odparł – To pozwólcie mu zagrzebać się dwadzieścia stóp pod ziemią i pozostać tam! Na Boga! Ja bym to zrobił!

Nie wiem dlaczego, ale ton jego podrażnił mnie i rzekłem:

– To jest pewnego rodzaju odwaga, stawić temu czoło, jak on to zrobił; wszak on wie doskonale, że gdyby uciekł, nikt by nie zadał sobie fatygi, by go ścigać.

– Do diabła z taką odwagą! – wrzasnął Brierly. – Ten rodzaj odwagi nie utrzyma człowieka na prostej drodze, ani odrobinę nie dbam o taką odwagę. Mógłbyś pan raczej powiedzieć, że jest to rodzaj tchórzostwa – miękkości. Wie pan, co powiem, ja złożę dwieście rupii, jeżeli pan dodasz sto, aby ten biedak umknął jutro wczesnym rankiem. Jeżeli płynie w nim krew szlachetna, to zrozumie. On musi to zrobić! To piekielne badanie przy tłumie publiczności jest zbyt okropne: on tam siedzi, gdy ci przeklęci tuziemcy składają zeznania, mogące człowieka spalić na popiół ze wstydu. To jest rzecz wstrętna, obrzydliwa. Jak to, Marlowie, czyż nie odczuwa pan tego, nie rozumiesz, że to jest wstrętne z punktu widzenia marynarza? Gdyby umknął, wszystko to skończyłoby się natychmiast.

Brierly wymówił te słowa z niezwykłym u niego podnieceniem i zdawało się, że szuka swej chustki. Oblałem go zimną wodą, oświadczając, że tchórzostwo tych czterech ludzi nie wydaje mi się sprawą tak wielkiej doniosłości.

– I pan nazywa siebie marynarzem! – rzekł gniewnie.

Odparłem, że mam się za marynarza i mam nadzieję, że nim jestem. Po tych słowach wykonał szeroki gest, zdający się pozbawiać mnie indywidualności, spychać mnie w szeregi tłumu.

– Najgorsze jest to – rzekł – że wszyscy nie macie pojęcia o godności; za mało myślicie o tym, za kogo was ludzie mają.

Rozmawiając tak, szliśmy powoli i zatrzymaliśmy się w tym samym miejscu, z którego potworny kapitan „Patny" znikł jak lekkie piórko porwane podmuchem huraganu. Uśmiechnąłem się. Brierly mówił dalej.

– To hańba! Wszak są rozmaici między nami – nawet patentowane łotry; ale, do pioruna, musimy dbać o zawodową przyzwoitość, bo inaczej staniemy się gromadą gałganiarzy. Nam wierzą. – Rozumiesz to pan? Ufają nam! Szczerze mówiąc, ani trochę nie dbam o wszystkich pielgrzymów przybywających z Azji, ale przyzwoity człowiek nie postąpiłby tak, mając jako ładunek stare gałgany. Nie jesteśmy jakimś zorganizowanym ciałem, a jedyną rzeczą trzymającą nas razem jest właśnie poczucie tego rodzaju przyzwoitości. Taka sprawa niweczy całą ufność, jaką człowiek posiada. Człowiek może przeżyć całe życie na morzu, nie będąc na nic narażony. Ale gdy przyjdzie chwila próby... Aha!... Gdybym ja... – Nie dokończył i zmienionym głosem dodał: – Dam panu dwieście rupii, Marlowie, a pan rozmów się z tym chłopakiem. Do diabła z nim! Wolałbym, by się tu nigdy nie zjawił. Zdaje mi się, że nasze rodziny się znają. Ojciec jego jest pastorem i przypominam sobie teraz, że go spotkałem, gdy w zeszłym roku bawiłem u mego kuzyna w Essex. Jeżeli się nie mylę, to stary szczycił się swym synem marynarzem. To okropne! Ja tego sam zrobić nie mogę, ale pan...

Takim więc sposobem z powodu Jima ujrzałem prawdziwego Brierly'ego i mogłem odczuć jego tajemnicę na parę dni przedtem, zanim powierzył ją ostatecznie morzu. Naturalnie nie chciałem mieszać się w tę sprawę. Ton tych ostatnich słów: „ale pan..." (biedny Brierly nie mógł się od tego powstrzymać), zdający się

podkreślać, że jestem tyle uwagi godny, co jakiś owad, kazał mi uważać tę propozycję za obelgę i czy dlatego, czy dla innej przyczyny, doszedłem do przekonania, że to śledztwo jest surową karą dla Jima, a stawienie mu czoła – po części dobrowolne – dawało niejakie zadośćuczynienie za jego okropny czyn. Przedtem nie byłem tego tak pewny. Brierly odszedł pośpiesznie. Wówczas stan jego umysłu był dla mnie większą tajemnicą niż teraz.

Nazajutrz spóźniłem się do sądu i siedziałem na uboczu. Rozumie się, że nie mogłem zapomnieć rozmowy, jaką prowadziłem z Brierlym, a teraz miałem ich obu przed oczami. Jeden był ponury, bezczelny, drugi – pogardliwy, ale wiedziałem, że żaden z nich nie był szczery. Brierly nie był znudzony – ale zrozpaczony; w takim więc razie i Jim mógł nie być bezczelny. Zgodnie z moją teorią, istotnie nie był. Zdawało mi się, że stracił wszelką nadzieję. W tej właśnie chwili oczy nasze zetknęły się. Wzrok jego zniechęcał do rozmowy z nim. Czy był bezczelny, czy zrozpaczony – czułem, że na nic mu się przydać nie mogę. Był to drugi dzień śledztwa. Wkrótce po tej wymianie spojrzeń badanie zostało znowu odłożone do następnego dnia. Biali zaczęli wychodzić natychmiast. Jimowi pozwolono wyjść jako jednemu z pierwszych. Widziałem jego szerokie ramiona i zarys głowy w świetle otwartych drzwi i gdy powoli wychodziłem, rozmawiając z jakimś nieznajomym, który zagadnął mnie o coś, widziałem, w sali jeszcze, jak oparł się łokciami na balustradzie werandy, obracając się plecami do wychodzącej publiczności. Rozlegał się szmer głosów i tupot nóg.

Przedmiotem drugiej sprawy był napad i pobicie jakiegoś lichwiarza, zdaje mi się; pozwany, poważnie wyglądający wieśniak z prostą, białą brodą – siedział na macie zaraz za drzwiami, z synami, córkami, zięciami, ich żonami i, przypuszczam, z połową ludności

całej wioski. Wysmukła kobieta o brązowej cerze, z połową pleców i jednym ramieniem nagim, z cienkim złotym pierścieniem w nosie, zaczęła nagle coś mówić cienkim, kłótliwym głosem. Mój towarzysz instynktownie spojrzał na nią. Przesuwaliśmy się właśnie przez drzwi za potężnymi plecami Jima.

W jakim celu ci wieśniacy przyprowadzili ze sobą żółtego psa – nie wiem. W każdym razie znajdował się tam pies, kręcąc się między nogami to tu, to tam w ten ukradkowy sposób właściwy psom miejscowym i mój towarzysz potknął się o niego. Pies nie wydawszy głosu, skoczył w bok, a człowiek odezwał się dość głośno:

– Patrz pan, co za tchórzliwy kundel!

Napływający w tej chwili tłum rozdzielił nas. Ja oparłem się o mur i zostałem, a tamten poszedł dalej i znikł mi z oczu. Jim obejrzał się wokoło. Postąpił krok naprzód i zatarasował mi drogę. Byliśmy sami, patrzył na mnie z wyrazem stanowczego postanowienia. Zrozumiałem, że jestem odcięty od ludzi i, że tak się wyrażę, stoję jak w pustym lesie. Na werandzie nie było już nikogo, w sali sądowej zaległa zupełna cisza, gdzieś, w głębi gmachu jakiś krajowiec skomlał obrzydliwie. Pies, który usiłował przemknąć się przez drzwi, siadł pośpiesznie, by urządzić polowanie na trapiące go pchły.

– Czy pan mówił do mnie? – spytał Jim bardzo cicho, pochylając się naprzód, nie ku mnie, lecz na mnie, jeżeli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć.

Odparłem natychmiast: „Nie!” Coś w dźwięku tego spokojnego głosu ostrzegło mnie, bym miał się na baczności. Nie spuszczałem go z oka. Było to jak spotkanie w lesie, tylko mniej pewny był jego wynik, ponieważ Jim prawdopodobnie nie czyhał ani na moje

pieniądze, ani na życie – nie mogłem więc mu oddać pieniędzy ani też bronić się z całą samowiedzą.

– Powiedziałeś pan, że nie – rzekł ponurym głosem. – Ale ja słyszałem.

– To jakaś pomyłka – zaprzeczyłem, nie spuszczając z niego oka.

Patrząc na tę twarz, zdawało mi się, że patrzę na niebo, przybierające ponurą barwę przed uderzeniem piorunu; nieznaczne cienie pogłębiały się, mrok nabierał większego natężenia w spokoju dojrzewającego gwałtownego wybuchu.

– O ile wiem, nie otworzyłem do pana ust – powiedziałem w zupełnej zgodzie z prawdą.

Ja także zacząłem się trochę gniewać z powodu niedorzeczności tego spotkania. Teraz sobie przypominam, że nigdy nie byłem tak bliski bójki – mówię to dosłownie – bójki na pięści jak wówczas. Przypuszczam, że niewyraźnie odczuwałem tę ewentualność w powietrzu. Właściwie nie groził mi. Przeciwnie, był najzupełniej bierny – rozumiecie? – ale pochylał się coraz bardziej i chociaż nie był nadmiernie wielki, czuło się, że może mur rozwalić. Uspakajającym dla mnie objawem było pewnego rodzaju wahanie się, jakie w nim zauważyłem. Przyjąłem je za naturalny skutek wyraźnej szczerości mego zachowania i tonu. Patrzyliśmy sobie w oczy. W sali toczyła się druga sprawa. Pochwyciłem słowa: „Tak... bawół... kij... bardzo przerażony...".

– Cóż to miało znaczyć, że pan cały ranek patrzył na mnie? – spytał w końcu Jim.

Spoglądał to w górę, to w dół.

– A myślał pan, że będziemy wszyscy siedzieć ze spuszczonymi oczami, żeby nie urazić pańskiej drażliwości? – odparłem ostrym tonem.

Ani myślałem znosić cierpliwie jego napaści. Znów podniósł oczy i tym razem patrzył wprost na mnie.

– Nie, ma pan rację – mówił powoli, jakby zastanawiał się nad prawdą tego twierdzenia – ma pan rację. Tylko – tu zaczął mówić szybciej – nie dopuszczę, by poza obrębem izby sądowej ktoś mnie wyzywał. Miał pan jakiegoś towarzysza, mówił pan do niego – o, ja wiem – mówił pan do niego, ale chciał pan, żebym i ja słyszał...

Upewniałem go, że jest pod wpływem jakiegoś nadzwyczajnego złudzenia. Nie mogłem pojąć, jak się to stało.

– Myślał pan, że nie będę miał odwagi nawet, by poczuć się o to urażonym – rzekł z lekką goryczą.

Zainteresowany byłem tym wszystkim o tyle, że odczuwałem najlżejszy odcień każdego wyrażenia, ale nic a nic nie rozumiałem; teraz nie wiem, co w tych słowach, albo raczej w intonacji jego głosu skłoniło mnie nagle do zrobienia możliwych dla niego ustępstw. Przestałem się już gniewać z powodu położenia, w jakim nieoczekiwanie się znalazłem. Zaszła tu jakaś pomyłka z jego strony; paplał coś, ale to paplanie, jak ostrzegała mnie intuicja, było okropnej, nieszczęśliwej natury. Pragnąłem zakończyć tę scenę na gruncie przyzwoitym, tak jak ktoś pragnie położyć kres niepożądanym, wstrętnym zwierzeniom. Najzabawniejsze było to, że wśród tych rozmyślań wyższej natury czułem pewien niepokój co do możliwości – raczej prawdopodobieństwa – że to spotkanie skończy się jakąś niemiłą burdą, niedającą się wyjaśnić, a ośmieszającą mnie. Wcale nie pożądałem trzydniowego rozgłosu jako człowiek, któremu podbił oko, czy wybił ząb pomocnik kapitana „Patny”! On prawdopodobnie nie dbał o to, co robi, a w każdym razie byłby zupełnie usprawiedliwiony we własnych oczach. Nie trzeba było być jasnowidzem, by zrozumieć, że był nadzwyczajnie o coś rozgniewany pomimo spokojnego, prawie

ospałego zachowania się. Nie zaprzeczam, że pragnąłem za jaką bądź cenę uspokoić go, ale nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Otaczał mnie mrok bez jednego promyczka światła. Patrzeliśmy na siebie w milczeniu. Wytrzymał moje spojrzenie przez jakieś piętnaście sekund, zbliżył się jeszcze, a ja przygotowałem się do odparcia ciosu, chociaż zdaje mi się, że nie poruszyłem jednym muskułem.

– Choćby pan był wielki jak dwaj ludzie i silny jak sześciu – mówił łagodnie – powiedziałbym, co o panu myślę. Pan...

– Stój! – krzyknąłem.

Wstrzymało go to na sekundę.

– Zanim powie pan, co o mnie myśli – mówiłem prędko – bądź pan tak dobry i powiedz, co ja zrobiłem, czy też powiedziałem?

W czasie ciszy, jaka teraz nastąpiła, spoglądał na mnie z oburzeniem, a ja w nadludzki sposób wysilałem pamięć; przeszkadzał mi w tym płynący z sali głos krajowca o przedziwnej wymowie, broniącego swej niewinności. Raptem zaczęliśmy mówić prawie jednocześnie.

– Zaraz panu pokażę, że nie jestem taki, jak się panu wydaje – zawołał tonem świadczącym o gniewie dochodzącym do zenitu.

– Oświadczam, że o niczym nie wiem – mówiłem z powagą.

Usiłował zmiażdżyć mnie pogardą swego spojrzenia.

– Teraz, kiedy pan widzi, że się nie boję, usiłuje się pan wykręcić. – Kto jest tchórzliwym kundlem teraz, co? – Nareszcie zrozumiałem. Badał moją twarz, jakby wybierał miejsce, gdzie wymierzyć cios pięścią. – Nie pozwolę nikomu... – mruknął groźnie.

Była to okropna omyłka; nie mogę wam w pełni wytłumaczyć, jak bardzo byłem tym zgnębiony. Zapewne cząstka mych uczuć odzwierciedliła się na twarzy, gdyż wyraz jego oczu uległ pewnej zmianie.

– Wielki Boże! – jęknąłem – nie myśli pan chyba, że ja...

– Ależ jestem pewny, że słyszałem – upierał się, podnosząc głos po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia tej opłakanej sceny. Następnie z cieniem pogardy w głosie dodał – Więc to nie pan? Dobrze, znajdę tamtego.

– Nie bądźże pan głupcem – krzyknąłem zrozpaczony – to wcale nie tak było!

– Słyszałem – odparł znów z niewzruszoną, ponurą wytrwałością.

Może ktoś inny śmiałby się z jego uporu, ale ja – nie, o nie! Nigdy nikogo bardziej bezlitośnie nie zdradził jego własny, naturalny impuls. Jedno zwyczajne słowo odarło go z pewnego rodzaju dyskrecji niezbędnej naszej wewnętrznej istocie bardziej niż ubranie ciału.

– Nie bądź pan głupcem! – powtórzyłem.

– Ale tamten to powiedział, nie może pan zaprzeczyć! – wymówił dobitnie, patrząc uporczywie na mnie.

– Nie, nie zaprzeczam – odparłem, również patrząc na niego.

Nareszcie oczy jego poszły w kierunku palca, którym wskazywałem na ziemię. Z początku nie rozumiał, później zmieszał się, zdziwił i przestraszył, jak gdyby pies był potworem, jakiego nigdy dotąd nie widział.

– Nikomu się nie śniło ubliżać panu – rzekłem.

Patrzył na nędzne stworzenie prawie nieruchomo; wychudzony pies siedział z nastawionymi uszami i ostro zakończonym pyskiem wsuniętym między drzwi, nagle schwycił muchę jak automat.

Spojrzałem na Jima. Jego ogorzała cera pociemniała od policzków aż po włosy. Uszy zrobiły się karmazynowe, nawet jasnoniebieskie źrenice pociemniały od napływającej do głowy krwi. Trochę rozwarte usta drżały, jak gdyby miał zaraz wybuchnąć łkaniem. Widziałem, że nie może wymówić słowa z nadmiaru upokorzenia.

Może także rozczarowania – kto to może wiedzieć? Może spodziewał się, że ciosami, które miał wymierzyć, zrehabilituje się lub znajdzie w nich ukojenie? Kto wie, jakiej ulgi spodziewał się doznać po tej awanturze? Był tak naiwny, że wszystkiego mógł się spodziewać, tymczasem został obnażony i nic nie zyskał w zamian. Był szczery wobec siebie – i wobec mnie również – pieszcząc nadzieję, że tym sposobem zdoła odeprzeć zarzuty, a tymczasem gwiazdy okazały mu swą ironiczną niełaskę. Z jego gardła wydobył się nieartykułowany dźwięk jak u człowieka na wpół ogłuszonego uderzeniem w głowę. Było to straszne, wzbudzające litość.

Dogoniłem go dopiero przy bramie. Musiałem nawet biec, a gdy prawie bez tchu stanąłem obok niego, zarzuciłem mu, że mi ucieka.

– Nigdy! – rzekł i zawrócił zaraz.

Wytłumaczyłem mu, że nie miałem na myśli, że uciekał przede mną.

– Przed nikim, przed nikim na świecie – oświadczył z naciskiem.

Powstrzymałem się od wykazania wyjątku, mogącego usprawiedliwić najdzielniejszego z nas; pomyślałem, że sam wkrótce to zrozumie. Spoglądał na mnie cierpliwie, podczas gdy ja rozmyślałem, co by tu powiedzieć; ale nie mogłem znaleźć nic odpowiedniego, więc poszedł dalej. Dotrzymywałem mu kroku, bojąc się go stracić z oczu; mówiłem pośpiesznie, że nie mogę go zostawić pod fałszywym wrażeniem mojego – mojej – jąkałem się. Głupota tego zdania uderzyła mnie, gdy usiłowałem je dokończyć, ale potęga zdań nie ma nic wspólnego z sensem i logiką ich budowy. Moje idiotyczne jąkanie się sprawiało mu przyjemność. Przerwał je od razu, mówiąc grzecznie, co świadczyło o jego wielkim panowaniu nad sobą, albo też o cudownej elastyczności ducha.

– Wszystko przez tę moją pomyłkę.

Wyrażenie to zdziwiło mnie niezmiernie: tak mógł wzmiankować o jakiejś nic nieznaczącej okoliczności. Czyż nie zrozumiał opłakanego jej znaczenia?

– Zechce mi pan wybaczyć – dodał później trochę markotnie – Wszyscy ci ludzie patrzący na mnie w sądzie wydawali się takimi głupcami, że – że – mogło być tak, jak przypuszczałem.

To powiększyło moje zdziwienie i ukazało mi go w nowym świetle. Spojrzałem z ciekawością i spotkałem jego oczy nieprzeniknione, ale niezdradzające wstydu.

– Ja nie mogę się z tą rzeczą pogodzić – powiedział po prostu – i nie myślę się godzić. W sądzie to co innego; muszę to wytrzymać i wytrzymam.

Nie twierdzę, że go zrozumiałem. Ukazywał mi się jakby w oderwanych błyskach światła przedzierających się przez gęstą mgłę – niby ułamki jakichś istotnych, lecz znikających szczegółów niedających jasnego pojęcia o ogólnym wyglądzie okolicy. Ożywiało to moją ciekawość, ale nie zaspokajało jej, nie dając możności uzyskania pełnej orientacji. W ogóle robił mylące wrażenie. Oto dlaczego poprosiłem, by zaszedł do mnie, i tego dnia rozstaliśmy się późnym wieczorem. Zatrzymałem mieszkanie w hotelu Malabar na dni kilka i na moje usilne prośby zjadł tam ze mną obiad.

Rozdział VII

Tego popołudnia przybył jakiś żaglowiec pasażerski i wielka sala jadalna hotelu była prawie zapełniona ludźmi mającymi w kieszeniach bilety na podróż dookoła świata za sto funtów. Były tam pary małżeńskie, najwidoczniej znudzone sobą już w połowie podróży; były tam tworzące jedno towarzystwo bardziej lub mniej liczne grupy i ludzie samotni, jedzący uroczyście lub ucztujący głośno – wszyscy rozmawiali, żartowali lub ponuro zachowywali milczenie, zależnie od swego usposobienia, inteligencją i chłonnością wrażeń dorównujący swym kufrom złożonym w górnych pokojach. I nadal otrzymywać będą etykietki, że byli w tych i tych miejscach, jak i ich bagaże. Będą nosili się z godnością jako osoby niezwykłe i będą zachowywać karteczki przylepione do koszyków jako dokumenty, gdyż będą one jedynym dowodem, że odbyli tę kształcącą podróż. Służący bez szmeru uwijali się po gładkiej posadzce; od czasu do czasu rozlegał się śmiech dziewczyny, tak niewinny, jak pusty był jej umysł lub też ktoś dla zabawy całego zgromadzenia, a wykazania swego dowcipu, cedził przez zęby opowiadanie o świeżym skandalu, który się zdarzył w czasie podróży. Dwie stare panny, zabójczo wystrojone, przeglądały z kwaśnymi minami jadłospis, szepcąc do siebie zwiędłymi ustami, podobne dwóm nadętym koczkodanom.

Wino otworzyło serce Jima i stał się rozmowniejszy. Zauważyłem też, że ma dobry apetyt. Zdawało się, że gdzieś pogrzebał niemiły epizod naszego pierwszego spotkania. Było tak, jak gdybyśmy mieli o tej sprawie już nigdy nie wspominać. Przez cały czas miałem

przed sobą niebieskie, chłopięce, prosto patrzące oczy, młodą twarz, szerokie ramiona, otwarte ciemne czoło z białą linią u nasady jasnych, wijących się włosów, to wszystko przyciągało ku sobie całą moją sympatię. On był z dobrego gatunku, należał do nas. To szczęście uśmiechu, młodzieńcza powaga nie mogły zwodzić. Mówił z pewnego rodzaju otwartością i spokojem mogącymi wynikać z męskiego panowania nad sobą, z bezczelności, braku zastanowienia lub być gigantyczną mistyfikacją. Kto odgadnąć zdoła? Z naszego tonu mógł ktoś sądzić, że rozmawiamy o jakiejś trzeciej osobie, o grze w piłkę lub o zeszłorocznej pogodzie. Umysł mój zagłębiał się w rozmaite przypuszczenia, gdy nareszcie zwrot w rozmowie dał mi możność, nie obrażając go, rzucić ogólną uwagę, że jednak śledztwo to musi być ogromnie męczące dla niego. Wyciągnął swą rękę przez szerokość stołu i schwyciwszy moją, wlepił we mnie wzrok. Struchlałem.

– Musi być panu strasznie ciężko – wyjąkałem zmieszany tym widokiem milczącej rozpaczy.

– To piekło! – wyrzucił z siebie zgłuszonym tonem.

Ten ruch i te słowa przeraziły dwóch „obieżyświatów" siedzących przy sąsiednim stoliku, rzucili na nas trwożliwe spojrzenia, odrywając je od zamrożonych puddingów. Wstałem i wyszliśmy na galerię, by tam wypić kawę i wypalić cygara.

Na małych, ośmiokątnych stolikach paliły się świece w szklanych kloszach; klomby z roślin o sztywnych liściach oddzielały jedne bujaki od drugich, a między szeregami kolumn chłonącymi światła bijące z okien, noc ciemna, upstrzona światłami zdawała się wisieć jak jakaś wspaniała draperia. Światła płynących okrętów błyszczały w dali jak gwiazdy, a wzgórza za przystanią podobne były do groźnej masy piorunowych chmur.

– Ja nie mogłem uciec – zaczął Jim. – Kapitan to zrobił, bardzo to szczęśliwie dla niego. Ja nie mogłem i nie chciałem. Wszyscy uniknęli tego w taki czy inny sposób, ale ja tak zrobić nie mogłem.

Słuchałem z natężoną uwagą, nie śmiejąc poruszyć się na krześle; chciałem dowiedzieć się – a do dziś dnia nie wiem, mogę się tylko domyślać. Był on jednocześnie zgnębiony i pewny siebie, jak gdyby przekonanie o wrodzonej prawości było hamulcem dla prawdy, wijącej się w nim przy każdym zwrocie rozmowy. Zaczął mówić tonem takim, jakim mówi człowiek, przyznający się do niemożności przeskoczenia muru dwudziestostopowego, że teraz nie będzie mógł nigdy powrócić do domu; to oświadczenie przywiodło mi na pamięć powiedzenie Brierly'ego „że stary pastor w Essex ubóstwiał swego syna marynarza i dumny był z niego".

Nie mogę wam powiedzieć, czy Jim wiedział o tej nadzwyczajnej miłości ojca, ale ton, z jakim wspomniał „tatusia" obliczony był na to, by dać pojęcie o tym, że szlachetniejszego człowieka, pomimo wielkiego obarczenia rodziną, nie było jeszcze od początku świata. Tyle było niepokoju w tych słowach, pragnących wpoić we mnie przekonanie, że prawda w nich zawarta nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż nabierały one pewnego uroku, ale zarazem i druga strona tej historii zabarwiała się boleśniejszym, dotkliwszym tonem.

– Czytał już o tym wszystkim w gazetach – rzekł Jim. – Nie mogę już pokazać się biednemu staremu! – Nie śmiałem podnieść oczu, póki nie usłyszałem tych słów. – Nie mógłbym mu wytłumaczyć i on by nie zrozumiał.

Spojrzałem na niego. Zamyślony palił cygaro i po chwili znów zaczął mówić. Od razu zrozumiał, że chcę go oddzielić od współwinowajców w popełnionej, powiedzmy, zbrodni. On do nich nie należał, był człowiekiem zupełnie innym. Nie zaprzeczyłem mu ani jednym gestem. Nie miałem zamiaru dla

miłości nagiej prawdy pozbawić go tego najmniejszego okrucha ocalającej łaski. Nie wiedziałem, czy w to wierzy. Nie wiedziałem, jakie ma plany i czy w ogóle zamierza coś uczynić – podejrzewam, że on sam również nie wiedział; wierzę bowiem, że żaden człowiek nigdy nie zrozumie dokładnie własnych sprytnych wybiegów, których używa, chcąc uciec przed przykrym cieniem własnego sumienia. Nie odezwałem się ani słowem przez cały czas jego rozmyślania o tym, co też on będzie robił, „gdy to głupie badanie się skończy".

Widocznie podzielał pogardliwe zapatrywania Brierly'ego na te nakazane prawem procedury. Wyznał, że nie wie, dokąd się zwrócić; najwidoczniej myślał głośno, a nie rozmawiał ze mną. Świadectwa przepadły, kariera złamana, grosza przy duszy nie ma i nie pojmuje nawet, jaką pracą mógłby się teraz zająć. Z domu może mógłby coś dostać, ale na to trzeba prosić o pomoc rodzinę, a on tego nie chce. A może go przyjmą na jaki parowiec...

– Chciałby pan tego? – spytałem nielitościwie.

Zerwał się; podszedł do kamiennej balustrady i wpatrzył się w ciemną noc. Za chwilę powrócił, pochylając nad mym krzesłem młodzieńczą twarz chmurną od opanowanego z bólem wzruszenia. Zrozumiał doskonale, że ja nie wątpiłem w jego zdolność kierowania okrętem. Drżącym trochę głosem spytał mnie – dlaczego to powiedziałem? Byłem „nieskończenie dobry" dla niego. Nie roześmiałem się nawet wtedy, gdy wyjąkał, że „przez tę pomyłkę – wie pan – zrobiłem z siebie skończonego osła". Przerwałem mu, mówiąc w ciepły sposób, że dla mnie taka pomyłka nie jest powodem do śmiechu. Usiadł i wypił filiżankę kawy do ostatniej kropli.

– Nie chodzi zatem o to, żebym się przyznał do winy – oświadczył stanowczo.

– Nie? – spytałem.

– Nie – przyznał z zupełnym przekonaniem. – Czy pan wie, co by pan zrobił? Czy wie pan? A przecież nie uważa się pan za... e... e... – przełknął coś – tchórza?

I tu – na honor! – spojrzał mi pytająco w oczy. Było to najwidoczniej pytanie – bona fide pytanie! W każdym razie nie czekał na odpowiedź. Zanim przyszedłem do przytomności, on mówił dalej, patrząc prosto przed siebie, jakby czytając coś w cieniach nocy.

– Należało być przygotowanym. A ja nie byłem; nie, nie wtedy. Ja nie chcę usprawiedliwiać się; ale chciałbym wytłumaczyć – chciałbym, by ktoś zrozumiał – ktoś – chociaż jedna osoba! Pan! Dlaczegóżby nie pan?

Było to uroczyste, a zarazem trochę śmieszne, takie zwykle są walki jednostki usiłującej ocalić swe wyobrażenie o tym, czym powinna być jej moralna istota, to drogocenne pojęcie konwencji, ta zasada gry jedna tylko, ale straszna w skutkach przez przywłaszczanie sobie nieograniczonej władzy nad naturalnymi instynktami, przez straszne karanie za błędy. Rozpoczął swą historię dość spokojnie. Na parowcu linii Dale, który widząc tych czterech ludzi o zmierzchu, samych na falach oceanu – zabrał ich na swój pokład – poddani zostali pierwszemu badaniu. Tłusty kapitan wymyślił jakąś historię, inni milczeli i z początku to uszło. Nie można przecie męczyć pytaniami biednych rozbitków, których się uratowało jeżeli nie od okrutnej śmierci, to przynajmniej od strasznych cierpień. Później, po namyśle, oficerowie „Avondale" musieli zrozumieć, „że coś w tej sprawie jest niejasnego", ale, naturalnie, zachowali swe wątpliwości dla siebie. Zabrali na swój pokład kapitana, pomocnika i dwóch maszynistów z „Patny", która zatonęła i to zapewne im wystarczało. Nie pytałem Jima, jakich

doznawał uczuć podczas tych dziesięciu dni spędzonych na pokładzie. Ze sposobu jego opowiadania wywnioskowałem, że był częściowo oszołomiony odkryciem, jakiego dokonał na samym sobie – i bez wątpienia pracował nad tym, by móc to wytłumaczyć jedynemu człowiekowi, zdolnemu ocenić całą tego doniosłość. Trzeba zrozumieć, że nie myślał o zmniejszaniu jego ważności i tu właśnie leży jego zasługa. Co zaś do odczuć, jakich doznał po wylądowaniu i usłyszeniu niespodziewanej konkluzji sprawy, w której odegrał tak smutną rolę – nie mówił mi nic i trudno to odgadnąć. Czy uczuł, że mu się grunt spod nóg usuwa? – nie wiem. Całe dwa tygodnie oczekiwał w „Domu Marynarzy", a że tam jednocześnie było kilku innych, zebrałem o jego zachowaniu się pewne wiadomości. Zdaniem tych ludzi Jim był ponurą bestią. Cały ten czas spędził na werandzie, leżąc na bujaku, wstając tylko do jedzenia lub późnym wieczorem i włóczył się wówczas samotnie, oderwany od swego otoczenia, niezdecydowany, milczący jak duch niemający domu, w którym mógłby straszyć.

– Nie wiem, czy powiedziałem przez cały ten czas trzy słowa do jakiejś żywej istoty – rzekł i zaraz dodał – Jeden z tych ludzi z pewnością wypaplałby coś, o czym ja postanowiłem nie rozmawiać, a nie chciałem, by doszło do jakiejś sprzeczki. Nie! Nie wtedy! Byłem zanadto... zanadto... Nie byłem do niej usposobiony...

– Więc belka wytrzymała?

– Tak – szepnął – wytrzymała. A przysięgam panu, że czułem, jak ustępowała mi pod ręką.

– Czasami stare żelastwo jest ogromnie wytrzymałe – rzekłem.

Oparty o tylną poręcz fotela, z nogami sztywno wyciągniętymi i obwisłymi rękami, kilkakrotnie kiwnął głową. Trudno sobie

wyobrazić coś smutniejszego. Nagle podniósł głowę i wyprostował się.

– Ach, jakaż sposobność zmarnowana! Boże mój, jak zmarnowana! – krzyknął, ale to ostatnie słowo brzmiało jak jęk wydarty bólem.

Znów siedział w milczeniu, strasznie tęsknym wzrokiem patrząc w dal, jakby szukając tej zmarnowanej okazji odznaczenia się; rozwarte nozdrza zdawały się chwytać upajającą woń tej zmarnowanej sposobności. Skrzywdzilibyście mnie myśląc, że patrzyłem na to spokojnie! Ach, jakąż ten biedak miał imaginację! Widziałem w tym spojrzeniu, wlepionym w ciemną noc, jak cała jego wewnętrzna istota przeniosła się do pełnego złudzeń państwa bohaterskich aspiracji. Nie miał czasu żałować tego, co stracił, całkowicie i naturalnie odczuwając to, czego mu się nie udało otrzymać. Był ode mnie niezmiernie daleko, chociaż siedziałem o trzy kroki od niego. Z każdą chwilą pogrążał się głębiej w nieistniejący świat romantycznych czynów. Dotarł nareszcie do samego jądra i dziwny wyraz wniebowzięcia rozlał się na jego rysach, oczy błysnęły mu w świetle świec palących się na stole: niewątpliwie uśmiechał się! Dotarł do serca, do samego serca. Był to pełen uniesienia uśmiech, jaki nigdy nie pojawia ani na mojej, ani na waszej twarzy, kochani towarzysze. Przywołałem go do przytomności, mówiąc:

– Gdyby pozostał pan na parowcu, chce pan powiedzieć!

Zwrócił się ku mnie ze wzrokiem zdumionym i pełnym bólu, ze zdziwioną, cierpiącą twarzą, jak gdyby zleciał na dół z jakiejś gwiazdy. Ani ja, ani wy, ani żaden z ludzi wyglądać tak nie będzie. Zadrżał, jak gdyby czyjaś zimna dłoń dotknęła jego serca. Nareszcie westchnął. Nie byłem w litościwym usposobieniu. Taki nastrój wywołały jego sprzeczne zwierzenia.

– To prawdziwe nieszczęście, że pan o tym przedtem nie wiedział! – powiedziałem złośliwie; ale mój cios chybił, upadł u jego stóp jak zużyta strzała, a on nie myślał jej podnosić. Może nie dostrzegł nawet. Teraz, przeciągając się, rzekł.

– Mówię panu, że uginało się pod ręką. Z lampą oglądałem żelazne kanty na dolnym pokładzie, gdy kawał rdzy szerokości mej dłoni odpadł sam przez się! – Ręką przesunął po czole. – To tak skoczyło, jak coś żywego.

– Musiało to być dla pana nieprzyjemne – powiedziałem mimochodem.

– Więc przypuszczasz pan – rzekł Jim – że myślałem o sobie, mając na karku sto sześćdziesiąt osób, uśpionych na tym pokładzie, a mnóstwo innych na ogólnym, niewiedzących o niczym? Gdyby nawet był czas, nie można byłoby ich uratować, gdyż brakowało łodzi ratunkowych dla wszystkich. Zdawało mi się, gdy tam stałem, że zaraz otworzy się pod nogami przepaść i woda zaleje ich wszystkich... Co miałem robić, co?

Mogłem go sobie wyobrazić na dnie okrętu z lampą oświetlającą zagrożone miejsca. Patrzył na to żelastwo i struchlał, widząc opadającą rdzę, przytłoczony świadomością nieuniknionej śmierci. To już drugi raz, jak mi się zdaje, został wysłany na dno okrętu przez swego kapitana, który, przypuszczam, chciał go oddalić od pomostu. Jim opowiadał mi, że pod wpływem pierwszego impulsu chciał krzyczeć, co by wyrwało tych wszystkich ludzi ze snu, pogrążając ich w otchłań rozpaczy, ale ogarnęło go tak przygnębiające uczucie bezradności, że nie mógł wydać głosu. Chyba dobrze oddaje ten stan wyrażenie: „język przyrósł mu do podniebienia". Nie wydawszy więc głosu, wydobył się przez otwór na górny pokład. Przypadkiem poruszony wiatrem żagiel musnął go po twarzy, co zrobiło na nim takie wrażenie, że o mało nie spadł z drabiny.

Wyznał, że kolana mu dygotały, gdy tak stał i patrzył na ten uśpiony tłum. Maszyna została wstrzymana, para wydobywała się ze świstem i hukiem, powietrze całe drgało jak basowa struna. Cały parowiec drżał.

Widział to tu, to tam podnoszącą się z maty głowę, nieokreśloną jasną postać przybierającą pozycję siedzącą i nasłuchującą sennie przez chwilę, by znów opaść w ten nieład zgromadzonych skrzyń, wentylatorów i najrozmaitszych przedmiotów. Zrozumiał, że ci ludzie, nic nie wiedząc, nie zwrócą uwagi na ten dziwny hałas. Okręt z żelaza, ludzie o białych twarzach, wszystkie dźwięki i zjawiska, wszystko na pokładzie dla tego ciemnego, pobożnego tłumu było jednakowo dziwne i tyleż zasługujące na zupełne zaufanie, co całkowicie niezrozumiałe. Uderzyło go, że okoliczność ta jest bardzo sprzyjająca w tej chwili. Sama myśl o tym była straszna.

Pamiętacie zapewne, że Jim był przekonany, jak byłby każdy na jego miejscu, że parowiec lada chwila musi zatonąć; usuwające się zardzewiałe żelazo powstrzymujące napór oceanu musi puścić, a wówczas, jak po pęknięciu śluzy, woda wedrze się z impetem i zaleje wszystko. Stał i patrzył na te rozciągnięte ciała, jak skazaniec uświadomiony o swym losie pilnujący cichego tłumu zmarłych. Oni byli trupami! Nie, ich ocalić nie zdoła! Szalupy może wystarczyłyby dla połowy, ale już nie ma czasu. Za późno! Za późno! Nie warto otwierać ust, poruszać ręką lub nogą. Zanim zdoła wymówić trzy słowa lub postąpić parę kroków, zapadnie się w morze przy rozpaczliwej walce ludzkich istot, przy rozlegających się okropnych wrzaskach o pomoc. Nie było od tego ratunku. Wyobrażał sobie doskonale, jak to wszystko się stanie; drapiąc się po drabinie z lampą w ręku, przechodził myślą wszystkie

najokropniejsze szczegóły. Zdaje mi się, że przeżywał to znów, opowiadając mi rzeczy, o których w sądzie musiał zamilczeć.

– Widziałem tak jasno, jak pana teraz widzę, że nic nie mogę uczynić. To mroziło wszystkie moje członki. Pomyślałem, że mogę równie dobrze stać tu, jak gdzie indziej i czekać. Obliczałem, że pozostało już niewiele sekund...

Nagle przestała buchać para. Sprawiany przez nią huk odciągał uwagę, ale ta cisza, która w tej chwili nastała, była nieznośnie przygnębiająca.

– Zdawało mi się, że uduszę się, zanim utonę – rzekł.

Twierdził, że nie myślał o własnym ocaleniu. Jedyną wyraźną myślą pojawiającą się i znikającą w jego umyśle było: osiemset ludzi i siedem szalup; osiemset ludzi i siedem szalup.

– Ktoś głośno krzyczał w mojej głowie – rzekł dziko – „osiemset ludzi, siedem szalup – i czasu mało! Pomyśl o tym". – Pochylił się ku mnie poprzez wąski stolik, a ja unikałem jego spojrzenia. – Czy pan myśli, że bałem się śmierci? – spytał głosem cichym, dumnym. Uderzył pięścią w stół tak, że podskoczyły filiżanki od kawy. – Gotów jestem przysiąc, że nie – nie... na Boga – nie! – Wyprostował się, ręce złożył na piersiach.

Przez okna dochodziły nas głosy ze środka sali, kilku mężczyzn w doskonałych humorach wyszło na galerię. Dzielili się wesołymi wspomnieniami z czasów pobytu w Kairze. Blady, zaniepokojony młodzieniec, słuchał uwag wypasionego obieżyświata o niewłaściwości skupywania na bazarach zbyt drogich rzeczy. Przeszli dalej, zajęli fotele; zapalone zapałki oświetliły na chwilę twarze bez cienia jakiegokolwiek wyrazu i wykrochmalone przody koszul; szmer tych zmieszanych, ożywionych rozmów wydawał mi się niedorzeczny i oddalony.

– Niektórzy z załogi spali przy samym otworze i mogłem dosięgnąć ich ręką – zaczął Jim znowu.

Trzeba wam wiedzieć, że na tym parowcu wszyscy pracujący spali w nocy, a do straży nocnej byli przeznaczeni inni. Miał wielką ochotę chwycić najbliżej leżącego za ramię, ale nie zrobił tego. Coś powstrzymało jego rękę. Nie bał się – o nie! Ale ot – po prostu nie mógł. Nie bał się też może samej śmierci, ale powiem wam coś, on bał się okoliczności, jakie musiały jej towarzyszyć. Jego bujna imaginacja odtworzyła całą okropność popłochu, bieganinę, wrzaski, przepełnione łodzie – wszystkie straszliwe wypadki nieuniknione podczas katastrofy na morzu. Może pogodził się z myślą o śmierci, ale przypuszczam, że pragnął umrzeć bez tych okropności, spokojnie, w jakimś transie. Pewną gotowość do śmierci spotyka się nie tak rzadko, ale trudno natknąć się na ludzi, których duch opancerzony jest niezłomnymi postanowieniami, a oni gotowi są bez żadnej nadziei walczyć do ostatka. Żądza spokoju wzrasta ze zmniejszającą się nadzieją, aż w końcu opanowuje nawet samą chęć życia. Kto z nas, tu zebranych, nie widział, a może i doświadczył podobnych uczuć, takiego nadzwyczajnego wyczerpania wzruszeń, poczucia bezużyteczności wysiłków, tęsknoty za odpoczynkiem? Ci, co mają do czynienia z siłami niepodlegającymi rozsądkowi znają to dobrze – rozbitkowie czekający w łodziach na ratunek, podróżni zbłąkani na pustyni, ludzie walczący z potęgą natury lub bezrozumną brutalnością tłumu.

Rozdział VIII

Jak długo stał niby słup przy otworze, oczekując, że lada chwila okręt pod nim zatonie, a jego chwyci pęd wody i targać nim będzie jak drzazgą – nie wiem. Niedługo, może dwie minuty. Ktoś w tłumie zaczął rozmawiać sennym głosem, usłyszał nawet czyjeś kroki, ale nie wiedział, skąd one dochodzą. Te słabe odgłosy ginęły w strasznej ciszy poprzedzającej katastrofę, w męczącej ciszy – przed wybuchem; wówczas przyszło mu na myśl, że może będzie mógł jeszcze poprzecinać liny utrzymujące łodzie tak, że gdy parowiec zatonie, one zostaną na powierzchni morza.

„Patna" miała długi most, na którym znajdowały się wszystkie łodzie, cztery po jednej, trzy po drugiej stronie. Upewniał mnie z widocznym niepokojem, tak pragnął, bym uwierzył, że chodziło mu o to, by łodzie były gotowe do użytku. Znał swe obowiązki. Śmiało twierdzę, że był odpowiednią osobą na stanowisko pomocnika kapitana.

– Ja zawsze wierzyłem, że jestem przygotowany na rzeczy najgorsze – mówił, patrząc niespokojnie w moją twarz. Kiwnąłem głową, przyznając słuszność zasadzie, ale unikałem wzroku tego mijającego się ze swą zasadą człowieka.

Zaczął biec. Musiał przeskakiwać przez nogi leżących, unikać potknięcia się o ich głowy. Nagle ktoś złapał go za połę surduta i jakiś głos przemówił rozpaczliwym tonem. Światło trzymanej przez niego lampy padło na ciemną twarz, której oczy prosiły równie błagalnie jak głos. Nauczył się już na tyle obcej mowy, by zrozumieć słowo „woda" powtórzone kilkakrotnie z naleganiem,

rozpaczliwą prośbą. Odskoczył chcąc się wyswobodzić, ale ktoś chwycił go za nogi.

– Nędzarz ten uczepił się mnie jak tonący – mówił z przejęciem. – „Woda, woda!" – O jakiej wodzie on mówi? Skądże on może coś wiedzieć? Na tyle spokojnie, na ile mogłem, kazałem mu się odczepić. Zatrzymywał mnie, a czas naglił, inni ludzie zaczęli się poruszać, a ja potrzebowałem sporo czasu do odcięcia wszystkich łodzi. Schwycił mnie teraz za rękę i czułem, że zacznie krzyczeć. Błysnęło mi w myśli, że jeden krzyk wystarczy do wywołania ogólnego popłochu, wolną ręką rzuciłem mu lampę w twarz. Szkło zadzwoniło, światło zgasło, ale cios zmusił go do puszczenia mej ręki – pobiegłem – chciałem dopaść łodzi – chciałem! Skoczył za mną. Odwróciłem się do niego. Zanim zrozumiałem, o co mu chodzi, o mało go nie zdusiłem. On chciał wody – wody do picia; otrzymywali zmniejszoną porcję, pan wie – a miał z sobą chłopca, którego nieraz widziałem. Dziecko to omdlewało z pragnienia. Widząc mnie przechodzącego, błagał o kroplę wody. Uczepił się mych rąk, nie mogłem wymyślić, jak się od niego uwolnić. Skoczyłem do mej kajuty, porwałem butelkę z wodą i rzuciłem mu ją. Znikł. Do tej chwili nie czułem, jak sam byłem spragniony.

Oparł się na łokciu i zakrył ręką oczy. Ciarki przebiegły mi po krzyżu. Palce kryjące oczy, drgały mu z lekka. Przerwał to krótkie milczenie.

– Coś takiego tylko raz może się przytrafić człowiekowi i... Ach, tak! Gdym wyleciał na pomost, łajdaki już majstrowali przy jednej łodzi. Ach, łódź! Biegłem po drabinie, gdy ciężki cios spadł mi na ramię, o mało nie rozbijając głowy. To mnie nie powstrzymało, a pierwszy maszynista – którego właśnie ze snu zbudzono – podniósł znów lewar. Byłem w takim usposobieniu, że niczemu się nie dziwiłem. Wszystko to wydawało się naturalne – tylko straszne

– okropne! Uniknąłem ciosu i chwyciłem go w ramiona jak dziecko; wyrywał się, szepcząc: „Nie bij, nie bij, myślałem, żeś jednym z nich!" Odrzuciłem go od siebie, potoczył się wzdłuż pomostu i podbił nogi młodemu chłopcu – drugiemu maszyniście. Kapitan, zajęty łodzią, spojrzał wokoło i podszedł do mnie z głową pochyloną, mrucząc jak dzika bestia. Stałem jak kamień, oparłem się mocno i byłem tak nieporuszony, jak to – dodał, stukając palcem o mur. – Zdawało mi się, że ja to wszystko słyszałem, widziałem, przeszedłem przez to ze dwadzieścia już razy. Nie bałem się ich. Zamierzyłem się pięścią, on stanął, mrucząc: „Ach! To pan! Pomagaj pan, prędzej!" Tak powiedział. Prędzej! Jak gdyby tu ktoś zdołał się pośpieszyć. „Więc nic pan nie zrobi?" – spytałem. „Owszem. Ucieknę" – warknął. Nie wydaje mi się, bym zrozumiał wówczas jego słowa. Tamci dwaj podnieśli się tymczasem z ziemi i rzucili się do łodzi. Biegli, przeklinając łódź, parowiec, siebie nawzajem, mnie. Ja się nie poruszyłem, milczałem. Śledziłem przechylanie się parowca. Stał nieruchomo, jak gdyby znajdował się w suchym doku – tylko miał taką pozycję. – Podniósł dłoń z palcami pochylonymi w dół. – Taka pozycja – powtórzył. – Widziałem linię widnokręgu, jasną smugę ponad dziobem parowca; widziałem wodę ciemną, iskrzącą się, a jednak zawsze spokojną, śmiertelnie spokojną, spokojniejszą niż była kiedykolwiek i widoku tego nie mogłem dłużej znieść. Widział pan kiedyś okręt płynący dziobem w dół wskutek oderwania się kawała zardzewiałego żelaza? Wszak można go było przymocować? Ale czy można tego dokonać w ciągu pięciu, czy choćby pięćdziesięciu minut? Gdzie znajdę ludzi, którzy zechcą zejść tam na dół? O, te belki – te belki! Czy miałby pan odwagę machnąć młotem, chociażby raz, gdyby widział pan tę belkę? Nie mów pan, że miałbyś, nie widziałeś jej. Do pioruna! Żeby zrobić taką rzecz, należy wierzyć, że jest szansa, jedna na tysiąc choćby,

cień nadziei; ale jej tam nie było! Sądzi pan, że byłem tchórzem, stojąc bezradnie, ale co by pan zrobił? Co? Nie wie pan, co powiedzieć – i nikt tego nie wie. Na obrócenie się nawet trzeba mieć czas. Cóż miałem zrobić? Czy to by się nazywało dobrocią, gdybym doprowadził tych ludzi do szaleństwa ze strachu, nie mogąc ich uratować... bo nic by ich ocalić nie zdołało? Słuchaj pan! Taka jest prawda, jak tu siedzę przed panem...

Szybko dyszał za każdym słowem, rzucając przenikliwe spojrzenia na mą twarz, jakby chcąc śledzić wywołane wrażenie. Nie mówił do mnie, ale przede mną, dysputując z niewidzialną osobistością, swoim nieodłącznym towarzyszem i przeciwnikiem – jakby drugim posiadaczem jego duszy. Były to rzeczy przechodzące kompetencje sędziów; była to subtelna sprzeczka o istotne prawdy życiowe i nie wymagała ona sędziego. Tu potrzeba było wspólnika, pomocnika. Czułem, na jakie ryzyko się narażam, jeżeli dam się w to wciągnąć i będę zmuszony wziąć udział w dyspucie niedającej się rozstrzygnąć, jeżeli się chce pozostać uczciwym względem pewnych szczytnych urojeń mających swoje prawa i wobec tych niechlubnych, mających swe wymagania. Nie mogę wytłumaczyć wam, jak dziwnie pomieszane były moje odczucia, gdyż nie widzieliście go i słyszycie to opowiadanie już z drugich ust. Zdawało mi się, że jestem zmuszany do zrozumienia rzeczy niepojętych – a przykrości tego odczucia nie mogę z niczym porównać. Musiałem patrzeć na tę umowę, ugodę, która czai się na dnie każdej prawdy, wejrzeć w zasadniczą szczerości fałszu. Zwracał się on zarazem do tej strony nas samych, która pozostaje wiecznie zwrócona do światła dziennego, jak i do tej strony, która jak druga strona księżyca egzystuje skrycie w wiecznej ciemności, z bojaźliwym, bladym światłem, ukazującym się tylko czasami na brzegach. Zachwiał mną. Przyznaję się do tego. Sprawa była

mętna, nic nieznacząca – jak sobie chcecie, jakiś zgubiony młokos, jeden na milion – ale o to chodziło, że on był z tych dobrego gatunku; wypadek zupełnie pozbawiony doniosłości, jak na przykład zalanie wodą mrowiska, a jednak tajemnica jego zachowania się działała na mnie tak, jak gdyby był on jednostką stojącą na czele legionu jemu podobnych, jak gdyby niejasna prawda była tak znacząca, iż zagrażała pojęciom o całej ludzkości...

Marlow umilkł, by zapalić na nowo gasnące cygaro, zdawał się zapominać zupełnie o tej historii i nagle znów zaczął mówić:

– To moja wina, naturalnie. Nie należało się tym interesować. To była moja słabość. Jego słabość była innego rodzaju. Moja polegała na tym, że nie odróżniałem rzeczy przypadkowych, zewnętrznych. Nie zwracałem uwagi na łachmany gałganiarza, jak również na cienką bieliznę innego człowieka. Spotykałem tylu ludzi – ciągnął dalej z odcieniem smutku – spotykałem najrozmaitszych, a widziałem w nich tylko ludzką istotę. Jakiś przeklęty, demokratyczny rodzaj widzenia, lepszy zapewne od zupełnej ślepoty, ale nieprzynoszący mi korzyści – upewniam was. Ludzie oczekują, by brano pod uwagę ich cienką bieliznę. Ale ja nie mogłem nigdy zdobyć się na entuzjazm dla tych rzeczy. O! To wada, wielka wada; i oto przychodzi piękny wieczór; gromadka ludzi leni się zasiąść do wista – i słuchają opowiadania...

Umilkł znów, czekając może na zachęcającą uwagę, ale nikt się nie odezwał; tylko sam gospodarz, jakby spełniając obowiązek, szepnął:

– Jesteś subtelny, Marlow.

– Kto? Ja? – rzekł Marlow cichym głosem. – O nie! To on był subtelny. Pomimo wszelkich moich usiłowań, by odtworzyć całą osnowę sprawy, braknie mi niezliczonych odcieni – tak były delikatne, a tak je trudno oddać w bezbarwnych słowach. Bo on

komplikował sprawy przez swą prostotę – biedny chłopak!... Na Jowisza! On był zadziwiający. Oto siedział i mówił, że tak, jak go widzę własnymi oczami, tak on, nie bałby się niczego – i wierzył w to najzupełniej. Powiadam wam, że to było bajecznie niewinne, a zarazem piramidalne! Śledziłem go skrycie, jak gdybym podejrzewał, że ma względem mnie jakieś niedobre zamiary. Był przekonany, że nie było nic takiego, czemu by on nie potrafił stawić czoła. Jeszcze gdy był „małym bębnem", przygotowywał się do wszystkich trudności, jakie go na lądzie lub wodzie mogą spotkać. Dumny był z tego rodzaju przewidywania. Obmyślał niebezpieczeństwa i obronę, spodziewając się rzeczy najgorszych, ćwicząc się w przezwyciężaniu trudniejszych prób. Musiał wieść egzaltowaną egzystencję. Czy możecie to sobie wyobrazić? Cały szereg przygód, wzrastająca chwała z odznaczonych zwycięstw, a z każdym dniem poczucie tych zdolności przenikało głębiej jego wewnętrzną istotę. Zapominał się zupełnie; oczy błyszczały, a za każdym jego słowem moje serce, spalone światłem jego niedorzeczności, coraz bardziej ciążyło mi w piersiach. Nie chciałem się śmiać, więc przybrałem poważny wyraz twarzy, by się przypadkiem nie roześmiać. Jim okazywał pewne zdenerwowanie. „Zwykle zdarzają się rzeczy nieoczekiwane" – rzekłem pojednawczym tonem. Tępota moja wywołała pogardliwy okrzyk: – „Et!" Przypuszczam, że chciał wyrazić, iż rzeczy nieoczekiwane nie mogą go dotknąć; nie mogły się ostać wobec doskonałego przygotowania się z jego strony. Był znienacka napadnięty – i mruczał do siebie przekleństwa na wody, firmament, parowiec i ludzi.

Wszystko go zdradziło! Dopadła go tego wyższego rodzaju rezygnacja, która nie pozwoliła mu ruszyć jednym palcem, podczas gdy tamci, mający doskonale jasne pojęcie sytuacji, popychali się

wzajemnie, rozpaczliwie pracując nad uwolnieniem łodzi. Coś się tam zepsuło w ostatniej chwili. Musiał to być ciekawy widok – gorączkowa praca tych nędzników na nieruchomym parowcu zapadającym powoli w ciszę uśpionego świata: walczyli oni z upływającym czasem, by jak najprędzej uwolnić łódź, klnąc na czym świat stoi, ciągnąc, popychając, warcząc zjadliwie jeden na drugiego, gotowi do mordu, powstrzymywani jedynie bojaźnią śmierci stojącej w milczeniu za ich plecami jak niewzruszony ciemnooki poborca podatków. Och! Tak, musiał to być wspaniały widok! Jim widział to wszystko, mógł o tym mówić z pogardą i goryczą; on za pomocą szóstego zmysłu ogarnął to wszystko, tak przynajmniej wnioskuję, gdyż przysięgał mi, że trzymał się na uboczu, nie rzucając jednego spojrzenia ani na nich, ani na łódź! Wierzyłem mu. Przypuszczam, że zanadto był zajęty groźnym pochylaniem się parowca, tą groźbą odkrytą w chwili najzupełniejszego bezpieczeństwa – zahipnotyzowany był widokiem miecza wiszącego na włosku ponad jego pełną imaginacji głową.

Przed jego oczami nie było żadnego ruchu i mógł bez przeszkody wyobrazić sobie, jak ciemna linia nieboskłonu podniesie się razem ze spokojną powierzchnią wód; widział otwierającą się przepaść, beznadziejną walkę, sklepienie niebios zamykające się na zawsze nad jego głową jak sklepienie grobu – bunt młodego życia – okropny koniec! Mógł! Na Jowisza! Kto by nie mógł? A musicie pamiętać, że on w pewien właściwy sobie sposób był artystą: biedak, był obdarowany władzą szybkich, przenikliwych wizji. To, co widział, zmieniło go w zimny głaz od stóp aż do karku; ale w głowie jego gorączkowo pląsały myśli: były to pląsy ślepych, kulawych myśli – wir strasznych kalek. Czy nie mówiłem wam, że spowiadał się przede mną, jak gdybym miał władzę

odpuszczania grzechów. Zagrzebał się głęboko, głęboko w nadziei mojej absolucji, która jemu na nic by się nie przydała. Była to jedna z tych spraw, w której żaden człowiek pomóc nie może: gdy Stwórca sam zdaje się opuszczać grzesznika, by go zostawić własnemu losowi.

Trzymał się na przeciwnym brzegu mostu, jak mógł najdalej od toczącej się walki o łódź, która nabierała znamion szaleństwa połączonego z tajemniczością spisku. A tymczasem obaj Malajczycy pozostali przy kole steru. Wyobraźcie sobie wszystkich aktorów tej sceny: jedni walczą do ostatecznego wyczerpania, drudzy – w zupełnej nieruchomości przypatrują im się, a nad nimi rozciągnięte płótno kryło zupełną nieświadomość, setki istot ludzkich z ich męką, marzeniami, nadziejami, wstrzymanych niewidzialną ręką nad samym brzegiem przepaści niosącej zupełną zagładę. Bo tak rzeczy się miały, wierzcie mi, wziąwszy pod uwagę stan parowca, innego rezultatu spodziewać się nie można było. Nic dziwnego, że tamci przy łodzi wariowali. Gdybym tam był, nie dałbym złamanego szeląga za to, że parowiec jeszcze sekundę zdoła się utrzymać na powierzchni wody. A jednak utrzymywał się jeszcze! Ci śpiący pielgrzymi mieli ukończyć swą pielgrzymkę. Widocznie Wszechmocna Istota, do łaski której zwracali się, chciała, by pozostali jeszcze chwil kilka na tym świecie i spojrzawszy w dół, dała znak oceanowi: „Czekaj!" Ocalenie ich zaniepokoiłoby mnie jako wypadek przechodzący ludzkie pojęcie, gdybym nie wiedział, jak wytrzymałe jest stare żelastwo – tak jak wytrzymały jest duch ludzki, kołaczący się w ciałach tak wyczerpanych, że zdają się być cieniami.

Nie dziwi mnie zupełnie zachowanie dwóch sterników przez te dwadzieścia minut. Byli oni wraz z innymi tuziemcami przywiezieni z Adenu, by świadczyli w sądzie. Jeden z nich walczył

ciągle z nadzwyczajną nieśmiałością, był bardzo młody. Pamiętam doskonale, że Brierly przez tłumacza spytał go, o czym on myślał w tej chwili niebezpieczeństwa? Tłumacz po krótkiej z nim rozmowie odwrócił się do sądu z miną poważną, oświadczając: „On twierdzi, że wcale nie myślał".

Drugi, z cierpliwymi, mrużącymi się oczyma, wypłowiałą niebieską chustką zgrabnie zawiązaną na siwych kosmykach włosów, z ciemną twarzą, która wydawała się jeszcze ciemniejsza wskutek pokrywających ją zmarszczek – objaśnił, że wiedział, iż coś złego dzieje się z parowcem, ale nie było rozkazu; nie przypomina sobie, by jakiś wydano; więc po cóż miał porzucać ster? Na inne pytania wzruszył szerokimi ramionami i oświadczył, że nigdy mu to przez myśl nie przyszło, by biali ludzie mogli ze strachu uciekać z parowca. I teraz temu nie wierzy. Musiały być jakieś tajemnicze przyczyny. On dobrze wie o tym. Był on człowiekiem wielkiego doświadczenia i chce, by biały Tuan (pan) wiedział – zwrócił się do Brierly'ego, który nie podniósł nawet głowy – że on nauczył się wielu rzeczy, służąc białym ludziom na morzu przez bardzo wiele lat – i nagle uniesiony, zaczął wymieniać dziwnie brzmiące nazwiska zmarłych kapitanów, zapomnianych okrętów. Przerwano mu w końcu. Nastała cisza w sądzie – nieprzerywana cisza trwała parę minut, aż przeszła powoli w szept. Ten epizod wywołał sensację; w drugim dniu śledztwa zrobił wrażenie na wszystkich obecnych; jeden tylko Jim siedział zasępiony na końcu pierwszej ławki i nie spojrzał nawet na tego dziwnego świadka, mającego jakąś tajemniczą teorię obrony.

I tak ci dwaj biedacy nie puszczali steru na parowcu niemającym już żadnej drogi do przebycia, czekając, by znalazła ich śmierć, gdyby im była przeznaczona. Biali nie rzucili im jednego spojrzenia, zapomnieli zapewne o ich egzystencji. Z pewnością Jim nie pamiętał

o nich. Pamiętał, że nic zrobić nie może teraz, gdy pozostał sam. Nic innego nie pozostawało, tylko utonąć z parowcem. Nie było potrzeby przeciwdziałania temu, bo po co? Czekał w milczeniu, zesztywniały w pojęciu jakiejś bohaterskiej dyskrecji. Wołano go po cichu. Pierwszy maszynista przebiegł ostrożnie most i pociągnął go za rękaw. „Chodź pan! Pomóż! Na miłość Boga, chodź i pomóż pan!" Wrócił na palcach do łodzi i znów przybiegł, targając za rękaw, prosząc i przeklinając jednocześnie.

– Zdaje mi się, że gotów był całować moje ręce – rzekł Jim dzikim głosem – a potem zaraz, pieniąc się, szeptał mi w twarz: „Gdybym miał czas, z przyjemnością rozgniótłbym ci czaszkę!" Odepchnąłem go. Nagle schwycił mnie za szyję. Psiakrew! Palnąłem go i nie patrząc trafiłem. „Nie chcesz ratować własnego życia, ty przeklęty tchórzu?" – mówił, łkając. Tchórzu! On nazwał mnie przeklętym tchórzem! Ha, ha, ha, ha! On nazwał mnie... Ha, ha, ha!...

Oparł się o poręcz fotela i trząsł się ze śmiechu. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie bolesnego jak ten śmiech. Padł on jak zaraza na tę wesołość wywołaną osłami, piramidami, bazarami i czy ja wiem czym? Przez całą długość galerii głosy umilkły, blade twarze jednym ruchem zwróciły się ku nam, a cisza stała się tak wielka, iż spadająca na dywan łyżeczka sprawiła donośny hałas.

– Nie możesz się tak śmiać wobec tych ludzi – mówiłem. – To jest dla nich przykre.

Z początku zdawało się, że nie słyszał, ale po chwili, patrząc nie na mnie, ale jakby na jakąś straszną marę – mruknął niedbale:

– O! Pomyślą, żem pijany!

Sądząc z jego wyglądu, zdawałoby się, że już nigdy nie wyda głosu. Ale nie ma obawy! Nie mógł się powstrzymać od opowiadania, tak jak nie mógłby przerwać nici swego życia tylko poprzez samą chęć.

Rozdział IX

– Mówiłem do siebie: „Toń, przeklęty! Toń!” – tymi słowy zaczął znowu opowiadanie.

Chciał, żeby to się już skończyło. Był sam i to wezwanie do parowca sformułował w swej głowie, a zarazem bawił się widokiem lichej komedii. Wciąż jeszcze majstrowali przy łodzi. Kapitan wydawał rozkazy: „Wleźcie pod spód i spróbujcie podnieść!” – tamci naturalnie myśleć o tym nie chcieli.

– Rozumie pan, że znaleźć się pod łodzią, kiedy parowiec mógł w jednej chwili zatonąć, nie było rzeczą pożądaną. „A czemuż pan nie wlezie – pan jest najsilniejszy!” – zapiszczał mały maszynista. „Do diabła! Za gruby jestem!” – odciął się zrozpaczony kapitan.

To było tak śmieszne, że mogło aniołów do łez pobudzić. Stali chwilę bezradnie i nagle główny maszynista rzucił się do Jima: „Chodź pan i pomóż, człowieku! Zwariował pan, czy co, by wyrzekać się ostatniej nadziei ocalenia? Chodź pan, pomóż, człowieku! Człowieku! Spójrz pan tam – spójrz!” Jim zwrócił nareszcie wzrok ku miejscu z takim uporem wskazywanym przez tamtego. Ujrzał czarną chmurę, która zajęła już trzecią część nieba. Wiecie, jak się takie chmury zjawiają o tej porze roku. Z początku widnokrąg ciemnieje – nic więcej; następnie wznosi się chmura prostopadła jak mur. Prosta smuga oparów podbita białymi błyskami podnosi się z południowej strony, wchłania w siebie wszystkie gwiazdy, jej cienie ścielą się nad wodami i łączą niebo z morzem w jednej ciemnej otchłani. Spokój zupełny, ani wiatru, ani grzmotu – żadnego dźwięku; ani śladu błyskawicy. Później

w tym mrocznym bezmiarze ukazuje się blady łuk, raz, czy dwa coś zadrga w tej ciemności i nagle – deszcz i wicher spadają z nadzwyczajną gwałtownością, jak gdyby przebiły się przez coś twardego. Taka chmura zebrała się właśnie w tej chwili. Spostrzegli ją i zupełnie słusznie powzięli przekonanie, że jeżeli przy zupełnym spokoju była jakaś nadzieja, że parowiec parę minut utrzyma się jeszcze, to przy najlżejszym ruchu morza musi zatonąć natychmiast. Jego pierwsze pochylenie się przy podmuchu poprzedzającym wybuch huraganu będzie ostatnim, zanurzy się w morzu i powoli, powoli spadnie na samo dno. Taka była przyczyna nowego wybuchu ich trwogi, nowego miotania się, wyrażającego całą głęboką odrazę wobec śmierci.

– Było czarno, zupełnie czarno – ciągnął dalej Jim posępnie. – Wypełzło to za naszymi plecami. Piekielna sztuka! Przypuszczam, że dotąd jeszcze tliła się iskierka nadziei w mej głowie. Nie wiem. Teraz wszystko przepadło. Szalałem, czując się tak przyłapany. Wściekły byłem, jak gdybym dał się złapać w pułapkę. Byłem schwytany! Nie było parno, przypominam sobie. Ani jednego drgnienia w powietrzu.

Pamiętał to tak dobrze, że teraz dyszał, siedząc w fotelu, pocił się i dusił. Bez wątpienia przywiodło go to na skraj szaleństwa, ale zarazem przypomniał sobie zamiar, dla którego leciał na pomost, o czym najzupełniej potem zapominał. Chciał poodcinać łodzie ratunkowe! Wyciągnął nóż z kieszeni i ciął na prawo i lewo, jak gdyby nic nie słyszał, nie widział, był sam na pomoście. Tamci myśleli, że zwariował i nie śmieli przeszkadzać mu w tym, co uważali za niedorzeczną stratę czasu. Gdy skończył, wrócił na to samo miejsce, gdzie stał poprzednio. Główny maszynista czekał tam na niego, chwycił jego rękę i szepnął mu do ucha z tak bliska, jak gdyby chciał je odgryźć.

– Cóż ty, głupcze, myślisz, że oni ci pomogą, te bestie, gdy się znajdą w wodzie? Bijąc się o łodzie, tobie także zgruchoczą głowę!

Jim nie zwracał na nic uwagi.

Kapitan nerwowo szurał nogami, nie ruszając się z miejsca: „Młota, młota dajcie! Na Boga! Prędzej!" Mały maszynista chlipał jak dziecko, ale pomimo, że miał złamaną rękę, okazał więcej od innych przytomności i zdobył się na odwagę, by skoczyć do kajuty dla maszynistów. Jim mówił, że rzucał rozpaczliwie spojrzenia, jak człowiek osaczony, jęknął boleśnie i pomknął. Wrócił natychmiast, trzymając młot w ręku i rzucił się do łodzi. Inni odstąpili Jima i pobiegli pomagać. Jim słyszał uderzenia młotem i dźwięk spadającego łańcucha. Łódź była wolna. Wówczas obejrzał się – tylko wówczas. Ale trzymał się na dystans – trzymał się z dala. Chciał, bym pamiętał, że zachował dystans, że nic wspólnego nie było między nim a tymi ludźmi z młotem. Nic a nic. Jest więcej niż prawdopodobne, że myślał, iż jest od nich oddzielony przestrzenią niedającą się przebyć, przeszkodą niedającą się zwalczyć – bezdenną przepaścią. Dzieliła ich cała szerokość parowca.

Stopy jego przywarły do miejsca, gdzie stał, a oczy – do tej grupy ludzi pracujących z wysiłkiem, dręczonych straszną obawą. Lampa wisząca na słupie rzucała światło na te pochylone ramiona, łukowato zgięte od wielkiego wysiłku plecy. Pchali łódź; spychali z całej siły i już nie oglądali się na niego. Zostawili go, jak gdyby rzeczywiście był zbyt oddalony, by warto było zwrócić się do niego ze słowem, spojrzeniem lub znakiem. Nie mieli czasu patrzeć na jego bierne bohaterstwo. Łódź była ciężka, pchali ją z takim wysiłkiem, że już tchu nie starczyło na jakieś słowo zachęty; ale strach targający nimi jak wicher liśćmi zmienił ich rozpaczliwe wysiłki w jakieś śmieszne podrygi przypominające farsy klaunów. Pchali rękami, głową, całym ciężarem swego ciała, całą mocą duszy

– ale gdy tylko zdołali poruszyć ją z miejsca, jednym dzikim skokiem rzucili się w nią. Łódź zakołysała się gwałtownie, oni tłukli się o siebie, ale pozostali na miejscu. Stali tak chwilę, szeptem obrzucając się najohydniejszymi wyrazami, jakie tylko mogli znaleźć i na nowo zabierali się do pracy. Powtarzało się to trzy razy. Opisywał mi to z ponurą zadumą. Nie stracił ani jednego ruchu z tego śmiesznego widowiska.

– Pogardzałem nimi. Nie widziałem ich. A musiałem patrzeć na to wszystko – mówił bez emfazy, rzucając na mnie badawcze spojrzenie. – Czy ktoś kiedyś był na coś takiego narażony?!

Chwycił się za głowę jak człowiek dotknięty niewypowiedzianą zniewagą. To były rzeczy, których nie mógł wyjaśnić sądowi – ani nawet mnie; ale okazałbym się niegodnym jego zwierzeń, gdybym nie był zdolny rozumieć, co się mieści pod niedomówionymi słowami. W tej napaści na jego męstwo były szydercze intencje niskiej zemsty; był jakiś pierwiastek komizmu w tym jego przeżyciu, gdy zbliżaniu się śmierci lub hańby towarzyszyły śmieszne skoki i dziwaczne miny.

Opowiadał fakty, o których nie zapomniałem, ale słów jego powtórzyć już nie mogę, wyszły mi z pamięci; pamiętam tylko, że usiłował opanować miotający nim gniew, opowiadając nagie fakty. Dwa razy, jak mówił, zamykał oczy, będąc pewny, że koniec już nadszedł, i dwa razy musiał otwierać je na nowo. Za każdym razem zdawał sobie sprawę ze zwiększającej się ciemności. Cień milczącej chmury spadł z zenitu na parowiec, zdając się głuszyć wszelki odgłos życia. Nie słyszał już żadnych głosów z pokładu. Mówił, że ile razy zamykał oczy, tyle razy widział tę masę ludzi wiedzionych na śmierć tak pewną, jak pewny jest codzienny wschód słońca. Gdy zaś je otwierał, widział tych czterech ludzi walczących jak szaleńcy z oporną łodzią.

– Od czasu do czasu odskakiwali, obrzucali się przekleństwami i znów rzucali się... Można było ze śmiechu umrzeć – dodał ze spuszczonymi oczami; a nagle spojrzał na mnie ze strasznym uśmiechem i rzekł – Powinienem być wesoły przez resztę życia, na Boga! Wszak zanim umrę, ten zabawny widok nieraz ukaże się moim oczom. – Powieki jego znów opadły. – Patrz i słuchaj... patrz i słuchaj – powtórzył dwa razy, robiąc długą przerwę.

Wyprostował się.

– Postanowiłem trzymać oczy zamknięte – mówił – ale nie mogłem. Nie mogłem i nie dbam o to, czy ktoś w to wierzy. Niech przejdą przez takie chwile, a wtedy niech gadają. Raptem szeroko otwarły się moje oczy i usta. Czułem, że parowiec się poruszył. Pochylił swój dziób i znów podniósł – delikatnie, powolutku, ale tak się nie poruszył już od wielu dni. Chmura wybiegła naprzód i ten pierwszy ruch zdawał się poruszać morze z ołowiu. Nie było życia w tym drgnieniu. A jednak wystarczyło, żeby przewrócić coś w mojej głowie. Co by pan uczynił? Pewny jest pan siebie – prawda? A co by pan zrobił, gdyby uczuł pan w tej chwili – że ten dom drga? Skoczyłbyś! Na Boga! Jednym rzutem znalazłbyś się w tamtych oto krzakach.

Wyciągnął rękę, wskazując krzewy, znajdujące się poza balustradą. Zachowałem spokój. Spojrzał na mnie poważnie, surowo. Nie mogło być pomyłki; dałem się wciągnąć, więc należało mieć się na baczności, by słowem lub gestem nie zdradzić fatalnego przypuszczenia, że i ze mną coś podobnego stać by się mogło. Nie byłem usposobiony, by zaryzykować w jakikolwiek sposób. Pamiętajcie, że on siedział przede mną i śledził mnie bacznie. Ale jeżeli chcecie wiedzieć, to przyznaję, że jednym rzutem oka oceniłem przestrzeń dzielącą nas od ciemnej gęstej masy krzewów, znajdujących się na środku gazonu przed werandą. Przesadzał.

Zerwałbym się i odskoczył na kilka kroków, tego jestem zupełnie pewny.

Sądził, że nadeszła ostatnia chwila, ale się nie poruszył. Nogi jego pozostały przylepione do deski, na której stał, chociaż myśli kotłowały w głowie. W tej to właśnie chwili ujrzał, że jeden z ludzi walczących przy łodzi – odskoczył nagle w tył, wzniesionymi rękami chwytał powietrze, zachwiał się i upadł. Nie upadł właściwie, osunął się powoli do pozycji siedzącej.

– Był to chłopiec o bladej, wynędzniałej twarzy, z poszarpanymi wąsami. Spełniał obowiązki trzeciego maszynisty – wyjaśnił.

– Umarł – rzekłem, gdyż słyszałem coś o tym w sądzie.

– Tak mówią – odparł z ponurą obojętnością. – Ja o tym nie wiedziałem. Słabe serce. Podniecenie. Wyczerpanie. Diabli wiedzą! He, he! Widocznie i on również bardzo nie chciał umierać. Czy to nie śmieszne? Niech mnie diabli porwą, jeżeli nie zgłupiał do tego stopnia, że sam był przyczyną swej śmierci! Został zbałamucony – zmuszony do tego, na Boga! Tak jak ja!... Ach! Gdyby siedział sobie spokojnie; gdyby odesłał ich do wszystkich diabłów, gdy przyszli wyciągać go z hamaka mówiąc, że parowiec tonie! Gdyby stał tu z rękami w kieszeniach i wymyślał im tylko!

Wstał, zacisnął pięść, spojrzał na mnie i znów usiadł.

– Stracona sposobność, co? – szepnąłem.

– Dlaczegóż się pan nie śmieje? – rzekł. – To żart z piekła rodem. Słabe serce! Czasami żałuję, że moje nie było tak słabe.

To mnie zirytowało.

– Doprawdy? – zawołałem z głęboką ironią.

– Tak. Nie może pan tego zrozumieć? – krzyknął.

– Nie wiem, czego mógł pan chcieć więcej – odparłem gniewnie.

Rzucił mi pełne niezrozumienia spojrzenie. Ten pocisk również nie trafił do celu, a był on człowiekiem nietroszczącym się

o chybione strzały. Na honor, był za mało podejrzliwy; z nim nie można było prowadzić pięknej gry. Rad byłem, że mój pocisk chybił – że nawet nie usłyszał lotu strzały.

Rozumie się, wtedy nie mógł wiedzieć, że ten człowiek nie żyje. Następna minuta – ostatnia, jaką spędził na parowcu – była natłoczona masą wypadków i uczuć, bijących w niego jak fale morskie o skałę. Używam tego porównania, gdyż jego opowiadanie zmusiło mnie do uwierzenia, że on w tym wszystkim zachował dziwne złudzenie bierności, jak gdyby nie on sam działał, lecz dał się pociągnąć piekielnej mocy, która obrała go na ofiarę swych żartów.

Pierwszym odgłosem, jaki doszedł do jego świadomości, był zgrzyt spuszczanej nareszcie łódki; przeniknął go od stóp do głów. Orkan miał zerwać się lada chwila, drugi, silniejszy podmuch przechylił bierną łupinę parowca tak groźnie, że tchu mu zbrakło, a jednocześnie mózg jego i serce przeszywały jak sztyletami krzyki zdradzające paniczny strach.

– Prędzej! Prędzej! Na miłość Boga! Już tonie!

W tej chwili na pokładzie podniosły się przestraszone głosy.

– Kiedy tamci zaczęli wrzeszczeć, umarłego by zbudzili – rzekł.

Gdy łódź literalnie wpadła do wody, rozległy się w niej tupotania nóg i krzyki. „Zdjąć z haka! Prędzej! Odbijaj! Prędzej, bo zginiemy! Orkan tuż nad nami...” – Jim ponad swą głową słyszał lekki szelest wiatru, a pod stopami okrzyki boleści. Czyjś podniesiony głos miotał przekleństwa na hak utrzymujący łódź na uwięzi. Parowiec zaczął brzęczeć, huczeć jak przewrócony ul. Jim opowiadał o tym wszystkim spokojnie – właśnie w tej chwili zachowanie się jego, głos i spojrzenie było spokojne – i nagle powiedział bez słowa ostrzeżenia:

– Potknąłem się o jego nogi.

Tu dowiedziałem się po raz pierwszy, że ruszył się z miejsca. Nie mogłem powstrzymać pomruku zdziwienia. Coś go porwało, rzuciło naprzód, ale co było przyczyną, że wyszedł ze swej nieruchomości, nie wiedział, tak jak nie wie wyrwane z korzeniem drzewo o wichrze, który powalił je na ziemię. To wszystko spadło na niego: krzyki, widok grożącego orkanu, nogi zmarłego – wszystko – na Jowisza! Piekielny żart utkwił mu w gardle – ale uważajcie – nie przyznawał, by objawił się w jego gardzieli jakiś ruch połykający. To dziwne, jak on umiał narzucać się ze swymi urojeniami. Słuchałem, jakby mówił o jakichś sztukach czarnej magii dokonywanych na trupie.

– Przewrócił się na bok bardzo powoli i to jest ostatnie wspomnienie, jakie wyniosłem z parowca – mówił dalej. – Nie obchodziło mnie, co on robi. Wyglądał, jak gdyby chciał się podnieść; oczekiwałem, że zaraz się zerwie i wskoczy za innymi do łódki. Słyszałem stukania o łódź i czyjś przeciągły głos wołał: „George!" Trzy głosy razem podniosły wrzask: jeden ryczał, drugi wył, trzeci... beczał! Ach!

Zadrżał i widziałem, jak wstawał powoli, jak gdyby czyjaś niewidzialna ręka podnosiła go za włosy z krzesła. Podnosiła, a gdy wyciągnęła go na całą wysokość aż kolana wyprostowały się zupełnie – wówczas puściła go, a on zachwiał się na nogach. W jego ruchach, w twarzy, w głosie, była jakaś dziwna nieruchomość, gdy rzekł:

– Oni krzyczeli...

Mimowolnie nastawiłem uszu, jak gdyby mógł do mnie dojść ten głos.

– Na tym parowcu było osiemset ludzi – rzekł, przygważdżając mnie do miejsca ponurym wzrokiem. – Osiemset żywych ludzi, a oni wrzeszczeli domagając się, by jeden zmarły skoczył do łódki

i został ocalony. „Skacz, George! Skacz, prędzej!" Stałem nad łodzią zupełnie spokojnie. Było ciemno jak na dnie przepaści. Nie było widać ani nieba, ani morza. Słyszałem, jak łódź tłukła się o brzeg parowca, który rozbrzmiewał teraz głosami dochodzącymi z pokładu. Nagle kapitan wrzasnął: „Mein Gott! Orkan! Orkan! Odbijaj!" Z pierwszym świstem deszczu i hukiem wiatru doleciały mnie ich głosy. „Skacz, George! Schwycimy cię! Skacz!" Parowiec zaczął się pogrążać; deszcz zalewał potokami wody pomost; wiatr zerwał mi czapkę z głowy; nie mogłem odetchnąć. Zdawało mi się, że jestem na wysokiej wieży i słyszę dziki wrzask: „Ge-o-rge! Skacz!" Parowiec pogrążał się coraz głębiej i głębiej...

Ostrożnie podniósł rękę do twarzy i wykonywał ruchy palcami, jak gdyby bronił się od pajęczyny, zasnuwającej mu twarz, następnie patrzył na swą dłoń przez parę sekund, nareszcie wyrzucił z siebie:

– Skoczyłem... – tu zatrzymał się i odwrócił wzrok – zdaje się – dodał.

Jego jasne, niebieskie źrenice zwróciły się na mnie pełne boleści, a patrząc na niego, tak zgnębionego, zbolałego, doznawałem smutnego uczucia i głębokiej litości, jaką musi odczuwać stary, bezsilny mężczyzna na widok rozpaczy dziecka.

– Na to wygląda! – mruknąłem.

– Nic o tym nie wiedziałem, zanim nie spojrzałem w górę – wyjaśnił pospiesznie.

I tak również być mogło. Należało słuchać jego opowiadania, jakby się słuchało małego chłopca zwierzającego się ze swych zmartwień. On o niczym nie wiedział. Zdarzyło się to jakoś. Wpadł na kogoś i uderzył się o poprzecznicę. Zdawało mu się, że wszystkie żebra po lewej stronie ma złamane, przewrócił się na drugi bok i wówczas ujrzał niejasne zarysy parowca wznoszącego się nad nim

z czerwonym blaskiem lampy przeświecającym przez ulewę jak ogień na wzgórzu widziany poprzez mgłę.

– Zdawał się wyższy od muru; wznosił się jak skała nad łodzią... Chciałem umrzeć – krzyknął. – Nie mogłem już wrócić. Skoczyłem jakby do jakiejś studni, w czarną bezdenną przepaść... w wiekuistą głęboką dziurę!...

Rozdział X

Patrzył na swe złączone palce, potem rozszczepił je znowu. To była szczera prawda: wskoczył w wiekuistą, głęboką przepaść! Zleciał z wyżyny, na którą się już nigdy więcej nie wdrapie. Tymczasem łódź płynęła dalej. Było zbyt ciemno, by mogli się widzieć nawzajem, a przy tym oślepiała ich ulewa. Zdawało im się, że przepływają przez jakąś jaskinię. Plecami zwrócili się do wichru, myśląc, że wraz z tą powodzią i piekielną ciemnością nadszedł koniec świata. Morze dźwięczało „jak dwadzieścia tysięcy rondli" – to jego, nie moje porównanie. Zdaje mi się, że tylko pierwszy podmuch orkanu był straszny i on sam przyznał na sądzie, że wzburzenie morza nie przeszło zwykłych granic. Skulił się w łodzi i rzucił spod oka spojrzenie za siebie. Ujrzał żółte światełko na szczycie masztu, które zdawało się być gwiazdą mogącą zniknąć w każdej chwili.

– Struchlałem widząc je tam jeszcze – rzekł.

Oto co powiedział. Przeraziła go myśl, że katastrofa jeszcze nie nadeszła. Nie ma wątpliwości, że pragnął, by ta okropna rzecz stała się jak najprędzej. Nikt z siedzących w łodzi nie odzywał się. W tej ciemności łódź zdawała się pędzić, ale w rzeczywistości nie odpłynęła jeszcze daleko. Nawałnica poszła dalej; towarzyszył jej straszny, mrożący krew w żyłach huk morza, który ścichł w oddali. Teraz słychać było tylko szum fal, obijających się o boki łódki. Ktoś dzwonił gwałtownie zębami. Czyjaś ręka dotknęła jego pleców. Słaby głos rzekł: „Ty tutaj?" Ktoś inny krzyknął trzęsącym się głosem: „Zatonął!" Wszyscy zerwali się i spojrzeli za siebie. Nie

ujrzeli światła. Było zupełnie ciemno. Zimny deszczyk prószył w twarze. Łódź sunęła powoli. Zęby dzwoniły szybciej, przestały i znów dzwoniły, ten człowiek musiał użyć całej siły, by to drżenie opanować, zanim zdołał wymówić: „W... sa... m... cz... a... s... Brr!" Jim poznał głos pierwszego maszynisty, który mówił posępnie: „Widziałem, jak tonął, przypadkiem obejrzałem się w tej właśnie chwili".

Wiatr ścichł prawie zupełnie. Siedzieli w ciemnościach, nadstawiając uszu, myśląc, że usłyszą jakieś krzyki. W pierwszej chwili rad był, że ciemności zakryły przed nim wszystko, ale później to, że wiedział o tym, a nic nie słyszał ani nie widział, wydawało mu się kulminacyjnym punktem strasznego nieszczęścia.

– Czy to nie dziwne? – szepnął, przerywając sobie to bezładne opowiadanie.

A mnie się to tak dziwne nie wydawało. Miał on jakieś nieświadome przekonanie, że rzeczywistość ani w połowie nie mogła być tak okropna, straszna, jak to, co mu przedstawiła jego imaginacja. Wierzę, że w pierwszej chwili jego serce wiło się z bólu, dusza poznała smak spotęgowanej trwogi, całą okropność, całą rozpacz ośmiuset istot ludzkich napadniętych ciemną nocą przez nagłą, gwałtowną śmierć – bo dlaczegoż by rzekł:

– Zdawało mi się, że muszę wyskoczyć z tej przeklętej łodzi i płynąć z powrotem – pół mili – więcej – do samego miejsca...

Skąd taki impuls? Czy rozumiecie jego znaczenie? Powrócić do tego samego miejsca! Dlaczego nie płynąć dalej? – Jeżeli myślał o utonięciu – to dlaczego chciał wracać na to samo miejsce, jak gdyby jego imaginacja potrzebowała ukojenia pod postacią zdobytej pewności, że wszystko się już skończyło, zanim jego własna śmierć przyniesie mu wyzwolenie? Wątpię, czy ktoś z was zdoła inaczej to wytłumaczyć. Był to jedno z tych dziwnych,

podniecających błysków poprzez mgłę. Było to nadzwyczajne odkrycie. Powiedział to w sposób zupełnie naturalny. Zwalczył ten impuls i odczuł nadzwyczajną ciszę panującą wokoło. Cisza na morzu, na niebie, zlana z tym bezmiarem przestrzeni, niczym niemącona otaczała te szalone, drgające życiem jednostki jak cisza śmierci.

– Słyszałby pan szpilkę spadającą na dno łódki – powiedział z dziwnym skrzywieniem ust, jak człowiek usiłujący opanować swe uczucia podczas opowiadania wzruszających faktów.

Cisza! Jeden Bóg, który chciał, by Jim był taki, jaki był, wie, jak on ją odczuwał.

– Nie sądziłem, by mogła gdziekolwiek panować taka cisza! – rzekł – Nie można było odróżnić morza od nieba; nie było nic słychać ani widać. Żadnego błysku, żadnego dźwięku – nic! Można było przypuszczać, że cały ląd stały zapadł się na dno morza; ci wszyscy ludzie potonęli oprócz mnie i tamtych siedzących w drugim kącie łodzi.

Pochylił się nad stołem, wyciągając ręce.

– Ja w to wierzyłem. Wszystko zginęło... wszystko przepadło... – Tu westchnął głęboko – wraz ze mną!

Marlow wyprostował się nagle i odrzucił gwałtownym ruchem cygaro. Zdawało się, że mała rakieta przecięła powietrze. Nikt się nie poruszył.

– No? Cóż wy o tym myślicie? – krzyknął z nagłym ożywieniem. – Czyż on nie był szczery wobec siebie, co? Jego ocalone życie zmarnować się musi z braku gruntu pod nogami, z braku dźwięków jakichkolwiek lub widoków. Ogólne zniszczenie! Otaczała go tylko noc ciemna, cisza, żadnego ruchu w powietrzu lub na morzu – nic!

Trwało to przez chwilę i nagle jednogłośnie wszyscy zaczęli rozprawiać o tej ucieczce. „Ja od razu wiedziałem, że on zatonie.

Jedna chwila, a byłoby już za późno!" – mówili.

Jim milczał. Raptem i wietrzyk powrócił, i szmer morza złączył się z tym rozmownym nastrojem, z tą reakcją po chwilach strasznej ciszy i trwogi. Zatonął! Zatonął! Nie ma tu żadnej wątpliwości. Nikt by tu pomóc nie zdołał. Powtarzali wciąż te same i te same słowa, jak gdyby nie mogli się od nich powstrzymać. Nie można się było czegoś innego spodziewać. Światełka pogasły... Jakże mogło być inaczej? Musiał zatonąć... Zauważył, że mówią tak, jak gdyby zostawili za sobą tylko pusty parowiec. Wywnioskowali, że zatonięcie musiało nastąpić bardzo prędko. To przekonanie sprawiało im pewną przyjemność. Zapewniali jeden drugiego, że musiał zatonąć „jak kawał żelaza". Główny maszynista utrzymywał, że światełko na szczycie masztu zgasło w chwili tonięcia „jak zapałka, którą rzucasz na ziemię". Na to drugi maszynista wybuchnął histerycznym śmiechem. „Jak... że... się... cie... szę, cie... szę..."

– Nagle zęby jego zgrzytnęły i zaczął płakać – rzekł Jim. – Płakał, szlochał jak dziecko, jęcząc: „ojoj", „ojoj"! Przestał na chwilę, by znów zacząć gwałtownie: „o moja ręka! moja... bie... ed... na... rę... ka!". Miałem ochotę go stłuc. Teraz widziałem zarysowujące się linie ich ciał. Gadali i gadali ciągle, a we mnie wszystko drgało, a cóż miałem robić? Zdawało mi się, że jeżeli się poruszę, rzucą się na mnie.

Ręka jego wyciągała się ukradkowo, dotknęła kieliszka likieru i nagle cofnęła się, jak gdyby dotknęła rozpalonego żelaza. Podsunąłem mu butelkę.

– Może się pan napije? – spytałem.

Spojrzał na mnie gniewnie.

– Czy myśli pan, że nie zdołam wszystkiego wypowiedzieć bez podniecania się alkoholem?

Gromada „obieżyświatów” poszła już spać. Byliśmy sami, tylko w cieniu rysowała się jakaś biała postać. Spojrzałem na nią, pochyliła się, zawahała i odeszła powoli. Późno już było, ale nie zachęcałem mego gościa do pośpiechu.

Pogrążony w stanie zgnębienia Jim usłyszał, że jego towarzysze zaczynają komuś wymyślać. „Ty wariacie, dlaczego nie chciałeś skakać?” – mówił ktoś rozgniewanym tonem. Główny maszynista porzucił ster i sunął naprzód, jak gdyby miał złe zamiary „względem największego idioty, jaki istniał na świecie”. Kapitan, siedząc przy wiosłach, wymyślał najokropniejszymi wyrazami. Słysząc ten wrzask, Jim podniósł głowę i usłyszał imię „George”, a czyjaś ręka wymierzyła mu cios w piersi. „Co masz do powiedzenia na swą obronę, ty głupcze?” – wrzasnął ktoś gniewnie.

– Uważasz pan – rzekł Jim – wymyślali mi, łajali... myśląc, że jestem George’em. – Umilkł, usiłował uśmiechnąć się, odwrócił oczy i mówił dalej: – Mały maszynista podsunął swą głowę pod sam mój nos. „Ależ to ten przeklęty pomocnik kapitana!” – „Coo?” – zawył kapitan z drugiego końca łodzi. – „Co?” – wrzasnął pierwszy maszynista i również pochylił się, by spojrzeć w moją twarz.

Znowu wiatr ucichł. Deszcz padać zaczął, a monotonny, trochę tajemniczy odgłos spadających w morze kropli rozlegał się naokoło.

– Byli zbyt zdziwieni, by zdobyć się na jakieś słowa – opowiadał Jim – a ja, cóż miałem im powiedzieć? – Zawahał się przez chwilę, widocznie zmuszając się do dalszego opowiadania. – Zarzucali mnie ohydnymi słowami.

Głos jego to zniżał się do szeptu, to podnosił się nagle, nabierał twardych, pogardliwych dźwięków, jak gdyby mówił o czymś wstrętnym, obrzydliwym.

– Wszystko jedno, jak oni mnie nazywali – mówił – czułem nienawiść w ich głosie. Nie mogli mi wybaczyć, że siedzę w tej łodzi. To ich doprowadzało do wściekłości... – parsknął śmiechem. – – A ja siedziałem tak, widzi pan? – Usiadł na brzeżku stołu, ręce założył na piersiach. – Jedno lekkie pchnięcie, a byłbym poszedł za innymi, jedno tylko... leciutkie. – Zmarszczył brwi i uderzając się palcem w czoło, mówił: – Myśl ta siedziała tu ciągle... a deszcz zimny, gęsty, mroźny jak stopniały śnieg spadał na moje cienkie ubranie – już mi tak zimno nigdy w życiu nie będzie. Niebo było czarne, zupełnie czarne. Ani jednej gwiazdy, nigdzie żadnego światełka. Nic poza tą przeklętą łodzią i tymi wyjącymi na mnie małpami. „Jap! Jap! Co tu robisz? Ananasik z ciebie! Pańska krew nie pozwoliła ci pracować z nami! Wyrwałeś się ze swej niemocy, co? Aby się tu wcisnąć, co? Jap! Jap! Nie wart jesteś, żeby żyć! Jap! Jap!" Szczekali jak psy jeden przez drugiego, rzucając najbrudniejsze wyrazy. Słuchałem tych wymyślań; one mnie utrzymały przy życiu, powiadam panu. A oni wyli dalej, jak gdyby chcieli samym hałasem wyrzucić mnie z łódki. „I miałeś dość odwagi, by skoczyć! Wcale nie jesteś tu potrzebny! Gdybym wiedział, że to ty, to bym cię wyrzucił, ty psie! Co zrobiłeś z tamtym? Gdzie znalazłeś odwagę, by skoczyć, ty tchórzu! Czemu nie wyrzucimy cię teraz?..." Tchu im zbrakło. Ulewa poszła dalej. A wokoło naszej łodzi znów było cicho, żadnego głosu. Chcieli mnie widzieć w morzu? Na moją duszę – przysięgam! – ujrzeliby, gdyby zachowywali się spokojnie. Chcieli mnie wyrzucić! „Spróbujcie!" – rzekłem. „Podły" – mruknęli obaj. Było tak ciemno, że tylko wtedy, gdy się poruszyli, byłem pewny, że ich widzę. Na Boga! Pragnąłem tylko, by się zabrali do czynu!

– Co za dziwna historia! – zawołałem, nie mogąc powstrzymać okrzyku.

– Niezła – co? Oni wmawiali w siebie, że ja coś z tamtym zrobiłem. Po co? I skąd ja, u diabła, mogłem wiedzieć co się z nim stało? W jakiś sposób dostałem się do tej łodzi, do tej łodzi... ja! – Mięśnie jego ust skurczyły się dziwnie i wywołały jakiś niezwykły u niego wyraz, krótkotrwały jak błyskawica pozwalająca na sekundę zajrzeć w tajemniczą głąb chmury. – A jednak tak się stało. Ja siedziałem między nimi, czyż nie tak? Czyż to nie straszne, że człowiek może być zmuszony do spełnienia takiego czynu – i być odpowiedzialnym za niego? Skądże ja mogłem wiedzieć coś o tym George'u, którego tak przywoływali? Przypominam sobie, że go widziałem leżącego na pomoście. „Zabójca i tchórz!" – wołał główny maszynista; zdawał się zapominać, że są inne wyrazy. Mało mnie to obchodziło, ale głos jego zaczął mnie męczyć. „Milcz!" – rzekłem. Na to on zaczął krzyczeć: „Ty go zabiłeś! Ty go zabiłeś!" „Nie! – wrzasnąłem. – Ale ciebie zabiję natychmiast!" Zerwałem się, a on upadł w tył ze strasznym, głośnym hukiem. Nie wiem z jakiej przyczyny. Było zupełnie ciemno. Przypuszczam, że chciał się cofnąć. Stałem jeszcze, patrząc przed siebie, a mały maszynista zaczął szlochać: „Chyba nie tkniesz biedaka ze złamaną ręką, przecież uważasz się za dżentelmena!" Usłyszałem ciężkie kroki – jeden-dwa – i potężne sapanie. Tamta druga bestia zbliżała się ku mnie. Widziałem tego potwora jak we mgle czy we śnie. „Chodź tu bliżej!" – krzyknąłem. Rzuciłbym go w morze jak niepotrzebny balast. Stanął, mruknął coś do siebie i wrócił na swe miejsce. Może usłyszał, że znów nadchodzi burza. Ja nie słyszałem. Było to ostatnie, gwałtowne echo orkanu. Żałowałem, że nie mogłem spróbować...

Otwierał i zamykał swe zgięte palce, a ręce mu drżały gotowe do schwytania ofiary.

– Spokojnie, spokojnie – szepnąłem.

– Co? Co takiego? Ja jestem spokojny – bronił się bardzo dotknięty, konwulsyjnym ruchem łokcia zrzucając butelkę z koniakiem. Rzuciłem się naprzód. Zeskoczył ze stołu, jak gdyby za jego plecami wybuchła mina, twarz mu zbladła, oczy patrzyły dziko. Po chwili objawił się w nich wyraz wielkiego zawstydzenia. – Ach! Jak mi przykro. Jakże jestem niezręczny! – mówił, gdy niemiły odór rozlanego alkoholu owiał nas jak w jakimś szynku.

Pogaszono światła w sali jadalnej; nasze świece samotnie błyszczały w długiej galerii, kolumny stały się czarne od podstawy do szczytu. Przy świetle gwiazd jasno odrzynały się gmachy portowe, jak gdyby te kamienne olbrzymy przysunęły się bliżej, by słuchać.

Przybrał wyraz zupełnej obojętności.

– Śmiało twierdzę, że dziś mniej jestem spokojny niż wówczas. Byłem przygotowany na wszystko.

– Niemiłe przechodziłeś chwile w tej łodzi – rzekłem.

– Byłem gotów – powtórzył. – Gdy pogasły światła parowca, wszystko mogło się stać w tej łodzi – wszystko na świecie, a nikogo by to nie obeszło. Czułem to i byłem z tego zadowolony. Byliśmy jak zamurowani w grobie. Żadnej łączności z czymkolwiek na ziemi. Więc nikt nie wypowie o nas swego zdania, nikt się nami nie będzie zajmować. – Po raz trzeci już w ciągu tej rozmowy roześmiał się okropnie, ale już nikogo nie było na galerii, by go mógł posądzać o upicie się. – Nie dotyczył nas strach, prawa dla nas nie istniały, nikt na nas nie patrzył, nawet my sami, przynajmniej do wschodu słońca.

Uderzyła mnie prawda zawarta w tych słowach. Coś jest szczególnego w małej łodzi rzuconej na szeroką przestrzeń morza. Nad tymi istotami, które wyrwały się z objęć śmierci, zdaje się wisieć szaleństwo. Gdy stracisz swój okręt z oczu, zdaje ci się,

że zginął dla ciebie cały świat; ten świat, który cię stworzył takim, jakim jesteś i opiekował się tobą. To tak, jak gdyby dusze ludzi pływających po tym bezdennym bezmiarze uwolnione były ze wszystkich karbów i mogły spełniać wszelkie nadużycia zarówno na polu heroizmu, jak głupstwa i obrzydliwości. W tym wypadku było coś wstrętnego, co czyniło to odosobnienie całkowitym – ohyda okoliczności odcinających tych ludzi od reszty ludzkości, której ideał postępowania nie przeszedł nigdy podobnej próby. Byli wściekli na niego za jego wahanie; on skupił na nich nienawiść do całej tej sprawy, pragnął zemścić się za tę pokusę, którą mu postawili na drodze. W okolicznościach takich zawsze wyjdzie na wierzch to, co gnieździ się na dnie każdej myśli, uczucia, wzruszenia. Że nie doszło między nimi do bójki, to przypisać chyba należy temu, że sami odczuwali, jak śmieszna była ich ucieczka z tej osobliwej katastrofy morskiej.

Po chwili spytałem:

– I cóż się stało dalej?

Niedorzeczne pytanie, wiedziałem zbyt wiele, bym się mógł spodziewać czegoś nadzwyczajnego.

– Nic – odparł.

Wschodzące słońce znalazło go w tym samym miejscu, w które spadł skacząc do łodzi. Co za wytrwałość w gotowości! Całą noc trzymał w ręku ciężki kawał drzewa. Czy nie nazwiecie tego gotowością? Czy możecie go sobie wyobrazić stojącego w milczeniu przez pół nocy, z twarzą zwróconą w stronę deszczu, patrzącego na te ciemne kształty, śledzącego każdy ich ruch, wytężającego uszy, by usłyszeć szepty płynące z drugiego końca łodzi? Wytrwałość odwagi czy napięcie strachu? Jak wam się zdaje? Wytrwałość niemała przecie. Sześć godzin wytrzymać w obronnej postawie; sześć godzin zupełnej nieruchomości, gdy łódź sunęła powoli lub

stawała, zależnie od kaprysu wiatru, gdy uspokojone morze usnęło nareszcie; gdy chmury przebiegały ponad jego głową; gdy sklepienie niebios traciło swą ciemną barwę, rozbłyskiwało większą jasnością, bladło na wschodzie, a tamte czarne kształty w tyle łodzi zaczęły się uwypuklać: stawały się ramionami, głowami, twarzami, rysami – ukazały się strasznie patrzące nań oczy, zwichrzone włosy, ubranie w strzępach, czerwone mrużące się powieki w bladej barwie świtu.

– Wyglądali, jak gdyby tydzień cały leżeli spici w rynsztoku – opisywał i mruknął coś o wschodzie słońca zapowiadającym spokojny dzień.

Znacie to przyzwyczajenie marynarzy, by zwracać uwagę na stan pogody w każdych okolicznościach, a mnie te kilka jego słów wystarczyło, bym widział jasną linię na widnokręgu, równomierne pomarszczenie całej powierzchni morza, jak gdyby wody drgnęły, dając życie świetlanej kuli, a poruszone lekkim wietrzykiem powietrze wydało tchnienie wyzwolenia.

– Siedzieli tam, ramię przy ramieniu, kapitan pośrodku, jak trzy brudne sowy i patrzyli na mnie! – mówił z odczuciem nienawiści, która w te zwyczajne słowa wsączała jakby kroplę jadu; ale moje myśli pozostały przy tym wschodzie słońca.

Mogłem sobie wyobrazić pod tym przezroczystym, pustym sklepieniem niebios czterech ludzi uwięzionych na bezmiarze wód, a samotne słońce, nieczułe na życiowe tragedie, zataczało jasne koło na niebie, by z większej wysokości rzucić swój obraz na powierzchnię morza i podziwiać jego wspaniałość.

– Wołali na mnie stamtąd – rzekł Jim – jak gdybyśmy byli przyjaciółmi. – Słyszałem, jak prosili, bym był rozsądny i rzucił precz ten kawał drzewa. Po cóż mam go trzymać? Przecież mi

krzywdy żadnej nie zrobili. Czy to nie prawda? Krzywdy mi nie wyrządzili.

Twarz mu spąsowiała, jakby się dusił.

– Nie wyrządzili mi krzywdy! – krzyknął. – Pozostawiam to pańskiej ocenie. Pan to może zrozumieć! Prawda! Wielki Boże! Nie wyrządzili mi krzywdy? A cóż gorszego mogło mnie od nich spotkać? Ach! Tak, wiem doskonale – skoczyłem! Oczywiście. Skoczyłem! Powiedziałem panu, że skoczyłem, ale, powtarzam panu, jeszcze ich towarzystwo to wiele na jednego człowieka. To wszystko oni zrobili, tak jakby hakiem ściągnęli mnie w dół. Czy pan tego nie rozumie? Pan to musi rozumieć. Niech pan powie szczerze.

Jego niespokojne oczy wlepiły się w moje, pytały, błagały, wyzywały. Za cenę własnego życia nie mogłem powstrzymywać się od szepnięcia:

– Wystawiony pan został na próbę!

– W dodatku na nieuczciwych warunkach – podchwycił szybko – z taką zgrają nie miałem żadnego wyjścia! A teraz tak byli przyjacielscy, tak piekielnie przyjacielscy! Jesteśmy razem w jednej łodzi, więc żyjemy sobie w zgodzie. Ani trochę nie dbali już o George'a. Musiał w ostatniej chwili skoczyć po coś do swego hamaku, no i został. Ten chłopiec był skończonym głupcem. To bardzo przykre, naturalnie... spojrzeli na mnie... ale przecież skoczyłem, czyż nie? Milczałem. Nie ma słów na to, co chciałem im powiedzieć. Gdybym tylko otworzył usta, wyłbym jak dziki zwierz. Zadawałem sobie pytanie, kiedy ja się obudzę z tego okropnego snu? Wołali na mnie głośno, bym zbliżył się do nich i wysłuchał, co kapitan ma do powiedzenia. Przed wieczorem z pewnością dojrzy nas jakiś okręt, których mnóstwo kręci się po tym szlaku handlowym; już tam na północo-zachodzie widać jakby obłoczek dymu. Doznałem okropnego wrażenia, ujrzawszy tę delikatną

plamkę ciemnej mgły, przez którą widać było linię łączącą morze z niebem. Krzyknąłem, że doskonale stąd wszystko słyszę. Kapitan zaczął wymyślać głosem ochrypłym, przypominającym krakanie ptaka. Ani myśli zrywać sobie głosu dla mojej wygody. „Czy pan się lęka, że pana usłyszą na brzegu?" – spytałem. Rzucił mi spojrzenie, w którym malowała się chęć rozdarcia mnie na sztuki. Główny maszynista radził, by zrobił dla mnie ustępstwo. Mówił, że w mej głowie coś jest nie w porządku. Tamten wstał jak wielki kloc z mięsa i tłuszczu i... gadał... gadał...

Jim umilkł zamyślony.

– O czym? – spytałem.

– A czyż ja dbałem o to, jaką historię oni chcą wymyślić? – krzyknął. – Mogli sobie mówić, co im się żywnie podoba. To ich interes. Ja znam dobrze całą historię. Żadna bajka dla ludzi wymyślona nie zmieni jej dla mnie. Pozwoliłem im mówić, argumentować. Mówili i mówili bez końca. Nagle poczułem, że nogi pode mną się uginają. Byłem zmęczony, wyczerpany do ostateczności. Wypuściłem trzymany drąg, odwróciłem się do nich plecami i usiadłem na poprzecznicy. Miałem tego dość! Krzyczeli na mnie, pytając, czy zrozumiałem – przecież wszystko, co mówili, zgodne jest z prawdą, co? Wszystko to było prawdą, na Boga! Ale na ich sposób przekręconą. Nie odwróciłem głowy. Słyszałem, jak się wspólnie naradzali. „Ten głupi osioł nic nie powie". – „O! On wszystko dobrze rozumie". – „Niech go tam, wszystko pójdzie dobrze". – „Cóż on może zrobić?" Cóż ja mogłem zrobić! Czyż nie byliśmy wszyscy razem w jednej łodzi? Usiłowałem ogłuchnąć, by nie słyszeć ich więcej. Dym gdzieś się rozpłynął w północnej stronie. Otaczał nas grobowy spokój. Napili się wody, ja również to uczyniłem. Następnie zajęli się gorliwie rozciąganiem żagla, a spytawszy, czy zechcę pozostać na straży, wsunęli się pod

płótno i zniknęli mi z oczu, dzięki Bogu! Czułem się tak zmęczony, tak zmęczony, jak gdybym od chwili narodzenia nie zaznał godziny spoczynku. Słońce skrzyło się w wodzie. Od czasu do czasu jeden z nich wysuwał się spod płótna, toczył okiem wokoło i znów wracał na swe miejsce. Dochodziło mnie stamtąd potężne chrapanie. Jeden z nich spał. Ja nie mógłbym! Wokoło tyle światła, tyle światła, łódź tonęła w nim. Chwilami dziwiłem się sam sobie, że tam siedzę.

Zaczął chodzić miarowymi krokami przed moim krzesłem, lewą rękę trzymał w kieszeni, a prawą zdawał się odpychać niewidzialnego napastnika.

– Przypuszcza pan zapewne, że traciłem zmysły – zaczął zmienionym tonem. – I dziwić by się temu nie można, wszak, jak mówiłem, straciłem czapkę. Słońce paliło mi głowę, ale, jak widzę, dnia tego nic mi się stać mi mogło. Słońce nie mogło sprowadzić szaleństwa... ani zabić mnie nie mogło. – Jego ręka odepchnęła jakiś cień. – To pozostawało w moich rękach – dodał.

– Doprawdy? – spytałem niezmiernie zdziwiony tym nowym zwrotem i patrzyłem na niego z takim uczuciem, jak gdyby odkręciwszy się na pięcie przedstawił mi zupełnie inną twarz.

– Nie dostałem zapalenia mózgu ani nie padłem trupem – ciągnął dalej. – Nic sobie nie robiłem z tego słońca wiszącego mi nad głową. Rozmyślałem równie chłodno jak człowiek siedzący w miłym cieniu. Ta tłusta bestia, kapitan, wychylił kudłatą głowę spod płótna i wlepił we mnie świdrujące oczki.

– Donnerwetter! Zdechniesz! – krzyknął i jak żółw cofnął się znowu.

– Widziałem go, słyszałem. Ale on mi nie przeszkodził. Myślałem właśnie o tym, że tego nie zrobię.

Przechodząc, rzucił mi badawcze spojrzenie, chcąc się przekonać, o czym ja myślę.

– Chce pan powiedzieć, że rozmyślał pan nad kwestią, czy ma pan umrzeć? – spytałem najbardziej nieprzeniknionym tonem, na jaki tylko mogłem się zdobyć.

Nie zatrzymując się kiwnął głową.

– Tak, przyszło mi to do głowy, gdy tak sam siedziałem – odparł.

Poszedł parę kroków dalej i gdy znów zwrócił się do mnie, obie jego ręce były głęboko wsunięte w kieszenie. Stanął przede mną i patrząc w dół, spytał z natężoną ciekawością:

– Czy pan mi wierzy?

Oświadczyłem mu uroczyście, że gotów jestem uwierzyć bez zastrzeżeń we wszystko, co będzie uważał za stosowne mi powiedzieć.

Rozdział XI

Wysłuchał tych słów z głową przechyloną na bok, a ja znów rzuciłem okiem poprzez szczelinę we mgle otaczającej jego czyny i jego samego.

Mdłe światło palących się pod kloszami świec nie oświetlało go dokładnie, a za jego plecami wisiała czarna noc, tylko gdzieniegdzie rozjaśniona błyskami gwiazd; pomimo to jakieś tajemnicze światło zdawało się wskazywać na jego młodzieńczą głowę, jak gdyby ta młodość w nim w tej chwili rozbłysła i zgasła.

– Jest pan niezrównanie dobry, że tak mnie pan słucha – rzekł. – Dla mnie to tak wiele znaczy!... Pan nawet nie może wiedzieć, czym to jest dla mnie... Pan nie... – tu słów mu zbrakło.

Miałem teraz wyraźny dowód. Był on jednym z tych młodzieńców, których z przyjemnością widzisz obok siebie; myślisz z rozkoszą, że niegdyś sam taki byłeś. Wystarczy popatrzeć na kogoś takiego, by przypomnieć sobie o istnieniu złudzeń, które zdawałoby się wygasły, a jednak, jakby rozpalone zetknięciem się z innym płomieniem, gdzieś głęboko błyszczą światłem i ciepłem!... Tak... rzuciłem okiem na dno jego duszy... i to nie po raz ostatni.

– Pan nie wie, co to jest dla człowieka w moim położeniu, gdy może swą duszę otworzyć przed starszym człowiekiem, który mu wierzy. To tak trudno... tak ciężko zrozumieć.

Znów otaczał się mgłą. Nie wiem, jak stary mu się wydawałem i o ile mądrzejszy? Ja sam czułem się wówczas niezmiernie stary i bezużytecznie rozsądny.

Z pewnością w żadnym innym zawodzie serca tych, co schodzą już z pola, nie ciągną tak do młodych, wstępujących w życie, patrzących błyszczącymi oczyma na otwartą przed nimi szeroką przestrzeń.

Tyle jest wspaniałej niepewności w oczekiwaniach ciągnących każdego z nas do morza, tyle pięknej żądzy przygód, że są one jedyną nagrodą. Otrzymujemy w zamian tak niewiele, że nie chcemy o tym mówić, ale czy któryś z nas zdoła powstrzymać uśmiech? W żadnym innym życiu marzenia nie są tak nierzeczywiste; tu początek składa się z samych urojeń – rozczarowania przychodzą szybko, a jednak morze zagarnia nas zupełnie. Czy nie zaczynaliśmy wszyscy z tymi samymi pragnieniami, kończyliśmy z tą samą świadomością, nosiliśmy się z tymi samymi wspomnieniami! Nic więc dziwnego, że nas, marynarzy, prócz zwykłych nici koleżeństwa, łączy siła głębszego uczucia, wiążąca zazwyczaj dojrzałego męża z dzieckiem. On stał przede mną wiedząc, że lata i rozum zdołają znaleźć lekarstwo na ten ból, pozwalając mi zajrzeć w głąb swej duszy jak młokos złapany na gorącym uczynku, wobec którego starzec siwobrody kiwa uroczyście głową kryjąc uśmiech.

A on rozmyślał o śmierci – Boże święty!

Uważał, że tylko o tym myśleć może, ponieważ ocalił życie, którego cała radość znikła wraz z tym parowcem w ciemną noc. Cóż bardziej naturalnego! Było to zarazem tragiczne i śmieszne, ta chęć wzbudzenia współczucia, ale ja mu go odmówiłem.

Gdy tak patrzyłem na niego, rozdarła się mglista zasłona i rzekł:

– Straciłem przytomność, pan wie. Nie każdemu się to przytrafia. To nie była właściwie walka.

– Nie, to nie była walka – przyznałem.

Zdawał się nagle zmieniony, jakby bardziej dojrzały.

– Człowiek nie może być pewny – szepnął.

– A! Nie był pan pewny – rzekłem, słysząc delikatne westchnienie, które uleciało między nami jak mała ptaszyna.

– Tak, nie byłem – odparł odważnie. – To było coś podobnego do tej historii, którą oni wymyślili. Nie było to kłamstwem, ale nie było i prawdą. Było coś... Na kategorycznych kłamstwach człowiek się zna, a tu granica cienka jak kartka papieru dzieliła prawdę od fałszu.

– Czegóż chciał pan więcej? – spytałem, ale zdaje mi się, że powiedziałem to tak cicho, że nie dosłyszał moich słów.

– Przypuśćmy, że ja nie skoczyłem... chciałem powiedzieć, że trzymałem się parowca? Dobrze. Jakże długo to potrwać mogło? Powiedzmy, minutę, pół minuty. Więc słuchaj pan. Po trzydziestu sekundach, nie ulega wątpliwości, znalazłbym się w morzu; i cóż pan myśli, czyż nie chwyciłbym się pierwszego lepszego przedmiotu, nasuwającego mi się pod rękę. Czy postąpiłbyś pan inaczej? Wszak musiałbym chwycić się czegoś?

– I zostać ocalonym – przerwałem.

– Do tego bym dążył – odparł – a ja o tym nawet nie myślałem – zadrżał, jak gdyby musiał przełknąć coś obrzydliwego – gdy „skoczyłem” – wykrztusił z konwulsyjnym wysiłkiem, którego natężenie jak gdyby udzieliło się falom powietrza i targnęło z lekka mym ciałem.

Wlepił we mnie oczy.

– Czy nie wierzy mi pan? – krzyknął. – Przysięgam... na wszystkie piekła! Wciągnął mnie pan w tę rozmowę i... musi pan... powiedział pan, że będzie mi wierzyć!

– Rozumie się, że tak! – powiedziałem naturalnym tonem, który wywołał uspakajające wrażenie.

– Niech mi pan przebaczy – rzekł. – Nie mówiłbym panu o tym wszystkim, gdyby nie był pan dżentelmenem. Powinienem wiedzieć... Jestem... także jestem dżentelmenem.

– Ależ tak, tak – pośpieszyłem potwierdzić.

Patrzył mi prosto w twarz i powoli cofał swój wzrok.

– Teraz pan rozumie, dlaczego, pomimo wszystkiego, w ten sposób nie zakończyłem sprawy. Nie lękałem się skutków mego postępku. A w każdym razie, gdybym pozostał na parowcu, to w chwili tonięcia zrobiłbym wszystko, by zostać ocalonym. Znane są fakty, że ludzie pływali całymi godzinami po morzu... i zostali wyratowani, nie poniósłszy żadnego uszkodzenia. Mogłem wytrzymać dłużej niż inni. Żadnej wady w mym sercu nie było.

Wyciągnął prawą swą pięść z kieszeni i wymierzył sobie cios w pierś, który jak stłumiony wystrzał rozległ się w ciszy nocnej.

– Nie – rzekłem.

Zamyślił się i szepnął.

– Szerokość włosa, nawet mniej, między jednym a drugim, a tymczasem...

– O północy trudno dojrzeć włos – rzekłem trochę złośliwie.

Czy rozumiecie, że chciałem solidaryzować się z naszym zawodem? Byłem na niego zagniewany, jak gdyby mnie oszukał! O! Taka pyszna sposobność trzymania się złudzeń lat młodzieńczych, a on odarł nasze wspólne życie z ostatniego błysku jego świetności.

– Więc uciekłeś... od razu.

– Skoczyłem! – poprawił z naciskiem. – Skoczyłem, pamiętaj pan! – powtórzył, a ja dziwiłem się widocznej, lecz niejasnej intencji. – A więc, tak! Może wówczas nie rozumiałem tego. Ale później, w łodzi, miałem dość na to czasu. Mogłem rozmyślać. Nikt o tym nie będzie wiedzieć, naturalnie, ale to mi nie ułatwiało położenia.

Pan ma mi uwierzyć. Ja nie pragnąłem tej całej rozmowy... Nie... Tak... nie będę kłamał... chciałem jej, tego właśnie pragnąłem. A czy pan myśli, że pan, czy ktokolwiek inny, zmusiłby mnie do powiedzenia... gdybym... bał się wypowiedzieć wszystko? Nie bałem się również myśleć o tym. Widziałem wszystko bardzo jasno. Ani myślałem uciekać. W pierwszej chwili... w nocy... gdyby nie pogróżki tamtych... mógłbym... Ale nie! Na Boga! Nie sprawiłbym im tej przyjemności. Zrobili już dość. Wymyślili bajkę i wierzyli w jej wiarygodność pomimo wszystkiego, co ja wiedziałem. Ale istotna prawda pozostanie przy mnie. Ani myślę mieszać się w tę wstrętną sprawę. Jeżeli mam powiedzieć prawdę, byłem zupełnie zniechęcony do życia; ale wiedziałem, że nic dobrego wyniknąć nie może z mego... wycofania się. Uważałem, że to nie zakończy wszystkiego.

Chodził tam i sam, ale z ostatnimi słowami zwrócił się nagle do mnie.

– A co pan uważa? – spytał gwałtownie.

Nastała chwila milczenia, a ja poczułem się ogromnie wyczerpany i zmęczony, jak gdyby jego głos wyrwał mnie ze snu, w którym błąkałem się po pustych przestworzach, tak rozległych, iż wędrówka ta zgnębiła duszę i wyczerpała ciało.

– To na nic by się nie zdało – szeptał uparcie. – Nie. Należało stawić temu czoło... czekać na drugą sposobność.

Rozdział XII

Otaczała nas najzupełniejsza cisza. Mgła jego odczuć wisiała między nami, jakby miotana jego wewnętrzną walką, a poprzez tę mgłę Jim ukazywał mi się nie pod własną postacią, lecz jak jakaś symboliczna istota na obrazie. Chłód nocy przygniatał mi członki jak płyta marmurowa.

– Rozumiem – szepnąłem bardziej dlatego, by sobie samemu dowieść, że mogę otrząsnąć się z tej bezwładności niż z innego powodu.

– Przed zachodem słońca okręt Avondale zabrał nas na swój pokład – mówił chmurnym tonem – płynął wprost na nas, musieliśmy tylko siedzieć spokojnie i czekać.

Po długiej przerwie rzekł:

– Opowiedzieli swoją historię.

Znowu nastała chwila przygnębiającej ciszy.

– Wówczas dopiero zdałem sobie jasno sprawę ze wszystkiego i powziąłem postanowienie – dodał.

– Nic pan nie powiedział? – szepnąłem.

– A cóż miałem mówić? – również szeptem spytał. – Lekkie drgnienie. Zatrzymany parowiec. Stwierdzone uszkodzenia. Zaczęto spuszczać łodzie po cichu, by nie wzbudzać popłochu. Gdy spuszczono pierwszą łódź, parowiec zatonął jak kawał ołowiu wśród szkwału... czy mogło być coś jaśniejszego? – zwiesił głowę – i straszniejszego?

Usta mu drżały, gdy patrzył mi prosto w oczy.

– Skoczyłem... czyż nie tak?... To był fakt, a reszta, to już wszystko jedno!

Załamał na chwilę ręce, spojrzał na prawo i lewo i szepnął:

– To jakbym oszukiwał zmarłego.

– Tam umarłych nie było – rzekłem.

Na te słowa oddalił się ode mnie, oparł się o balustradę, jakby podziwiając piękność i spokój nocy. Z kwiatów płynęła balsamiczna woń. Po chwili wrócił do mnie szybkimi krokami.

– To wszystko jedno – powtórzył.

– Możliwe – rzekłem.

Zaczynałem rozumieć, że nie dorównuję mu, bo zresztą cóż ja mogę wiedzieć.

– Czy on był umarły czy żywy, nie mogłem wiedzieć tego na pewno – rzekł. – A żyć musiałem, prawda?

– Zapewne tak, jeżeli z tego punktu się pan na to zapatruje – bąknąłem.

– Rad byłem, rozumie się – mówił, myśląc o czym innym. – Zeznawali – wyrzekł powoli podnosząc głowę. – Czy pan wie, jaka była moja pierwsza myśl, gdym ich słuchał? Doznałem ulgi, ucieszyłem się, dowiedziawszy się, że te krzyki... czy mówiłem panu, że słyszałem krzyki? Nie? Otóż słyszałem... krzyki o pomoc, straszne... okropne. Imaginacja, jak przypuszczam. A jednak, nie mogłem pojąć... tamci nie słyszeli. Pytałem się ich później. Wszyscy mówili... nic! Nic? A ja słyszałem, nawet wówczas. Powinienem był wiedzieć, że to niemożliwe... ale ja nic nie myślałem... tylko wsłuchiwałem się. Bardzo słabe jęki, ale słyszałem je dzień w dzień. Nareszcie jeden z majtków podszedł do mnie i rzekł: „«Patna»... francuski statek... dopłynęli szczęśliwie do Adenu... śledztwo... sąd... przygotowane dla was pomieszczenie w Domu Marynarzy". Przechadzałem się z nim po pokładzie i rozkoszowałem się ciszą. Nie

było więc krzyków. Imaginacja! Musiałem mu uwierzyć. Nie słyszałem już odtąd nic więcej. Nie wiem, jak długo mógłbym to znieść. Stawało się to coraz przykrzejsze... chciałem powiedzieć... głośniejsze.

Zamyślił się.

– Więc krzyków nie było. Niech i tak będzie. Ale światła! Przecież światła znikły! Nie widzieliśmy ich więcej. Gdyby były, rzuciłbym się w morze i popłynąłbym ku nim krzycząc... błagałbym, by mnie znów przyjęli na pokład... Miałbym okazję... czy wątpi pan?... A skąd pan może wiedzieć, co ja czułem?... Jakim prawem pan wątpi?... O mało co nie zrobiłem tego... czy pan rozumie? – tu zniżył głos. – Nie było jednego światełka, jednego błysku – mówił smutnie. – Czy pan nie może zrozumieć, że gdyby było jedno światełko, nie widziałby mnie pan tutaj? Widzi mnie pan... i wątpi?

Zaprzeczyłem głową. Ta kwestia świateł niewidzialnych, pomimo, że parowiec był oddalony tylko o ćwierć mili, mogła być przedmiotem dyskusji. Jim upierał się przy tym, że nie widać było nic po pierwszym przejściu ulewy; tamci to samo opowiadali oficerom z Avondale. Rozumie się, że słuchano ich i kiwano głowami z uśmiechem powątpiewania. Jakiś stary kapitan siedzący obok mnie w sali sądowej nachylił się do mnie, szepcząc: „Rozumie się, kłamią!" A właściwie nikt nie kłamał; nawet ten główny maszynista, opowiadając o światełku na maszcie, gasnącym jak rzucona zapałka. Człowiek w takim stanie podniecenia, w jakim oni byli, mógł dojrzeć tlącą się iskierkę, gdy rzucał ukradkowe spojrzenia za siebie, a oni nie widząc jej, mogli sobie wytłumaczyć to tylko tym, że parowiec zatonął. Był to widoczny, a zarazem uspokajający dowód. Przewidziany fakt nadchodził tak szybko, że widoczny był pośpiech. Nic dziwnego, że nie szukali innego wytłumaczenia. A prawdziwe wyjaśnienie było bardzo proste

i odkąd Brierly wspomniał o nim na sądzie, nikt już więcej nie zajmował się tą sprawą. Jeżeli pamiętacie, parowiec został zatrzymany, a jego tył był wysoko podniesiony. Gdy uderzył weń orkan, przechylił się mocno na przeciwną stronę i tym sposobem światła jego stały się zupełnie niewidzialne dla ludzi znajdujących się w łodzi po tej jego stronie.

Bardzo możliwe, że gdyby widać było światła, robiłyby one wrażenie niemej prośby – a blask ich, przebijając cienie nocy, posiadałby tajemniczą potęgę ludzkiego spojrzenia mogącego obudzić uczucie litości i wyrzuty sumienia. Spojrzenie to mówiłoby: „Jestem tu... jeszcze tu jestem...", bo cóż więcej może powiedzieć oko porzuconej ludzkiej istoty? Ale parowiec odwrócił się od nich jakby z pogardą. Patrzył teraz uparcie na nowe niebezpieczeństwa na otwartym morzu, których tak dziwnym sposobem uniknął, aby zakończyć swe życie na przystani, pod cieniami siekier i młotów. Jaki był ostateczny los pielgrzymów, znajdujących się na jego pokładzie? Nie wiem, ale nazajutrz około dziewiątej zjawił się statek francuski. Wkrótce powszechnie znane stało się zeznanie kapitana statku. Skręcił on trochę z drogi, by się przekonać, co się dzieje z tym parowcem, tak groźnie pochylonym nad powierzchnią morza. Wywieszona była flaga, widać było, że parowiec znajduje się w strasznym niebezpieczeństwie, ale kucharze przygotowali ranny posiłek, a pokład zatłoczony był ludźmi; wszyscy oni patrzyli na zbliżający się statek, ale żaden głos nie wydobył się z ich ust, jakby jakimś czarem zmuszonych do milczenia.

Francuski kapitan wołał na nich, ale nie otrzymał odpowiedzi, więc przekonawszy się przez lunetę, że tłum na pokładzie nie wygląda jak zadżumiony, zdecydował się wysłać łódź. Dwóch oficerów weszło na pokład, usiłowali rozmówić się z Arabem, ale nie mogli z nim dojść do ładu: groza położenia sama przez się biła

w oczy. Zdumieni byli widokiem martwego białego człowieka leżącego na pomoście w skurczonej pozycji. „Fort intrigué par ce cadavre" – opowiadał mi oficer francuski, którego przypadkiem spotkałem w kawiarni w Sydney. Był on na tym statku i doskonale pamiętał całą sprawę, chociaż niemało lat upłynęło od tego czasu. Co prawda, muszę to zaznaczyć, ta sprawa miała dziwną moc, opierała się czasowi i słabości pamięci ludzkiej; z niezwykłą żywotnością przebywała w mózgach ludzkich i na końcu ich języka. Miałem tę wątpliwą przyjemność doświadczyć, jak po wielu latach, w oddaleniu nie wiem już ilu mil, wjeżdżała ona zawsze na stół przy najlżejszej aluzji. Dziś na przykład, skąd doszło do rozmowy o niej? Ja w tym towarzystwie jestem jedynym marynarzem, ta sprawa mogła pozostać tylko w mojej pamięci, a jednak wypłynęła na wierzch. A jeżeli dwaj ludzie nieznani sobie, ale obznajmieni z tą sprawą spotkają się w jakimkolwiek punkcie świata, to zanim się rozejdą, muszą się o niej rozgadać. Ja tego Francuza nigdy a nigdy przedtem nie widziałem, a po upływie godziny rozmawialiśmy jak starzy znajomi, chociaż nie należał on również do bardzo rozmownych. Siedział sobie spokojnie nad szklanicą napełnioną jakimś ciemnym płynem. Mundur jego był trochę zniszczony; on sam ciężki, o szerokich nabrzmiałych policzkach, wyglądał na człowieka zażywającego tabakę. Znajomość nasza rozpoczęła się tym, że podał mi przez stół gazetę, której nie potrzebowałem. Powiedziałem: „Merci". Zamieniliśmy parę nic nieznaczących uwag i nagle, zanim pojąłem, jakim sposobem do tego doszło, wpadliśmy na tę historię i on mi opowiadał, jak bardzo „zdziwieni byli widokiem tego trupa". Okazało się, że mój oficer należał do załogi statku, który wyratował Jima i jego towarzyszy.

W restauracji, gdzieśmy siedzieli, trzymano rozmaite zagraniczne trunki, widocznie dla wygody oficerów marynarki. Francuz,

popijając jakiś ciemny płyn, zapewne cassis à l'eau, kiwał głową, zaglądając jednym okiem do wnętrza szklanki.

– Impossible de comprendre... vous concevez – rzekł.

Łatwo pojąłem, jak trudno było im połapać się w sytuacji. Żaden z przybyłych łodzią oficerów nie znał dobrze angielskiego, nie mogli się więc porozumieć.

– Tłoczyli się wokoło nas – opowiadał oficer. – Utworzyło się koło autour de ce mort – opisywał. – Należało się zabrać do rzeczy najważniejszej. Ludzie ci zaczynali się niepokoić... Parbleu! Tłum taki... wyobraża pan to sobie? – dodał z filozoficzną pobłażliwością.

Co się tyczy miejsca uszkodzonego w parowcu, radził nie dotykać go, uważał to za rzecz najbezpieczniejszą. Jak można najprędzej, linami przywiązano „Patnę" sterem naprzód do statku; w tych okolicznościach było to rozsądne rozporządzenie, gdyż manewr ten zmniejszył ciężar w miejscu uszkodzonym, wymagającym wielkiej ostrożności. Byłem pewny, że w tych rozporządzeniach mój nowy znajomy odegrał główną rolę; wyglądał na człowieka, któremu można zaufać, na wytrawnego marynarza, chociaż gdy tak siedział, trzymając grube palce na brzuchu, przypominał jednego z tych poczciwych, zatabaczonych proboszczów wiejskich, do których uszu zlewane są wszystkie grzechy, cierpienia i wyrzuty sumienia całych generacji kmiotków. Wyraz spokoju i prostoty malujący się na ich twarzach jest jakby zasłoną rzuconą na tajemnicę bólu i rozpaczy. Stosowniejszą dla niego byłaby wytarta sutanna, zapięta aż pod obfitym podbródkiem, niż ten surdut z epoletami i metalowymi guzikami. Szeroka jego pierś podnosiła się miarowo, gdy mi opowiadał o ryzykownej sytuacji, w jakiej się wówczas znaleźli; jako marynarz musiałem to niewątpliwie dobrze rozumieć. Wyraziwszy takie właśnie przekonanie, pochylił się z lekka ku mnie i, wydymając wygolone wargi, odsapnął lekko.

– Na szczęście – opowiadał dalej – morze było gładkie jak ten stół, a powietrze nieruchome jak tu.

Rzeczywiście było tam gorąco i duszno; policzki mi pałały, jak gdybym był tak młody, by móc rumienić się i czuć się zakłopotany. Mówił, że kierowali się do najbliższego angielskiego portu, gdzie kończyła się ich odpowiedzialność „Dieu merci”...

Wydął trochę policzki.

– Bo, proszę pana, przez cały czas holowania tonącego parowca trzymaliśmy dwóch ludzi na straży z siekierami w rękach, by natychmiast przecinali liny, gdyby parowiec... – opuścił ciężkie powieki, tą mimiką podkreślając swoją myśl. – Cóż pan chce! Robi się, co można. – Przez chwilę zachował zupełną nieruchomość z wyrazem pełnym rezygnacji. – Dwóch ludzi na stanowisku przez trzydzieści godzin. Dwóch! – powtórzył, podnosząc trochę prawą rękę i wystawiając dwa palce. Był to pierwszy gest, jaki wykonał.

To dało mi sposobność do zauważenia, że miał bliznę na dłoni – najwidoczniej pochodziła ona od postrzału, a gdy wskutek tego odkrycia zacząłem się mu przyglądać baczniej, spostrzegłem rysę na skroni gubiącą się w szpakowatych włosach – ślad cięcia pałaszem zapewne.

Znów założył ręce na brzuchu.

– Pozostałem na pokładzie tej... tej... jakże tam... Oh! „Patt-na”! C’est bien ça. „Patt-na”! Merci. To dziwne, jak człowiek zapomina. Otóż pozostałem na pokładzie tego parowca trzydzieści godzin...

– Naprawdę? – krzyknąłem.

Patrząc na swe ręce, wydął trochę usta.

– Uważano za konieczne – rzekł, podnosząc powoli brwi – by jeden z oficerów pozostał na zagrożonym parowcu, by miał oko zwrócone na wszystko, by porozumiewał się znakami z holującym statkiem... rozumiesz pan? Zresztą takie było i moje zdanie. Łodzie

ratunkowe na naszym statku były przygotowane... ja również na tym parowcu pomyślałem o środkach ratunku... Enfin! Zrobiło się wszystko, co było w naszej możności. Położenie delikatnej natury. Trzydzieści godzin! Przygotowano dla mnie posiłek. Ale co do wina... rób co chcesz, ani kropli!...

Dziwnym sposobem, nie zmieniając wyrazu twarzy, nie ruszając się, wyraził całą głębię swego niezadowolenia.

– Ja... rozumiesz pan, bez szklanki wina przy jedzeniu jestem do niczego!

Lękałem się, by zbytecznie nie rozgadał się o tym nieszczęściu, bo chociaż nie poruszył palcem, ani nie skrzywił się, dał do zrozumienia, jak bardzo drażni go samo wspomnienie o nim. Ale po chwili zapomniał o wszystkim.

Oddali ładunek „władzom portowym", jak się wyraził. Niezmiernie był zdziwiony, że przyjęto go z takim spokojem.

– Zdawać by się mogło, że takie dziwne zguby są odwożone dzień w dzień. Wy jesteście naprawdę dziwni – dodał, opierając się o mur i wyglądając tak nieodpowiednio do wyrażenia jakichkolwiek uczuć jak wór z otrębami.

Zdarzyło się, że w tym porcie stał właśnie okręt wojenny i parowiec indyjskiej floty. Francuz nie ukrywał podziwu nad szybkością, z jaką łodzie tych dwóch okrętów oczyściły „Patnę" z pasażerów. Jego ospały sposób bycia wyrażał w istocie wszystkie uczucia: posiadał on tajemniczą, cudowną moc wywołania nadzwyczajnego efektu za pomocą środków niedostrzegalnych, co jest oznaką najwyższej sztuki.

– Dwadzieścia pięć minut, z zegarkiem w ręku... dwadzieścia pięć minut, ani sekundy więcej.

Składał i rozkładał swe palce, nie odejmując rąk od żołądka, a wywołał w ten sposób większe wrażenie, niż gdyby wyrzucał

w górę ramiona.

– Cały ten tłum przeniesiono na wybrzeże ze wszystkimi manatkami, na parowcu została tylko straż, złożona z marynarzy i ten interesujący nieboszczyk. To wszystko stało się w dwadzieścia pięć minut...

Ze spuszczonymi oczami i głową przechyloną na bok zdawał się jak smarkacz delektować kawałkiem ładnej roboty. Nie mówiąc nic więcej, przekonywał słuchacza, że jego uznanie posiada niemałą wartość i w końcu objaśnił mnie, że, mając rozkaz pospieszać do Tulonu, odpłynęli wkrótce.

– ...także wiele rzeczy z tego epizodu życia mego pozostało dla mnie niewyjaśnione!

Rozdział XIII

Po tych słowach, nie zmieniając pozycji, popadł, że tak powiem, w stan milczenia. Dotrzymywałem mu towarzystwa; i nagle, ale nie gwałtownie, jak gdyby przyszedł właściwy czas na wydobycie się jego ochrypłego głosu – powiedział:

– Mój Boże! Jakże to czas leci!

Była to najzwyczajniejsza uwaga; ale sposób jej wypowiedzenia wywołał u mnie chwilową wizję. To dziwne, jak my przechodzimy przez życie z na wpół zamkniętymi oczami, tępym słuchem i drzemiącymi myślami.

A może to i dobrze; może ta właśnie tępość czyni życie tak znośnym, a nawet przyjemnym dla większości ludzi. W każdym razie między nami nie może być dużo ludzi takich, którzy by nie mieli chwil zupełnej świadomości – a w takich – rozumie się, widzi się i słyszy wszystko – zanim się znów nie wpadnie w przyjemną ospałość.

Podniosłem oczy i zdawało mi się, że patrzę na niego po raz pierwszy. Widziałem jego obwisły podbródek, niezgrabne fałdy ubrania, ręce złożone na brzuchu, jakby stworzone do zajmowania tej tylko pozycji. Czas płynął rzeczywiście; wyprzedziłem go i poszedłem naprzód. Pozostawiłem bezradnego za sobą, z tymi szpakowatymi włosami, zmęczoną, ogorzałą twarzą, dwiema bliznami i parą zniszczonych epoletów; jednego z tych ludzi godnych zaufania, w których jest surowy materiał na wielką sławę, jedną z tych niezliczonych istot, grzebanych bez huku i hałasu, pomimo ich wielkich zasług.

– Jestem teraz trzecim porucznikiem na Victorieuse – rzekł, przedstawiając mi się.

Oddałem mu ukłon i powiedziałem, że jestem komendantem handlowego okrętu, stojącego obecnie na kotwicy w Rushentter's Bay. Zwrócił na niego uwagę – ładny okaz. Nie szczędził komplementów memu okrętowi, zdaje mi się, że nawet pochylił głowę, mówiąc:

– A... tak... ładny okaz, na czarno pomalowany... ładny, bardzo ładny.

Po chwili obrócił się i spojrzał przez okno na ulicę.

– Smutne miasto.

Dzień był jasny; szalał wiatr południowy, przechodzący mężczyźni, kobiety i dzieci walczyli z tumanami podnoszonego wiatrem pyłu.

– Wyszedłem na brzeg – rzekł – by rozprostować nogi, ale... – nie skończył i wrócił do stanu spoczynku. – Powiedz mi pan, proszę – zaczął niespodziewanie – co tam było na dnie tej sprawy? To jednak ciekawe. Ten nieboszczyk...

– Tam byli ludzie żywi – rzekłem – daleko ciekawsi.

– Bez wątpienia, bez wątpienia – przyznał na wpół głośno, a po chwili namysłu szepnął – Rozumie się.

Chętnie podzieliłem się z nim tym, co mnie w tej sprawie najwięcej interesowało. Przecież on ma prawo wiedzieć, wszak spędził trzydzieści godzin na pokładzie „Patny" – czyż nie zrobił, co mógł? Słuchał mego opowiadania bardziej niż kiedykolwiek podobny do księdza – zapewne te spuszczone oczy nadawały mu pozór pobożnego skupienia. Raz czy dwa razy podniósł brwi (nie unosząc powiek), jak gdyby chciał rzec: „A! Do diabła!" raz spokojnie zawołał: „Ach, ba!", a gdy skończyłem, wydął wargi i gwizdnął. U każdego innego człowieka można by to przyjąć

za oznakę znudzenia lub obojętności; ale on na swój okultystyczny sposób kazał wierzyć, że ta jego nieruchomość kryje całą głębię myśli. Na koniec szepnął tylko: „bardzo interesujące". Zanim zdołałem opanować moje rozczarowanie, dodał jakby do siebie: „Otóż to! Otóż to właśnie!" Podbródek jego zdawał się opadać niżej, ciało więcej ciężyło. Miałem właśnie spytać, co on o tym myśli, gdy jakiś przygotowawczy dreszcz przeszedł po jego ciele; zdawało mi się, że patrzę na marszczącą się stojącą wodę przed zjawieniem się wiatru...

– A więc ten biedny młodzieniec uciekł z tamtymi – rzekł z poważnym spokojem.

Nie wiem dlaczego, uśmiechnąłem się; był to jedyny uśmiech, o ile pamiętam, łączący się ze sprawą Jima. Ale bo też to proste określenie sprawy śmiesznie brzmiało po francusku. „S'est enfui avec les autres", jak powiedział porucznik. Raptem zacząłem podziwiać zdolności spostrzegawcze tego człowieka. Od razu trafił w sedno: zrozumiał, o co mi najbardziej chodzi. Jego niewzruszoność i spokój zdradzały obznajmionego z faktami eksperta, dla którego wszelkie zawikłania są niczym.

– A! Młokos! Młokos! – rzekł sobie pobłażliwie. – Przecież się od tego nie umiera.

– Od czego? – spytałem pospiesznie.

– Ze strachu – wyjaśnił swą myśl i zabrał się do wypróżnienia szklanki.

Spostrzegłem, że trzy ostatnie palce jego okaleczonej ręki pozostały sztywne, bardzo też niezręcznie ujmował szklankę.

– Człowiek się zawsze boi. Gadać łatwo, ale... – niezgrabnie postawił szklankę na stole. – Strach, strach – widzisz pan – zawsze czyha tam...

Dotknął okolicy serca, tego właśnie miejsca, w które Jim wymierzył cios, dowodząc, że o jego serce nie było najmniejszej obawy. Przypuszczam, że wykonałem jakiś gest przeczący, gdyż on nalegał:

– Tak! Tak! Mówi się, bardzo pięknie się mówi; ale w końcu okazuje się, że jeden nie jest mądrzejszy od drugiego – ani też odważniejszy. Odwaga! Dzielność! Z niejednego już pieca chleb jadłem, włóczyłem się po świecie całym; znałem ludzi odważnych, sławnych z tego! Allez!... – popił łyk wina. – Odważny – pan rozumie – na służbie – trzeba nim być, rzemiosło tego wymaga. Czy nie tak? – zwrócił do mnie pytanie. – Eh, bien! Każdy z nich – powtarzam, każdy z nich, gdyby był uczciwym człowiekiem – wyznałby – że jest taka chwila dla najlepszego z nas, w której o wszystkim się zapomina, a z prawdą tą żyć musisz – rozumiesz pan? Przy pewnej kombinacji okoliczności strach zjawić się musi. Okropny, śmiertelny! Nawet dla tych, którzy w tę prawdę uwierzyć nie chcą, strach istnieje – strach przed samym sobą. Bezwarunkowo tak. Wierz mi pan. Tak, tak... Przecież w moim wieku wie się, o czym się mówi – que diable!...

Wypowiedział to wszystko, zachowując zupełną nieruchomość, jak gdyby był automatem, teraz zapewne dla zwiększenia wrażenia zaczął kręcić powolnego młynka palcami.

– To nie ulega wątpliwości – parbleu! – ciągnął dalej – bo mów pan sobie co chcesz, prosty ból głowy lub kłopoty żołądkowe wystarczą do... Wiem to z własnego doświadczenia. Ja na przykład – raz... – Wychylił do dna szklankę i powrócił do kręcenia młynka. – Nie, nie, nie umiera się od tego – rzekł po chwili, a gdy zrozumiałem, że nie opowie mi epizodu ze swego życia, byłem bardzo zawiedziony, tym bardziej, że przecież nie można nalegać, by ktoś taki wypadek opowiedział.

Siedziałem w milczeniu, on również i zdawało się, że to mu najbardziej odpowiada. Nawet palce jego nie poruszały się więcej. Nagle usta jego drgnęły.

– To tak jest – mówił spokojnie. – Człowiek tchórzem się rodzi. To jest pewna przeszkoda – parbleu! Inaczej – życie byłoby zbyt łatwe. Ale przyzwyczajenie – przyzwyczajenie – konieczność – pojmujesz pan? – oko ludzkie – Voilà! Człowiek trzyma się, jak może. A przy tym, przykład tamtych, nie lepszych od ciebie, ale umiejących zachować pozory...

Umilkł.

– Ten młodzieniec, niech pan zwróci uwagę, był tego wszystkiego pozbawiony – przynajmniej w ostatniej chwili – rzekłem.

Podniósł brwi, chcąc wyrazić pobłażliwość.

– Nie przeczę, nie przeczę. Młodzieniec, o którym mowa, mógł mieć najlepsze skłonności... najlepsze skłonności – powtórzył, sapiąc trochę.

– Cieszę się, że pan łagodniej się na tę sprawę zapatruje! – rzekłem – Jego osobiste uczucia pełne były nadziei – i...

Niespokojny ruch jego nogi pod stołem przerwał mi. Pociągnął w górę swe ciężkie powieki. Pociągnął w górę, powtarzam – żadne inne wyrażenie nie określi całej stanowczości tego czynu – i nareszcie ukazały mi się jego oczy. Patrzyły na mnie dwa wąskie szare krążki jak dwa cienkie, stalowe pierścienie, otaczające głęboką czerń źrenic. Ostre spojrzenie, wychodzące z tego masywnego ciała, miało połysk mocno wyostrzonego miecza.

– Przepraszam – rzekł z namaszczeniem, podnosząc prawą rękę i pochylając się naprzód. – Pan pozwoli... Wiemy, przyznaję, że odwaga nasza sama przez się nie przychodzi. Tego nie można brać za bardzo do serca. Jedna prawda więcej, która nie powinna nam uniemożliwiać życia... Ale honor – honor, panie!... Honor... oto istota

rzeczy!... Co może być warte życie, jeżeli... – zerwał się tak gwałtownie i ciężko, jak zrywa się wół na łące – jeżeli honor diabli wzięli – ach, ça! Par exemple – nic o tym powiedzieć nie mogę – gdyż – mój panie – ja nic o tym nie wiem!

Wstałem również; starając się przybrać najgrzeczniejsze pozy, patrzyliśmy na siebie jak dwa porcelanowe psy stojące na kominku. A bodaj cię! – pomyślałem. – Zarodek czczości, czyhającej w dyskusjach ludzkich małostkowości, pojawił się w naszej rozmowie i uczynił ją czymś zupełnie pozbawionym treści.

– Bardzo dobrze – rzekłem z niepewnym uśmiechem – ale czyż nie można rozmaicie się na to zapatrywać?

Zdawało się, że da natychmiastową odpowiedź, ale gdy przemówił, widocznie zmienił postanowienie.

– To, proszę pana przechodzi moje kompetencje, ja nie chcę o tym myśleć.

Pochylił się ciężko nad czapką, którą trzymał w dwóch palcach swej okaleczonej ręki.

Ja skłoniłem się również. Kłanialiśmy się razem, szurgając nogami, podczas gdy brudny posługacz patrzył na nas krytycznym okiem, jak gdyby za to przedstawienie zapłacił.

– Serviteur – powiedział Francuz.

– Monsieur... Monsieur...

Zamknęły się drzwi za jego szerokimi plecami.

Widziałem, jak porwał go wicher południowy i gnał pochylonego, z ręką przy czapce, paltem przywartym do nóg.

Siedziałem znów samotny i zniechęcony – zrażony do sprawy Jima. Jeżeli dziwi was aktualność jej pomimo ubiegłych trzech lat, muszę wam przypomnieć, że Jima widziałem bardzo niedawno.

Przybyłem właśnie z Samarangu, skąd wyprawiłem ładunek do Sydney – zajęcie najzupełniej nieciekawe, które obecny tu Karol

nazwie jedną z moich rozsądnych transakcji – otóż w Samarangu – widziałem Jima. Dzięki memu poleceniu pracował u De Jongha. Był agentem okrętowym. „Mój przedstawiciel na morzu" – mówił o nim De Jongha. Nie możecie sobie wyobrazić życia bardziej ogołoconego ze wszystkich pociech, mniej odpowiedniego gruntu dla choćby jednej iskierki sławy – chyba że uwzględnicie egzystencję agenta ubezpieczeniowego. Mały Bob Stanton – Karol znał go dobrze – przeszedł przez to. On to utonął później, usiłując wyratować jakąś pannę w chwili rozbicia się Sephory. Musicie pamiętać to zderzenie okrętów u wybrzeży hiszpańskich. Wszystkich podróżnych zapakowano do łodzi ratunkowych i miano odpływać, gdy Bob wdrapał się znów na pokład, by zabrać tę dziewczynę. Jakim sposobem ona została – nie wiem; to tylko jest pewne, że zupełnie postradała zmysły – za nic nie chciała opuścić okrętu – uczepiła się jak pijawka balustrady. Tę walczącą z sobą parę widziano doskonale z łodzi; ale biedny Bob był najmniejszym okazem w handlowej flocie, a kobieta wysoka była jak piec, a silna jak koń, mówiono mi. Targali się więc z całych sił, nieszczęsna dziewczyna wrzeszczała nieustannie, a Bob od czasu do czasu krzyczał na swą łódź, by się trzymała w pobliżu. Jeden z majtków opowiadał mi to potem, kryjąc uśmiech na to wspomnienie.

– To tak wyglądało, proszę pana, jak gdyby matka chciała ukarać niegrzecznego wyrostka, a on się jej wyrywał. – Tenże sam majtek opowiadał dalej – W końcu ujrzeliśmy, że pan Stanton przestał ciągnąć dziewkę, stał tylko i patrzył na nią badawczo. Przyszło nam później na myśl, że prawdopodobnie liczył na to, iż pęd wody zmusi ją do puszczenia balustrady, a wówczas on będzie mógł ją wyratować. Nie śmieliśmy podpływać bliżej; po chwili stary okręt pochylił się i – buch! Straszna była otchłań, w którą się zapadł. Ani żywy, ani umarły nie wydostał się ku nam nikt!

Biednego Boba podobno jakieś komplikacje miłosne zmusiły do porzucenia marynarki. Zdawało mu się, że już jego kariera morska jest skończona na zawsze i miał nadzieję zaznać wszelkich rozkoszy na lądzie, tymczasem inaczej się stało. Jakiś kuzyn mieszkający w Liverpoolu namówił go do tej nowej pracy. Opowiadał on nam nieraz, przez jakie przechodził doświadczenia. Śmieliśmy się do łez, a on, nie gniewając się za wywołany efekt, podobny do gnoma ze wzrostu i długiej brody, uwijał się między nami, mówiąc:

– Dobrze wam się śmiać, łajdaki, ale moja nieśmiertelna dusza zwiędła jak wysuszony groch po tygodniu takiej pracy.

Nie wiem, jak dusza Jima przystosowała się do nowych warunków życia – chodziło mi niezmiernie o to, by wynaleźć dla niego jakąś robotę, która by trzymała w kupie jego duszę i ciało – ale pewny jestem, że wrodzona mu żądza przygód przechodziła wszystkie męki głodu. W tym nowym zawodzie nie mogło być dla niej żadnej podniety. Rozpaczliwie było patrzeć na niego, chociaż wypełniał swe obowiązki z upartym spokojem, który mu należy policzyć za zasługę. Uważałem to jego harowanie za karę za bohaterstwo imaginacji – zadośćuczynienie za tę żądzę sławy większej, niż mógł unieść na swych barkach. Z rozkoszą wyobrażał sobie, że jest sławnym koniem wyścigowym, a teraz był skazany na pracę osła przenoszącego towary. Zachowywał się z godnością. Zamknął się w sobie, spuścił głowę, słowo skargi nie wyszło nigdy z jego ust. Bardzo dobrze; czasami tylko gwałtownie wybuchał, gdy ta nieszczęsna sprawa „Patny" wyłaziła na wierzch. Na nieszczęście, ten skandal posiadał żywotność nadzwyczajną i dla tej to przyczyny nie byłem nigdy pewny, że mam już spokój z Jimem.

Siedziałem i myślałem o nim po wyjściu oficera francuskiego, ale myślą przeniosłem się nie do sklepu De Jongha, gdzie niedawno

uścisnąłem rękę Jima, lecz do tej galerii hotelu Malabar, gdzie przed laty siedzieliśmy przy dopalających się świecach, wśród chłodnej, ciemnej nocy. Miecz krajowej sprawiedliwości wisiał nad głową Jima. Jutro – a może dzisiaj (północ dawno minęła) – sędzia o marmurowej twarzy, po wydaniu wyroku uwięzienia za napad i bójkę, miał podnieść straszną broń i wymierzyć cios w nachyloną szyję Jima. Nasza rozmowa prowadzona tej nocy dziwnie przypominała ostatnie godziny, jakie spędza się ze skazanym człowiekiem. On także był winien. Był winien – powtarzam to sobie niejednokrotnie – był winien i był zgubiony; pomimo to chciałem mu oszczędzić szczegółów formalnej egzekucji. Nie usiłuję wyjaśnić przyczyny mego pragnienia – zdaje mi się, że nie potrafiłbym ich podać; ale jeżeli nie macie do tej chwili jasnego o tym pojęcia, to opowiadanie moje musiało być niejasne lub też wy jesteście zbyt senni, byście mogli pochwycić znaczenie moich słów.

Nie bronię swej moralności. Nie było jej w impulsie, który mnie skłonił do przedstawienia mu, w całej jego prostocie, planu Brierly'ego, planu ucieczki. Pieniądze leżały w mej kieszeni, gotowe na jego usługi. O! Pożyczka! Pożyczka, rozumie się – a jeżeli przyda mu się list polecający do pewnego człowieka (w Rangunie), który może dać mu pracę... O! Z przyjemnością służę. Mam atrament, pióro, papier w pokoju na pierwszym piętrze. Jeszcze mówiłem, gdy już układałem list: dzień, miesiąc, rok godzina 2.30 rano... W imię naszej starej przyjaźni, proszę o dostarczenie jakiejś pracy panu Jamesowi N.N., któremu ufam etc., etc. Gotów byłem nawet tak o nim napisać. Jeżeli nie zdobył mej pełnej sympatii, to uczynił więcej jeszcze – doszedł do samego dna, do pierwiastka tego uczucia, dosięgnął tajemnej wrażliwości mego egoizmu. Nic przed wami nie skrywam, gdyż w przeciwnym razie czyny moje byłyby

dla was bardziej niezrozumiałe, niż ludzkie czyny mają prawo być – a zresztą, jutro zapomnicie o moich wynurzeniach, jak zapominacie o innych naukach przeszłości. W tej transakcji, mówiąc dobitnie i grubiańsko, ja byłem człowiekiem bez zarzutu; ale subtelne zamiary mej niemoralności były zniweczone moralną prostotą przestępcy. On również był samolubny, to nie ulega wątpliwości, ale jego samolubstwo miało pierwiastek wyższej natury i zamiary jego były wznioślejsze. Przekonałem się, że bez względu na to, co bym mówił, on gotów był przejść przez ceremonię egzekucji, a ja niewiele miałem do powiedzenia, czułem bowiem, że w argumentacji młodość jego ciężko przeciw mnie zaważy: on wierzył w to, w co ja już nawet przestałem wątpić. Było coś pięknego w jego niewyrażonej dzikości, zaledwie nakreślonej nadziei.

– Uciekać! Nie mógłbym nawet o tym pomyśleć – rzekł wstrząsając głową.

– Proponuję panu rzecz, za którą ani chcę, ani oczekuję jakiejkolwiek wdzięczności – rzekłem – odda mi pan te pieniądze, gdy będzie pan mógł i...

– Strasznie jest pan dobry – szepnął, nie patrząc na mnie.

Przypatrywałem mu się bacznie: przyszłość musiała mu się wydawać ogromnie niepewna; ale nie drgnął, nie ustąpił, jak gdyby rzeczywiście wszystko było w porządku z jego sercem. Poczułem gniew – nie po raz pierwszy tej nocy.

– Ta cała nieszczęsna sprawa – rzekłem – jest bardzo gorzka, jak sądzę, dla takiego jak pan człowieka...

– Jest, jest! – szepnął dwa razy nie odrywając oczu od podłogi.

Widok jego rozdzierał serce. Przy blasku świec ujrzałem na jego policzkach rumieniec wywołany napływem gorącej krwi. Wierzycie

mi czy nie, powiadam, że serce mi się darło na kawały. Sprowokowało mnie to do brutalności.

– Dobrze – rzekłem – ale muszę panu wyznać, że nie umiem wyobrazić sobie, jakie korzyści spodziewa się pan z tego wyciągnąć?

– Korzyści! – szepnął.

– Niech mnie diabli porwą, jeżeli wiem, o co panu chodzi – powiedziałem wściekłym tonem.

– Usiłowałem panu powiedzieć wszystko – mówił powoli, jak gdyby rozmyślał nad czymś, niedającym się określić – ale zresztą to mój problem.

Otworzyłem usta, by mu dać odpowiedź, gdy nagle przekonałem się, że straciłem całe do siebie zaufanie; i on również, zdawało się, że odsuwa mnie na bok, gdyż bąkał jak człowiek myślący na głos:

– Poszli sobie... schronili się do szpitali... Ani jeden z nich nie stawi tu czoła... Oni!... – Poruszył ręką pogardliwie. – Ale ja muszę przejść przez to wszystko... nie cofnę się przed niczym.

Umilkł. Patrzył jak nieprzytomny. Na jego twarzy odzwierciedlały się przemijające wrażenia pogardy, rozpaczy, postanowienia – odzwierciedlały się kolejno, jak w magicznym zwierciadle odbijają się przesuwające się nieziemskie kształty. Żył w otoczeniu zwodniczych duchów, surowych cieni.

– Ee! Głupstwo, kochany chłopcze! – zacząłem.

Wykonał ruch zniecierpliwienia.

– Zdaje się pan nie rozumieć – rzekł z naciskiem; spojrzał na mnie przeciągle – Mogłem skoczyć, ale nie ucieknę!

– Nie chciałem pana obrazić – rzekłem i głupio dodałem: – Lepsi od ciebie ludzie uciekali czasami.

Spąsowiał cały, a ja w zakłopotaniu o mało nie udławiłem się własnym językiem.

– Może być – rzekł w końcu – nie dość dobry jestem na to; nie mogę więc sobie na to pozwolić. Zmuszony jestem walczyć z tą sprawą i walczę!

Wstałem z krzesła, czułem się zupełnie zesztywniały. Milczenie było kłopotliwe i aby położyć mu kres, nie znalazłem lepszego wyjścia nad uczynienie banalnej uwagi:

– Nie miałem pojęcia, że tak jest późno.

– Jak widzę, ma pan tego dość – rzekł szorstko – jeżeli mam powiedzieć prawdę – dodał oglądając się za swym kapeluszem – ja również mam dość.

Dobrze! Odrzucił jedyną propozycję. Odepchnął moją rękę niosącą mu pomoc; gotów był iść, a za balustradą ciemna noc zdawała się czekać na niego, jak gdyby był przeznaczoną dla niej zdobyczą. Słyszałem jego głos:

– A! Mam go nareszcie! – znalazł swój kapelusz.

Przez parę sekund milczeliśmy.

– Co zrobi pan potem... potem?... – spytałem cicho.

– Prawdopodobnie zejdę na psy – mruknął.

Odzyskałem w pewnej mierze panowanie nad sobą i uważałem, że najlepiej lekko zakończyć tę rozmowę.

– Proszę, niech pan pamięta – rzekłem – że bardzo pragnę się z panem zobaczyć przed odjazdem.

– Nie widzę przeszkód. Ta przeklęta historia nie uczyni mnie niewidzialnym – rzekł z goryczą – takiego szczęścia nie zaznam.

I wówczas, w tej ostatniej chwili pożegnania obraził mnie okazywaniem niepewności tak w słowach, jak ruchach. Niech mu to Bóg przebaczy! Wystawił sobie, że ja niechętnie podam mu rękę. Okropności tego nie można wyrazić słowami. Zdaje mi się, że krzyknąłem na niego tak, jak się krzyczy na człowieka, którego się widzi nad brzegiem przepaści; przypominam sobie, że ujrzałem

na jego twarzy blady uśmiech, zgniótł mi rękę i nerwowo się roześmiał. Świece zgasły, skończyło się wszystko, z cieniów nocy doszedł moich uszu jęk. Jim wyszedł. Znikł w ciemnościach. Słyszałem chrzęst piasku pod jego stopami. Biegł. Biegł szybko, nie mając dokąd się udać. A nie miał jeszcze dwudziestu czterech lat!

Rozdział XIV

Mało spałem, zjadłem pośpiesznie śniadanie i po lekkim wahaniu postanowiłem, że mój okręt obejdzie się dziś bez rannej inspekcji. Było to brzydko z mej strony, bo mój pomocnik, nieoceniony skądinąd człowiek, był skłonny do czarnych przywidzeń i jeżeli o zwykłej godzinie nie otrzymał listu od żony, to nie posiadał się z gniewu i zazdrości, kłócił się ze wszystkimi i albo płakał w swej kajucie, albo puszczał wodze swemu temperamentowi, co załogę doprowadzało prawie do buntu. Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Pobrali się przed trzynastu laty, a ujrzawszy ją raz, uczciwie mówię, nie mogłem pojąć, jak człowiek może tak wariować dla podobnie niepociągającej istoty. Nie wiem doprawdy, czy dobrze zrobiłem, nie dzieląc się z biednym Selvinem swymi myślami. On robił sobie małe piekiełko na ziemi, ja pośrednio również cierpiałem z tego powodu, ale jakieś fałszywe poczucie delikatności powstrzymywało mnie od zwierzeń. Małżeńskie stosunki marynarzy byłyby ciekawym przedmiotem do rozmowy, mógłbym wam opowiedzieć... ale tu ani miejsce, ani czas odpowiedni – zajmujemy się Jimem – a on nie był żonaty. Jego sumienie czy duma, te nadzwyczajne duchy i surowe cienie, towarzysze jego młodości, nie pozwalały Jimowi uciec od katowskiego topora; ja natomiast, którego o takie towarzystwo posądzać nie można, musiałem koniecznie pójść patrzeć, jak potoczy się jego głowa. Skierowałem swe kroki do sądu. Nie miałem nadziei, bym został bardzo zbudowany lub wzruszony, zainteresowany lub przerażony, chociaż póki człowiek żyje, jakaś porządna groza, odczuta od czasu do czasu,

bywa bardzo zbawienna w skutkach. Ale również nie spodziewałem się odczuć – takiego zgnębienia! Cała gorycz jego kary uwypukliła się dotkliwie. Rzeczywistą istotą przestępstwa jest to załamanie się wiary, jaką obdarza cię ogół ludzkości i z tego punktu widzenia – Jim był nie byle jakim przestępcą, ale egzekucja jego odbyła się w bardzo pospolity sposób. Nie było wysokiej szubienicy ani szkarłatnego sukna (czy mają szkarłatne sukno w Tower Hill? Powinni mieć); nie było grozą przejętych tłumów oburzonych na winowajcę i wzruszonych do łez jego losem – ani śladu ponurego zadośćuczynienia poprzez karę.

Gdy szedłem na rozprawę słońce jasno świeciło, a zbyt wielka jego jasność nie dawała ukojenia, po ulicach przewalała się różnobarwna mieszanina jak w zepsutym kalejdoskopie: żółto, zielono, niebiesko, tu błysnęła brunatna nagość nieokrytego ramienia, tu przesunął się wóz z czerwonym baldachimem, oddział krajowej piechoty przemaszerował pośpiesznie, tam znów policjant krajowiec w swym ciemnym, opiętym mundurze spojrzał na mnie swymi tajemniczymi, wschodnimi źrenicami. Pod cieniem samotnego drzewa, na dziedzińcu sądowym włościanie wplątani w sprawę o pobicie siedzieli w malowniczej grupie, przypominając jakąś chromolitografię obozowiska z książki opisującej podróż na Wschód. Brakowało tylko smugi dymu na dalszym planie i pasącego się na trawie stada bydła. Za nimi wznosił się przewyższający drzewa żółty mur, o który odbijały się promienie słoneczne. Izba sądowa była ciemna, przez co zdawała się obszerniejsza. W górze poruszały się miarowo wachlarze punkah. Tu i ówdzie udrapowana postać, zmniejszona wysokością nagich ścian, stała nieruchomo między szeregami pustych ławek, jak gdyby zajęta pobożnym rozmyślaniem. Oskarżony, który przegrał sprawę, otyły, czekoladowej barwy człowiek z ogoloną głową, z nagą

połową piersi, siedział uroczyście nieruchomy; oczy tylko świeciły, biegając wokoło, a nozdrza przy oddechu gwałtownie się poruszały. Brierly upadł na krzesło, miał minę człowieka wyczerpanego całonocną pracą. Pobożny kapitan żaglowca wydawał się podniecony i kręcił się niespokojnie, jak gdyby z trudem powstrzymywał chęć odezwania się i wezwania nas wszystkich do modlitwy i skruchy. Głowa sędziego, blada, porządnie uczesana, przypominała głowę ciężko chorego człowieka, którego wymyto, wyczesano i ułożono na łóżku. Usunął na bok szklankę z kwiatami – a chwytając w obie ręce długą ćwiartkę sinawego papieru, przebiegł ją oczami, wyciągnął ramię na brzeg stołu i zaczął czytać głośno, równym, wyraźnym, obojętnym głosem.

Na Jowisza! Wszystkie moje niedorzeczne myśli o rusztowaniu i toczącej się z niego głowie – były niczym! Rzeczywistość, zapewniam was, była gorsza od ścięcia głowy. Skończyło się! Myśl ta przygniatała wszystkich olbrzymim ciężarem, nie miała też w sobie nadziei spokoju i bezpieczeństwa, jakie następuje po spadnięciu topora. Z tej całej manipulacji wiał chłód wyroku śmierci i okrucieństwo wyroku wygnania! Dziś jeszcze tak się na to zapatruję, możecie więc pojąć, jak to odczułem wówczas. Może dla tej przyczyny nie mogłem się zmusić do uważania tej sprawy za skończoną. Ona pozostała we mnie, chętnie o niej rozprawiałem, jak gdyby nie była ostatecznie rozstrzygnięta: ani w prywatnej, ludzkiej opinii, ani w opinii międzynarodowej. Ten Francuz na przykład! Zapatrywania jego narodu na ten temat wypowiedziane były spokojnie, z tą określoną frazeologią, jakiej użyłaby maszyna, gdyby umiała mówić.

Głowa sędziego wyłaniała się spoza papieru, jego czoło było białe jak alabaster. Zadano kilka pytań sądowi. Pierwsze odnosiło się do kwestii, czy parowiec pod każdym względem był zdatny

do odbycia podróży. Sąd odpowiedział przecząco. Następny punkt, przypominam sobie, dotyczył sprawy, czy w chwili wypadku parowiec był właściwie kierowany i pozostawał pod opieką dobrych marynarzy. Odpowiedziano: tak, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, a wreszcie oświadczono, że właściwej przyczyny wypadku nie odkryto. Jakieś pływające szczątki rozbitego okrętu zapewne. Pamiętałem i ja, że w owym czasie zawiadomiono o zniknięciu norweskiej barki naładowanej drzewem; takie barki bardzo często przewraca orkan i pływają one całymi miesiącami tworząc rodzaj morskich syren czyhających na okręty i rozbijających je w ciemną noc. Takie błąkające się trupy są dość pospolite na północnym Atlantyku, który nawiedzany jest wszystkimi okropnościami morza – mgłą, lodowymi górami, zatopionymi okrętami i ponurymi, długotrwałymi wichrami, które wysysają jak wampiry siłę, gniotą ducha, odbierają wszelką nadzieję, aż człowiek się czuje pustą skorupą. Ale tam – na tych morzach – wypadek taki był dość rzadki i wyglądał jak szczególna niełaska Opatrzności pragnącej śmierci jednego biedaka i sprowadzenia na Jima czegoś gorszego niż śmierć. Zamyśliłem się o tym i przez jakiś czas słyszałem tylko głos sędziego, nie rozumiejąc słów. Ale po chwili zacząłem odróżniać pojedyncze wyrazy: „...najzupełniej nie pamiętając o swych obowiązkach...” – mówił. Następnego zdania nie usłyszałem i znów... „...porzucając w chwili niebezpieczeństwa powierzonych ich pieczy ludzi, jak też ich majątki...” – mówił sędzia i umilkł. Para oczu rzuciła ponure spojrzenie znad papieru. Pospiesznie spojrzałem na Jima, jak gdybym się obawiał, że mi zniknie z oczu. Bardzo spokojny – stał tam jeszcze. Cały zamienił się w słuch. „Dlatego...” – zaczął uroczyście urzędnik. Wzrok Jima zawisł na jego ustach. I w ciszy wypłynęły słowa uniesione pędem poruszanego wachlarzami punkah powietrza, a ja śledząc, jakie na nim robią

wrażenie, chwytałem tylko urywki przemowy urzędnika. „...Sąd... Gustaw N.N. kapitan... urodzony w Niemczech... Jakub... N.N. pomocnik... świadectwa unieważnione!" Nastała cisza. Sędzia położył papier i pochylając się na poręcz fotela, zaczął swobodną rozmowę z Brierlym. Powstano, zaczęto wychodzić, ja również skierowałem się ku drzwiom. Na dziedzińcu stanąłem spokojnie i gdy Jim przechodził obok mnie, chwyciłem go za rękę i zatrzymałem. Rzucił mi takie spojrzenie, jak gdybym był odpowiedzialny za to, co się stało; jak gdybym był wcielonym złem życia.

– Wszystko skończone – bąknąłem.

– Tak – odparł ochrypłym głosem. – A teraz niech nikt się nie ośmieli...

Wyrwał mi rękę. Patrzyłem za nim, jak odchodził. Na długiej ulicy widać go było przez jakiś czas. Szedł powoli, zdawało się, że z wysiłkiem utrzymuje się na linii prostej. Właśnie w chwili, gdym go tracił z oczu, pewny byłem, że się zachwiał.

– Zgubiony człowiek – rzekł ktoś poza mymi plecami.

Obróciwszy się, ujrzałem Australijczyka, którego znałem trochę; nazywał się Chester. On również patrzył za Jimem. Chester miał niesłychaną objętość w piersiach, gładko ogoloną twarz mahoniowej barwy i dwa krzaczki szpakowatych wąsów sterczących nad górną wargą. Przechodził rozmaite koleje, był dzwonnikiem, kupcem, poławiaczem wielorybów i, jak sam mówił, wszystkim, czym człowiek na morzu być może. Ocean Spokojny, północny i południowy, był właściwym gruntem jego działalności, ale przywędrował w te okolice, gdyż pragnął nabyć jakiś niedrogi statek dla siebie. Opowiadał, że znalazł gdzieś wyspę bogatą w guano, ale dostęp do niej przedstawiał wiele niebezpieczeństw.

– To istna kopalnia złota, ale nie ma gdzie nawet kotwicy zarzucić, a przy tym huragany są na porządku dziennym. Powtarzam, że to więcej warte niż kopalnia złota, a nie mogę znaleźć ani komendanta, ani właściciela okrętu, chcącego tam dopłynąć. Postanowiłem więc sam zająć się tą sprawą...

Dla tego celu potrzebował statku i wiedziałem, że prowadzi układy z firmą Parsee o stary okaz, anachronizm mórz, o sile dziewięćdziesięciu koni. Patrzył ze znajomością rzeczy na Jima.

– Bardzo bierze to sobie do serca? – spytał pogardliwie.

– Bardzo – odparłem.

– To nic z niego nie będzie – zaopiniował. – Z takiego ciasta człowiek wyjść nie może. Należy patrzeć na rzeczy tak, jak się one przedstawiają. Inaczej nic na tym świecie nie zrobisz. Ot, ja na przykład, nigdy nic nie biorę sobie do serca.

– Tak – odparłem – widzi pan rzeczy takimi, jakimi są.

– Ot, chciałbym, by tu przyszedł mój wspólnik – to ciekawy człowiek. Znasz pan mego wspólnika? Stary Robinson. Nie znasz pan? Toż przecie sławny Robinson. Przemycił większą ilość opium i schwytał więcej wielorybów, niż jakikolwiek inny żywy człowiek. Powiadają, że napadał na żaglowce w drodze na Alaskę, gdy mgła była tak gęsta, że tylko sam Stwórca mógł odróżnić jednego człowieka od drugiego. Będziemy eksploatowali razem to guano. Taka sposobność zrobienia majątku nie zdarzyła mu się jeszcze w życiu. – Przyłożył usta do mego ucha. – Ludożerca! Tak go powszechnie nazywano przed laty. Pamiętasz pan tę historię. Rozbił się okręt, prawda, siedmiu marynarzy wydostało się na wybrzeże i podobno nieosobliwie ze sobą żyli. Są ludzie niezmiernie kłótliwi, nieumiejący radzić sobie w chwilach ciężkich – biorący rzeczy nie tak, jak należy, a jakiż tego rezultat? Rozumie się, zły! Kłótnie, swary, w końcu jakiś łeb zostaje rozbity. Taki gatunek ludzi najlepiej

przedstawia się pod postacią trupów. Chodziły wieści, że łódź okrętu „Wolverine" ujrzała go klęczącego na wybrzeżu, nagiego jak go Bóg stworzył i śpiewającego jakieś psalmy; śnieg prószył wówczas. Gdy łódź się zbliżyła na długość wiosła – zerwał się i zaczął zmykać. Goniono za nim godzinę przynajmniej, nareszcie jeden majtek rzucił kamieniem, który trafił za ucho i powalił uciekającego. Sam był na wybrzeżu? Rozumie się. Ale czy ta historia jest prawdziwa, czy tamta, Bóg raczy wiedzieć. Nie robiono tam żadnych poszukiwań. Zawinięto go w płótno żaglowe – i uniesiono jak najprędzej, noc zapadała, burza groziła, z okrętu co pięć minut strzelano na odwrót. Po trzech tygodniach ani byś odgadł, że miał taką przygodę. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co ludzie gadali, zaciął usta i pozwolił im krzyczeć. Martwił się, że stracił grube pieniądze w tej katastrofie, a cóż go mogły obchodzić przezwiska dawane mu przez ludzi? Ot, taki człowiek jest mi potrzebny! – Podniósł rękę i dawał znaki komuś idącemu ulicą. – Ma trochę pieniędzy, więc dopuściłem go do spółki. Grzechem byłoby odrzucać taką osobliwość, a poza tym – sam zostałem oskubany! Zapiekło mnie to do żywego, ale ponieważ mam zwyczaj widzieć rzeczy takimi, jakimi są, więc powiedziałem sobie: jeżeli muszę koniecznie dzielić się z kimś, to już wolę z takim człowiekiem jak Robinson! Pozostawiłem go w hotelu, przy śniadaniu, a sam przyszedłem do sądu, bo mam pewną myśl. A! Dzień dobry, kapitanie Robinson... Mój przyjaciel... kapitan Robinson.

Wychudły patriarcha w białym ubraniu i czapce z zielonym daszkiem na głowie, trzęsący się ze starości, zbliżał się ku nam i stanął, wspierając się rękami na lasce od parasola. Długa, biała broda spadała mu na piersi. Zmrużył pomarszczone powieki i patrząc na mnie ze zdumieniem, mówił uprzejmie, chwiejąc się:

– Dzień dobry panu. Jak się pan ma?

– Trochę głuchy – rzekł do mnie Chester.

– Jak to, więc ciągnąłeś go sześć tysięcy mil w celu kupienia taniego statku? – pytałem.

– Rzuciwszy jedno na niego spojrzenie, obwiózłbym go dwa razy wokoło kuli ziemskiej – odparł z wielką energią Chester.

– Teraz statek będzie naszą własnością, bo czyż to moja wina, że wszyscy właściciele statków i wszyscy komendanci w całej Australii okazali się gromadą głupców? Raz w Auckland trzy godziny rozmawiałem z jednym człowiekiem. „Przyślij okręt – mówiłem – przyślij okręt. Dam ci połowę pierwszego ładunku, eksploatacja kosztować cię nie będzie, chcę puścić interes w ruch". A on na to: „Nie zrobiłbym tego, choćby na świecie całym nie było innego miejsca na zużytkowanie mojego okrętu!" Skończony osioł! Stały mu na przeszkodzie skały, prądy i to, że żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie chciałoby tu ryzykować, a nie rozumiał, co zarobić może w przeciągu trzech lat. Osioł! Prawie na kolanach go błagałem. „Do diabła wszystkie przeszkody, skały, huragany – mówiłem. – Zastanów się, toż tam jest guano, plantatorzy cukru bić się o nie będą – powiadam ci!..." Ale cóż z głupcem poradzisz? „Wymyśliłeś jakiś nowy kawał, Chesterze" rzekł. Dobry sobie... kawał!... – ryczeć chciałem ze złości. Spytaj pan kapitana Robinsona... Zetknąłem się z drugim właścicielem okrętu – otyłym jegomościem w białej kamizelce, było to w Wellington; ten znów myślał, że chcę urządzić szwindel na wielką skalę. „Jak widzę, głupca jakiegoś szukasz – rzekł – ale ja jestem teraz zajęty. Żegnam". Pragnąłem schwycić go za bary, zgnieść i wyrzucić przez okno jego własnej kancelarii. Ale nie zrobiłem tego. Łagodny, słodki byłem jak ksiądz. „Pomyśl pan nad tym, zastanów się – rzekłem – jutro przyjdę po odpowiedź". On coś bąknął o tym, że cały dzień będzie poza domem. Na schodach gotów byłem tłuc głową o mur

z rozpaczy. Kapitan Robinson może zaświadczyć. Wściekałem się, myśląc o tej cudownej substancji, marnującej się tam, substancji, która by trzcinę cukrową popędziła pod obłoki. Toż to przyszłość Queenslandu! W Brisbane, gdzie po raz ostatni próbowałem przeprowadzić swe plany – nazwali mnie maniakiem. Idioci! Jedyny rozsądny człowiek, jakiego tam spotkałem, był woźnica, który mnie woził po mieście. Przypuszczam, że to był jakiś zmarnowany geniusz. He! Kapitanie Robinson? Pamiętasz, mówiłem ci o tym woźnicy w Brisbane, prawda? Ten chłop miał cudowne oko do takich interesów. Widział to wszystko jak na dłoni. Rozmowa z nim istotnie była przyjemnością. Pewnego wieczoru, po piekielnym dniu spędzonym na targowaniu się z właścicielami okrętów, byłem tak zgnębiony, że zawołałem: „Muszę się spić. Zawieź mnie, gdzie chcesz, muszę się spić albo zwariuję". „Siadaj pan" – rzekł tylko. Doprawdy, gdyby nie on, nie wiem, co by się ze mną stało. He! Kapitanie Robinson!

Dał szturchańca w bok swemu wspólnikowi.

– He, he, he! – śmiał się stary, patrząc bezmyślnie na ulicę, po czym niepewny, zamyślony wzrok skierował na mnie. – He, he, he!... – oparł się mocniej na parasolu i wpatrzył się w ziemię.

Nie potrzebuję mówić, że kilka razy usiłowałem oddalić się, ale Chester udaremniał moje zamiary prostym chwytaniem mnie za surdut.

– Chwileczkę. Mam myśl.

– Jakaż jest, u diabła, pańska myśl? – wybuchnąłem w końcu. – Jeżeli myśli pan, że mnie wciągnie...

– O nie... za późno, choćby sam pan chciał. Mamy już parowiec.

– To chyba widmo parowca – rzekłem.

– Nic nie szkodzi. Dobry będzie na początek – nie ma w nim wielkich braków. Prawda, kapitanie Robinsonie?

– Tak! Tak! Tak! – zakrakał starzec nie podnosząc oczu, a starcze drganie jego głowy nabrało jakiejś dumnej determinacji.

– Wiem, że pan zna tego młokosa – rzekł Chester głową wskazując ulicę, gdzie znikł Jim. – Mówiono mi, że gadał z panem w hotelu Malabar ostatniej nocy.

Przyznałem, że tak było istotnie, a on, uczyniwszy uwagę, że lubi żyć przyzwoicie, tylko teraz musi oszczędzać grosz każdy, bo nigdy nie ma go dość, gdy się puszcza w ruch jakiś interes – podniósł ramiona i gładził swe sterczące wąsy, a poważny Robinson kaszlał i coraz mocniej opierał się na parasolu; zdawało się, że lada chwila rozsypie się i przemieni w kupę starych kości.

– Widzi pan, stary trzyma w garści wszystkie pieniądze – szepnął poufnie Chester. – Spłukałem się przy zawieraniu transakcji, ale poczekaj pan, poczekaj. Dobry czas nadejdzie... – Zdziwił się nagle oznakami mego zniecierpliwienia. – Do pioruna! – krzyknął. – Ja opowiadam panu o sprawie pierwszorzędnego znaczenia, a pan...

– Czekają na mnie – rzekłem łagodnie.

– No więc co? – rzekł – niech czekają.

– Ja również czekam – zauważyłem – niech mi pan powie, czego chce pan ode mnie?

Rzucił gwałtownie głową.

– Potrzebuję tego chłopaka.

– Nie rozumiem – rzekłem.

– Niezdatny, co? – pytał Chester szorstko.

– Nic o tym nie wiem – protestowałem.

– Jak to, sam mi pan powiedziałeś, że bierze sprawę do serca – argumentował Chester. – Moim zdaniem, chłopiec, który... w każdym razie nie na wiele on się zda; ale widzisz pan, jestem w poszukiwaniu kogokolwiek i mam właśnie odpowiednią dla niego pracę. Dam mu posadę na mojej wyspie. – Kiwał głową

znacząco. – Muszę zakopać tam czterdziestu robotników, chociażby mi przyszło ich wykraść! Ktoś musi obrobić materiał. O! Ja myślę zrobić to z rozmachem, pobuduję drewniane szałasy, rozciągnę żelazne dachy – znam jednego człowieka w Hobart, który się tym zajmie. Muszę jeszcze pomyśleć o zapasie wody. Będę musiał się zakręcić, żeby znaleźć kogoś, kto mi pożyczy z sześć żelaznych zbiorników na wodę. Wszak trzeba łapać deszczową wodę, prawda? Otóż chciałbym, by ten chłopiec miał na to wszystko oko. Uczynię go przełożonym robotników. Dobra myśl, co? Cóż pan o tym powie?

– Lata całe potrafi nie spaść kropla deszczu na rafach Walpole'a – rzekłem; zbyt byłem zdumiony, by zdobyć się na śmiech.

Zagryzł usta i zrobił znudzoną minę.

– E! Urządzi się to! Nie w tym leży trudność!

Milczałem. Oczami duszy ujrzałem Jima stojącego na skale, tonącego po kolana w guanie, z wrzaskiem morskiego ptactwa w uszach i rozpaloną kulą słoneczną nad głową; niebo i ocean gorzeć się zdawał od tego gorąca; poza tą roziskrzoną powierzchnią wód oko nic nie widziało.

– Nie radziłbym najgorszemu memu wrogowi... – zacząłem.

– Co panu jest? – krzyknął Chester. – Mam zamiar dać mu porządne wynagrodzenie, rozumie się wtedy, jak interes pójdzie dobrze. A praca prawie żadna; stać tylko i trzymać za pasem nabity sześciostrzałowy rewolwer... Przecie nie będzie się obawiał pogróżek czterdziestu robotników, będąc między nimi jedynym uzbrojonym człowiekiem! Stanowisko lepsze, niż się wydawać może. Chciałbym, byś mi pan pomógł rozmówić się z nim.

– Nigdy! – krzyknąłem.

Stary Robinson podniósł na chwilę kaprawe, przerażone oczy. Chester spojrzał na mnie z niewypowiedzianą pogardą.

– Więc będziesz mu pan odradzać? – rzekł powoli.

– Z pewnością – odparłem tak oburzony, jak gdyby namawiał mnie do zabicia kogoś – a zresztą pewny jestem, że on by nie zechciał. W nieprzyjemnym jest teraz położeniu, ale wariatem nie jest, o ile wiem.

– On jest najzupełniej do niczego niezdatny – mruknął Chester. – A mnie by się przydał. Gdyby pan umiał patrzeć na rzeczy jak należy, to byś rozumiał, że to jest stanowisko jak dla niego stworzone. A przy tym... No! Przecie to najwspanialsza, najpewniejsza okazja!... – Nagle wpadł w pasję. – Ja muszę mieć człowieka. Ot co! – tupnął nogą, nieprzyjemnie się uśmiechając. – W każdym razie mogę zagwarantować, że wyspa nie zatonie pod nim – a zdaje mi się, że on na tym punkcie jest bardzo drażliwy.

– Żegnam – rzekłem krótko.

Spojrzał na mnie, jak gdybym był największym z głupców.

– Chodźmy, kapitanie Robinsonie – wrzasnął nagle do ucha starego. – Czekają na nas, by dobić targu.

Schwycił mocno swego wspólnika pod ramię, zakręcił nim i niespodziewanie spojrzał na mnie przez ramię.

– Chciałem wyświadczyć mu łaskę – rzekł takim tonem, że cała krew się we mnie zagotowała.

– W jego imieniu dziękuję – odparłem.

– Jest pan diabelnie uczciwy – szydził – ale podobny jesteś do reszty z nich. Za wiele bujasz w obłokach. Nie wiem, co ci się uda z nim zrobić.

– Nie wiem nawet, czy zechcę coś z nim zrobić.

– Doprawdy? – wybuchnął, a szpakowate jego wąsy jeszcze bardziej zjeżyły się z gniewu; stojący obok niego poważny Robinson, wyglądał jak zupełnie wyczerpany koń pociągowy.

– No tak, przecie wyspy z guano nie odkryłem – rzekłem.

– Przekonany jestem, że byś jej nie dostrzegł, choćby ci ją wskazano palcem – odparł pośpiesznie – a na tym świecie trzeba najprzód zobaczyć jakąś rzecz, zanim się z niej zrobi użytek. Trzeba przejrzeć na wskroś, inaczej nic nie będzie.

– I wskazać drugim – mruknąłem, wskazując oczami na pochylony grzbiet jego towarzysza.

Chester oburzył się.

– Nie kłopocz się pan o to. Jego oczy dobrze widzą. Dzieckiem nie jest, o nie!

– To widzę – odparłem.

– Chodźmy, kapitanie Robinsonie – krzyknął.

Stary posłusznie ruszył w drogę. Widmo parowca oczekiwało na nich. Uśmiechała się do nich fortuna z pięknej wyspy. Była to ciekawa para argonautów. Chester szedł swobodnie, wyprostowany, z miną zwycięzcy; tamten drugi skurczony, zwisający na ramieniu pierwszego poruszał wychudłymi piszczelami z rozpaczliwym pośpiechem.

Tom II

Rozdział XV

Nie udałem się zaraz na poszukiwanie Jima tylko dlatego, że istotnie czekano na mnie, a sprawy tej zaniedbać nie mogłem. Nieszczęście chciało, że w kancelarii mego agenta złapał mnie jegomość świeżo przybyły z Madagaskaru, z planem cudownego interesu. Miał on jakiś związek z bydłem, nabojami i coś z księciem Ravonalo, ale wszystko rozbijało się o głupotę jakiegoś admirała – admirała Pierre, zdaje mi się. Wszystko się kręciło wokół tego, a ten nieszczęsny człowiek nie mógł dobrać dość wymownych słów, by sprawę wyjaśnić i wyrazić całą wiarę w niej pokładaną. Miał okrągłe, wyłażące z orbit oczy z rybim połyskiem, guzy na czole i nosił długie włosy bez przedziałka, zaczesane na tył głowy. Miał ulubiony frazes, który nieustannie z tryumfem powtarzał: „Minimum ryzyka, maksimum korzyści – oto moje motto. I co pan na to?" Przyprawił mnie o ból głowy, zepsuł mi śniadanie, ale to, co chciał, wyciągnął ze mnie; jak tylko się go pozbyłem, udałem się wprost na wybrzeże. Ujrzałem Jima opartego o parapet przy molo. Trzech wioślarzy krajowców kłóciło się zawzięcie o pięć ananasów, wrzask podnosili niesłychany. Nie słyszał mych kroków, a na moje lekkie dotknięcie, odwrócił się nagle, jak gdyby palec mój nacisnął w nim jakąś sprężynę.

– Patrzyłem sobie – bąknął.

Nie pamiętam, co powiedziałem i jak, ale on nie stawiał trudności i poszedł za mną do hotelu.

Szedł ze mną grzecznie jak małe dziecko, z miną posłuszną, bierną, tak jak gdyby czekał na to, bym przyszedł i zabrał go. Nie

powinienem był się dziwić tej jego uległości. Na całej kuli ziemskiej, która jednym wydaje się tak wielka, a drugim – mniejsza od ziarnka gorczycy, nie było miejsca, gdzie mógłby się schronić! Gdzie by mógł być sam ze swą samotnością. Szedł spokojnie obok mnie, patrząc to tu, to tam, obejrzał się nawet za jednym strażakiem w żółtych spodniach, którego czarna twarz miała jedwabiste połyski jak kawał węgla kamiennego. Wątpię jednak, czy on widział cokolwiek, czy choćby zdawał sobie sprawę, że mi towarzyszy, bo gdybym go nie popychał to na prawo, to na lewo, przypuszczam, że szedłby prosto, póki by się nie natknął na mur czy inną przeszkodę.

Skierowałem go zaraz do mego pokoju sypialnego i zabrałem się natychmiast do pisania listów. Było to jedyne miejsce na świecie (z wyjątkiem chyba raf Walpole'a, ale tych nie było pod ręką), gdzie mógł sam z sobą przebywać, nie będąc krępowany resztą świata. Przeklęta sprawa – jak się o niej wyraził – nie uczyniła go niewidzialnym, ale ja zachowywałem się, jak gdyby nim był. Kiedy tylko usiadłem przy biurku, schwyciłem pióro niby średniowieczny skryba i nie ruszałem się. Nie mogę powiedzieć, bym był przestraszony; ale istotnie siedziałem tak cicho, jak gdyby coś niebezpiecznego czyhało w pokoju i przy pierwszym mym ruchu miało rzucić się na mnie. A w pokoju niewiele było rzeczy – wiecie jak urządzone są takie sypialne pokoje. Łóżko zakryte kotarą, dwa czy trzy krzesła i stół do pisania. Wielkie szklane drzwi prowadziły na werandę; Jim stał z twarzą zwróconą ku nim. Zmierzch zapadał; z wielką ostrożnością zapaliłem świecę, wyglądało to na jakiś czyn nielegalny. Nie ulegało wątpliwości, że on przechodził wówczas ciężkie chwile, ale i ja również, do tego stopnia, iż wyznać muszę, że wysyłałem go w duchu do diabła, albo przynajmniej na rafy Walpole'a. Kilka razy przychodziło mi na myśl, że pomimo

wszystko, Chester może był jedynym człowiekiem, mogącym w tym nieszczęściu poradzić. Ten dziwny idealista znalazł od razu praktyczne dla niego zastosowanie, nieomylne, jak się zdawało. Pisałem, pisałem wciąż, załatwiłem zaległą korespondencję i zabrałem się do pisania do osób nieoczekujących ode mnie listów. Od czasu do czasu rzucałem na niego ukradkowe spojrzenie. Stał w miejscu, ale wstrząsały nim konwulsyjne drgania, a od ciężkiego oddechu poruszały się jego ramiona. Walczył, walczył – tchu mu brakło. Płomyczek świecy wywoływał długie cienie, zdające się mieć jakąś ponurą świadomość; meble w swej nieruchomości zdawały się wyczekiwać. Wpadłem w dziwaczny nastrój, skrobiąc tak po papierze, i chociaż gdy przestawałem pisać, zupełna cisza zalegała pokój, odczuwałem chaos i nieład myśli jakby wywoływany przez groźny, gwałtowny zgiełk – orkanu morskiego na przykład. Może ktoś z was rozumie, co chcę przez to powiedzieć. – Czy znacie tę mieszaninę niepokoju, rozpaczy, irytacji, ogarniającej człowieka wszechwładnie – bardzo nieprzyjemnej, ale dobrze świadczącej o naszej wytrzymałości. Nie przypisuję sobie żadnej zasługi w wytrzymaniu napięcia odczuć Jima; mogłem znaleźć ucieczkę w pisaniu listów, mogłem nawet do obcych pisać, gdyby tego zaszła potrzeba. Nagle, gdy brałem nową ćwiartkę papieru, jakiś dźwięk dobiegł moich uszu; pierwszy od chwili, gdyśmy się znaleźli razem w ciszy pokoju. Nie podniosłem głowy, siedziałem jak skamieniały. Kto czuwał przy łożu chorego, ten słyszał w ciszy nocnej takie jęki, wywołane bólem ciała lub duszy. Jim pchnął drzwi z taką siłą, że wszystkie szyby zadźwięczały; wyszedł, a ja wstrzymałem oddech, natężyłem uszu, nie wiedząc właściwie, na co oczekuję. On doprawdy zanadto bierze do serca zwykłą formalność, która w surowej krytyce Chestera wydawała się niegodna uwagi człowieka umiejącego widzieć rzeczy takimi, jakie

są. Nic nieznacząca formalność: jakiś skrawek pergaminu. Cóż to znaczy wobec wyspy pełnej guana!

Z dołu, z sali jadalnej dochodziły tłumione głosy, połączone z brzękiem srebra i szkła; przez otwarte drzwi przy blasku świecy ujrzałem plecy Jima; poza nim ciemność była zupełna, zdawał się być samotnie stojącą postacią nad brzegiem ciemnego, beznadziejnego oceanu. Tam są, bez wątpienia, rafy Walpole'a – ta słomka dla tonącego człowieka. Moje współczucie dla niego przybrało teraz kształt myśli, że nie chciałbym, by ktoś z rodziny widział go w takim stanie. Dla mnie samego była to rzecz ciężka. Nie dyszał już tak teraz; stał wyprostowany, spokojny, a spokój ten zapadał mi w duszę jak ołów w wodę i czynił ją tak ciężką, że przez sekundę pragnąłem gorąco, bym dla niego nic więcej nie mógł uczynić, tylko opłacić koszta pogrzebu. Nawet prawo załatwiło się z nim. Pogrzebanie go byłoby takim łatwym dobrodziejstwem! Byłoby to w takiej harmonii z mądrością życiową, polegającą na usuwaniu sprzed oczu wszelkich wspomnień naszej głupoty, słabości, naszej śmiertelności. Może on zanadto bierze to do serca. A jeżeli tak – to propozycja Chestera...

Wziąłem czysty papier i zacząłem pisać z rozmachem. Tylko ja stałem między Jimem a ciemnym oceanem. Czułem się poniekąd odpowiedzialny. Jeżeli przemówię, czy ten nieruchomy, przechodzący męki młodzieniec skoczy w ciemność, by uchwycić się słomki? Wówczas zrozumiałem, jak ciężko czasami wydać z siebie głos. W wymówionym słowie jest cudowna potęga. Dlaczego, u diabła, nie wypowiadałem go? Zadawałem sobie to pytanie, nie przestając pisać. Nagle na czystym papierze spod mego pióra zaczęły się wyłaniać postacie Chestera i jego wiekowego wspólnika tak wyraźne i wykończone, jakby były odtworzone za pomocą przyrządu optycznego.

A słowo sięga daleko – bardzo daleko – sieje zniszczenie jak pocisk lecący w przestrzeń.

Milczałem, a on, plecami zwrócony do światła, jakby skrępowany i zakneblowany przez wszystkich niewidzialnych wrogów człowieka – nie poruszył się, nie wydał głosu.

Rozdział XVI

Nadchodził czas, gdy miałem go ujrzeć kochanego, podziwianego, obdarzonego zaufaniem, otoczonego legendą nadzwyczajnej siły i waleczności złączonej z jego imieniem, jakby był bohaterem.

Jak wiecie, przeszedł ciężkie próby w zawodzie agenta okrętowego, kiedy to on cierpiał, a ja niepokoiłem się o swoje... swoje, że tak powiem – zaufanie. I dziś nie wiem, czy mogę być zupełnie spokojny, chociaż widziałem go w całym blasku świetności. To był mój ostatni rzut oka na niego – przewodził swemu otoczeniu, będąc w zupełnej zgodzie z życiem lasów i z życiem ludzi. Przyznaję, że zrobiło to na mnie wrażenie, ale również przyznaję, że nie było ono trwałe. Był strzeżony przez to zupełne odosobnienie, był jednym z tego rodzaju ludzi i znajdował się w zupełnym zetknięciu z naturą, która w tych warunkach wierna jest tym, którzy ją kochają. Ale wciąż mi się zdaje, że nie jest zupełnie bezpieczny. Zawsze pamiętać go będę takiego, jakim był stojąc na balkonie i biorąc może zbytnio do serca zwykłą konsekwencję swojej słabości. Rad jestem, rozumie się, że jakaś zauważalna zmiana – a nawet coś wspaniałego wynikło z moich usiłowań; ale czasami zdaje mi się, że dla spokoju mego umysłu byłoby lepiej, gdybym nie stanął między Jimem a wspaniałomyślną propozycją Chestera. Nie mogę sobie wyobrazić, jak by sobie radziła jego wybujała imaginacja na tej wysepce na rafach Walpole'a, pustym okruchu ziemi na bezmiarze wód. Zapewne nigdy bym się o tym nie dowiedział, gdyż muszę wam powiedzieć, że Chester, odwiedziwszy któryś z portów

Australii, gdzie dostał swój starożytny parowiec – wypłynął na Ocean Spokojny z załogą złożoną z dwunastu ludzi, a jedyny wniosek o jego tajemniczym losie można było wyprowadzić z faktu, że na wybrzeżach raf Walpole'a szalał huragan nie później jak w miesiąc po przybyciu tam Chestera. Nie pozostał ślad po tych Argonautach; rozpłynęli się w przestrzeni. Finis.

Koniec! Finis! Wszechmocne słowo, wypędzające z domu życia nawiedzające go widma losu. Oto dlaczego – pomimo świadectwa mych oczu i jego poważnego zapewnienia – braknie mi czegoś, gdy wspomnę o powodzeniu Jima. Prawdą jest, że gdzie jest życie, tam jest i nadzieja, ale i bojaźń zarazem. Nie chcę przez to powiedzieć, że żałuję swego czynu, nie twierdzę również, bym spędzał wskutek tego bezsenne noce; wciąż jednak narzuca mi się myśl, że on tyle sobie robił z tej degradacji ze stanowiska oficera marynarki, gdy właściwie jego wina miała jakieś znaczenie tylko tu. On nie był – że tak powiem – przejrzysty dla mnie. A mam podejrzenie, że sam siebie również nie rozumiał. Miał wysubtelnione odczucia, pragnienia, jakiś wyidealizowany egoizm. Był – że tak się wyrażę – bardzo wytworny; bardzo wytworny i bardzo nieszczęśliwy. Trochę grubsza natura nie zniosłaby tego wszystkiego, z westchnieniem, jękiem, krzykiem, położyłaby koniec życiu; jeszcze grubsza – pozostałaby niewzruszona, nieświadoma i najzupełniej obojętna.

Jim był zanadto interesujący albo zanadto nieszczęśliwy, by miał zostać rzucony na pożarcie psom lub nawet Chesterowi. Czułem to, gdy tak siedziałem z twarzą pochyloną nad papierem, a on toczył ze sobą walkę i dyszał, nie mógł złapać tchu, dusił się; czułem to, gdy wyskoczył na werandę, jak gdyby miał się rzucić z wysokości piętra – ale nie zrobił tego; czułem to, coraz bardziej i bardziej przez cały czas, gdy stał tam zwrócony plecami do światła mej świecy, jak gdyby stał nad brzegiem ponurego, beznadziejnego oceanu.

Nagły, donośny grzmot zmusił mnie do podniesienia głowy. Dźwięk oddalał się, a przenikliwe, oślepiające światło padło na ziemię. Olśniewające błyski ukazywały się raz po raz, a grzmot potężniał znów z każdą sekundą, gdy patrzyłem na tę ciemną sylwetkę, stojącą nad brzegiem rozbłyskującego morza. W chwili największego blasku wróciła nagle ciemność podniesiona do potęgi, a on znikł sprzed mych olśnionych oczu zupełnie tak, jak gdyby rozpadł się na atomy. Straszne szumy leciały w powietrzu, wściekłe ręce zdawały się rozdzierać zarośla, wstrząsały szczytami drzew, rzucały drzwiami, tłukły szyby w całym gmachu. Jim wrócił do pokoju, zamknął drzwi za sobą i znalazł mnie pochylonego nad stołem; mój wielki niepokój co do tego, co on teraz powie, graniczył ze strachem.

– Czy mogę prosić o papierosa? – rzekł.

Wskazałem mu pudełko z papierosami nie podnosząc głowy.

– Chcę... Mam ochotę na tytoń – szepnął.

Ogarnęła mnie nadzwyczajna gorliwość.

– Chwileczkę – odparłem uprzejmie.

Przeszedł się po pokoju, słyszałem jak mruknął:

– Już przeszło.

Pojedynczy huk piorunu sprawił wrażenie wystrzału armatniego wysłanego z tonącego okrętu.

– Burze wcześniej się zaczynają w tym roku – rzucił uwagę, stojąc gdzieś za mną.

Zaadresowawszy ostatnią kopertę, zwróciłem się do niego. Palił chciwie i chociaż słyszał, że poruszyłem się, pozostał zwrócony do mnie plecami.

– Tak, zniosłem to dość dobrze – rzekł nagle się obracając. – Ciekawy jestem, co będzie dalej. Na twarzy jego nie było żadnego wzruszenia, wydawała się ona tylko trochę ciemniejsza, jakby

nabrzmiała. Uśmiechnął się lekko, gdy patrzyłem na niego w milczeniu. – Dziękuję panu, pański pokój jest bardzo wygodny dla człowieka... w ciężkich opałach... – Deszcz lał jak z cebra; z rynny (musiała być w niej dziura) płynęły dziwne dźwięki, jakby jęki, bolesne skargi, szlochy przerywane nagłymi chwilami ciszy. – ...szukającego odrobiny schronienia – mruknął i umilkł.

Błyskawica rozświetliła ciemne ramy okna i cicho rozpłynęła się w powietrzu. Rozmyślałem, jak też do niego najlepiej podejść (nie życzyłem sobie, by mnie znów odepchnął), gdy on roześmiał się gorzko.

– Jestem teraz zwykłym włóczęgą... bez jednego... bez jednego... – mówił powoli – a jednak... – Umilkł; deszcz lał z większą jeszcze gwałtownością. – Przyjdzie dzień, w którym się wszystko przeżyje na nowo. Tak być musi! – szepnął wyraźnie, patrząc na moje buty.

Nie rozumiałem, co chciał przeżyć na nowo, o czym myślał, czego pragnął. Może to było coś tak wielkiego, że się nie dało wypowiedzieć. Zgodnie z przekonaniem Chestera, był to kawał osła... Patrzył na mnie pytająco.

– Może, jeżeli życie będzie dość długie – mruknąłem przez zęby z gniewem. – Ale nie licz pan bardzo na to.

– Na Jowisza! Czuję, jak gdyby nic nigdy nie mogło mnie dotknąć – rzekł z ponurym przekonaniem. – Jeżeli to mnie nie zwaliło z nóg, nie ma obawy, że nie starczy czasu na wydobycie się na wierzch i... – Spojrzał w górę.

Uderzyła mnie myśl, że właśnie z takich jak on rekrutuje się wielka armia jednostek zgnębionych, zbłąkanych, dążących gromadnie do wszystkich ścieków ziemskich. Jak tylko wyjdzie z mego pokoju i straci „odrobinę schronienia", zajmie swe miejsce w szeregach tej armii i rozpocznie swą wędrówkę do bezdennej przepaści. Ja przynajmniej nie miałem złudzeń: ale to ja również

przed chwilą tak pewny byłem potęgi słów, a teraz bałem się przemówić tak, jak czasami lękamy się poruszyć, by nie stracić śliskiego gruntu pod nogami. Właśnie w chwili, gdy chcemy zrozumieć duchowe potrzeby jakiegoś człowieka, spostrzegamy jak niezrozumiałe, chwiejne, mgliste są istoty cieszące się wspólnie z nami z pięknością gwiazd i ciepłem słonecznym. Jak gdyby samotność była ciężkim, a niezbędnym warunkiem naszej egzystencji; powłoka z mięsa i krwi, na którą zwrócone są twoje oczy, ginie przed wyciągniętą ręką, a pozostaje tam tylko kapryśny, niepocieszony i wykrętny duch, którego oko nie zdoła doścignąć, ani ręka pochwycić. Bojaźń, że stracę go bezpowrotnie z oczu, zmusiła mnie do milczenia, gdyż nagle i z nadzwyczajną siłą narzuciła mi się myśl, że jeżeli pozwolę mu utonąć w ciemności, to nigdy sobie tego nie daruję.

– Tak. Dziękuję raz jeszcze. Był pan... niezwykle doprawdy... nie mam słów! Nadzwyczajnie... i nie wiem dlaczego. Lękam się, że nie jestem tak wdzięczny, jak powinienem, ale to tak nagle spadło na mnie... Bo w gruncie... pan sam...

– Możliwe – przerwałem mu. Zmarszczył brwi.

– W każdym razie człowiek jest odpowiedzialny – rzekł patrząc na mnie ostro.

– I to również jest prawdą – odparłem.

– Dobrze, to już dogłębnie przerobiłem i nie mam zamiaru pozwolić komukolwiek leźć mi z tym do oczu – mówił zaciskając pięści.

– A co pan zrobi ze sobą? – spytałem z uśmiechem. Bóg świadkiem, że daleki byłem od wesołości, ale on spojrzał na mnie groźnie.

– To już moja sprawa – rzekł.

Wyraz mocnego postanowienia ukazywał się i znikał jak cień na jego twarzy. Po chwili stał się znów biednym, zakłopotanym chłopcem. Odrzucił papieros.

– Żegnam pana – rzekł z nagłym pośpiechem człowieka, który zbyt długo marudził, zapominając o czekającej nań pracy; ale sekundę czy dwie nie poruszył się z miejsca.

Deszcz lał z tak niepohamowaną gwałtownością, że przywodził na myśl zerwane mosty, powyrywane z korzeniami drzewa, podmyte góry. Żaden człowiek nie mógłby walczyć z tym olbrzymim potokiem, zdającym się łamać, unosić wszystko, huczącym gwałtownie poza ścianami tego pokoju, w którym jak na wyspie znaleźliśmy schronienie. Przedziurawiona rynna bulgotała, dławiła się, bryzgała, chlustała w ohydny sposób, zdawało się, że to jakiś tonący toczy walkę o życie.

– Leje – zauważyłem – a ja...

– Leje czy nie – zaczął gwałtownym tonem, nagle umilkł i podszedł do okna. – Istny potop – szepnął po chwili, a opierając czoło o szybę, dodał – Ciemno choć oko wykol.

Zakręcił się na pięcie, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi wiodące na korytarz, zanim zerwałem się z krzesła.

– Niech pan poczeka! – krzyknąłem – chciałbym, by pan...

– Nie mogę dziś zjeść z panem obiadu – rzucił mi pośpiesznie, będąc już jedną nogą za progiem.

– Nie miałem zamiaru prosić pana o to – krzyknąłem.

Na to cofnął swą nogę zza progu, ale niedowierzająco pozostał we drzwiach. Przemawiałem do jego rozsądku, by przestał się opierać; wrócił do pokoju i zamknął drzwi.

Rozdział XVII

Usłuchał nareszcie; ale zdaje mi się, że najbardziej przekonujący był deszcz; lało właśnie z niszczącą gwałtownością, a przez czas naszej rozmowy uspokoiło się znacznie. Był powściągliwy w obejściu i poważny jak człowiek wszechwładnie opanowany jakąś myślą. Mówiłem z nim o materialnej stronie jego sytuacji. Celem moim było ocalenie go od upadku, ruiny i rozpaczy, będącej zwykle udziałem ludzi pozbawionych przyjaciół i dachu nad głową; błagałem, by przyjął moją pomoc, przekonywałem rozsądnie, a ile razy spojrzałem na tę zaabsorbowaną twarz, tak młodą, a tak poważną, doznawałem nieprzyjemnego uczucia, że właściwie nie jestem pomocą, lecz tylko przeszkodą w jakichś tajemniczych, niewytłumaczonych, niedających się określić aspiracjach jego zranionego ducha.

– Przypuszczam, że masz zamiar jeść, pić i spać pod dachem w zwykły ludziom sposób – pamiętam, że powiedziałem z gniewem. – Mówisz, że nie dotkniesz należnych ci pieniędzy... – Zatrząsł się od wewnętrznego wzburzenia (należała mu się pensja za trzy tygodnie i pięć dni za służbę na „Patnie"). – Dobrze, to rzecz tak mała, że zmienić położenia nie może, ale co zrobisz jutro? Dokąd się zwrócisz? Żyć musisz...

– Właśnie na tym mi nie zależy – wyrwało mu się z ust.

Udałem, że nie słyszałem i zbijać zacząłem to, co brałem za skrupuły przesadnej delikatności.

– Czy tak, czy owak – rzekłem – musisz pozwolić, bym ci pomógł.

– Nie może pan tego zrobić – rzekł po prostu i łagodnie, trzymając się jakiejś myśli, która błyszczała mi w ciemności jak lustrzana powierzchnia wody, ale straciłem nadzieję, bym się mógł do niej zbliżyć o tyle, by ją zgłębić.

Patrzyłem na jego kształtnie zbudowaną postać.

– W każdym razie, mogę pomóc widzialnej części pańskiej osoby.

Nie patrząc na mnie, niedowierzająco zaprzeczył głową.

Krew we mnie zakipiała.

– Ależ mogę – nalegałem – dokonałem już większej rzeczy. Obdarzam pana zaufaniem...

– Chce mi pan dać pieniądze – zaczął.

– Na honor, zasługuje pan, bym wysłał pana do diabła – krzyknąłem, wyrażając swoje oburzenie. Zdumiał się, uśmiechnął, a ja ponowiłem atak. – Tu nie chodzi wcale o pieniądze. Jest pan zbyt powierzchowny – zawołałem (a w duchu myślałem: „Aha, tu cię mam!" Może mimo wszystko jest zbyt powierzchowny). – Proszę spojrzeć na ten list, który chcę panu dać. Piszę do człowieka, którego nigdy dotąd o łaskę nie prosiłem, a piszę o panu takimi słowami, jakich się używa jedynie pisząc o bardzo bliskim przyjacielu. Staję się za pana całkowicie odpowiedzialny. Jeżeli zechce pan zastanowić się nad tym, co to znaczy...

Podniósł głowę. Deszcz ustał, rynna tylko roniła głośne łzy za oknem. Cicho, spokojnie było w pokoju, wszystkie cienie skupiły się po kątach, z dala od płomyka świecy, sterczącej sztywno na kształt sztyletu; twarz Jima zdawała się zalana odblaskiem jakiegoś łagodnego światła, jakby pierwszych promieni jutrzenki.

– Na Jowisza! – wyrzucił z trudem – Jakie to szlachetne z pana strony!

Nie czułbym się bardziej upokorzony, gdyby pokazał mi w tej chwili język. Pomyślałem sobie: „Odpłacił mi za blagę." Jego oczy

błysnęły w moją twarz prostym spojrzeniem i przekonałem się, że nie było w nim ani urągliwości, ani szyderstwa. Wpadł nagle w jakieś nadzwyczajne ożywienie, zdawał się płaską, drewnianą figurką poruszaną za pomocą sznurka. To podnosił, to opuszczał ręce. Stał się zupełnie innym człowiekiem.

– A ja tego nigdy nie spostrzegłem – krzyknął; nagle zagryzł usta i zmarszczył brwi. – Jakimże osłem byłem – mówił powoli, przerażonym tonem. – Takiego jak pan ze świecą szukać – krzyknął stłumionym głosem. Schwycił mą rękę, jak gdyby tylko co ją spostrzegł, i opuścił ją natychmiast. – Przecież ja tego właśnie... pan... ja... – bąkał i nagle na swój dawny, uparty sposób zaczął mówić – Byłbym bestią, gdybym teraz... – głos mu się łamał.

– Dobrze, dobrze – rzekłem. Byłem prawie przerażony tym wybuchem uczuć, przez które przebijała dziwna duma. Przypadkiem pociągnąłem za jakiś sznurek; nie znałem mechanizmu tego cacka.

– Muszę iść teraz – rzekł. – Na Jowisza! Dał mi pan pomoc. Nie mogę usiedzieć w miejscu. O to właśnie chodziło... – Spojrzał na mnie z zachwytem. – Tego mi było potrzeba...

Rozumie się, że tego mu było potrzeba. Nie miałem najmniejszego co do tego złudzenia, ale patrząc na niego, zadawałem sobie pytanie, jakiego rodzaju jest złudzenie, które od kilku minut pieścił w swym łonie?

– Nie weźmie mi pan za złe, że nie umiem nic odpowiedniego powiedzieć – zawołał. – Ostatniej nocy już mi pan wyświadczył nieskończenie wiele dobrego. Słuchając mnie, pan rozumie. Daję panu słowo, że nieraz myślałem, że z natłoku myśli czaszka mi pęknie!...

Rzucał się, literalnie rzucał po pokoju, to pakował ręce do kieszeni, to je wyciągał, kapelusz wciskał na głowę. Nie miałem pojęcia, że on może być tak ruchliwy. Pomyślałem o suchym liściu,

targanym wiatrem, a tajemnicza obawa, ciężar nieokreślonego powątpiewania przygniatał mnie do krzesła. Nagle stanął, jakby przygwożdżony do miejsca jakimś odkryciem.

– Obdarzył mnie pan zaufaniem – oświadczył.

– Ależ na miłość boską, kochany chłopcze, dajże temu pokój! – prosiłem.

– Dobrze, dobrze. Milczeć będę teraz i później. Ale nie może mi pan zabronić myśleć... Co to panu szkodzi!... Ja teraz pokażę... – Szybko podszedł do drzwi, stanął ze spuszczoną głową i wrócił z jakimś postanowieniem, widocznym w całej jego postaci. – Zawsze myślałem, że jeżeli człowiekowi dane będzie rozpocząć życie na nowo, z czystą kartą... A teraz pan... niejako... tak... oczyścił mą kartę...

Machnąłem ręką, a on, nie oglądając się, wyszedł z pokoju; kroki jego były coraz słabiej słyszalne, ale były one pewne, jak człowieka idącego w pełnym świetle dnia.

Co zaś mnie się tyczy, to pozostawiony sam, przy blasku jednej świecy, czułem, że otaczają mnie dziwne ciemności. Nie byłem już tak młody, by się pieścić nadziejami, uśmiechnąłem się, pomyślawszy, że i tak z nas dwóch on posiadł światło życia! Smutno mi się zrobiło. „Czysta karta" powiedział. Jak gdyby słowa przeznaczenia każdego z nas nie były wyryte niezatartymi zgłoskami na powierzchni skały.

Rozdział XVIII

W sześć miesięcy potem przyjaciel mój, cynik, kawaler w średnim wieku (miał opinię dziwaka, był właścicielem młyna), pisał do mnie, że sądząc z zapału, z jakim polecałem Jima, sprawi mi przyjemność, rozpisując się o jego doskonałościach. Były one wyraźnie spokojnego rodzaju i przydatne w codziennym życiu.

„Nigdy nie mogłem się zdobyć w swym sercu na inne uczucia względem osobników mego gatunku, jak tylko na uczucie zrezygnowanej tolerancji, dlatego też mieszkałem zawsze sam w domu, który bezwarunkowo za obszerny jest dla jednego człowieka. Z Jimem od niejakiego czasu mieszkam razem i, jak widzę, dobrze zrobiłem".

Z listu tego wnioskowałem, że nie tylko znosi Jima, ale że w jego sercu budzić się zaczyna jakieś cieplejsze uczucie.

Rozumie się, że wyrażał to w charakterystyczny dla siebie sposób. Klimat dobrze oddziaływał na Jima.

„Gdyby był dziewczyną – pisał mój przyjaciel – można by powiedzieć, że rozkwita, kwitnie skromnie jak fiołek, a nie jak te jaskrawe podzwrotnikowe kwiaty. Już od sześciu tygodni mieszkamy razem, a nie przyszło mu na myśl tłuc mnie po ramieniu, mówiąc: «wyga z ciebie, stary» – ani razu nie dał mi do zrozumienia, że uważa mnie za «mamuta». Nie ma w nim tej nieznośnej młodzieńczej gadatliwości. Łagodnego charakteru, niewiele ma o sobie do powiedzenia i dzięki Bogu, nie jest inteligentny".

Jednak Jim był inteligentny, skoro umiał zżyć się z tym samolubem.

„Jim wygląda, jakby się kąpał w rannej rosie i odkąd przyszła mi świetna myśl dzielenia z nim mieszkania i stołu, sam już nie czuję się tak zwiędły. Któregoś dnia przebiegł przez pokój tylko w celu otworzenia mi drzwi; zaznałem wówczas uczucia zjednoczenia z ludzkością, którego od lat już nie pamiętałem. To śmieszne, prawda? Domyślam się, że ten chłopiec musiał przejść przez jakieś straszne tarapaty – o których ty tylko wiesz – ale chociażby to były rzeczy wstrętne – zdaje mi się, że można by mu je wybaczyć. Ja ze swej strony oświadczam, że nie mógłbym go podejrzewać o spełnienie rzeczy gorszej, niż zrabowanie owocowego ogrodu. Czy wina jego o wiele jest gorsza? Może należało mnie o tym objaśnić; ale może już tyle czasu ubiegło od naszej młodości, że zapomnieliśmy, iż my też kiedyś grzeszyliśmy? Może kiedyś spytam cię o niego i spodziewam się, że mi wówczas odpowiesz. Nie chcę go rozpytywać, nie mając pojęcia o rodzaju jego przewinienia, a przy tym jeszcze na to za wcześnie. Niech jeszcze parę razy otworzy mi drzwi...”

Tak pisał mój przyjaciel. Potrójnie się ucieszyłem: z Jima, z tonu listu i z trafności mego sądu. Najwidoczniej wiedziałem, co robię. Umiałem poznawać się na charakterach, przeczuwałem ludzi. Takie i tym podobne komplementy powtarzałem sobie w duchu. A kto wie, może z tego wyniknie coś nieoczekiwanego a cudownego? Tego wieczoru, spoczywając w wygodnym fotelu na pokładzie mego statku (było to w porcie w Hongkongu), zacząłem budować zamki na lodzie.

Odbyłem podróż na północ, a gdy wróciłem, znalazłem drugi list od mego przyjaciela. Schwyciłem go natychmiast.

„Nie brakuje, o ile wiem, ani jednej łyżeczki – tak się list zaczynał. – Mało mnie to obeszło, więc się nie rozpytywałem. Znikł, zostawiając na stole kartkę z przeprosinami, która świadczy o jego głupocie lub braku serca. Może jedno i drugie razem, ale to nie jest wszystko jedno. Pozwól sobie tylko powiedzieć, że gdybyś miał jeszcze jakiegoś tajemniczego młodzieńca, którego chciałbyś gdzieś wpakować, to musisz pamiętać, że ja zamknąłem budę raz na zawsze. To jest ostatnie dziwactwo, jakie mam na sumieniu. Nie wystawiaj sobie choćby przez chwilę, że mnie to dotknęło; ale żałują tu bardzo jego straty jako dobrego partnera do tenisa, a ja, ze względu na samego siebie, musiałem wymyślić jakieś kłamstwo, bo jakże można było w klubie prawdę powiedzieć..."

Odrzuciłem list z gniewem i zacząłem przerzucać resztę leżącą na stole, nareszcie znalazłem list Jima.

Doprawdy trudno było w to uwierzyć. Była to okoliczność, która nikomu nie mogła nawet przyjść na myśl! Ten mały maszynista z „Patny", nie mogąc znaleźć zajęcia odpowiedniego dla marynarza, przyjął posadę dozorcy przy młynie.

„Nie mogłem znieść poufałości tej małej bestii – pisał Jim z jakiegoś portu o siedemset mil oddalonego od miejsca, gdzie powinien był się znajdować. – Pracuję tymczasowo w firmie „Egström i Blake" jako agent okrętowy. Powołałem się, zatrudniając się tu, na pana, a gdyby pan raczył napisać słówko, polecając mnie, to pozostałbym tutaj". Byłem przywalony gruzami zamków, które budowałem w swej wyobraźni, ale naturalnie prośbę jego spełniłem. Zanim rok upłynął, los zapędził mnie w tamte strony i miałem sposobność widzenia się z Jimem.

Był jeszcze w firmie „Egström i Blake" i spotkaliśmy się w tak zwanym „salonie" za sklepem. Właśnie wrócił od swego zajęcia i stanął przede mną ze spuszczoną głową.

– Co ma mi pan o sobie do powiedzenia? – spytałem, gdyśmy zamienili uścisk ręki.

– To, co już panu pisałem, nic więcej – odparł krótko.

– Czy tamten wypaplał, czy co? – spytałem.

Spojrzał na mnie, uśmiechając się smutnie.

– O nie! Nic nie powiedział. Tajemnica ta pozostała między nami. Jak tylko przychodziłem do młyna, przybierał minę bardzo tajemniczą, mrugał na mnie od czasu do czasu, jakby chcąc powiedzieć „co my wiemy, to wiemy...”

Jim, mówiąc te słowa, rzucił się na krzesło i spuścił głowę.

– Pewnego dnia znaleźliśmy się sam na sam i on tak zaczął prawić: „A co, panie Jakubie (nazywał mnie tam Jakubem, jak gdybym był synem gospodarza), znów jesteśmy razem. Tu lepiej, niż na starym okręcie – prawda?... Czy to nie było okropne, co?” Spojrzałem na niego – a on ciągnął dalej. „Nie obawiaj się pan niczego. Ja znam się na dżentelmenach i rozumiem ich uczucia. Mam nadzieję, że będziemy się wzajemnie wspierali i ja niemało przeszedłem po awanturze z tym starym gratem, «Patną»!” Na Jowisza! To było straszne! Nie wiem, co bym był powiedział lub zrobił, gdyby właśnie pan Denver nie zawołał mnie. Była to pora śniadania, więc poszliśmy razem przez dziedziniec i ogród do domu. Zaczął się ze mną przekomarzać na swój dobry sposób... Zdaje mi się, że on mnie lubił... – Jim umilkł na chwilę. – Wiem, że mnie lubił. Dlatego tak mi ciężko było. To był taki niezwykły człowiek!... Tego ranka wsunął mi rękę pod ramię... On także był ze mną na stopie poufałej... – Parsknął krótkim śmiechem i zwiesił głowę na piersi. – Eh! – krzyknął – jak sobie przypominam, w jaki sposób ta mała bestia przemawiała do mnie... Nie mogłem tego znieść... a pan wie... staruszek był dla mnie jak ojciec... więc należało mu powiedzieć, oszukiwać go nie mogłem, prawda?

– Więc co? – szepnąłem po chwili.

– Więc wolałem odejść – rzekł wolno – ta sprawa musi być pogrzebana.

Ze sklepu dochodził nas podniesiony głos Blake'a, który łajał Egströma w niemożliwy sposób. Byli oni wspólnikami już od lat wielu, ale co dnia, od chwili otwarcia sklepu aż do jego zamknięcia Blake, mały, czarnowłosy i czarnooki człowiek wymyślał na swego wspólnika, pieniąc się ze złości. Ten wiecznie trwający krzyk stał się nieodzowną cząstką życia tych ludzi, a charakterystyczną cechą tego sklepu; nawet obcy przestali na to zwracać uwagę, a jeżeli hałas zbytnio im dokuczył, to mrucząc pod nosem, zamykali drzwi „salonu". Sam Egström, grubokościsty, ciężki Skandynawczyk, z olbrzymimi blond faworytami, wydawał rozporządzenia, zawijał paczki, robił rachunki lub pisał stojąc przy kantorku i zachowywał się tak, jak gdyby był głuchy jak pień. Od czasu do czasu wyrzucał z siebie dźwięk – „szszsz!" – bez najmniejszej nadziei, by to mogło wywołać jakiś skutek – i rzeczywiście tak było.

– Bardzo przyzwoicie obchodzą się tu ze mną – rzekł Jim. – Blake trochę grubianin, ale Egström jest w porządku.

Zerwał się nagle i podszedł do okna, gdzie stał teleskop, wylotem zwrócony ku morzu. Przechylił się i bacznie się czemuś przyglądał.

– Okręt, który cały ranek był unieruchomiony wskutek zupełnej ciszy, teraz podpływa – rzekł spokojnie. – Muszę iść, spełniać swoją powinność.

Uścisnęliśmy sobie ręce w milczeniu i Jim skierował się ku wyjściu.

– Jimie! – krzyknąłem. Obejrzał się, trzymając rękę na klamce. – Pan... odrzucił pan coś w rodzaju fortuny!

Wrócił się i stanął przy mnie.

– Przywiązałem się do starego, to był taki niezwykły człowiek – rzekł. – Ale czyż mogłem... Czyż mogłem? – Wargi zaczęły mu drgać. – Tutaj nikt o tym nie wie i nikogo by to nie obeszło.

– Ach! Pan doprawdy... – zacząłem i umilkłem, łamiąc sobie głowę nad wynalezieniem odpowiedniego słowa, a gdy zrozumiałem, że ono nie istnieje, Jima już w pokoju nie było.

Słyszałem za drzwiami łagodny głos Egströma, który mówił:

– To „Sarah W. Granger", Jimie. Musi pan postarać się być pierwszy.

W tej chwili wmieszał się Blake, krzycząc jak rozzłoszczona papuga:

– Powiedz kapitanowi, że tu czekają listy. Słyszy pan, panie, jak się tam nazywasz?

Jim odpowiedział Egströmowi z jakąś młodzieńczą werwą w głosie.

– Dobrze, dobrze, nie dam się uprzedzić.

Zdawał się w pracy szukać ulgi od trapiących go myśli.

Nie widziałem go już więcej wówczas, ale w czasie następnej mej podróży (w sześć miesięcy potem) udałem się do sklepu „Egström i Blake". Z daleka już dochodziły mnie wymyślania Blake'a, a gdy stanąłem na progu, rzucił na mnie pełne nienawiści spojrzenie; za to Egström podszedł z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, wyciągając potężną prawicę.

– Cieszę się, że pana widzę, kapitanie... Szsz... Przypuszczałem, że w tym czasie los zagna pana w nasze strony!... Czym mogę służyć?... Szsz... On? O!... porzucił nas... ale proszę do salonu...

Zatrzasnął drzwi i wówczas głos Blake'a dochodził stłumiony, nie ucichł jednak ani na chwilę.

– Wprawił nas w wielki kłopot, źle z nami postąpił, muszę to przyznać...

– Dokądże się udał? Czy wiecie panowie? – spytałem.

– Nie i na nic by się nie przydały wszelkie poszukiwania – mówił Egström, stojąc przede mną ze swymi długimi faworytami i rękami niezgrabnie opuszczonymi w dół; cienki srebrny łańcuch od zegarka zwisł nisko na granatowej kamizelce. – Człowiek taki jak on nie udaje się do jakiegoś określonego miejsca. – Byłem tak zajęty zniknięciem Jima, iż nie spytałem, co znaczyć mają te ostatnie słowa, więc on opowiadał dalej – Porzucił nas w sam dzień zjawienia się tu parowca z powracającymi pielgrzymami. Tak coś trzy tygodnie temu.

– Może była mowa o wypadku z „Patną"? – spytałem, lękając się czegoś najgorszego.

Egström drgnął i spojrzał na mnie tak, jak gdybym był czarnoksiężnikiem.

– Ależ tak. Skądże pan może to wiedzieć? Kilku z nas rozmawiało tu o tym zdarzeniu. Było tu, o ile pamiętam, dwóch kapitanów, kierownik warsztatu portowego Vanlo'a, ja i paru jeszcze ludzi. Jim również był tutaj, jadł sandwicz i popijał piwem, bo gdy dużo mamy pracy – rozumie pan, kapitanie – na porządny lancz nie starcza czasu. Otóż Jim stał przy stole i jadł, a my okrążyliśmy teleskop, przypatrując się kolejno podpływającemu statkowi, i tak, ni stąd ni zowąd, kierownik warsztatu Vanlo'a zaczął opowiadać o właścicielu „Patny"; potem o samej „Patnie", jakim starym gratem była, a jednak niemało przyniosła zysku. Wspomniał o jej ostatniej podróży i wówczas zaczęliśmy rozprawiać wszyscy. Jeden powiedział to, drugi tamto, ale ot, gadaliśmy sobie na wiatr, bo który z nas coś mógł wiedzieć; śmieliśmy się nawet. Kapitan O'Brien ze statku „Sarah W. Granger", otyły, krzykliwy starzec, siedział tu sobie w tym fotelu i przysłuchiwał się – nagle stuknął laską w podłogę i wrzasnął:

– Tchórze!

Aż podskoczyliśmy wszyscy. Kierownik warsztatu Vanlo'a mrugnął na nas i spytał:

– Co się stało, kapitanie O'Brien?

– Co się stało, co się stało! – krzyknął stary – z czego wy się śmiejecie? Czy z tego można się śmiać? To hańba dla rodzaju ludzkiego, ot co! Brzydziłbym się, gdybym się znalazł z którymś z tych ludzi w jednym pokoju. Tak, panie!

Zwracał się głównie do mnie, więc przez grzeczność musiałem mu przytakiwać.

– Tchórze, ma pan słuszność, kapitanie O'Brien, ja również nie chciałbym się z nimi stykać, dlatego bezpieczny jest pan tu zupełnie, kapitanie O'Brien. Może napije się pan czegoś chłodzącego?

– Idź do diabła ze swoim napojem – rzekł z błyskiem w oku – gdybym chciał pić, to bym kazał sobie coś przynieść. Wychodzę. Cuchnie tu teraz.

Wszyscy wybuchnęli na to śmiechem i wynieśli się za starym. A wówczas, panie, ten przeklęty Jim położył bułkę na stole i podszedł ku mnie; szklanka piwa została nietknięta.

– Odchodzę – rzekł spokojnie.

– Odpowiedziałem: „Nie ma jeszcze wpół do drugiej, śmiało możesz wypalić papierosa". Myślałem, że chodzi mu o to, że czas mu się wziąć do roboty. Gdy zrozumiałem, co się stało – ręce mi opadły! Na takiego człowieka nie co dzień się natrafia; kierował łodzią jak wcielony diabeł; gotów był wypłynąć mile całe na spotkanie statku, bez względu na pogodę. Nieraz przybywali tu kapitanowie, których pierwsze słowa były: „A skądże wykopałeś takiego człowieka, Egströmie? Płynę sobie ostrożnie wśród mgły, a tu wyskakuje łódź, do połowy w wodzie zanurzona, z dwoma

przerażonymi Murzynami i wrzeszczącym czartem u steru: Hej, hej, kapitanie! Firma „Egström i Blake" pierwsza się pana wita! Hej, hej! Tu „Egström i Blake"! Tu Murzynom wydaje rozporządzenia, by ostro się trzymali, bo muszę przyznać, że wicher miotał łódką jak łupiną, tu krzyczy, wrzeszczy, że będzie mi służył za przewodnika, podobniejszy do diabła niźli do człowieka! Tak kierowanej łodzi w życiu swoim nie widziałem. A pijany być nie mógł! Spokojny, łagodny chłopiec – rumienił się jak dziewczyna, gdy wszedł na pokład..." Powiadam panu, kapitanie Marlow, że gdy się zjawiał obcy okręt, nikt nie mógł konkurować z Jimem... Koledzy jego dbali tylko o dawnych klientów... A on, panie... – mówił widocznie wzruszony Egström – gotów był sto mil wypłynąć w byle jakiej skorupie, aby złapać nowego klienta dla firmy. Nie mógłby gorliwiej pracować, gdyby cały interes do niego należał. A teraz... od razu... rzuca wszystko! Pomyślałem sobie: „He! bratku, wiem, o co ci idzie" i rzekłem: „Po co te gawędy Jimie, powiedz od razu, jakiej podwyżki pensji żądasz?" Spojrzał na mnie i zdawało się, że chce przełknąć coś, co mu w gardle stanęło. „Nie mogę tu pozostać". „A cóż to za żarty?" – spytałem. Wstrząsnął głową, a w jego oczach wyczytałem, że można go już uważać za straconego. Wówczas zwymyślałem go strasznie. „Od czego uciekasz? – krzyczałem. – Co ci się stało? Co cię przeraziło? Nie masz ani szczypty rozumu; przecież tak nie porzuca się dobrej posady. Gdzie spodziewasz się dostać lepszą? – Ach, ty taki, owaki!" Słabo mi się zrobiło, mogę panu zaręczyć. „Przecież nasz interes nie może zatonąć" – dodałem. Rzucił się gwałtownie. „Żegnam pana" zawołał, kłaniając mi się jak jakiś lord. „Szlachetną ma pan naturę, Egströmie" dodał „i gdyby znał pan moje powody, nie zatrzymywałby mnie pan tak gorąco". „To największe kłamstwo, jakie w życiu powiedziałeś" zawołałem. „Wiem, co mówię" –

odparł. Tak byłem wściekły, że aż parsknąłem śmiechem. „Ach! Ty głupcze, czyż nie możesz poczekać choćby chwilkę i wypić to piwo?" Nie wiem co mu się stało, nie mógł do drzwi trafić, to było coś komicznego, kapitanie. Sam wypiłem piwo. „Jeżeli ci tak pilno – rzekłem – to rób sobie jak chcesz, ale wspomnij sobie moje słowa: jeżeli taką grę będziesz dalej prowadzić, to przyjdzie chwila, że ziemia okaże się dla pana zbyt mała – oto wszystko, co ci miałem do powiedzenia!" Rzucił na mnie ponure spojrzenie i wyleciał z twarzą, która ludzi przerażać mogła.

Egström parsknął gniewnie i palcami rozczesywał jasne faworyty.

– Od tego czasu nie mogłem znaleźć porządnego człowieka. Nieustanne tylko kłopoty i kłopoty. Jeżeli wolno spytać, jakim sposobem poznał się z nim pan, kapitanie?

– On był pomocnikiem kapitana na „Patnie" w czasie ostatniej jej podróży – rzekłem, czując, że należy się ode mnie jakieś wyjaśnienie.

Egström na chwilę znieruchomiał z palcami zanurzonymi we włosy, po czym wybuchnął:

– A któż, u diabła, dba o to?

– Zdaje się, że nikt... – zacząłem.

– A kimże on jest, u licha... by tak to odczuwać?

Nagle wepchnął końce faworytów do ust i stał nieruchomo.

– A, niech mnie piorun trzaśnie! Toż ja mu powiedziałem, że ziemia jest zbyt mała, by go długo nosić mogła!

Rozdział XIX

Opowiedziałem wam te dwa epizody, byście wiedzieli, jak Jim zachowywał się w tych nowych warunkach swego życia. Więcej było tego rodzaju zdarzeń; nie mógłbym ich zliczyć na palcach obu rąk. Wszystkie one zabarwione były tymi absurdalnie szlachetnymi uczuciami nadającymi ich bezsensowi głęboki i wzruszający charakter. Wyrzekanie się chleba powszedniego dla uwolnienia się od szponów napastującego widma może być czynem prozaicznego heroizmu. Inni już wcześniej zdobywali się na to (chociaż my, cośmy przeszli przez życie, wiemy doskonale, że wykolejeńcy rekrutują się nie z cierpiących dusz, lecz z głodnych ciał), a ludzie syci i mający zapewniony chleb, przyklaskiwali temu chlubę przynoszącemu szaleństwu. Jim był istotnie nieszczęśliwy, gdyż ta jego obojętność na przyszłe losy nie mogła go ocalić. Zawsze pozostawała wątpliwość co do jego męstwa. Prawdą jest, że widmo faktu nigdy nie daje się usunąć. Można mu prosto w oczy patrzeć lub się od niego odwracać – natknąłem się na jednego czy dwóch takich, którzy pozostawali w dobrej komitywie ze swoimi widmami. Najwidoczniej Jim nie należał do tego rodzaju ludzi; ale nie mogłem nigdy zrozumieć, czy jego postępowanie miało na celu usuwanie się od tego widma, czy też spojrzenie mu prosto w oczy.

Wytężony mój wzrok duchowy doszedł tylko do zrozumienia tego, że jak we wszystkich naszych czynach złożonych, różnica była tak subtelna, iż nie dawała się określić. Mogło to być ucieczką, mogło też być rodzajem walki. Dla zwykłych umysłów stał się on „toczącym się wiecznie kamieniem” i po niejakim czasie stał się

z tego znany, a nawet sławny, w obrębie swych wędrówek (obejmującym jakieś trzy tysiące mil), tak jak dziwak jakiś znany jest w swej okolicy. Ot na przykład w Bangkoku, gdzie znalazł pracę u Braci Yucker, handlarzy drzewem, smutno było patrzeć na niego, jak nosił się z tą starannie ukrywaną tajemnicą, o której ptaki na dachach świergotały. Schomberg, rządca hotelu, gdzie się Jim stołował, kudłaty Alzatczyk, plotkarz niepohamowany, wsparłszy łokcie na stole, raczył każdego gościa opowiadaniem tej ubarwionej historii.

– A wystaw pan sobie, że to najporządniejszy człowiek, jakiego spotkać można – dodawał szlachetnie – człowiek wyjątkowy!

A ponieważ tłumy przewijały się przez zakład Schomberga, dziwić się należy, że Jim wytrzymał w Bangkoku sześć miesięcy. Przekonałem się, że zupełnie obcy ludzie przywiązywali się do niego. Był zamknięty w sobie, ale cała jego postać, włosy, oczy, uśmiech, zdobywały mu przyjaciół, gdzie się tylko pokazał. A nie był wcale głupi. Zygmunt Yucker (pochodzący ze Szwajcarii), poczciwy człowiek, trapiony dyspepsją i tak kulawy, że głowa jego przy każdym kroku zataczała krąg, oświadczał, że na tak młode lata Jim „posiada ogromne zdolności".

– Dlaczegóż na wieś go nie wyślecie? – spytałem, chcąc im poddać tę myśl. (Bracia Yucker mieli koncesję na eksploatowanie lasów) – Jeżeli jest tak zdolny, jak pan powiada, to przyda się wam do takiej roboty. Fizycznie bardzo jest do tego odpowiedni. Zdrowie ma żelazne.

– Ach! – jęknął biedny Yucker – na wsi człowiek może być wolny od dyspepsji.

Zostawiłem go siedzącego przy biurku, usilnie nad czymś rozmyślającego.

– Es ist eine Idee. Es ist eine Idee – mruczał.

Na nieszczęście, tego samego wieczoru zdarzyła się nieprzyjemna historia w hotelu. Nie bardzo o to Jima obwiniam, ale był to rzeczywiście bardzo niepożądany wypadek. Do zwykłych gości hotelowych, często robiących burdy, należał zezowaty Duńczyk, na którego karcie wizytowej widniały słowa: „Pierwszy oficer Floty Króla Syjamu". Ten jegomość nie miał pojęcia o grze w bilard, ale nie lubił przegrywać. Otóż wypił porządnie i ze złości, że już szósty raz przegrywał – pozwolił sobie na pogardliwą uwagę o Jimie. Większość obecnych nie słyszała, co było powiedziane, a ci, co słyszeli, zdawali się tracić wszelkie o tym wspomnienie, widząc natychmiastowe skutki, jakie te słowa wywołały. Szczęściem Duńczyk umiał pływać, gdyż tuż za oknem, prowadzącym na werandę, płynęła szeroka, czarna Menam. Łódź naładowana Chińczykami, pływająca tam bez wątpienia w złodziejskich zamiarach, wydobyła z wody oficera Króla Syjamu, a Jim o północy, bez czapki, znalazł się na pokładzie mego okrętu. „Wszyscy tam zdawali się wiedzieć" – mówił dysząc ze wzruszenia. W zasadzie żałował tego, co się stało, chociaż, jak mówił, „w tym przypadku – nie było wyboru". Ale przerażało go to, że natura jego nieszczęścia tak znana była każdemu, jak gdyby nieustannie zdradzał się z nią. Rozumie się, że po tym wszystkim nie mógł tam pozostać. Powszechnie napadano na niego za tę brutalną gwałtowność, tak niewłaściwą dla człowieka w jego położeniu; jedni twierdzili, że był pijany do nieprzytomności; drudzy – krytykowali jego brak taktu. Nawet Schomberg bardzo był zirytowany.

– On jest bardzo zacnym młodzieńcem – mówił do mnie – ale i porucznik to okaz pierwszego gatunku. Obiaduje co wieczór przy moim table d'hôte, pan wie. Jeden kij bilardowy złamano. Nie mogę przecież na to pozwolić. Dzisiaj rano pierwszą moją

czynnością było pójść i przeprosić porucznika i zdaje mi się, że ja na tym nic nie ucierpię; ale pomyśl pan sobie, gdyby tak wszyscy pozwalali sobie na takie historie! Przecież ten człowiek mógł utonąć! A ja znów nie polecę do pierwszego lepszego sklepu po nowy kij, muszę go sprowadzić z Europy. Nie! nie! Z takim temperamentem nie można dać sobie rady!...

Mocno go to wszystko bolało. To był najprzykrzejszy wypadek i ubolewałem nad nim bardziej niż ktokolwiek inny. Byłem poważnie tym zaniepokojony, bo jeżeli jego nadwrażliwość prowadzić go będzie na takie drogi, to straci opinię nieszkodliwego, spokojnego głupca, a zdobędzie miano zwykłego awanturnika. Pomimo całej ufności, jaką w nim pokładałem, nie mogłem oprzeć się myśli, że w takich przypadkach od nazwy do rzeczy samej jest tylko jeden krok. Zrozumiecie naturalnie, że w owym czasie nie mogłem już myśleć o pozostawieniu go samemu sobie. Zabrałem go na mój okręt i odbyliśmy długą podróż. Litość brała patrząc, jak kurczył się w sobie. Marynarz nawet w charakterze zwyczajnego podróżnego interesuje się okrętem i patrzy na otaczające go życie, rozkoszując się nim jak malarz, obserwujący ruch i gorączkową pracę innych ludzi. W całym znaczeniu tego słowa przesiaduje „na pokładzie"; ale mój Jim po największej części krył się gdzieś w głębi, jak gdyby był jakimś pakunkiem. Tak mnie zaraził tym usposobieniem, iż przez cały czas podróży unikałem rozmowy w kwestiach naszego zawodu. Dnie całe nie zamienialiśmy z sobą jednego słowa; z wielką niechęcią wydawałem w jego obecności rozporządzenia moim oficerom. Często, gdy znaleźliśmy się sami na pokładzie lub w jego kajucie, nie wiedzieliśmy, co zrobić z oczami.

Jak wiecie, umieściłem go u De Jongha i byłem rad, że wymyśliłem cokolwiek dla niego, ale czułem, że położenie jego

staje się nieznośne. Stracił tę elastyczność, pozwalającą mu wrócić po każdym moralnym wstrząśnieniu na dawne stanowisko. Pewnego dnia, gdym wyszedł na wybrzeże, ujrzałem go stojącego spokojnie; woda w przystani tworzyła z morzem na dalszym planie gładką, jakby wznoszącą się powierzchnię, a okręty stojące na kotwicy zdawały się powoli unosić do nieba. Jim czekał, aż jego łódź zostanie załadowana drobnym towarem, który miał być przewieziony na oczekujący nań statek. Zamieniwszy powitania, staliśmy w milczeniu obok siebie.

– Na Jowisza! – zawołał nagle – to zabójcza praca!

Uśmiechnął się do mnie; muszę przyznać, że zawsze umiał się zdobyć na uśmiech. Milczałem. Widziałem doskonale, że nie odnosi się to do jego obowiązków; u De Jongha praca nie była ciężka. Pomimo to natychmiast nabrałem przekonania, że jest ona zabijająca. Nie spojrzałem nawet na niego.

– Czy chciałby pan – spytałem – porzucić zupełnie tę część świata? Może wolałby pan Kalifornię lub zachodnie wybrzeże?... Spróbuję, może mi się uda coś znaleźć!

Przerwał mi tonem trochę pogardliwym:

– Jakaż to różnica?...

Poczułem natychmiast, że ma słuszność. Różnicy nie będzie żadnej; on nie pragnie ulgi w pracy; zacząłem rozumieć, że to, czego on pragnie, na co on czeka, nie da się łatwo określić, a jest pewnego rodzaju okazją. Ja dostarczyłem mu niemało okazji, ale celem ich było jedynie zapewnienie chleba. Ale cóż więcej można było uczynić? Położenie jego wydało mi się beznadziejne i przypomniały mi się słowa wyrzeczone przez biednego Brierly'ego: „Pozwól mu pan zagrzebać się dwadzieścia stóp pod ziemią i tam pozostać". Lepsze to, pomyślałem, niż oczekiwanie na ziemi na rzeczy niemożliwe. Zanim Jim na długość trzech wioseł oddalił się

od brzegu, postanowiłem, że tegoż jeszcze wieczoru pójdę poradzić się Steina.

Stein był bogatym, szanowanym kupcem. „Firma" jego (była to bowiem „firma" Stein i S-ka, składająca się z właściciela i wspólnika, o którym Stein się wyrażał: „pilnuje Molukków") prowadziła rozgałęziony handel i miała kupieckie stacje w najbardziej zapadłych kątach, założone w celu zbierania produktów. Nie tylko z powodu jego bogactwa i szacunku, jaki go otaczał, chciałem spytać go o radę; pragnąłem mu się zwierzyć ze wszystkiego dlatego, że nie znałem człowieka, na którego zdaniu można by było bardziej polegać. Łagodne światło prostej, spokojnej, inteligentnej natury oświetlało jego pozbawioną zarostu twarz. Miała ona głębokie zmarszczki i była blada jak u człowieka prowadzącego zawsze siedzący tryb życia – co w tym wypadku dalekie było od prawdy. Delikatne włosy odczesane były z potężnego, wyniosłego czoła. Można było sobie wyobrazić, że gdy miał dwadzieścia lat, wygląd jego niewiele się różnił od wyglądu dzisiejszego. Była to twarz studenta badacza; tylko białe prawie brwi, gęste i krzaczaste, i pewny, przenikliwy wzrok, nie harmonizowały z jego, że tak powiem, uczonym wyglądem. Wysokiego wzrostu, zawsze lekko pochylony i uśmiechnięty, robił wrażenie człowieka, gotowego cierpliwie wysłuchać cudzych zwierzeń; długie ramiona zakończone były dużymi, bladymi rękami, których ruchy miały charakter wskazujący, tłumaczący. Opowiadam o nim tak obszernie dlatego, że pod tymi pozorami, w związku ze wzniosłą, pobłażliwą naturą, człowiek ten posiadał taką niewzruszoność i moc ducha, taką fizyczną odwagę, iż mogła być nazwana lekkomyślną, gdyby nie była naturalną, nieświadomą funkcją jego ciała, jaką jest na przykład – dobre trawienie. Czasami mówi się o człowieku, że trzyma swoje życie we własnych rękach.

Powiedzenie to nie dałoby się do niego zastosować; młodość swą spędził na Wschodzie bawiąc się swym życiem jak piłką. To wszystko należało do przeszłości, ale znałem historię jego życia i pochodzenie wielkiego majątku. Był on też znakomitym przyrodnikiem, a może lepiej powiem – uczonym zbieraczem. Entomologia była ulubioną jego nauką. Z powodu swego zbioru owadów – miniaturowych straszydeł, groźnie wyglądających w swej śmiertelnej nieruchomości, i cudnych motyli rozkładających pod szkłem niezrównanej piękności skrzydła, zyskał sławę na całym świecie. Nazwisko tego kupca, podróżnika, doradcy sułtana malajskiego (o którym nie wyrażał się inaczej niż: „mój biedny Mohammed Bonso"), dzięki kilku pakom z martwymi owadami stało się znane między uczonymi całej Europy, którzy nie mieli żadnego o nim pojęcia i z pewnością nie dbali o to, jakie były szczegóły jego życia czy jego charakter. Ja, który go znałem, uważałem, że jest najodpowiedniejszą osobą do wysłuchania zwierzeń o kłopotach, w jakich Jim, a zarazem i ja, się znaleźliśmy.

Rozdział XX

Późno wieczorem wszedłem do jego gabinetu, minąwszy wielką, pustą, słabo oświetloną salę jadalną. Cicho było w całym domu. Poprzedzał mnie stary, jawajski sługa ubrany w rodzaj liberii składającej się z białej kurtki i żółtych szarawarów, który otworzywszy mi drzwi, przemówił cichym głosem: „o panie" i usuwając się na bok, znikł w tajemniczy sposób, jak gdyby był duchem wcielonym jedynie na chwilę, by oddać mi tę przysługę.

Stein okręcił się ze swym krzesłem i w tym ruchu okulary jego podskoczyły na czoło. Powitał mnie w swój spokojny, dowcipny sposób. Jeden tylko róg obszernego pokoju, gdzie stało jego biurko, oświetlony był jasno palącą się lampą, reszta tonęła w cieniu. Wąskie półki, zapełnione ciemnymi skrzynkami, nieróżniącymi się ani kształtem, ani kolorem, obiegały ściany wokoło, ale nie sięgały od podłogi do sufitu, tworzyły tylko ciemny pas, około czterech stóp szeroki. Były to grobowce owadów. W nierównych odstępach wisiały nad nimi drewniane tabliczki. Światło padło na jedną z nich i wyraz Coleoptera wypisany złotymi zgłoskami błysnął tajemniczo. Szklane skrzynki zawierające zbiór motyli ustawione były w trzy szeregi na małych stoliczkach. Jedna z tych skrzynek stała na biurku zarzuconym podłużnymi ćwiartkami papieru zapisanymi drobnym pismem.

– A! Widzisz pan, widzisz! – rzekł.

Ręka jego wskazywała skrzynkę, gdzie samotny, olbrzymi motyl roztaczał ciemnobrązowe skrzydła z cudownymi białymi żyłkami i świetnym obramowaniem żółtych plam.

– Tylko jeden taki okaz mają w waszym Londynie, a poza tym – nic. Ja swoje zbiory zapiszę mojej małej rodzinnej mieścinie. Cząstkę siebie samego – cząstkę najlepszą.

Pochylił się i wlepił oczy w motyla, brodę opierając na brzegu skrzynki. Stałem za jego plecami.

– Cudowny! – szepnął, zdając się zapominać o mej obecności.

Ciekawa była jego historia! Urodził się w Bawarii, jako dwudziestodwuletni młodzieniec brał czynny udział w ruchu rewolucyjnym w 1848 roku. Bardzo skompromitowany zdołał uciec i znalazł schronienie u biednego zegarmistrza, republikanina w Trieście. Stąd udał się do Trypolisu z zapasem tanich zegarków – handel nieświetnie się zaczynał, ale rezultat okazał się szczęśliwy, gdyż tam spotkał podróżnika holenderskiego – znanego, zdaje mi się, człowieka, ale nie pamiętam już jego nazwiska. Ten to przyrodnik przyjął Steina w charakterze pomocnika i zabrał go na Wschód. Podróżowali razem lub osobno przez cztery czy więcej lat, zbierając owady i ptaki. Potem przyrodnik wrócił do domu, a Stein, nie mając dokąd wrócić, pozostał ze starym kupcem, którego spotkał, podróżując po Celebes. Stary Szkot, jedyny biały mieszkający naówczas w tym kraju, był ulubieńcem głównego władcy państw Wajo – kobiety. Nieraz opowiadał mi Stein, jak ten Szkot, sparaliżowany po jednej stronie, wprowadził go na tamtejszy dwór, zanim drugi atak paraliżu nie przeniósł go do wieczności. Był on starcem imponującej postawy, z białą brodą patriarchy. Wszedł do sali obrad, gdzie zgromadzeni byli wszyscy radcowie i wodzowie, otaczając królową, tłustą babę (bardzo swobodną w mowie, jak mi mówił Stein), spoczywającą na wysokim łożu pod baldachimem. Powłócząc nogą, stukając laską, chwyciwszy ramię Steina, podprowadził go prosto do łoża.

– Spojrzyj królowo i wy radcowie, oto mój syn! – krzyknął donośnym głosem. – Prowadziłem handel z ojcami waszymi, a gdy umrę, on będzie handlował z wami i synami waszymi!

Takim prostym sposobem Stein odziedziczył uprzywilejowane stanowisko Szkota, cały jego handel i dobrze zaopatrzony dom na brzegu jedynej spławnej w tym kraju rzeki. Wkrótce potem stara królowa, tak swobodna w mowie – umarła, a w kraju wszczęli zamieszki przeróżni pretendenci do tronu. Stein przyłączył się do partii młodszego syna; o nim to w lat trzydzieści potem nie mówił inaczej, jak: „mój biedny Mohammed Bonso". Obaj stali się bohaterami niezliczonych, zwycięskich czynów; zaznali przygód nadzwyczajnych i raz przez cały miesiąc wstrzymali oblężenie w domku Szkota, z małą garstką zwolenników stawiając czoło całej armii. Przypuszczam, że krajowcy do dziś dnia rozprawiają o tej wojnie. W wolnych chwilach Stein nigdy nie zapominał o chwytaniu owadów i motyli, gdy wpadły mu w oko. Po ośmiu latach wojen, układów, zdrad, wybuchów i tak dalej, właśnie w chwili, gdy spokój zdawał się zapewniony na dłużej, jego „biedny Mohammed Bonso" został zamordowany u wrót królewskiej rezydencji, gdy w doskonałym nastroju ducha powracał z polowania. Skutkiem tego wypadku stanowisko Steina zachwiało się, ale byłby na nim pozostał zapewne, gdyby wkrótce potem nie zmarła siostra Mohammeda („moja droga żona, księżniczka", mawiał Stein uroczystym tonem), z którą miał córkę. Matka i dziecko zmarli w ciągu trzech dni od jakiejś złośliwej gorączki. Porzucił kraj, który po tej ciężkiej stracie stał mu się wstrętny. Taki był koniec pierwszej części jego życia. To, co później nastąpiło, było tak różne, że gdyby niekrwawiąca w sercu rana, dawna przeszłość wydać by się mogła snem. Mając trochę pieniędzy, rozpoczął życie na nowo i w ciągu lat zebrał znaczny majątek. Z początku

podróżował dużo, ale później starość zaczęła mu ciążyć i w końcu rzadko opuszczał obszerny dom, oddalony trzy mile od miasta, z obszernym ogrodem, otoczony stajniami, oborami, bambusowymi chatami dla sług i podwładnych, których niemało miał około siebie. Swym małym powozem jeździł co rano do miasta, gdzie utrzymywał kancelarię z dwoma urzędnikami, białym i żółtym. Posiadał małą flotyllę statków i krajowych łodzi i handlował na wielką skalę miejscowymi produktami. Poza tym żył samotnie, ale nie jak mizantrop, ze swymi książkami, zbiorami, klasyfikując i układając okazy, korespondując z entomologami Europy, pisząc katalogi swych skarbów. Taka była historia człowieka, którego postanowiłem poradzić się w sprawie Jima, bez żadnej jednak określonej nadziei. Spodziewałem się w każdym razie, że to, co on będzie miał w tej sprawie do powiedzenia, przyniesie mi ulgę. Bardzo pragnąłem rozmowy z nim, ale szanowałem natężoną, prawie namiętną uwagę, z jaką przypatrywał się motylowi, jak gdyby na brązowej tkance wątłych skrzydeł, na białych liniach i wspaniałych plamach odczytywał rzeczy wzniosłe, niepodlegające zniszczeniu, jak te delikatne martwe tkanki, których piękności śmierć nie zdołała zgasić.

– Cudowny! – powtórzył patrząc na mnie. – Patrz! Piękne – ale to nic – zwróć uwagę na tę akuratność linii i harmonię. Tak wątłe. A tak mocne! To jest Natura – równowaga potężnych sił. Każda gwiazda jest taka – każda trawka, a potężny Kosmos wytwarza to w doskonałym zrównoważeniu. To cudowne; to arcydzieło Natury – wielkiego mistrza!

– Nie słyszałem, by który entomolog zaszedł tak daleko – zauważyłem pośpiesznie. – Jeżeli to arcydzieło, to czymże będzie człowiek?

– Człowiek jest zadziwiający, ale arcydziełem nie jest – odparł, nie spuszczając oczu ze szklanej skrzynki. – Może artysta był trochę nieprzytomny. E? Co pan myśli? Czasami zdaje mi się, że człowiek przyszedł tam, gdzie nie był pożądany, gdzie nie ma miejsca dla niego, bo gdyby tak było, dlaczegóż by pragnął wszystko zagarnąć dla siebie? Dlaczegóż by latał tu i tam, robiąc tyle o sobie wrzasku, rozprawiając o gwiazdach, nie dając spokoju nawet źdźbłom trawy?

– Łapiąc motyle – dodałem.

Uśmiechnął się, usiadł wygodniej, wyciągając nogi.

– Siadaj pan – rzekł. – Sam złapałem ten rzadki okaz pewnego ranka. Niemałego doznałem wzruszenia. Pan nawet nie przeczuwa, czym jest dla zbieracza schwytanie takiego okazu. Nie może pan tego wiedzieć.

Uśmiechałem się, siedząc w bujaku. Oczy jego patrzyły gdzieś poza ścianę, na którą były zwrócone, i opowiedział mi, jak pewnej nocy zjawił się wysłaniec od „biednego Mohammeda", który wzywał go do swej „rezydencji", oddalonej o jakieś dziesięć mil. Musiał jechać konno wąską dróżką, między polami uprawnymi i lasami. O świcie opuścił swój ufortyfikowany dom, ucałowawszy małą Emmę, a żonie „księżniczce" zostawiając dowództwo nad wszystkim. Opisywał, jak odprowadziła go do wrót, trzymając jedną rękę na szyi konia; miała na sobie białą kurtkę, złote szpilki we włosach, a na lewym ramieniu przerzucony skórzany pas z rewolwerem.

– Mówiła, jak kobiety zwykły mówić – rzekł. – Zalecała ostrożność, prosiła, bym wrócił przed nocą, ubolewając, że muszę jechać sam. Był to czas wojenny i okolica wcale nie była bezpieczna; moi ludzie zakładali wytrzymałe na kule okiennice i nabijali broń, a ona powtarzała, że mogę być o nią spokojny. Potrafi obronić dom cały przed każdym napastnikiem. Uśmiechałem

się, patrząc na nią. Podobało mi się, że jest taka dzielna, młoda, silna. Ja również byłem wówczas młody. Przy wrotach uścisnęła mą rękę i cofnęła się. Stałem za wrotami, dopóki ich dobrze nie zatarasowano. Miałem potężnego, osobistego wroga, wielkiego pana, a zarazem wielkiego łotra, plądrującego okolicę z całą bandą. Jechałem kłusem cztery czy pięć mil; deszcz padał w nocy, ale mgła się podniosła i powierzchnia ziemi była czysta, uśmiechała się do mnie, świeża, niewinna jak małe dziecię. Nagle rozległy się wystrzały – ze dwadzieścia przynajmniej, tak mi się zdawało. Kule świstały mimo moich uszu, kapelusz zleciał mi na tył głowy. Była to urządzona na mnie zasadzka, rozumiesz pan? Kazali biednemu Mohammedowi posłać po mnie i zaczaili się tutaj. W jednej chwili wszystko zrozumiałem i pomyślałem: „Poczekajcie!" Konik mój chrapnął, skoczył i stanął, a ja powoli schyliłem się tak, że głowa moja leżała na jego grzywie. Puścił się w ruch, a ja jednym okiem dojrzałem smugę dymu, wznoszącą się nad bambusowymi zaroślami po lewej stronie. Pomyślałem: „Aha! Łajdaki, czemuż to się tak śpieszycie? To niełądnie. O, nie!" Prawą ręką schwyciłem rewolwer – cichutko... spokojnie. Przecie było tylko siedmiu tych łotrów. Zerwali się z ziemi i biegać zaczęli, wywijając oszczepami, nawołując się, by otoczyć i schwycić mego konia, gdyż ja już nie żyję. Pozwoliłem im podejść tak blisko jak te drzwi i wówczas paf! paf! paf! – mierzyłem celnie. Ostatni wystrzał skierowałem w plecy jednego z nich, ale chybiłem. Był już zbyt daleko. Wówczas wyprostowałem się na koniu, czysta ziemia znów się do mnie uśmiechała. Z trzech zabitych ludzi jeden leżał skurczony jak pies, drugi na plecach z ręką przy oczach, jakby chciał je chronić od blasku słonecznego; trzeci wyciągnął nogę i szybkim ruchem znów ją zgiął. Nie schodząc z konia, przyglądałem mu się badawczo, ale nie – ani drgnął. I gdy tak patrzyłem na niego, szukając śladów

życia na jego twarzy, coś jak cień przesunęło się po jego czole. Był to cień tego motyla. Spojrzyj pan na kształt tych skrzydeł. Ten gatunek fruwa szybko i wysoko. Podniosłem głowę i ujrzałem go. Pomyślałem – czy to możliwe? Nagle straciłem go z oka! Zeskoczyłem z konia i pomalutku, prowadząc konia i trzymając rewolwer, szukałem go oczami i w górze i w dole – wszędzie! Nareszcie ujrzałem go siedzącego na kupce nawozu o dziesięć kroków dalej. Serce tłuc się w piersiach zaczęło. Puściłem konia, i trzymając rewolwer w jednej ręce, drugą zerwałem miękki filcowy kapelusz z głowy. Krok jeden, drugi... Siedzi... Stop! Mam go! Gdym się podniósł z ziemi, drżałem jak liść ze wzruszenia, a gdy rozwarłem te cudne skrzydła i przekonałem się, jakiego nadzwyczajnego okazu stałem się panem, uczułem zawrót głowy, a nogi tak mi dygotały, iż musiałem usiąść na ziemi. Gorąco pragnąłem zdobyć taki okaz już wówczas, gdym zbierał dla profesora. Odbywałem dalekie podróże, ponosiłem rozmaite ofiary; marzyłem o nim we śnie i oto niespodzianie – trzymałem go w palcach jako moją własność!

Ostatnie słowa wymówił cichym głosem i powoli cofnął wzrok z mojej twarzy. Gorliwie i w milczeniu zaczął nakładać tytoniem fajkę o długim cybuchu, a dotykając palcem jej otworu, spojrzał na mnie znacząco.

– Tak, drogi przyjacielu. Dnia tego niczego nie pragnąłem, dokuczyłem porządnie memu wrogowi; byłem młody, silny; posiadałem przyjaźń, miłość kobiety, dziecko, a nawet to, o czym marzyłem we śnie, wpadło mi teraz w ręce!

Zapalił zapałkę, która błysnęła jaskrawym światłem. Jego spokojna, myśląca twarz skrzywiła od bólu.

– Przyjaciel, żona, dziecko – mówił wolno, patrząc na mały płomyczek – phu!

Zapałka zgasła, westchnął i zwrócił się do motyla. Wątłe, cudne skrzydełka drgnęły lekko, jak gdyby tchnienie jego przywołało do życia ten wspaniały przedmiot marzeń sennych.

– Praca – zaczął nagle, wskazując rozrzucone ćwiartki – idzie szybko. Opisywałem właśnie ten rzadki okaz... No! A cóż pan masz dobrego do powiedzenia?

– Jeżeli mam ci prawdę powiedzieć, Steinie – rzekłem z wysiłkiem, który mnie samego zadziwił – to przyszedłem, by ci opisać rzadki okaz.

– Motyla? – pytał żywo.

– Nie, rzecz mniej doskonałą – odparłem, czując nagle ogarniające mnie wątpliwości – człowieka!

– Ach, tak! – szepnął, a twarz jego, gdy zwrócił się do mnie, stała się poważna. Patrzył na mnie przez chwilę, po czym rzekł: – Ano, ja również jestem człowiekiem.

Oto macie go całego: on umiał szlachetnie zachęcić człowieka wahającego się jeszcze przed zdobyciem się zwierzenia; jeżeli się wahałem, to niedługo.

Wysłuchał mnie cierpliwie. Chwilami głowa jego znikała w kłębach dymu i pełne współczucia pomruki wydobywały się z tej chmury. Gdy skończyłem, odłożył fajkę, pochylił się ku mnie, opierając łokcie na poręczach fotela i splatając palce obu rąk.

– Rozumiem doskonale. On jest romantykiem!

Zdiagnozował od razu przedstawiony przypadek i zdumiony byłem, w jak prosty sposób to uczynił; rzeczywiście, rozmowa nasza przypominała konsultację w gabinecie doktorskim – Stein z miną uczonego siedział przed biurkiem, ja z boku, z miną zaniepokojoną, tak, że zupełnie właściwe było moje pytanie.

– Jakaż na to rada?

Podniósł w górę długi palec.

– Jeden jest tylko środek! Jedna tylko rzecz może nas wyleczyć od bycia sobą!

Szybkim ruchem palec opadł na biurko.

Omawiany przypadek stawał się coraz prostszy, a zarazem bardziej beznadziejny. Nastała chwila milczenia.

– Tak – rzekłem – właściwie chodzi nie o to, jak się wyleczyć, ale jak żyć!

Potwierdzał trochę smutnym kiwaniem głową.

– Ja, ja! Możemy powtórzyć za waszym wielkim poetą: „oto jest pytanie". – Kiwał ze współczuciem głową. – Być! Ach! Ale jak?

Stanął i oparł palce na biurku.

– Chcemy tak rozmaite role odgrywać – zaczął znowu. – Ten wspaniały motyl znajdzie kupkę śmieci i siedzi na niej spokojnie; ale człowiek nigdy nie usiedzi spokojnie na swej kupce błota. Chce mu się być tym, to znów tamtym... – To podnosił, to zniżał swą rękę. – Chce mu się być to świętym, to grzesznym... A ile razy zamknie oczy, zawsze mu się zdaje, że jest istotą doskonałą, tak doskonałą, jaką nigdy być nie może... chyba we śnie.

Spuścił szklaną nakrywkę skrzynki, automatyczny zamek zadźwięczał ostro, a biorąc skrzynkę w obie ręce, przeniósł ją na właściwe miejsce, przechodząc ze świetlanego koła w pierścień niepewnego mroku. Robiło to dziwne wrażenie, jak gdyby te parę kroków uniosło go poza ten konkretny i zawiły świat. Jego wyniosła postać, jakby niematerialna, cicho pochylała się nad niewidzialnymi rzeczami; głos jego, płynąc z oddali, nabierał głębokich, poważnych tonów – łagodzonych przestrzenią.

– A ponieważ nie zawsze można trzymać oczy zamknięte, wynikają z tego istotne troski, bóle i cierpienia. Powiadam ci, mój drogi, że człowiek nie może urzeczywistnić swych marzeń, bo jest

albo za słaby, albo za głupi. Ja!... A jemu się wciąż zdaje, że jest doskonały!... Jak to może być? Ha, ha, ha!

Cień wędrujący między grobami motyli wybuchnął głośnym śmiechem.

– Tak! Zabawna jest bardzo ta straszna rzecz. Człowiek zapada w swoje senne marzenia, jakby wpadał do morze. Jeżeli usiłuje wygramolić się na wierzch, jak czynią ludzie niedoświadczeni – tonie!... Otóż, powiadam ci, należy się poddać niszczącemu żywiołowi, wykonując w wodzie ruchy rękami i nogami, a głęboki ocean utrzyma cię na powierzchni. Taka jest moja odpowiedź na twe pytanie... jak żyć?

Głos jego w oddali nabrał dziwnej siły, jak gdyby on w tym zmroku natchniony został świadomością prawdy.

Jego wyciągnięta ręka wymierzona była jak broń w moją pierś, głęboko osadzone oczy zdawały się na wskroś mnie przenikać, ale z zaciśniętych ust nie wypłynął żaden dźwięk i surowa egzaltacja pewności, widziana tam w cieniu – zniknęła z jego twarzy. Ręka, wysunięta ku mnie, opadła, i podszedłszy bliżej, złożył ją na mym ramieniu. – Są rzeczy – mówił tonem grobowym – które może nie powinny być wypowiadane, ale tak długo żył samotnie, że zapomniał o tym. Światło rozproszyło pewność, którą był przejęty w mroku. Usiadł, wsparł łokcie na stole i tarł czoło.

– A jednak to jest prawda... to prawda... Zanurzyć się w niszczącym żywiole. – Mówił cicho, nie patrząc na mnie, zasłaniając twarz rękami. – To właściwa droga. Podążać za swym marzeniem... Podążać nieustannie...

Jego pełen przekonania szept zdawał się otwierać przede mną rozległą, a niepewną przestrzeń, jakby mroczną równinę o świcie – a może morze przy zapadającej nocy. Któż miałby odwagę, by to rozstrzygnąć? Ale było to urocze, zwodnicze światło, rzucające

nieuchwytny blask poezji na – groby. Życie jego rozpoczęło się od ofiar w imię szlachetnych idei; wędrował daleko różnymi drogami, dziwnymi przesmykami, ale gdziekolwiek był – szedł bez wahania, nie doznając nigdy ani wstydu, ani żalu. Co do tego nie mylił się. Bez wątpienia taką drogą należało iść. Pomimo to wielka równina, po której ludzie błąkają się wśród grobów i pułapek wygląda jak pustynia pod nieuchwytną poezją zmierzchu; ocieniona w środku, na brzegach objęta jasnym pierścieniem, jakby otoczona pełną płomieni przepaścią. Gdy zdecydowałem się przerwać milczenie, wyraziłem zdanie, że nie ma chyba większego od niego romantyka na świecie.

On rzucił na mnie cierpliwe, badawcze spojrzenie.

– To wstyd – powiedział. – Siedzimy tu sobie i rozprawiamy jak dwa wyrostki, zamiast zabrać się razem za wyszukanie czegoś praktycznego, praktycznego lekarstwa na zło... wielkie zło – powtórzył z dowcipnym, pobłażliwym uśmiechem.

A jednak rozmowa nasza nie stała się praktyczniejsza. Unikaliśmy wymówienia nazwiska Jima, jak gdyby był on tylko duchem, zbolałym, pozbawionym miana cieniem.

– No! – rzekł Stein powstając. – Prześpi się pan u mnie, a jutro rano obmyślimy coś praktycznego, bardzo praktycznego.

Zapalił dwuramienny świecznik i wskazywał mi drogę. Przechodziliśmy ciemnymi pokojami, rozjaśnionymi jedynie blaskiem niesionych przez Steina świec. Przesuwał się on po wywoskowanych posadzkach, po gładkiej powierzchni stołów, wygięciach rzeźb lub odbijał się prostopadle w lustrach, gdzie rysowały się sylwetki dwóch ludzi i dwóch płomyków sunących w milczeniu w przestrzeni. Stein szedł z przodu, pochylając się ku mnie uprzejmie; na jego twarzy malował się głęboki, skupiony

spokój; jasne kosmyki włosów ze srebrnymi nićmi spadały na lekko pochyloną szyję.

– To romantyk, romantyk – powtarzał. – A to źle, bardzo źle... Bardzo dobrze również – dodał.

– Naprawdę jest romantykiem? – zawołałem.

– Z pewnością – odparł stając i wznosząc świecznik, ale nie patrząc na mnie. – Najwidoczniej! Czymże innym jest to, co sprawiając ból pozwala mu poznać samego siebie? Czymże jest to coś, dzięki czemu ty i ja wiemy, że on istnieje?

W tej chwili trudno było uwierzyć w egzystencję Jima w świecie materii – ale niezniszczalna jego rzeczywistość narzuciła mi się z niezwalczoną siłą! Ujrzałem ją wyraźnie, jak gdybyśmy w tym pochodzie przez milczące pokoje, wśród nagłych błysków świateł, odbijających się wraz z naszymi sylwetkami w głębi zwierciadeł, zbliżali się do absolutnej Prawdy, która, jak Piękność sama, pływa niejasna, wpół zanurzona w milczących wodach tajemnicy.

– Może rzeczywiście Jim jest romantykiem – przyznałem z lekkim śmiechem, ale niespodziewanie głośne echo kazało mi natychmiast ściszyć głos. – Jednak, że ty nim jesteś, to pewne.

Z głową pochyloną na piersi i wzniesionym świecznikiem poszedł dalej.

– Cóż... ja również istnieję – rzekł.

Poprzedzał mnie. Moje oczy śledziły jego ruchy, ale widziałem w nim nie szefa firmy, zawsze mile widzianego gościa na popołudniowych zebraniach, korespondenta uczonych towarzystw, gospodarza chętnie goszczącego podróżnych przyrodników; widziałem tylko rzeczywistość jego przeznaczeń, do których dążył pewnym krokiem przez życie, które rozpoczęło się w skromnych warunkach, owiane szlachetnym zapałem, a później, wśród przyjaźni, miłości i wojny – nurzało się w egzaltowanych

pierwiastkach romantyzmu. Przy drzwiach mego pokoju zwrócił się ku mnie.

– Tak – rzekłem, jak gdyby prowadząc dalszą rozmowę – więc, wśród innych rzeczy, marzył pan nieustannie o pewnym motylu; ale gdy pewnego pięknego poranka marzenie pana urzeczywistniło się, nie dał pan uciec wspaniałej okazji. Prawda? A tymczasem on...

Stein podniósł rękę.

– A czy pan wie, ile straciłem okazji? Ile możliwości urzeczywistnienia marzeń przegapiłem? – Kiwał smutnie głową. – Jak piękne by były, gdybym umiał z nich skorzystać! Czy pan wie, ile ich było? Może i ja nie zdołam ich zliczyć.

– Czy jego urzeczywistnienie marzeń było piękne, czy nie – rzekłem – on wie z pewnością, że je stracił.

– Każdy wie o jednej czy dwóch takich okazjach – odparł Stein – i stąd rodzi się utrapienie, wielkie utrapienie.

Uścisnął mi rękę na progu i, zaglądając do mego pokoju, rzekł:

– Śpij pan spokojnie. A jutro musimy zrobić coś praktycznego, bardzo praktycznego.

Chociaż pokój jego był obok, słyszałem, że wrócił tą samą, którą przyszedł, drogą. Wracał do swoich motyli.

Rozdział XXI

– Nie przypuszczam, by ktoś z was słyszał o Patusanie? – mówił Marlow po chwili milczenia poświęconej starannemu zapalaniu cygara. – Zresztą, to wszystko jedno; mnóstwo jest ciał niebieskich, o których ludzkość nigdy nie słyszała, gdyż pozostają poza sferą ludzkiej działalności, interesują się nimi tylko astronomowie, którym płacą za to, by rozprawiali uczenie o ich składzie, wadze, drodze, jaką przebiegają, o nieprawidłowościach, elewacji ich świateł itd.

Podobnie jest z Patusanem. Wiedziano o nim w rządowych kołach Batawii, właśnie z powodów jego nieprawidłowości, a z nazwy znany był niewielu osobom świata handlowego. Nikt jednak tam nie był i podejrzewam, że nikt nie miałby ochoty udać się tam osobiście, tak jak astronom stawiałby z pewnością silny opór, gdyby go chciano przenieść na jakieś ciało niebieskie, gdzie oderwany od ziemskich widoków, czułby się nieswojo wśród nieznanych przestworów. Ani ciała niebieskie, ani astronomowie nic nie mieli z Patusanem do czynienia. Jim tam właśnie pojechał. Chciałem wam dać do zrozumienia, że gdyby Stein wysłał go na gwiazdę piątej wielkości, zmiana położenia Jima byłaby podobna. Zostawił za sobą swe ziemskie błędy i reputację i znalazł się w zupełnie innych warunkach, w których mogła pracować jego imaginacja. Warunki były najzupełniej nowe, niezwykłe i w niezwykły sposób umiał z nich skorzystać.

Stein wiedział więcej niż ktokolwiek inny o Patusanie. Przypuszczam, że wiedział nawet więcej niż przedstawiciele

rządowi. Nie wątpię, że musiał być tam w czasie swej pogoni za motylami lub może później, gdy w swój niepoprawny sposób usiłował zaprawić szczyptą romantyzmu mdłe dania handlowej kuchni. Niewiele było na archipelagu takich miejsc, których by nie oglądał w ich pierwotnym mroku, zanim światło (nawet i elektryczne) przeniesione tam zostało w imię umoralnienia – a pewnie też i dla własnej większej korzyści.

Było to przy śniadaniu po długiej rozmowie o Jimie; wspomniał o tym miejscu, gdy ja przytoczyłem powiedzenie Brierly'ego: „Pozwól mu zagrzebać się dwadzieścia stóp pod ziemią i niech tam pozostanie". Spojrzał na mnie z zaciekawieniem i uwagą, jak gdybym był rzadkim owadem.

– To również da się zrobić – zauważył, popijając kawę.

– Oczywiście nikt by nie chciał go zagrzebywać w jakikolwiek sposób – wyjaśniłem – ale zważywszy, jaki on jest, to właśnie byłoby dla niego najlepsze.

– Tak, jest młody – szepnął Stein.

– Najmłodszy z gatunku ludzkiego – potwierdziłem.

– Schön! Jest więc Patusan – mówił tym samym tonem. – I kobieta już umarła – dodał zagadkowo.

Rozumie się, nie znam tej historii; mogę się tylko domyślać, że niegdyś Patusan był grobem dla grzechów, przestępstw i nieszczęść. Steina podejrzewać nie można. Jedyną kobietą istniejącą dla Steina, była dziewczyna malajska, którą nazywał: „moja żona, księżniczka", albo rzadziej, w chwilach wynurzeń: „matka mojej Emmy". Kim była kobieta, o której wspomniał, mówiąc o Patusanie – nie mogę powiedzieć; ale z jego aluzji zrozumiałem, że była to wykształcona, piękna dziewczyna, pół Holenderka, pół Malajka, z tragiczną lub może tylko bolesną historią, do czego niemało przyczyniło się małżeństwo

z Portugalczykiem z Malakki, urzędnikiem jednego z domów handlowych w koloniach holenderskich. Ze słów Steina można było wywnioskować, że była to osobistość pod wieloma względami nieciekawa. Jedynie ze względu na żonę Stein dał mu posadę dyrektora w jednej ze stacji handlowych firmy Stein i S-ka w Patusanie; nie przyniósł on jednak żadnej korzyści firmie i teraz, gdy żona umarła, Stein chciał tam osadzić nowego agenta. Portugalczyk ów, imieniem Cornelius, uważał siebie za człowieka zasłużonego, lecz zapoznanego, którego zdolności wymagały o wiele lepszego stanowiska. Tego człowieka miał zastąpić Jim.

– Ale nie wiem, czy on zechce się usunąć – rzekł Stein. – Jest mi najzupełniej niepotrzebny, to tylko przez wzgląd na żonę... ale ponieważ zdaje mi się, że pozostała córka, pozwolę mu, jeżeli zechce, zostać w starym domu.

Patusan jest oddalonym okręgiem państwa rządzonego przez krajowców; główna osada nosi toż samo miano. W pobliżu rzeki, o jakieś czterdzieści mil od morza, gdzie ukazują się pierwsze domy, nad poziomem lasów wznoszą się dwie strome góry położone blisko siebie i przedzielone głęboką rozpadliną, jakby wyłupaną podczas potężnego kataklizmu. Rozumie się, że rozciągająca się między nimi dolina jest bardzo wąska; patrząc z osady, góry te wydają się ostrosłupem pękniętym na dwoje, z obu połowami lekko od siebie odchylonymi. Trzeciego dnia po pełni oglądałem księżyc z frontu domu Jima (kiedy go odwiedziłem, miał on śliczny domek w stylu krajowym); otóż księżyc wypłynął akurat spoza tych gór, które na jasnym tle uwypuklały się jako czarna masa, następnie w samym przecięciu błysnęła tarcza księżyca, później uniosła się w górę, jak gdyby z tryumfem wydobywała się z rozwartego grobu.

– Cudowny widok – rzekł Jim, stojąc obok mnie. – Warto coś takiego zobaczyć, prawda?

W tym zapytaniu dźwięczała nuta osobistej dumy, która wywołała uśmiech na moich ustach; zdawać by się mogło, że sam przyłożył rękę do urządzenia tego niezwykłego widowiska! Wszakże urządził w Patusanie tyle rzeczy, na które, zdawałoby się, równie nie mógł mieć wpływu jak na ruch księżyca i gwiazd.

Było to trudne do pojęcia, a jednak stanowiło cechę charakterystyczną roli, w którą wepchnęliśmy go ze Steinem bez żadnego określonego zamysłu, chcąc go tylko usunąć z drogi, z jego własnej drogi, rozumie się... To było naszym głównym zamiarem, chociaż przyznaję, że miałem jeszcze inny motyw. Wybierałem się na jakiś czas do domu i dlatego pragnąłem, raczej nie uświadamiając sobie tego w pełni, zadysponować nim – rozumiecie, umieścić go w jakimś pewnym miejscu – zanim go opuszczę. Jechałem do kraju, a on przybył do mnie ze swymi troskami i niejasnymi roszczeniami; było to tak, jakbym słyszał człowieka dyszącego pod ciężarem we mgle. Nie mogę powiedzieć, abym go widział wyraźnie – nawet podczas ostatniego spotkania z nim; ale zdawało mi się, że im mniej go rozumiem, tym więcej jestem z nim związany w imię tej wątpliwości, będącej nieodłączną cząstką naszej wiedzy. Niewiele więcej wiedziałem o sobie. Otóż powtarzam, jechałem do domu – do własnego domu, przy którego ognisku każdy z nas ma prawo zasiąść. Tysiące nas błąka się po powierzchni ziemi, znanych lub nie, zdobywających za morzami sławę, pieniądze lub tylko okruchy chleba; ale zdaje mi się, że dla każdego powrót do domu to jakby zdanie rachunku. Wracamy, by stanąć przed obliczem bliskich, krewnych, przyjaciół – tych, którym winniśmy posłuszeństwo i których kochamy; a nawet ci, co nie mają nikogo zupełnie, wolni, samotni, nieodpowiedzialni, pozbawieni wszystkich związków – lub ci, w których domu nie ma srogich twarzy i znanych głosów – muszą spotkać się z duchem

zamieszkującym ich ziemię, obłoki, powietrze, pola, lasy – z niemym przyjacielem, sędzią, natchnieniem! Mówcie sobie, co chcecie, ale chcąc odczuwać radość, oddychać spokojnie, trzeba powracać z czystym sumieniem. Może to się wam wydawać zwykłym sentymentalizmem; ale tak naprawdę niewielu z nas ma ochotę i posiada zdolność sumiennego badania swych wzruszeń. Tam jest ukochana dziewczyna, ludzie drodzy sercu, serdeczność, przyjaźń, uciecha duszy! Ale pozostaje faktem, że nagrody tej dotknąć możecie tylko czystymi rękami, inaczej przemieni się w waszym uścisku w suche liście i ciernie. Myślę, że ci samotni, niemogący żadnego ogniska lub uczucia nazwać własnym, ci, co wracają nie do domów, lecz do samej ziemi, by się zetknąć z jej bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem – najlepiej rozumieją jego surowość, potęgę zbawczą, łaskę, jego odwieczne prawo do naszej wierności i posłuszeństwa. Tak! Niewielu z nas rozumie, ale wszyscy to czujemy, mówię wszyscy, bez wyjątku, bo ci, co nie czują, nie liczą się. Każde źdźbło trawy ma swe miejsce na ziemi, skąd czerpie swe życie i siłę; tak i człowiek ma swe korzenie w kraju, z którego ciągnie wraz z życiem swoją wiarę!

Nie wiem, jak dalece rozumiał to Jim; ale wiem, że czuł, czuł potężnie, lecz niejasno, wymaganie takiej prawdy, czy takiej iluzji – nie dbam o to, jak to się nazywa, gdyż tak mała jest między nimi różnica i tak niewiele znaczy. Dość, że posiadał on cnotę tych odczuć. Teraz miał nigdy nie wrócić do domu. Nigdy. Gdyby był zdolny do malowniczych manifestacji – zadrżałby na samą myśl i was by wprawił w drżenie. Ale on nie był z tego gatunku, chociaż umiał na swój sposób wyrażać swe uczucia. Na myśl o powrocie do domu stawał się rozpaczliwie sztywny i nieporuszony, broda mu się wydłużała, a te niewinne, szafirowe oczy błyskały ponurym ogniem spod ściągniętych brwi, jak wobec czegoś nieznośnego,

wywołującego bunt duszy. Pełno było imaginacji w tej twardej czaszce, nad którą gęste, wijące się włosy tworzyły jakby czapkę. Co się mnie tyczy, nie miałem imaginacji (dziś więcej bym wiedział o nim, gdybym ją miał) i nie mam zamiaru wmawiać w was, że sobie wyobrażałem, iż duch mego kraju ukaże mi się nad białymi skałami Dover, by się mnie spytać – co uczyniłem z moim młodszym bratem? Takiej omyłki popełnić bym nie mógł. Wiedziałem doskonale, że należał do rodzaju tych, o których nikt nie pyta; widziałem lepszych – ginących, znikających bez wieści, niewywołujących żadnej oznaki ciekawości lub żalu. Duch ziemi nie troszczy się o niezliczone życia ludzkie. Biada chodzącym samopas! Istnieć możemy o tyle, o ile trzymamy się razem. On w pewien sposób zabłąkał się, nie trzymał się razem z innymi; ale odczuwał to z takim natężeniem, że stawał się wzruszający, tak jak bardziej natężone życie człowieka czyni śmierć jego bardziej wzruszającą niż śmierć drzewa. Interesował mnie niezmiernie sposób, w jaki się z tego położenia wydobędzie. Zabolałoby mnie, gdyby na przykład zaczął pić. Ziemia tak jest mała, iż lękałem się, ażeby kiedyś nie natknąć się na włóczęgę o błędnych oczach, obrzękłej twarzy, w trzewikach bez podeszew i z wiszącymi łachmanami na łokciach, który na mocy starej przyjaźni poprosi mnie o pożyczkę pięciu dolarów. Podobne spotkania przykrzejsze są dla człowieka wierzącego w solidarność naszych istnień niż widok zmarłego bez sakramentów – dla księdza. Przyznać muszę, że to było jedyne niebezpieczeństwo, jakie przewidywałem dla niego i dla siebie; ale zapomniałem o moim braku imaginacji. Przecież mogła się zdarzyć rzecz o wiele gorsza, ale to przechodziło moją zdolność przewidywania. Nie dał mi zapomnieć, jak dalece był imaginacyjny, a ludzie imaginacyjni w każdym kierunku sięgają dalej, jak gdyby ich kotwica życiowa była obdarzona dłuższą liną.

Sięgają tak daleko, że czasami rozpijają się. Być może, iż ubliżałem mu taką bojaźnią. Czy ja to mogę wiedzieć? Nawet Stein nie umiał nic innego powiedzieć poza tym, że go uważa za romantyka. Ja wiedziałem tylko, że on był jednym z naszych. Po cóż, u licha, był romantykiem?

Opowiadam wam moje uczucia i myśli, bo niewiele mam o nim samym do powiedzenia. On istniał dla mnie i tylko przeze mnie istnieje on dla was. Prowadziłem go za rękę, paradowałem z nim przed wami. Czy moje obawy były słuszne? Nie umiem powiedzieć nawet dziś. Wy może lepiej potraficie to osądzić, gdyż, jak mówi przysłowie, widz stojący na uboczu najlepiej rozumie grę. W każdym razie moje obawy były zbyteczne. Życie Jima cudownie się ułożyło, powinienem być zachwycony, bo to jest zwycięstwo, do którego i ja przyłożyłem rękę; ale nie jestem tak zadowolony, jak mógłbym się tego spodziewać. Zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście wyrwał się z tej mgły, w której tonął, biedny, zbłąkany, gorąco pragnący odzyskać skromne swe miejsce w szeregach. A przy tym ostatnie słowo jest jeszcze niedopowiedziane i zapewne nigdy wypowiedziane nie będzie. Czyż życie nasze nie jest za krótkie, by wypowiedzieć się w pełni, choć jest to nieustannie naszym zamiarem? Przestałem wyczekiwać na te ostatnie słowa, których brzmienie, gdyby mogły wybrzmieć, zatrzęsłoby ziemią i niebem. Nigdy nam czasu nie starczy na wypowiedzenie ostatniego słowa – ostatniego słowa naszej miłości, pragnień, wiary, poddania się, buntu. Przypuszczam, że nie dojdzie do wstrząśnięcia niebem i ziemią, przynajmniej nie dokonamy tego my, tak mało wiedzący o sobie samych. Moich ostatnich słów o Jimie będzie niewiele. Przyznaję – dokonał rzeczy wielkich; ale one skarlałyby w opowiadaniu, a raczej przy słuchaniu o nich. Szczerze mówię, to nie słowom swoim nie dowierzam, lecz

waszym umysłom. Mógłbym być wymowny, gdybym się nie lękał, że zagłodziliście waszą imaginację dla nakarmienia ciał. Nie chcę was obrażać; nieposiadanie iluzji jest rzeczą szanowną, bezpieczną, korzystną i – smutną. A jednak i wy w swoim czasie musieliście znać całą potęgę życia, ten świetny blask, wytwarzany przy wzajemnym starciu się drobiazgów, tak zadziwiający, jak iskra wykrzesana ze starego kamienia i na nieszczęście – równie krótkotrwały!

Rozdział XXII

Zdobycie miłości, honorów, zaufania ludzkiego i wypływająca stąd duma i potęga, są właściwym tematem dla bohaterskiej opowieści; ale umysły nasze uderza zawsze zewnętrzność takiego powodzenia, a w powodzeniach Jima nie było zewnętrznej strony. Trzydzieści mil lasu kryło go przed wzrokiem obojętnego świata, a huk fal, rozbijających się o wybrzeże, głuszył odgłos sławy. Potok cywilizacji zalewający ziemie o setki mil od Patusanu, rozpadający się na dwie gałęzie: wschodnią i południowo-wschodnią, zostawił sam Patusan, jego równiny, drzewa i ludzi w stanie zupełnego opuszczenia i zaniedbania, jak jakąś nic nieznaczącą, rozsypującą się wysepkę między dwoma ramionami potężnego, rwącego potoku. Nazwę tego kraju spotyka się często w starych opisach podróży. Kupcy w siedemnastym wieku udawali się tam po pieprz; namiętność do pieprzu zdawała się gorzeć wielkim płomieniem w piersiach holenderskich i angielskich awanturników za czasów Jakuba I. Dokąd by się nie udali po pieprz? Za worek pieprzu bez wahania gardła by poprzerzynali jeden drugiemu, zaprzedaliby dusze, o które skądinąd niezmiernie dbali; dziwaczna uporczywość tej żądzy kazała im niejednokrotnie narażać życie na nieznanych morzach, wśród strasznych chorób; sprowadzała na nich rany, niewolę, głód, morowe powietrze, rozpacz! Zarazem czyniła ich wielkimi, bo przecież było bohaterstwem iść przebojem w celach handlowych na spotkanie niemiłosiernej śmierci, trzymającej swą kosę zarówno nad starą, jak i młodą głową. Trudno uwierzyć, by prosta chciwość nadawała ludziom taką wytrwałość

w przedsięwzięciu, taką ślepą gotowość na wszelkie ofiary. Bo doprawdy ci, co narażali swe życie, stawiali wszystko, co mieli, na jedną kartę za bardzo marną nagrodę. Swe bielejące kości zostawiali na dalekich wybrzeżach, aby zapewnić dobrobyt żywym, pozostałym w domu. Dla nas, ich szczęśliwszych następców, nabierają jakiejś wzniosłej cechy, nie jako agenci handlowi, lecz jako narzędzia przeznaczenia, pchane w nieznany świat głosem wewnętrznym, impulsem drgającym we krwi, marzeniem o przyszłości. Byli oni zadziwiający i gotowi do rzeczy zadziwiających. W Patusanie znaleźli wielkie zapasy pieprzu i zaimponowała im wspaniałość i mądrość sułtana; ale coś tak po upływie stulecia kraj został powoli wycofany z obrotów handlowych. Może zbrakło pieprzu. Dlaczego tak się stało – nikt się teraz nie interesuje; wspaniałość przeminęła, sułtanem jest głupi młokos z dwoma wielkimi palcami u lewej ręki i niepewnymi, szczupłymi dochodami, wydartymi biednej ludności, a wykradanymi od niego przez licznych wujów.

Te wiadomości mam, rozumie się, od Steina. Mówił mi ich imiona i dał mi krótką charakterystykę każdego. Posiadał o tym kraju tak dokładne wiadomości, jak i sprawozdawca rządowy, tylko że jego wiadomości były zabawniejsze. On musiał wiedzieć o wszystkim. Handlował tak wiele, w rozmaitych okręgach, że na przykład w Patusanie tylko jego firmie wolno było mieć agenturę, za specjalnym pozwoleniem władz holenderskich. Rząd wierzył jego dyskrecji i ustalone było, że całe ryzyko on bierze na siebie. Ludzie, którym dawał tam chleb, rozumieli to również, ale widocznie praca opłacała się im. Dnia tego przy śniadaniu Stein wszystko mi szczerze opowiedział. O ile sądzić mógł z ostatnich wieści, pochodzących zresztą sprzed trzynastu miesięcy, trwoga o życie i mienie była tam chlebem powszednim. W Patusanie

działały dwie wrogie siły: jedną z nich przedstawiał radża Allang, najgorszy z wujów sułtana, władca rzeki, łupieżca i złodziej wszystkiego, gnębiący bez miłosierdzia Malajczyków, którzy, najzupełniej bezbronni, nie mieli nawet ucieczki w emigracji, „bo – mówił Stein – dokąd i jak wyrwać by się stamtąd mogli?" Może nawet i nie pragnęli tego. Świat (otoczony wysokimi, nieprzebytymi górami) oddany był w ręce urodzonego władcy, a tego radżę znali: pochodził przecież z ich królewskiego domu! Miałem przyjemność spotkania tego dostojnika w jakiś czas potem. Był to brudny, mały, wyniszczony starzec, ze złośliwością malującą się w oczach i na ustach, co dwie godziny połykał pigułkę opium i wbrew uznanym ogólnie prawidłom przyzwoitości, niczym nie zakrywał włosów, spadających w długich kosmykach na zwiędłą twarz. Gdy dawał posłuchanie, wdrapywał się na rodzaj wąskiej estrady wzniesionej w sali przypominającej zniszczoną stodołę, ze zgniłą bambusową podłogą, przez szczeliny której widać było kupy śmieci i brudu. Tam właśnie i w taki sposób przyjął nas, gdy w towarzystwie Jima złożyłem mu ceremonialną wizytę. Było ze czterdzieści osób w pokoju i może trzy razy tyle na dziedzińcu. Za naszymi plecami trwał nieustanny ruch: wchodzono, wychodzono, pchano się, szeptano. Kilku młodzieńców strojnych w jaskrawe jedwabie przyglądało się z dala, a większość obecnych, złożona z niewolników, pokornych podwładnych, stała półnaga, pokryta błotem, pyłem i brudem. Nigdy nie widziałem Jima tak poważnego, pewnego siebie i niezbadanego. Wśród tych ciemnolicych ludzi jego wyniosła postać w białych szatach, jasne zwoje włosów, zdawały się chwytać wszystkie promienie słońca, przedzierające się przez szczeliny zamkniętych okiennic tej mrocznej sali, której ściany zrobione były z mat, a dach tworzyło słomiane poszycie. Wydawał się istotą nie tylko innego rodzaju, ale

stworzoną z innej gliny. Gdyby nie widzieli, jak przypłynął do nich łódką, mogliby przypuszczać, że zstąpił na ziemię z obłoków. Przybył jednak w wątłym korycie, siedząc (bardzo spokojnie, ze zwartymi kolanami, z obawy by się koryto nie przewróciło) na małej skrzynce, którą mu pożyczyłem, piastując na kolanach rewolwer, jakiego zwykle używa się we flocie, również dany mu przeze mnie, dziwnym zrządzeniem Opatrzności lub też wskutek zapomnienia – nienabity. W taki sposób ukazał się Jim na rzece w Patusanie. Nie mogło być nic bardziej prozaicznego, mniej bezpiecznego. Dziwnie, doprawdy, fatalizm jakiś nadawał pozór ucieczki wszystkim jego czynom i skokom w nieznany świat.

Przypadkowość, kierująca jego losami, najbardziej mnie uderzała. Ani Stein, ani ja nie mieliśmy jasnego pojęcia o tym, co się znajduje po drugiej stronie, gdy, mówiąc metaforycznie, podnieśliśmy Jima i przesadziliśmy bez wielkiej ceremonii przez mur. W tamtej chwili pragnąłem tylko, by zniknął ludziom z oczu; w czynie zaś Steina był i uczuciowy pierwiastek. Wystawiał sobie, że spłaca stary dług, o którym nigdy nie zapomniał. Rzeczywiście, całe życie okazywał wiele przyjaźni każdemu, pochodzącemu z wysp Wielkiej Brytanii. Ostatni jego dobroczyńca był, co prawda, Szkotem, nazywał się nawet MacNeil – a Jim pochodził ze stron południowych; ale w odległości sześciu, czy siedmiu tysięcy mil Wielka Brytania, chociaż nigdy niezmniejszona, skraca się o tyle, że te szczegóły tracą na swym znaczeniu. Zamiary Steina były tak wspaniałomyślne, iż prosiłem gorąco, by na jakiś czas zachował je w tajemnicy. Czułem, że żadne względy osobistej korzyści nie powinny wpływać na Jima; że nawet nie należy się na tę prośbę narażać. Mamy tu do czynienia z innego rodzaju rzeczywistością. Jim pragnął gdzieś się skryć i to, za cenę niebezpieczeństw, miało mu być ofiarowane – więcej nic.

Pod każdym innym względem byłem najzupełniej z nim szczery, a nawet (jak mi się wówczas zdawało) przesadzałem niebezpieczeństwa tego przedsięwzięcia. Okazało się, że było ono istotnie groźne; pierwszy jego dzień w Patusanie omalże nie był ostatnim, stałoby się tak, gdyby przez niedbałość, czy z rozmysłu, dla utrudnienia sobie położenia, nie zostawił rewolweru nienabitego. Pamiętam, że gdy wykładaliśmy mu plan tego, co dla niego obmyśliliśmy, jego upartą rezygnację zastępowało zdziwienie i zainteresowanie, wraz z młodzieńczą gotowością. O takiej okazji marzył. Nie wiedział, czym zasłużył na to, bym ja... czemu zawdzięcza... i to Stein, kupiec, chce... ale to mnie głównie... Nie pozwoliłem mu na dalsze wynurzania się. Nie umiał swej wdzięczności sformułować, a sprawiała mi ona niewypowiedzianą przykrość. Powiedziałem mu, że jeżeli komu tę okazję zawdzięcza, to chyba staremu Szkotowi, o którym nigdy nie słyszał, który umarł przed wielu laty, zostawiając we wspomnieniu niewielu ludzi sławę rzadkiej uczciwości. Właściwie więc nie należą się nikomu jego podziękowania. Stein oddaje pierwszemu lepszemu młodzieńcowi to, co sam od innego w latach młodych otrzymał, a ja tylko to zrobiłem, że wymieniłem jego nazwisko. Na te słowa Jim rozpromienił się i miętosząc w palcach kawałek papieru, powiedział zakłopotany, iż wie, że ja mu zawsze ufałem.

Przyznałem, że tak się rzecz miała i po chwili dodałem, iż pragnę, by szedł za moim przykładem.

– Alboż tak nie uczyniłem? – spytał niepewnym tonem i coś szepnął o braku sposobności, następnie zaczął głośno zapewniać, iż nigdy nie pożałuję, że obdarzyłem go zaufaniem – bo... bo...

– Zechciejże zrozumieć – przerwałem mu – że to nie leży w twojej mocy. Żałować nie będę, a gdyby do tego przyszło, to już moja rzecz. – Starałem mu się wytłumaczyć, że jeżeli zmuszeni byliśmy

do tej ostateczności, by go na takie przejścia narażać, to winę przypisać może tylko sobie.

– Jak to? – bąkał. – Przecież jest to właśnie to, o czym ja...

Prosiłem, by nie był tak zagadkowy, a on wyglądał na bardziej niż kiedykolwiek zdumionego.

– Przecież uniemożliwiał pan sobie życie – rzekłem.

– Tak pan sądzi? – spytał zmartwiony, ale po chwili dodał – ale przecież jakoś sobie radziłem, prawda?

Nie można było gniewać się na niego; z uśmiechem powiedziałem mu, że ludzie tak sobie radzący w dawnych czasach byli na dobrej drodze do zostania pustelnikami na puszczy.

– Ee, co tam! – rzekł energicznie. Widocznie puszcza go nie przerażała.

Rad byłem z tego i powiedziałem mu, że miejsce, dokąd się udaje, nielepsze jest od dzikiej puszczy.

– Wiem, wiem – odparł.

– Chciałeś – ciągnąłem dalej – odejść i zamknąć za sobą drzwi...

– A mogę to zrobić? – przerwał mi i jakiś dziwny smutek owionął go od stóp do głów jak cień przesuwającej się chmury.

Mogłem mu dać uroczyste przyrzeczenie, że jakikolwiek będzie jego los, pozostanie nieznany, gdyż kraj, dokąd się ma udać, pozostaje poza obrębem ludzkich interesów. Gdy raz się tam znajdzie – otaczający świat zapomni o nim, jak gdyby nigdy nie istniał.

– Nigdy nie istniał... otóż to, na Jowisza! – szepnął sam do siebie. Jego oczy, utkwione we mnie, błysnęły.

– Jeżeli dobrze zrozumiałeś wszystko – mówiłem – to wskakuj do pierwszej napotkanej dorożki i jedź do Steina po ostateczne instrukcje.

Zanim wymówiłem ostatnie słowo, już go nie było w pokoju.

Rozdział XXIII

Wrócił dopiero nazajutrz rano. Zatrzymany został na obiad i na noc.

– Drugiego takiego człowieka jak pan Stein nie ma chyba na świecie – mówił.

Miał w kieszeni list do Corneliusa (którego miejsce miał zająć) i pokazał z radością w oczach srebrną obrączkę, używaną zwykle przez krajowców, zużytą bardzo i w wielu miejscach poszczerbioną. Ona da mu wstęp do starca, nazwiskiem Doramin, zajmującego tam pierwszorzędne stanowisko, przyjaciela pana Steina.

– Pan Stein nazywa go „towarzyszem walk". To ciekawe, prawda? A jak pan Stein mówi doskonale po angielsku! Podobno nauczył się w Celebes! To zabawne, doprawdy! On mówi z jakimś akcentem, zauważył to pan? Stary Doramin dał mu obrączkę. Zamienili z sobą podarunki, gdy się po raz ostatni rozstawali, jako zadatek wiecznej przyjaźni. Mnie to wydaje się wzruszające, a panu? Musieli uciekać z kraju, by ratować życie, gdy ten Mohammed, Mohammed, jakże jego imię?... został zabity...

Opowiadał tak nieustannie, zapominając o stojącym przed nim talerzu, ze wzniesionym widelcem i nożem (zastał mnie przy śniadaniu), lekko zarumieniony i z pociemniałymi oczyma, co było u niego znakiem podniecenia. Obrączka była rodzajem upełnomocnienia („takie rzeczy tylko w książkach się spotyka" zauważył) i Doramin zrobi wszystko, co tylko będzie mógł dla niego. Panu Steinowi udało się kiedyś uratować mu życie przypadkiem – mówił pan Stein – ale on, Jim, wie, co o tym myśleć. Pan Stein umie wynajdywać takie przypadki. W każdym razie, czy

tak, czy owak, przypadek ten odda mu teraz niemałe usługi. Aby tylko stary nie przeniósł się tymczasem na tamten świat! Pan Stein nic o tym powiedzieć nie mógł. Od roku już nie miał żadnych wiadomości; tłuką się tam nieustannie między sobą, nie ma dostępu do rzeki. Ciężka będzie przeprawa; ale nie ma obawy, on zawsze znajdzie szczelinę, przez którą się prześlizgnie.

Przerażał mnie prawie tą swoją wielomównością, właściwą młokosom wybierającym się na długie wakacje, w czasie których spodziewają się doznać niemało przyjemności; ten nastrój ducha u dorosłego człowieka, szczególnie w jego sytuacji, zdradzał coś niezwykłego, niebezpiecznego, groźnego. Miałem już zabrać się do przemowy, radząc, by się poważnie na rzeczy zapatrywał, gdy rzucił widelec i nóż (jadł, raczej połykał, jakby nie wiedział, co robi) i zaczął szukać czegoś naokoło siebie. Obrączka! Obrączka? Gdzież u diabła... A, jest nareszcie! Ścisnął ją w ręce i wkładał do rozmaitych kieszeni. Boże mój! Żeby tylko tego nie zgubić! O, może najlepiej na szyi powiesić? Zebrał się natychmiast do tego, wyciągając jakiś sznurek. Tak, teraz dobrze! Chyba diabeł jaki domyśli się... Spojrzał nagle na mnie, jakby mnie pierwszy raz widział, i to go trochę uspokoiło. Zapewne nie domyślam się – rzekł z naiwną powagą – jaką wartość przywiązuje do tego przedmiotu. Symbolizuje on przyjaciela, a to tak przyjemnie wiedzieć, że się ma przyjaciela. On coś wie o tym. Znacząco kiwał głową i raptem pogrążył się w milczeniu, bawiąc się bezmyślnie okruchami chleba...

– Zatrzasnąć drzwi za sobą – doskonale powiedziane! – krzyknął, skoczył i zaczął przebiegać pokój, zarysem ramion i głowy, nierównym sposobem chodzenia przypominając mi tę noc, kiedy chodził, spowiadając się czy tłumacząc, jak chcecie, w każdym razie przeżywając przed mymi oczyma straszne chwile ze swą nieświadomą subtelnością, umiejącą czerpać pociechę z samego

źródła cierpień. Był to ten sam, a zarazem inny nastrój, przypominający psotnego towarzysza, który dziś prowadzi cię dobrą drogą, a jutro tym samym krokiem zawiedzie cię na manowce.

– Zatrzasnąć drzwi! – krzyknął. – Czekałem na to. Pokażę teraz... Gotów jestem na rzeczy najstraszniejsze... Marzyłem o tym. Boże! Wydobyć się stąd! To szczęście... poczekaj pan. Ja...

Z taką pewnością siebie kiwał głową, a wyznać muszę, że po raz pierwszy i ostatni w ciągu całej naszej znajomości miałem go dość. Po co ta burzliwość? Biegał po pokoju, niedorzecznie wyrzucając ramiona, od czasu do czasu macając, czy ma jeszcze obrączkę na szyi. Co za sens tak się egzaltować człowiekowi, mającemu być zwykłym agentem w okolicy, gdzie nie prowadzono żadnego handlu. Po co wyzywać cały świat do walki? W takim nastroju nie przystępuje się do jakiegokolwiek przedsięwzięcia; nie jest on odpowiedni ani dla niego, ani dla nikogo. Stanął nade mną.

– Zgadza się pan ze mną, zgadza się pan? – spytał z uśmiechem, w którym nagle odkryłem coś zuchwałego.

Ale byłem o dwadzieścia lat starszy od niego. Młodość jest zuchwała; to jest jej prawem, jej potrzebą; on musiał utwierdzić się w swym przekonaniu, a wszelka dążność do tego uważana jest przez ten pełen zwątpienia świat za wezwanie do walki, za zuchwałość. Przeszedł się aż na drugi koniec pokoju i wrócił, by, mówiąc w przenośni, drzeć mnie na sztuki. Mówi tak dlatego, że ja, nawet ja, będąc tak nieskończenie dobry dla niego, pamiętam, pamiętam – co było. Cóż mówić o innych, o świecie całym? Cóż więc dziwnego, że on pragnie stąd się wydobyć, wydobędzie się – i nigdy już nie wróci!

– To nie chodzi o to, że ja pamiętam lub świat cały – krzyknąłem. – To ty pamiętasz!

Nie stropił się i mówił dalej z ogniem.

– Zapomnieć o wszystkim, o wszystkich, wszystkich – tu głos mu drgnął – tylko nie o panu – dodał.

– Owszem, i o mnie także, jeżeli to pomóc może – rzekłem również zniżonym głosem.

Potem siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, jakby wyczerpani. Powoli zaczął znów opowiadać, że pan Stein radził mu czekać miesiąc lub dłużej, zanim się przekona, czy będzie mógł tam pozostać i zanim zacznie budować nowy dom dla siebie, aby uniknąć niepotrzebnych wydatków... czy on tam pozostanie? Jak to – rozumie się. Uczepił się tego. Niech mu tylko pozwolą tam jechać, a ręczy za to, że pozostanie. Nigdy tego miejsca nie porzuci. Nie trudno będzie mu tam pozostać.

– Nie bądźże tak niedorzeczny – rzekłem zakłopotany jego tonem. – Jeżeli tylko długo żyć będziesz, zapragniesz wrócić.

– Wrócić, do czego? – spytał, patrząc na zegar, wiszący na ścianie.

Milczałem przez chwilę.

– Więc nigdy nie wrócisz? – rzekłem.

– Nigdy – odparł, nie patrząc na mnie i nagle zawołał – Na Jowisza! Już druga, a ja o czwartej rozwijam żagle!

Była to prawda. Okręt Steina wypływał dziś po południu. Jim miał na nim zapewnione miejsce. Zabrał się do składania swych rzeczy, a ja poszedłem na pokład mego okrętu, dokąd Jim obiecał zajść przed odjazdem. I rzeczywiście wbiegł z pośpiechem, trzymając małą skórzaną walizkę w ręce. Była ona do niczego, więc ofiarowałam mu moją starą skrzynkę, wytrzymałą przynajmniej na wilgoć. Dokonał zamiany, po prostu wyrzucając zawartość swej skrzynki do mojej, jak gdyby wysypywał worek ziarna. Ujrzałem trzy książki: dwie małe w ciemnej okładce i gruby zielono-złoty tom – tanie wydanie Szekspira.

– Czytasz to? – spytałem.

– Tak, to najlepiej podnosi na duchu – rzekł pospiesznie.

Uderzyły mnie te słowa, ale nie było czasu na rozmowę o Szekspirze. Ciężki rewolwer i dwa pudełka nabojów leżały na małym stoliczku.

– Proszę, weź to – rzekłem – to ci może pomóc tam pozostać.

Zaledwie wymówiłem te słowa, zrozumiałem, jak ponure mają one znaczenie.

– Może ci pomóc w zdobyciu sobie stanowiska – poprawiłem się pośpiesznie.

Ale on nie zwracał na to uwagi, gorąco mi podziękował i pobiegł, rzucając mi przez ramię ostatnie słowa pożegnania. Słyszałem, jak krzyczał na swych wioślarzy, by prędzej odpływali, i stojąc przy sterze ujrzałem szybko mknącą łódź. Siedział pochylony naprzód, popędzając ludzi głosem i gestami, a ponieważ trzymał rewolwer w ręce, zdawało się, że mierzy im prosto w głowy. Nigdy nie zapomnę przerażonych fizjonomii czterech Jawajczyków i ich gorączkowego pośpiechu, skutkiem którego straciłem ich wkrótce z oczu. Gdym się odwrócił, zobaczyłem dwa pudełka nabojów; zapomniał je zabrać.

Krzyknąłem, by spuścić łódź; tymczasem wioślarze Jima, pod wrażeniem, że życie ich wisi na włosku, gdy mają wariata w łodzi, mknęli tak szybko, że zanim przebyłem połowę przestrzeni, dzielącej od siebie oba okręty, widziałem, jak Jim wchodził na pokład wraz ze swą skrzynką. Wszystkie płótna były rozpięte i okręt gotów był do drogi, gdy stanąłem na jego pokładzie. Komendant, ruchawy mieszaniec, lat około czterdziestu, w niebieskim flanelowym garniturze, z żywymi oczami i twarzą żółtą jak cytryna, zbliżył się do mnie z uśmiechem. Okazało się, że pomimo tej uprzejmej powierzchowności, charakteru był zgryźliwego. Na uczynioną przeze mnie uwagę odpowiedział, gdy Jim na chwilę zszedł na dół:

„Ach, tak. Patusan". Miał zamiar dowieźć tego pana do ujścia rzeki, ale dalej płynąć nie myśli. Mówił po angielsku tak, jak gdyby słowa czerpał ze słownika, układanego przez wariata. Gdyby pan Stein żądał od niego, by się dalej zapuszczał, to złożyłby świadectwo, że to jest rzeczą niebezpieczną, a gdyby to nie pomogło, „musiałby zrezygnować ze swego stanowiska". Przed dwunastu miesiącami odbył swą ostatnią podróż w tamte okolice i chociaż pan Cornelius „składał hojne dary" panu radży Allang i „głównym wodzom", okręt był pod obstrzałem przez cały ciąg przebywania rzeki; załoga zmuszona była kryć się, gdzie się dało i okręt o mało nie osiadł na mieliźnie, co byłoby ostateczną zgubą. Pełne gniewu obrzydzenie na to wspomnienie walczyło na jego twarzy z zadowoleniem z płynnej wymowy. Ciemne smugi szybko przesuwały się po spokojnym morzu, a komendant opowiadał mi dalej, że radża podobny był do „śmiejącej się hieny", a ktoś tam inny fałszywszy był stokrotnie od „morderczej broni krokodyla". Pilnując ostatecznych przygotowań, wykonywanych przez załogę, puścił wodze swemu językowi, porównywając kraj tamten „z klatką dzikich bestii do wściekłości doprowadzonych długą bezkarnością". On wcale nie ma zamiaru – krzyknął – dać się wciągnąć do szajki złodziei. „Miałem dość Patusanu" – mówił energicznym tonem.

Dowiedziałem się potem, że był tak nieostrożny, iż dał się przywiązać za szyję do słupa, stojącego przed domem radży. W tej niewygodnej pozycji spędził większą część dnia i całą noc, ale miało to być podobno rodzajem żartu. Zapewne rozmyślał teraz o tym strasznym przejściu, gdyż z pianą na ustach wymyślać zaczął któremuś z ludzi. Gdy znów zwrócił się do mnie, uspokoił się zupełnie. Dowiezie tego pana do Batu Kring (miasto w Patusanie), ale w jego mniemaniu pan i tak „przypomina już trupa".

– Co? Co pan mówi? – spytałem.

Przybrał wyraz straszliwego okrucieństwa i gestem wyraził akt zasztyletowania w plecy.

– Już zupełnie jak ciało nieboszczyka – objaśnił z zarozumiałą miną człowieka jego gatunku, któremu się zdaje, że okazał się bardzo mądry.

Za jego plecami ujrzałem Jima, patrzącego na mnie z uśmiechem i ruchem ręki powstrzymującego mój okrzyk. I gdy mieszaniec rzucał się wściekle to tu, to tam, wydając rozkazy, ja z Jimem staliśmy przy głównym maszcie, ściskając się za ręce, zamieniając pospiesznie słowa. Serce moje wolne było od pewnej niechęci, istniejącej obok zainteresowania się jego losem. Głupie gadanie komendanta realniej zabarwiło niebezpieczeństwa, na które się puszczał, niż przestrogi Steina. W tych okolicznościach znikł pewien sztywny formalizm, obecny zawsze w naszych rozmowach; zdaje mi się, że go nazwałem „kochanym chłopcem", on zaś trzymał się określenia „stary przyjacielu", wymawiając słowa wdzięczności. Była to chwila głębokiej, rzeczywistej poufałości, nieoczekiwanej i krótkotrwałej. Usiłował uspokoić mnie, jak gdyby to on był bardziej ode mnie dojrzały.

– Dobrze! Dobrze! – powtarzał wzruszony. – Obiecuję dbać o siebie. Tak, nie będę się na nic narażał. Ani odrobinkę. Rozumie się. Myślę wieki tam pokutować. Niech pan będzie o mnie spokojny. Na Jowisza! Czuję, że nic mi się stać nie może. A to zapowiada szczęście! Przecie nie chciałbym zmarnować tak wspaniałej okazji!...

Wspaniała okazja! Prawda, ale jak on z niej skorzysta? Jak sam mówił, „ja – nawet ja" pamiętałem o jego nieszczęściu. To prawda. Więc najlepiej będzie dla niego, gdy odjedzie.

Moja łódź wpadła w wir po odpływającym okręcie i ujrzałem go odcinającego się na tle zachodzącego słońca, wznoszącego czapkę

nad głową. Dobiegły mnie te niewyraźne słowa:

– Usłyszy pan wkrótce o mnie!

Morze tak rozbłyskiwało u jego stóp, że nie mogłem go widzieć wyraźnie, widocznie taki już mój los, że oczom moim nigdy się nie mógł wyraźnie ukazać; ale zaręczam wam, że nikt mniej „podobnym nie był do trupa"; słowa mieszańca wydały mi się prostym krakaniem. Ujrzałem jego postać, wychylającą się spod wzniesionego ramienia Jima. On również podniósł rękę, zdawał się wykonywać jakiś ruch pchnięcia. Absit omen!

Rozdział XXIV

Pobrzeża Patusanu (ujrzałem je w dwa lata potem) proste, ponure, toną w mglistym oceanie. Czerwone smugi, przypominające rdzawe strumyki, wypływają spod ciemnej zieleni zarośli. Bagniste równiny ciągną się u początku rzeki, a na dalekim widnokręgu, poza wielkimi lasami, wznoszą się poszarpane szczyty gór. Bliżej zaś zarysowuje się łańcuch ciemnych wysepek o połamanych liniach, wiecznie palonych żarem słonecznym, zdających się być pozostałością murów zniszczonych zalewem oceanu.

Znajduje się tam zamieszkana przez rybaków wioska zbudowana u ujścia Batu Kring. Rzeka, tak długo zamknięta dla wszelkiego ruchu, była teraz wolna i mały statek Steina, na którym odbywałem podróż, sunął bezpiecznie, nie będąc narażony na żaden ogień. Taki stan rzeczy należał już do starożytnej historii, jeżeli wierzyć starcowi, jednemu z poważniejszych ludzi wsi rybackiej, który w charakterze pilota znalazł się na pokładzie statku. Mówił do mnie (w swoim życiu widział drugiego białego) z zaufaniem i rozmowa nasza toczyła się głównie o pierwszym białym, jakiego widział. Nazywał go Tuanem Jimem i w jego słowach czuć było pewną poufałość pomieszaną ze strachem. Wieś ich cieszy się specjalną opieką Tuana (lorda) – mówił stary, co dowodziło, że Jim nie wzbudza niechęci i zawiści. Obietnica Jima, że wkrótce o nim usłyszę, spełniła się. Słuchałem. Krążyła już historia, że przypływ morza pośpieszył się o dwie godziny, aby mu ułatwić podróż przez rzekę. Rozmowny staruszek sam wówczas sterował i nie mógł się nadziwić szybkości, z jaką łódź mknęła. A przecie rodzina jego jest

sławna i widziała niemało w życiu. Syn jego i zięć znajdowali się również w łódce, ale to niedoświadczone młokosy, więc nie zauważyli niezwykłej szybkości łódki, zanim on nie zwrócił na to ich uwagi.

Przybycie Jima do tej rybackiej wioski było błogosławieństwem, ale tak dla nich, jak i dla wielu z nas, błogosławieństwo poprzedza strach. Tyle już pokoleń minęło od czasu bytności tu białych ludzi, iż zatarło się wszelkie o nich wspomnienie. Ukazanie się takiej istoty, domagającej się przewiezienia do Patusanu, było rzeczą wyprowadzającą z równowagi; jego naleganie przerażało; hojność zdawała się podejrzana. Podobnego zdarzenia nie pamiętali. Nikt nigdy nie stawiał takich żądań! Co powie na to radża? Co im za to zrobi? Większą część nocy spędzili na naradach, a ponieważ ze strony tego obcego groziło im natychmiastowe niebezpieczeństwo, więc zdecydowano się przygotować dla niego łódeczkę. Kobiety wrzeszczały z gniewu, a jakaś stara, nieznająca strachu, wyklinała przybysza.

Siadł więc, jak wam mówiłem, na małej skrzynce, piastując na kolanach nienabity rewolwer. Zachowywał ostrożność, a wiadomo, że to rzecz najbardziej męcząca i tak przybył do kraju, który miał rozbrzmiewać sławą jego cnót od błękitnych szczytów do białej wstęgi piaszczystego wybrzeża. Przy pierwszym zakręcie stracił z oczu morze, wznoszące się, opadające, niknące, by znów się ukazać – wierny obraz walczącej ludzkości – i miał przed sobą tylko niewzruszone lasy, głęboko w ziemi zakorzenione, wznoszące się ku słońcu, wiecznotrwałe w cienistej potędze swej tradycji, jak samo życie. A jego sposobność, okazja, siedziała zakwefiona u jego boku, jak wschodnia oblubienica czekająca, by ręka władcy zerwała zasłonę. On również był spadkobiercą cienistej a potężnej tradycji! Mówił mi jednak, że nigdy nie czuł się tak zmęczony, tak

zgnębiony jak w tej łódce. Jedynym ruchem, na jaki mógł sobie pozwolić, było sięgnięcie, jakby ukradkowe, po skorupę kokosowego orzecha, pływającą na dnie łódki, by za jej pomocą naczerpać trochę wody. Odczuwał, jak twardym siedzeniem jest drewniana skrzynka. Miał żelazne zdrowie; ale niejednokrotnie w czasie podróży doznawał zawrotów głowy i chwilami rozmyślał o tym, jak wielkie bąble wypala mu słońce na plecach. Dla rozrywki próbował obejrzeć się, by się przekonać, czy szary przedmiot, leżący na wodzie, jest kawałkiem drzewa, czy też aligatorem. Wkrótce musiał się i tego wyrzec. Nie było wątpliwości, że to zawsze był aligator. Jeden z nich rzucił się w wodzie i o mało nie przewrócił łódki. Wzruszenie to prędko minęło i przebywając teraz pustą przestrzeń, wdzięczny był gromadzie małp zgromadzonych na brzegu i witających go wrzaskiem i piskiem. W taki to sposób zbliżał się do wielkości, do jakiej żaden człowiek jeszcze nie doszedł. Teraz marzył tylko o zachodzie słońca, a wiozący go wioślarze rozmyślali o wydaniu go w ręce radży.

– Może zgłupiałem ze zmęczenia lub zdrzemnąłem się na chwilę – opowiadał.

Pierwszą rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę, było zbliżenie się łódki do brzegu. Natychmiast spostrzegł, że las pozostał za nimi, a przed nimi ukazują się pierwsze domy. W tej chwili łódź stuknęła o brzeg i trzej krajowcy wyskoczyli i zaczęli uciekać. Wiedziony instynktem wyskoczył za nimi. Z początku zdawało mu się, że jest na pustkowiu, ale nagle usłyszał krzyki, jakieś wrota rozwarły się z trzaskiem i wypadła gromada ludzi, którzy biegli ku niemu. W tej samej chwili ukazała się na rzece łódź, napełniona zbrojnymi ludźmi; schwycili oni opuszczoną łódkę, uniemożliwiając tym sposobem wszelką myśl odwrotu.

– Byłem tak zdziwiony, że mogłem stracić przytomność, prawda? I gdyby ten rewolwer był nabity, zabiłbym kogoś: jednego, dwóch, a może trzech i byłoby już po mnie. Ale nie był nabity.

– Cóż więc się stało? – pytałem.

– Przecież nie mogłem bić się z całą ludnością, a przy tym nie mogłem im pokazać, że lękam się o życie – rzekł z odrobiną dawnego uporu w oczach.

Nie powstrzymałem się od uwagi, że przecież oni nie mogli wiedzieć, że rewolwer był nienabity.

– Wszystko jedno, dość, że nie był – odparł z uśmiechem – stałem więc spokojnie i spytałem, czego ode mnie chcą? To ich wprawiło w osłupienie. Paru z tych łotrów unosiło moją skrzynkę. Ten długi, nagi, stary łajdak Kassim (pokażę go panu jutro), przyskoczył, krzycząc, że radża chce się ze mną widzieć. Bardzo pięknie – odparłem. – I ja chcę widzieć radżę! Poszedłem więc prosto przez wrota i – i – oto jestem! – Śmiał się i z nieoczekiwaną powagą dodał – A wiesz pan, co jest w tym najlepszego? Powiem panu. Oto pewność, że gdyby mnie wówczas na tamten świat wyprawiono, najwięcej by na tym stracił ten kraj!

Rozmawialiśmy tak, stojąc przed jego domem, o którym już wspomniałem, patrząc na księżyc, wypływający z rozłupanej góry jak widmo, wyłaniające się z grobu, gdyż promienie jego zimne a blade zdawały się widmem zgasłego słońca. Jest coś duchowego w świetle księżyca, ma ono cały spokój bezcielesnej duszy i coś z jej niepojętej tajemniczości. Mówcie sobie, co chcecie, wszystko, przez co żyjemy, odnosi się tak jak księżyc do słońca, jak echo do dźwięku; niejasne i błędne, bez względu na to, czy nuta jest smutna, czy szydercza. Światło księżyca zmienia wygląd wszystkiego i daje ponurą rzeczywistość cieniom jedynie. Domy, skupione wzdłuż szerokiej błyszczącej wstęgi, zstępowały do wody

jak nieokreślone, szare; srebrzyste kształty, zlane z czarną masą cieni, zdawały się widmem jakiegoś stada bezkształtnych stworzeń, tłoczących się, by ugasić pragnienie w martwym widmie-strumieniu. Tu i tam błysnęło czerwone światełko wśród ścian bambusowych, gorąca, żyjąca iskierka, świadcząca o ludzkich uczuciach, o spokoju i przytułku.

Mówił mi, że często śledzi te gorące promyki, gasnące jeden za drugim, że lubi patrzeć, jak jego ludzie w jego oczach zapadają w sen, ufni w bezpieczeństwo jutra.

– Spokojnie tu, prawda? – spytał. Nie był wymowny, ale w słowach następnych zawarta była głęboka myśl. – Spojrzyj na te domy; nie ma jednego, w którym by mi nie ufano. Na Jowisza! Wszak mówiłem, że się tu uczepię rękami i nogami. Spytaj każdego mężczyznę, kobietę, dziecko... – zatrzymał się. – W każdym razie dobrze mi jest.

Szybko uczyniłem uwagę, że jednak w końcu doszedł do tego, czego byłem pewny. Wstrząsnął głową.

– Doprawdy był pan pewien? – rzekł, przyciskając lekko me ramię. – A więc nie myliłeś się!

Była duma, prawie groza w tym cichym okrzyku.

– Boże! – krzyknął – pomyśl tylko, czym to jest dla mnie! – znów ścisnął me ramię. – A pan pytałeś się mnie, czy chcę to porzucić? Wielki Boże! Ja! Porzucić! A jeszcze teraz, po tym, coś mi pan o panu Steinie powiedział. Porzucić? Po co! Ja się lękałem, by tego miejsca nie stracić. Byłoby to dla mnie gorsze od śmierci! Nie. Doprawdy! Nie śmiej się pan ze mnie. Ja muszę czuć każdego dnia, ile razy oczy otworzę, że ufają mi, że nikt nie ma prawa, rozumiesz pan? Porzucić! Na co? Po co? Aby iść – dokąd?

Powiedziałem mu (rzeczywiście był to główny powód mego przyjazdu), że Stein miał zamiar zaraz oddać mu dom z pewnym

zapasem towaru na pewnych warunkach, nadających transakcji charakter prawny i bezpieczny. Zaczął się burzyć i opierać.

– Niech diabli porwą twą delikatność! – krzyknąłem. – Stein oddaje to, co zdobyłeś swoją pracą. W każdym razie zachowaj swoje uwagi dla pana MacNeila, gdy go spotkasz na tamtym świecie. Mam nadzieję, że to tak prędko nie nastąpi...

Musiał ustąpić, gdyż wszystkie jego zdobycze, ufność słowa, przyjaźń, miłość, wszystkie te rzeczy, czyniąc go władcą, uczyniły go także podwładnym. Okiem właściciela patrzył na spokój wieczoru, na rzekę, domy, na wiecznotrwałe życie lasów, na życie starej ludzkości, na tajemnicę tego kraju, na dumę własnego serca; ale to właściwie one wzięły go w posiadanie i czyniły swoim do najtajniejszej myśli, do najlżejszego drgnienia krwi, do ostatniego tchnienia.

Rozdział XXV

– Tu byłem więźniem przez trzy dni – szepnął mi. – Było to w dzień naszej wizyty u radży, gdyśmy się przeciskali przez wrzeszczący tłum podwładnych na dziedzińcu Tunku Allanga. Obrzydliwie brudne miejsce, prawda? Nie dawał mi jeść, póki nie narobiłem wielkiego wrzasku, a i wówczas dali mi tylko mały talerzyk ryżu i maleńką smażoną rybkę. A niech ich diabli porwą! Na Jowisza! Głodny jak pies musiałem włóczyć się wewnątrz tego śmierdzącego zagrodzenia wraz z kilkoma włóczęgami. Na pierwsze żądanie oddałem mój sławny rewolwer. Rad byłem, że się pozbywam bezużytecznej rzeczy. Musiałem wyglądać jak głupiec, chodząc z nienabitym rewolwerem.

W tej chwili stanęliśmy przed obliczem byłego pogromcy i Jim stał się uosobioną powagą i grzecznością. Wspaniale wyglądał! Chce mi się śmiać, gdy myślę o tym. Ale wówczas byłem pod wrażeniem. Stary, osławiony Tunku Allang nie zdołał ukryć swego strachu (wcale nie był bohaterem, pomimo że lubił opowiadać o tylu bohaterskich czynach swej młodości), ale zarazem w jego sposobie obejścia z byłym więźniem było wiele zaufania. Zwróćcie na to uwagę! Nawet tam, gdzie mógł być znienawidzony, posiadał zaufanie. Jim, o ile mogłem zrozumieć, wypalił im kazanie. Kilku biednych wieśniaków, idących do domu Doramina z gumą i woskiem, aby wymienić to na ryż, zostało napadniętych i ograbionych.

– Doramin jest złodziejem! – wybuchnął radża. Wątłe jego ciało drżało z wściekłości. Wił się na macie, gestykulując rękami

i nogami, rwał wszystko na sobie jak bezsilne wcielenie furii.

Otoczenie jego wyłupiło oczy i rozwarło gęby. Jim zaczął mówić. Stanowczo, chłodno i dość długo dowodził, że każdy ma prawo zdobywać uczciwie żywność dla siebie i dzieci. Tamten siedział teraz spokojnie, ręce wsparł na kolanach, pochylił głowę i patrzył na Jima poprzez siwe włosy, spadające mu na oczy. Gdy Jim skończył, nastała wielka cisza. Zdawało się, że nikt nawet nie oddycha; nikt nie wydał głosu, wreszcie stary radża westchnął lekko i, podnosząc szybko głowę, rzekł:

– Słuchaj, ludu mój! Podobne igraszki niech się więcej nie powtarzają!

Wyrok ten przyjęty był w głębokim milczeniu. Jakiś otyły mężczyzna, zajmujący widocznie wyższe stanowisko, z inteligentnymi oczami, kościstą, szeroką, bardzo ciemną twarzą, z żywymi ruchami (później dowiedziałem się, że był to kat), podał nam dwie filiżanki kawy na mosiężnej tacce, którą wziął z rąk niższego podwładnego.

– Nie musisz pić – mruknął pośpiesznie Jim.

Nie zrozumiałem z początku, spojrzałem tylko na niego. Wziął duży łyk i siedział spokojnie, trzymając spodeczek w lewej ręce. Zrobiło mi się ogromnie nieprzyjemnie.

– Po cóż u diabła – szepnąłem, uśmiechając się uprzejmie – narażasz mnie w tak głupi sposób?

Wypiłem, rozumie się, cóż było robić i natychmiast pożegnaliśmy się. Gdyśmy szli przez dziedziniec do naszej łodzi w towarzystwie inteligentnego i ruchliwego kata, Jim wyraził swój żal. Naturalnie, że istnieje pewne ryzyko, ale on osobiście nie pomyślał nigdy, że może być otruty. Upewniał mnie, że ponieważ uważają go za bardziej pożytecznego, niż szkodliwego, więc...

– Ależ radża straszliwie się ciebie obawia. Każdy to widzieć musi – mówiłem, przyznaję, trochę kwaśno, śledząc niespokojnie, czy się nie dostrzegę jakichś objawów otrucia.

– Jeżeli mam coś dobrego tu zrobić i utrzymać się na stanowisku – mówił siadając obok mnie w łodzi – to muszę ryzykować: przechodzę przez to przynajmniej raz na miesiąc. Boi się mnie! Tak. Ale prawdopodobnie dlatego boi się mnie, że ja się nie obawiam jego kawy!

Następnie pokazał mi północną stronę oszańcowania, gdzie zaostrzone wierzchołki kilku pali były złamane.

– Tędy przeskoczyłem trzeciego dnia mego pobytu w Patusanie. Nie włożyli dotąd nowych pali. Dobry skok, co?

W chwilę później przebywaliśmy jakąś bagnistą przestrzeń.

– To mój drugi skok. Uciekałem i padłem. Myślałem, że już tu skórę swą zostawię. Straciłem trzewiki, taplając się w tym błocie; cały czas rozmyślałem, jak to łatwo otrzymać pchnięcie długim oszczepem, gdy siedzi się w błocie. Pamiętam, jak mdło mi się robiło, gdy walczyłem z lepkim mułem.

Oto, jakie przeszedł koleje – a jego sposobność rehabilitowania się nie opuszczała jego boku, skakała z nim razem, grzebała się w błocie... zakwefiona jeszcze. To, że jego przybycie był zupełnie nieoczekiwane, ocaliło go od natychmiastowej śmierci i wrzucenia do rzeki. Był między nimi, ale zdawał się jakimś zjawiskiem, groźną postacią. Co znaczy zjawienie się jej? Co z nią zrobić? Może ją można zaskarbić sobie? A może lepiej zabić ją bez zwłoki? Ale co się wówczas stanie? Nieszczęsny, stary Allang szalał prawie, nie mogąc się na nic zdecydować. Kilkakrotnie narada została zerwana, gdyż uczestnicy jej zmykali jak mogli. Powiadają, że jeden skoczył z werandy z wysokości piętnastu stóp i złamał nogę. Królewski rządca Patusanu przybierał czasami dziwne maniery, gdy dyskusja

stawała się gorętsza, a on bardziej podniecony i ciskał oszczepem w zgromadzenie radnych. Pomimo takich przerw narady nad losem Jima trwały dzień i noc.

A on tymczasem włóczył się po dziedzińcu. Jedni go unikali, drudzy nie spuszczali z niego oka, ale pilnowali go wszyscy i był, właściwie mówiąc, na łasce pierwszego lepszego obdartusa z maczugą w ręku. W rozwalonym szałasie krył się, gdy chciał się przespać; wyziewy z brudów i gnijących odpadków męczyły go ogromnie; ale, jak się zdaje, nie odbierało mu to apetytu, gdyż, jak mi mówił, głodny był przez cały ten czas. Od czasu do czasu jakiś „zabawny osioł" wybiegał do niego z izby radnej i miodowym tonem zadawał mu zadziwiające pytania: „Czy Holendrzy przybywają, by zabrać cały kraj? A może biały chce powrócić tą samą drogą, którą przybył? W jakim celu przybył do takiego biednego kraju? Radża chce wiedzieć, czy biały człowiek może naprawić zegarek?" Przyniesiono mu niklowy zegarek angielskiego wyrobu i z nudów zabrał się do puszczenia maszynerii w ruch. Zapewne wówczas, siedząc samotnie w szałasie, zrozumiał, jak straszne niebezpieczeństwo mu grozi. Rzucił zegarek, mówił, „jak gorący kartofel" i wybiegł pośpiesznie, nie mając najlżejszego pojęcia, co zrobi. Wiedział tylko, że położenie jest nieznośne. Skierował się bez celu w stronę małego spichlerza, gdzie złożone były rozmaite graty i nagle ujrzał uszkodzone pale w tym miejscu palisady; wtenczas to plan ucieczki przedstawił mu się tak jasno, jak gdyby od miesiąca nad tym rozmyślał. Cofnął się dla nabrania rozmachu, a gdy ujrzał dwóch dygnitarzy, w towarzystwie dwóch kopijników, którzy przyszli zadawać mu nowe pytania „zemknął sprzed ich nosów" i „jak ptak" przeleciał ponad palisadą, spadając po drugiej stronie z taką siłą, iż zdawało mu się, że ma połamane wszystkie kości i głowę pękniętą na dwoje. Zerwał się jednak

natychmiast. W tej chwili o niczym nie myślał; pamięta tylko, mówił, że podniósł się ogromny wrzask; pierwsze domy Patusanu oddalone były o jakieś czterysta akrów; zanim się tam dostanie, musiał przebyć małą odnogę rzeki. Biegł tak szybko, że zdawał się ziemi nie dotykać, po prostu leciał powietrzem i nagle wpadł w ciepłe, miękkie błoto. Dopiero, gdy spróbował poruszyć nogami, „oprzytomniał", jak sam mówił. Wówczas przyszedł mu na myśl cios, zadany „długim oszczepem". Ponieważ ludzie, będący wewnątrz palisady, goniąc go, musieli dobiec do wrót, następnie do miejsca, gdzie stały łodzie, odczepić jedną z nich i objechać wokoło przylądek, miał większe szanse, niż mu się zdawało. Była to chwila odpływu, w odnodze nie było wody, nie można jednak powiedzieć, że była sucha. W każdym razie Jimowi w tej chwili nic nie groziło. Suchy grunt znajdował się o jakieś sześć stóp dalej.

– Myślałem już, że tu przyjdzie mi zginąć – mówił.

Pracował rękami co sił, a rezultatem tego było zebranie się góry błota, sięgającej do brody. Zdawało mu się, że zagrzebuje się żywcem, szał nim ogarnął i pięściami walił w błoto. Rozpryskiwało się ono na głowę, twarz, zalewało oczy, usta. Mówił mi, że w tej chwili dziedziniec, gdzie był więziony, wydawał mu się miejscem, gdzie był przed laty bardzo szczęśliwy. Marzył, by tam powrócić i majstrować przy zegarku. Wytężył wszystkie siły, oczy mu z orbit wyłaziły, nic nie widział z wielkiego napływu krwi, skupił się cały w jednym usiłowaniu wyrwania się z tych więzów i poczuł, że wygramolił się na brzeg.

Leżał na twardym gruncie, ujrzał światło, sklepienie niebios. Przyszło mu na myśl, że sen w tej chwili byłby rozkoszą; musiał zasnąć minutę, a może sekund kilka, ale pamięta, że zerwał się gwałtownie. Stał tak od stóp do głów oblepiony błotem, rozmyślając, że jest zupełnie sam, o setki mil oddalony od gatunku

podobnych sobie ludzi, ścigany jak zwierzę i nie może od nikogo oczekiwać ani pomocy, ani współczucia. Pierwsze domy stały o kilka kroków, i to zapewne rozpaczliwy krzyk przerażonej kobiety, usiłującej uciec z dzieckiem, zbudził go z tego obezwładnienia. Szedł prosto przed siebie; ociekające z niego błoto odebrało mu wszelkie podobieństwo do człowieka. Przebył tak połowę osady. Zwinne kobiety uciekały na prawo i lewo, ociężali mężczyźni rzucali na ziemię cokolwiek w rękach trzymali i stali w osłupieniu z otwartymi gębami. Wzbudzał ogólny strach. Mówił, że widział, jak małe dzieci uciekając, padały na wystające brzuszki i wierzgały nogami. Przesunął się między dwoma domami, wdrapał się na barykadę utworzonych z powalonych drzew (w owym czasie nie było tygodnia bez bitwy w Patusanie), wdarł się na jakieś pólko kukurydzy, gdzie przerażony chłopczyk rzucił w niego kijem i znalazł się nagle w ramionach kilku ludzi. Jeszcze mu tchu starczyło na tyle, by wyszeptać: „Doramin! Doramin!" Pamięta, że go na wpół poniesiono, na wpół popchnięto na szczyt wzgórka, gdzie za mocnym ogrodzeniem, wśród palm i drzew owocowych siedział wielki mężczyzna, a jego liczne otoczenie zdradzało wielkie podniecenie i zaniepokojenie. Jim grzebał w błocie oblepiającym go grubą warstwą, by znaleźć obrączkę, a znalazłszy ją na plecach, dziwił się, kto mógł ją tam przerzucić. Pozwolono mu iść dalej, ale on nie mógł utrzymać się na nogach. U podnóża wzgórza rozległy się strzały, ale on był już teraz bezpieczny. Ludzie Doramina zatarasowali wrota, a stara małżonka Doramina krzepiła go wodą, ostrym głosem wydając rozkazy kobietom.

– Ubolewała nade mną, jak gdybym był jej synem – opowiadał mi Jim. – Położyli mnie do olbrzymiego łoża... jej własnego... a ona biegała to tu, to tam, ocierała łzy i klepała mnie po plecach. A ja leżałem jak kłoda, nie wiem jak długo.

Przywiązał się widocznie do starej żony Doramina; ona odpłacała mu się macierzyńskim uczuciem. Miała ona łagodną, brunatną twarz, całą pomarszczoną, szerokie, czerwone usta (żuła nieustannie betel) i przenikliwe, poczciwe oczy. Ciągle była w ruchu, gderając i wydając rozkazy gromadzie młodych kobiet o ciemnych twarzach i poważnych wielkich oczach; były to jej córki, służące i niewolnice. Była bardzo szczupła i nawet w obszernym płaszczu spiętym na przodzie klamrami jej postać wydawała się drobna. Nagie, ciemne jej stopy tonęły w słomianych pantoflach chińskiego wyrobu. Ja sam widziałem, jak biegała i tu i tam, a długie, gęste, siwe włosy spadały jej na ramiona. Była szlachetnie urodzona i inteligentna, miała charakter ekscentryczny i arbitralny. Po południu siadywała w wygodnym fotelu naprzeciw swego małżonka i patrzyła uparcie przez szeroki otwór w ścianie na rozciągający się widok całej osady i rzeki.

Zawsze podwijała pod siebie nogi, a stary Doramin siedział szeroko, imponująco, jak góra siedzi na równinie. Pochodził z „nakhody", to jest z klasy kupieckiej, ale okazywany mu szacunek i godność, z jaką się nosił, były uderzające. Był on wodzem drugiej co do wielkości potęgi w Patusanie. Osadnicy, którzy przybyli tu z Celebes (około sześćdziesiąt rodzin, mogących, licząc ze służbą, wystawić dwustu ludzi zbrojnych), wybrali go przed laty na swego wodza. Ludzie tej rasy są inteligentni, przedsiębiorczy, mściwi, ale posiadają więcej szczerej odwagi, niż inni Malajczycy i pod presją – buntują się. Tworzyli partię opozycyjną wobec radży. Naturalnie handel był przyczyną rozmaitych kłótni. Z tego powodu dochodziło do bitw, nagłych napadów, napełniających osadę dymem, ogniem i wrzaskiem. Palono wsie, ludzi zapędzano na dziedziniec radży, gdzie byli oni zabijani lub męczeni za zbrodnię handlowania nie tylko z nim jednym. Na parę dni przed przybyciem Jima

zamordowano kilku ludzi z wioski rybackiej jedynie wskutek podejrzenia, że zbierali jadalne gniazda ptaków dla kupców z Celebes. Radża Allang chciał być jedynym kupcem w kraju, a karą za złamanie tego monopolu niezmiennie była śmierć; ale jego pojęcie o handlu niczym nie różniło się od najzwyklejszego rabunku. Jego okrucieństwo i chciwość powściągane były nieco jedynie przez tchórzostwo, bał się zorganizowanej przez ludzi z Celebes potęgi, jednak – przed przybyciem Jima – bojaźń ta nie była dość wielka, by się uspokoił. Wysyłał nieustannie swych podwładnych w celach grabieży i czuł się najzupełniej w swoim prawie.

Sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała, gdy zjawił się jakiś obcy, Arab, który, jak mi się zdaje, tylko dla religijnych celów pobudził do buntu plemiona, zamieszkujące wewnątrz kraju, a sam osiedlił się na szczycie jednej z bliźniaczych gór i tam mocno się oszańcował z całą armią zwolenników. Wisiał, jak jastrząb nad kurnikiem, nad miastem Patusan, ale pole swego działania przenosił na otwarte okolice. Wsie całe spustoszałe świeciły szeregiem rozpadających się domków, spuszczających liście swych dachów i mech ścian do wód strumyków, nad którymi się pochylały, tworząc jakby sztuczną wegetację, gnijącą od korzeni. Obie partie w Patusanie nie wiedziały, na którą z nich ma większy apetyt ten obcy. Radża ostrożnie intrygował. Niektórzy osadnicy w Bugis, zmęczeni nieustannym niebezpieczeństwem, byli na wpół zdecydowani wezwać jego pomocy. Młode umysły radziły namówić szeryfa Alego i jego dzikich ludzi, by wyrzucili z kraju radżę Allanga. Doramin z trudnością ich powstrzymywał. Starzał się, a chociaż wpływ jego ani trochę się nie zmniejszył, nie czuł się na siłach, by walczyć w tak trudnych okolicznościach. Taki był stan rzeczy, gdy Jim, wyskoczywszy z dziedzińca radży, stanął przed

wodzem plemienia Bugis, pokazał obrączkę i został przyjęty, że tak powiem, na łono tego społeczeństwa.

Rozdział XXVI

Doramin był wyjątkowym przedstawicielem swojej rasy, równego mu nie zdarzyło mi się widzieć. Jak na Malajczyka brzuch jego był ogromny, ale nie tylko dlatego jego wygląd miał charakter imponujący, monumentalny.

Mówiono powszechnie, że radził się żony we wszystkich sprawach publicznych; ale nikt nigdy nie słyszał, by zamienili ze sobą słówko. Zawsze w milczeniu siedzieli przy otworze w ścianie i patrzyli na szeroką przestrzeń pokrytą lasem, na ciemnozielone morze, którego falowanie sięgało fioletu i purpury gór, na błyszczącą rzekę, tworzącą olbrzymią literę S, mieniącą się srebrem; na ciemną wstęgę domów, wyciągniętą na obu wybrzeżach i na wznoszące się szczyty bliźniaczych gór. Stanowili razem dziwną sprzeczność: ona delikatna, wysmukła, lekka jak mała czarodziejka, z odcieniem macierzyńskiej serdeczności; on – olbrzymio ciężki jak figura z gruba wyciosana z kamienia, w swej nieruchomości zdradzał uczucia szlachetne i wspaniałomyślne. Syn tych starych rodziców był ozdobą młodzieży.

Opatrzność zesłała go im późno. Może nie był tak młody, jak się wydawał. Dwadzieścia cztery czy pięć lat, to wiek poważny tam, gdzie w osiemnastym roku mężczyzna jest już ojcem rodziny. Gdy wchodził do obszernej izby, wyłożonej cienkimi matami, gdzie dostojna para siedziała w otoczeniu swego dworu, szedł prosto do Doramina, składał pocałunek na ręce wyciągniętej ku niemu majestatycznie – po czym stawał przy krześle matki. Chyba mogę

powiedzieć, że go ubóstwiali, ale nigdy nie zdarzyło mi się pochwycić spojrzenia zwróconego ku niemu. Co prawda, w tej izbie załatwiano sprawy publiczne, zwykle była ona zatłoczona. Uroczyste wchodzenie i wychodzenie, głęboki szacunek wyrażany gestami, malujący się na twarzach, ujawniający się w cichych szeptach, wszystkiego tego opisać niepodobna.

– Warto to zobaczyć – zapewniał mnie Jim, gdyśmy przebywali rzekę, wracając do domu. – Ci ludzie są jakby z romansu wzięci! – zawołał z tryumfem. – A Dain Waris, ich syn, jest najlepszym przyjacielem, jakiego w życiu miałem (po panu, rozumie się). Pan Stein nazwałby go dobrym „towarzyszem walk". Na Jowisza! Szczęście mi dopisało, gdy walcząc ostatkiem sił dobiłem się do nich.

Spuścił głowę i zamyślił się, po chwili wyprostował się i mówił dalej.

– Rozumie się, że to łatwo nie przyszło, ale od razu wiedziałem, co mi czynić wypada.

Nie ma co się dziwić, że nie przyszło mu to łatwo, wszak gdy przybył do Bugisów – plemię to znajdowało się w bardzo krytycznym położeniu.

– Wszyscy się lękali – mówił Jim – każdy obawiał się o siebie, a ja widziałem jasno jak na dłoni, że muszą natychmiast przejść do czynu, jeżeli nie chcą wyginąć co do nogi, tak z ręki radży, jak i tego włóczęgi Sherifa.

Ale nie wystarczało, że on tę konieczność widział; należało zwalczyć strach i egoizm i to przekonanie wpoić w oporne umysły. Zdołał to w końcu przeprowadzić, ale i tego było mało. Musiał wymyślić sposoby. Ułożył plan nadzwyczaj śmiały, ale nawet wtedy zadanie jego tylko w połowie było wykonane. Musiał swoją ufnością natchnąć ludzi mających ukryte, niedorzeczne powody

do trzymania się na uboczu, musiał zwalczać głupie zawiści i rozmaitego rodzaju niewiary. Bez przewagi władzy Doramina i gorącego zapału jego syna sprawa spełzłaby na niczym. Dain Waris, znakomity młodzian, pierwszy uwierzył w niego; powstała między nimi ta dziwna, głęboka, rzadka przyjaźń, wiążąca ludzi dwóch odrębnych ras ściślejszym węzłem jakiejś mistycznej sympatii.

O Dainie Warisie jego własny lud wyrażał się z dumą, że walczyć umie jak biały człowiek. To była prawda; posiadał ten rodzaj odwagi, która nie lęka się odkrytej przestrzeni, a zarazem posiadał i umysł Europejczyka. On nie tylko wierzył Jimowi, ale rozumiał go, jestem najmocniej o tym przekonany.

Mówię o nim, gdyż zdobył sobie we mnie przyjaciela. On sam i jego inteligentne sympatyzowanie z aspiracjami Jima przemówiła do mego serca. Rozumiałem sam pierwiastek łączącej ich przyjaźni. Jeżeli Jim był stroną przewodzącą, to tamten ujarzmiał przewodnika. Istotnie Jim, przywódca, był niewolnikiem pod wielu względami. Kraj cały, lud, przyjaźń, miłość były jego zazdrosnymi strażnikami. Z każdym dniem przybywało jedno ogniwo w wiążącym go łańcuchu. Nabierałem tego przekonania, badając bardziej szczegółowo jego życie i słysząc opowiadanie o tej całej historii. A była ona ciekawa!

Opowiadał mi ją w czasie pochodu i postoju (przebiegaliśmy okolicę za śladem zwierzyny) na jednym z bliźniaczych szczytów, dokąd wdrapałem się na czworakach. Eskorta nasza (mieliśmy ochotników włóczących się za nami od wsi do wsi) obozowała na polance w połowie góry i wśród ciszy wieczornej zapach dymu pieścił nasze nozdrza jak delikatny, wytworny aromat. Głosy również dochodziły do nas dziwnie wyraziste, a pomimo oddalenia,

czyste. Jim siadł na pniu powalonego drzewa i wyciągając fajeczkę, zaczął mówić.

– Wszystko udało się dokonać z tego oto miejsca!

Na drugim szczycie, oddzielonym od nas ponurą przepaścią, ujrzałem szereg osmolonych pali, pozostałe szczątki niezdobytej fortecy Sherifa Alego. Zdobyli ją jednak. Plan ułożył Jim i on sam kierował wszystkim. Cały zużyty, zardzewiały arsenał Doramina wciągnął na szczyt góry. Dwie żelazne armatki i cały zapas strzelb. Trudności było niemało przy wciąganiu tego na wierzchołek. Jim pokazał mi, w jaki sposób urządził machinę wciągającą, przy pomocy lin i wydrążonego pnia, obracającego się na palu.

Rozdział XXVII

Pobity Sherif Ali wyniósł się z kraju, jak mógł najprędzej, a lud splądrowanych wiosek powoli ściągać zaczął z rozmaitych dżungli i zajmować swe domki, doprowadzone do stanu zupełnej ruiny. Jim po naradzie z Dainem Warisem wziął ich pod opiekę i sam wybrał wodza. Takim sposobem stał się rzeczywistym rządcą kraju. Strach Tunku Allanga nie miał granic. Powiadają, że na pierwszą wieść o świetnym zwycięstwie odniesionym na szczycie góry, rzucił się na bambusową podłogę sali audiencjonalnej, przycisnął do niej twarz i leżał tak nieruchomo cały dzień i noc, wydając tak bolesne jęki, że nikt nie śmiał zbliżyć się do niego. Już widział siebie wyrzuconego z Patusanu, okrytego hańbą, błąkającego się, opuszczonego, obdartego, bez opium, swych kobiet, służby, zabitego przez pierwszego lepszego zbója! Po Sherifie Alim przyjdzie kolej na niego, a kto zdoła się oprzeć napaści kierowanej przez tego diabła? Rzeczywiście, życie jego i odrobina władzy, jaką posiadał w chwili, gdym odwiedzał Jima, zależna była najzupełniej od dobrej woli tego ostatniego. Bugisowie pałali chęcią odpłacenia się za wszystko, co przeszli, a stary Doramin pieścił się nadzieją, że syn jego zostanie kiedyś rządcą całego Patusanu.

Gdy z mych słów niebacznych, wypowiedzianych w czasie rozmowy z nim dowiedział się, że Jim kraju tego nigdy nie opuści – sposępniał i rzekł:

– Ziemia pozostaje tam, gdzie Bóg ją stworzył, ale biali ludzie przychodzą do nas i po jakimś czasie odchodzą. Ci, których poza sobą zostawiają, nie wiedzą, kiedy oczekiwać mają ich powrotu.

Wracają do swego kraju, do swego ludu i ten biały również... Dlaczegóż on nie miałby wrócić do swoich?

Dziwnym zbiegiem okoliczności tego dnia wieczorem (był to ostatni dzień mego pobytu w Patusanie) stanąłem znów oko w oko z tym pytaniem, na które nie da się znaleźć odpowiedzi.

To mnie sprowadza do historii jego miłości.

Myślicie zapewne, że jest ona podobna tym, przez jakie wy przechodziliście. O uszy nasze obija się tyle podobnych rzeczy i większość nie uważa ich nawet za miłosne epizody. Są to jakieś wybryki młodości, skutki temperamentu i pokus, z góry skazane na zapomnienie. Zapatrywanie to może i tu dałoby się zastosować... Zresztą – nie wiem. W każdym razie opowiedzieć tę historię nie jest tak łatwo; pozornie podobna jest ona do innych, ja jednak mam zawsze przed oczami smutną postać kobiecą, patrzącą na samotną mogiłę z boleścią w oczach i na zaciśniętych ustach. Mogiła sama, gdym zaszedł tam wczesnym rankiem, przedstawiała się jak bezkształtne brunatne wzniesienie ziemi, otoczone wokoło kawałeczkami białego koralu. Ogrodzenie zrobione z gałęzi chroniło ją od świętokradzkiej stopy przechodnia, a wysmukły słup na niej owinięty był girlandami liści i kwiatów – a kwiaty były świeże.

Świadczyło to dowodnie, że mogiła nie była zapomniana. A gdy wam powiem, że Jim własnymi rękami pracował nad tym ogrodzeniem, zrozumiecie, że jego miłosna historia niezwykły miała początek. Jim zawsze był romantykiem. Przez cały ciąg swego życia żona niecnego Corneliusa nie miała nikogo na świecie prócz córki, będącej dla niej towarzyszką, powiernicą i przyjaciółką. Jak doszło do małżeństwa tej biednej kobiety ze wstrętnym Portugalczykiem z Malakki, kiedy rozstała się z ojcem swego dziecka, czy stało się to wskutek śmierci, czy była zmuszona okolicznościami – pozostanie na zawsze dla mnie tajemnicą. Z tej odrobiny wiadomości, jakiej mi

Stein udzielił, przekonany jestem, że była ona niezwykłą kobietą. Ojciec jej należał do białych, był wysokim urzędnikiem, jednym z tych świetnie obdarowanych ludzi, którym brak głupoty nie pozwala się utrzymać na stanowisku i których kariera często smutny ma koniec. Przypuszczam, że i jej brakło zbawczej głupoty i karierę swą zakończyła w Patusanie. Los nas wszystkich prześladuje... bo gdzież jest człowiek – mówię tu o prawdziwym, czującym człowieku – którego by on nie dotknął, odbierając mu to, co nieraz droższe jest od życia?... Ale ten wspólny los z dziwnym okrucieństwem pastwi się nad kobietami. Nie karze jak władca, ale zsyła takie udręczenia i męki, jak gdyby chciał zaspokoić tajemniczą, nienasyconą zawiść.

Zawsze stawiam sobie przed oczami te dwie istoty, z początku młodą kobietę i dziecko, później kobietę dojrzałą i młodą dziewczynę, tę straszną jednostajność i szybki bieg czasu. Oddzielone od świata lasami jak nie przebytym murem, otoczone wrzaskiem i gwarem pospolitego życia, wiecznie samotne; każde zamienione między nimi słowo musiało być przeniknięte głębokim smutkiem. Musiały tam być zwierzenia nie faktów, przypuszczam, lecz odczuć, żalów, trwogi, ostrzeżeń, których młoda zapewne nie rozumiała aż do śmierci matki – i zjawienia się Jima. Wówczas, pewny jestem, że zrozumiała dużo – nie wszystko – trwoga odgrywała tu największą rolę. Jim nazwał ją wyrazem, oznaczającym rzecz drogocenną, nazwał ją – Klejnot. To ładnie, prawda? Ale on do wszystkiego był zdolny. Nazywał ją Klejnotem i mówił to z taką prostotą, jak gdyby mówił „Janko". Usłyszałem to miano, jak tylko stanąłem na dziedzińcu jego domu; o mało mi ręki nie wyrwał z ramienia, tak mocno nią potrząsał i rzucił się do drzwi, wołając głośno.

– Klejnocie! Klejnocie! Pośpiesz się! Przybył do nas przyjaciel... – Zwrócił się nagle ku mnie i mówił poważnie – Proszę uwierzyć, nie ma tu miejsca na kpiny, nie potrafiłbym powiedzieć, ile jej zawdzięczam, więc, rozumie pan... to jakby nasz kościół...

Ten szept niespokojny, niejasny, przerwało zjawienie się białej postaci, która z lekkim okrzykiem wysunęła z cienia twarzyczkę o delikatnych rysach i głębokich myślących oczach i wyjrzała jak ptaszek z głębi swego gniazdka.

Nazwa ta, dana kobiecie, zadziwiła mnie; ale dopiero później zrozumiałem, jaki ona ma związek z zadziwiającą pogłoską, na jaką się natknąłem, w czasie mej podróży na wybrzeżu, o 230 mil oddalonym od rzeki Patusanu. Statek Steina, na którym podróż odbywałem, zarzucił kotwicę dla zabrania jakichś produktów, wyszedłem więc na wybrzeże i ku wielkiemu memu zdziwieniu przekonałem się, że ta zapadła dziura szczycić się może obecnością trzeciorzędnego urzędnika państwowego, który tam stale rezyduje. Był to Metys, tak otyły, że fałdy tłuszczu zwisały z niego, o grubych, wywróconych, świecących wargach. Znalazłem go rozciągniętego na trzcinowym fotelu, wstrętnie porozpinanego, z olbrzymim liściem na parującej głowie; w ręce trzymał podobny drugi i leniwie się nim wachlował...

– Udaje się pan do Patusanu? Wiem. Tam jest siedziba handlowa Steina. Ma pozwolenie, więc mnie to nic nie obchodzi. Teraz nie jest tam tak źle – zauważył lekceważącym tonem i ciągnął dalej. – Podobno przybył tam jakiś biały włóczęga... Co? Co pan mówisz? Pański przyjaciel? Cóż... A więc to prawda, że jest tam jeden z tych verdamte... Po cóż się tam pchał? A jednak znalazł drogę, gałgan! Co? A nie chciałem temu wierzyć. Patusan... przecie tam jak nic gardła podrzynają... ale to nie nasz interes. – Przerwał sobie, by jęknąć. – Och! Co za upał! Co za upał! No! To w takim razie może coś być

także i w tej historii i... Zamknął jedno wstrętnie szkliste oko i spojrzał na mnie drugim potwornie. – Słuchaj pan – rzekł tajemniczo – jeżeli... rozumiesz pan?... jeżeli zdobył coś istotnie pięknego... nie jakieś tam zwykłe wasze zielone szkiełko... rozumiesz pan? Jestem reprezentantem rządu... więc powiesz pan łajdakowi... Co? Co takiego! Przyjacielem jest pana?... Prawda, mówiłeś pan już, a więc rad jestem, że przez pana mogę przesłać zlecenie. Przypuszczam, że i pan chciałby coś na tym skorzystać? Proszę nie przerywać. Powie mu pan że słyszałem o tej historii, ale do władzy nie wysłałem jeszcze raportu! Jeszcze nie. Rozumiesz pan? Po co się śpieszyć? Co? Zatem, powiedz mu pan, by tu do mnie przybył, jeżeli go żywcem stamtąd wypuszczą. Obiecuję, że wszystko spokojnie załatwię, śledztwa przeprowadzać nie będę. Rozumiesz pan? Pan również otrzymasz coś ode mnie w charakterze komisowego. Proszę nie przerywać. Jestem urzędnikiem państwowym i zdaję raporty. Ot, w czym rzecz! Rozumiesz pan? Znam pewne osoby, które gotowe są kupić coś porządnego i dadzą mu pieniędzy więcej, niż taki łajdak w całym swym życiu widział. Znam ich przecie!

Wlepił we mnie otwarte teraz oczy, a ja stałem ogromnie zdziwiony, zadając sobie pytanie, czy on wariat, czy pijany? Pocił się, prychał, jęczał i drapał się z taką miną, że nie mogąc znieść dłużej takiego widoku, odszedłem pośpiesznie. Nazajutrz, rozmawiając o tym i owym z krajowcami, dowiedziałem się, że wzdłuż wybrzeży krąży tajemnicza pogłoska o „białym" w Patusanie, który znalazł nadzwyczajny kamień – szmaragd olbrzymiej wielkości i bajecznej ceny. Szmaragd bardziej działa na imaginację Wschodu niż każdy inny drogi kamień. Biały otrzymał go, powiadali, dzięki swej cudownej mocy i przebiegłości od wielkorządcy dalekiej krainy, skąd zemknął pośpiesznie i przybył do Patusanu w rozpaczliwym położeniu, szerząc postrach

między ludźmi swym nadzwyczajnym okrucieństwem. Opowiadający mi tę historię przypuszczali, że kamień ten musi przynosić nieszczęście – jak sławny kamień sułtana Sukkadanu, który kiedyś sprowadził wojny i nieopisane klęski na cały kraj. Może to ten sam kamień – kto to wie? Istotnie, historia o bajecznej wielkości szmaragdzie sięga czasów pierwszego zjawienia się białych ludzi na Archipelagu i wiara w to tak jest trwała, że jeszcze przed czterdziestu laty rząd holenderski przeprowadzał poszukiwania.

– Taki klejnot – objaśniał mnie starzec, od którego najwięcej dowiedziałem się o tym „micie" otaczającym Jima – taki klejnot – mówił wznosząc ku mnie krótkowzroczne oczy (przez szacunek siedział na podłodze mojej w kajucie) – najlepiej się przechowuje ukryty na łonie kobiety. Ale nie każda jest do tego odpowiednia. Musi być młoda – tu westchnął głęboko – i nieczuła na pokusy miłosne. – Teraz sceptycznie wstrząsnął głową. – Ale podobno taka kobieta właśnie tam się znajduje. Opowiadano mu o jakiejś wysokiej dziewczynie, którą biały szanuje i troszczy się o nią. Ona podobno nigdy nie wychodzi sama z domu. Biały co dzień przechadza się z nią, nic sobie z ludzi nie robiąc; on trzyma ją za rękę – ot tak – i przyciska do siebie. – To może być kłamstwo – przyznawał – bo przecie nikt by tak robić nie mógł; w każdym razie, nie ulega wątpliwości, że ona nosi klejnot białego, ukryty na łonie.

Rozdział XXVIII

Tak się zapatrywał na wieczorne spacery Jima z żoną. Ja mu towarzyszyłem nieraz i za każdym razem widziałem niemiłą postać Corneliusa, obrażonego w swej ojcowskiej godności, jak krył się w sąsiednich zaroślach lub pod płotami z tym specjalnym skrzywieniem ust, świadczącym o gotowości do zgrzytania zębami. Ale czy zauważyliście, jak o trzysta mil od wszelkich poczt i telegrafów niepewnej użyteczności kłamstwa naszej cywilizacji więdną i zamierają, a zastępują je wytwory czystej imaginacji, mające urok i czasami kryjące głęboką prawdę? W całej tej historii prawdą była tylko jej romantyczność. Jim nie skrywał się ze swym Klejnotem. W rzeczywistości nadzwyczaj dumny był z niej.

Teraz przychodzi mi na myśl, że w ogóle mało się jej przyglądałem. Najlepiej pamiętam oliwkową bladość cery, połysk kruczoczarnych włosów, obficie spadających spod purpurowej, małej czapeczki, którą nosiła na tyle zgrabnej swej główki. Ruchy miała swobodne, nacechowane pewnością siebie, przy rumieńcu twarz jej zabarwiała się ciemnym tonem. Gdy rozmawiałem z Jimem, chodziła tu i tam, rzucając na nas szybkie spojrzenia, zostawiając po sobie wrażenie czegoś uroczego, pięknego, a zarazem czujnego. Po każdym ślicznym uśmiechu następowało niespokojne spojrzenie, jakby wskutek wspomnienia o grożącym niebezpieczeństwie. Czasami siadała przy nas, małą rączką podpierała policzek i przysłuchiwała się rozmowie naszej; wielkie jej oczy nie schodziły z naszych ust, jak gdyby każde wypowiedziane słowo miało swój kształt. Matka nauczyła ją czytać

i pisać; po angielsku nauczyła się trochę od Jima i mówiła ze śmiesznym akcentem, naśladując jego intonację. Miłość jej otaczała go jakby szelestem skrzydeł. Tak nieustannie oddawała się jego kontemplacji, iż stała się do niego podobna w ruchach, w spojrzeniu, w noszeniu głowy. Miłość jej doszła do takiego stopnia natężenia, iż stała się niemal widoczna dla zmysłów; zdawała się istnieć w przestrzeni, spowijała go całego, drgała w powietrzu, w blaskach słonecznych, jak drżąca, łagodna nuta. Przypuszczam, że bierzecie mnie również za romantyka, ale mylicie się; opowiadam wam po prostu urywek niezwykłego romansu, jaki stanął mi na drodze. Z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się szczęściu Jima. Był zazdrośnie kochany, ale dlaczego była ona zazdrosna, o kogo, nie mógłbym powiedzieć. Kraj cały, lud, lasy były jej wspólnikami i pilnowały go bacznie, jako swą niezaprzeczalną własność. Tu nie mogło być żadnej wątpliwości; był więźniem, chociaż miał zupełną swobodę, posiadał władzę i moc, a ona, chociaż gotowa była zrobić ze swej głowy podnóżek dla niego, trzymała swą zdobycz z całych sił, jak gdyby była ona trudna do utrzymania. Również Tamb' Itam, wierny sługa tubylec, nieodstępujący na krok swego pana, uzbrojony w rozmaite mordercze narzędzia, miał minę czujnego strażnika, gotowego życie swe nieść w ofierze swemu więźniowi. Gdy wieczorami długo przesiadywaliśmy na werandzie, on jak cień przesuwał się to tu, to tam lub stawał nieruchomo w cieniu; potem bez szmeru ginął gdzieś, aby zjawić się jak spod ziemi na pierwszy ruch Jima. Dziewczyna, zdaje mi się, również nie kładła się spać, zanim nie rozeszliśmy się na spoczynek. Nieraz widziałem ich przez okno mego pokoju, Jima i ją, dwie białe postacie, stojące na werandzie; on obejmował ją ramieniem, a ona składała mu główkę na piersi. Słodki ich szept dochodził uszu moich, serdeczny, przenikający, jak

spokojna, smutna nuta, płynąca z ciszy nocy. Później, kładąc się już do łóżka, słyszałem lekki szelest kroków, ciche westchnienia – i pewny byłem, że Tamb' Itam nie zszedł ze stanowiska. Chociaż (z łaski białego pana) miał własny swój domek, „wziął żonę" i nieba w ostatnich czasach zesłały mu dziecię, pewny jestem, że przynajmniej w czasie mojej tam obecności spał zawsze na werandzie. W żaden sposób nie można było wciągnąć do rozmowy tego wiernego a ponurego indywiduum. Jim nawet otrzymywał zawsze lakoniczne, urywane odpowiedzi. Mowa widocznie była dla niego zbyteczna. Raz tylko słyszałem całe zdanie wypowiedziane przez Tamba; pewnego poranka stał obok mnie i nagle, wyciągając rękę w stronę dziedzińca, wskazał na Corneliusa, mówiąc:

– Ot, idzie ten Nazarejczyk!

Nie do mnie zwracał się ten okrzyk, pragnął wzbudzić oburzenie w całym świecie. Dziedziniec, szeroki, kwadratowy plac, zalany był potokami oślepiającego słońca, a Cornelius, przesuwając się po nim w pełnym świetle, miał wygląd człowieka ukradkowo prześlizgującego się w ciemności. Patrząc na niego, doznawało się niesmaku. Jego chód przypominał pełzanie wstrętnego owada, jedynie nogi poruszały się w okropny sposób, podczas gdy korpus sunął równo. Przypuszczam, że dążył prosto do celu swej wędrówki, ale chodził, jak gdyby się wiecznie czaił i chciał ukryć. Często krążył tak wokoło, przypominając węszącego za czymś psa; przechodząc mimo werandy, rzucał ukradkowe spojrzenia i nie śpiesząc się, znikał za węgłem któregoś z szałasów. Jego swobodne wędrówki po całym gospodarstwie Jima świadczyły o niedorzecznej obojętności tego ostatniego, a raczej o jego nieskończonej pogardzie, gdyż Cornelius odegrał bardzo dwuznaczną rolę (mówiąc najdelikatniej) w pewnym epizodzie, mogącym się bardzo smutno

dla Jima zakończyć. W rezultacie powiększył jeszcze bardziej jego sławę.

Trzeba wam wiedzieć, że wkrótce po przybyciu do Patusanu opuścił Jim dwór Doramina – ze względu na jego bezpieczeństwo było to dokonane zbyt wcześnie, o wojnie oczywiście jeszcze wówczas mowy nie było. Kierowało nim poczucie obowiązku, musiał – jak mówił – zająć się interesami Steina. Zapominając więc zupełnie o grożącym zewsząd niebezpieczeństwie, przebył rzekę i zamieszkał z Corneliusem. W jaki sposób ten ostatni przetrwał burzliwe czasy – nie wiem. Jako agent Steina, korzystał zapewne z opieki Doramina; w każdym razie nie ulega wątpliwości, że jakąkolwiek drogą szedł, czyny jego nacechowane były podłością, stanowiąc piętno tego człowieka.

W opowiadaniu tym odgrywa rolę wstrętnego owada, kalającego czystość romansu poetyckiego.

Rozdział XXIX

Jim wytrzymywał z takim człowiekiem jedynie dlatego, że całym sercem zainteresował się bezbronną dziewczyną, pozostającą na łasce „podłego tchórza, łotra!" Cornelius robił, co mógł, by jej życie uczynić nieznośnym, z braku odwagi, jak przypuszczam, wstrzymywał się jedynie od czynnej zniewagi. Wymagał, by go nazywała „ojcem" i zachowywała się wobec niego „z szacunkiem", wrzeszczał, wygrażając jej żółtą pięścią.

– Ja jestem człowiekiem godnym szacunku, a ty czym jesteś? Powiedz – czym jesteś? Myślisz, że ja będę wychowywał cudze dziecko, nie otrzymując za to nic! Chodź tu – powiedz: „ojcze"... Nie chcesz?... No! poczekaj!

Zaczynał znieważać słowami zmarłą matkę dziewczyny, a ta, chwyciwszy się za głowę, uciekała pośpiesznie. Gonił ją po wszystkich zaułkach, a zapędziwszy do jakiego kąta, gdzie padała na kolana, zakrywając uszy, stawał za nią, i wylewał cały potok zniewag, obelg, oskarżeń na zmarłą.

– Twoja matka była diablicą i ty także nią jesteś! – krzyczał na zakończenie, podnosił zeschły kawał ziemi lub garść brudu, którego nie brakło naokoło i rzucał jej na głowę.

Czasami stawała pełna pogardy, patrząc mu prosto w oczy, z twarzą ponurą, skurczoną bólem i od czasu do czasu rzucała jakieś słowo, co tamtego doprowadzało do wściekłości. Jim mówił mi, że te sceny były straszne. Spotykać się z czymś podobnym na krańcu świata było niezmiernie dziwne. Przyznacie, że takie położenie biednej dziewczyny wzbudzało litość.

Szanowny Cornelius, (Inczi – Nelius – mówili Malajczycy z wiele mówiącą miną) czuł się bardzo zawiedziony. Nie wiem, czego się spodziewał po swoim ożenku; wszak i tak kradł i trwonił wszystko, co mu w ręce wpadało, prowadząc przez lał tyle handel spółki Steina (Stein dostarczał towarów, póki kapitanowie okrętów chcieli je w tamte strony zabierać), ale to Corneliusowi zdawało się małym zadośćuczynieniem za pracę, poświęcenie i dar ze swego zacnego nazwiska uczyniony. Jim stłukłby go z rozkoszą; tymczasem sceny te tak były bolesne, wstrętne, iż przez delikatność dla uczuć dziewczyny usuwał się pośpiesznie. Gdy nareszcie nędznik zostawiał ją samą, drżącą, nieszczęśliwą, z twarzą rozpaczliwie smutną, Jim wówczas wracał i pocieszał, jak mógł. Cornelius włóczył się po wszystkich kątach, milczący teraz jak ryba, rzucając niedowierzające, złośliwe spod oka spojrzenia.

– Mogę położyć temu kres – rzekł dnia pewnego Jim – powiedz tylko słowo!

A wiecie, co ona odpowiedziała? Powiedziała – opowiadał mi wzruszony Jim – że gdyby nie była pewna, że on sam jest bardzo nieszczęśliwy, znalazłaby odwagę, by go własną ręką zamordować!

– Pomyśl tylko! Taka biedna dziewczyna, dziecko prawie, doprowadzona była do słów takich – mówił z przerażeniem.

Zdawało się niepodobieństwem wyrwać ją ze szpon tego nędznika!

Jim nie tylko litował się nad nią, ale odczuwał jakieś wyrzuty sumienia, patrząc na takie życie. Opuścić dom ten obecnie byłoby niepodobieństwem, równałoby się to dezercji. Zrozumiał nareszcie, że z dłuższego tu pobytu niczego spodziewać się nie może, widział, że ani rachunków, ani pieniędzy od Corneliusa nie wydrze, ale pozostał, doprowadzając Corneliusa do szaleństwa. Jednocześnie czuł, że grożą mu zewsząd tajemnicze niebezpieczeństwa. Doramin

kilka razy przysyłał zaufanego sługę, donosząc, że nic dla jego bezpieczeństwa uczynić nie może, póki nie wróci do osady Bugisów. Rozmaitego rodzaju ludzie zjawiali się w nocy, by mu powiedzieć o rozmaitych spiskach, knutych na jego życie. Miał być otruty, zasztyletowany w łaźni, to znów wszystko przygotowano, by go zastrzelić, gdy wypłynie na rzekę. Każdy z tych donosicieli mianował się jego najlepszym przyjacielem.

– Wszak to wystarczyć mogło – mówił mi – do odebrania mi chwili spokoju.

Coś podobnego zdarzyć się łatwo mogło, ale te ostrzeżenia wytwarzały świadomość, że piekielne zamiary snują się na wszystkie strony i czyhają na niego w ciemności. To mogło wstrząsnąć najsilniejszymi nerwami! Na koniec pewnej nocy sam Cornelius z wielką ostentacją i tajemniczością przedstawił mu plan, mający na celu ratowanie Jima z grożących niebezpieczeństw. Jakiś godny zaufania człowiek miał Jima przewieźć bezpiecznie przez rzekę za cenę stu, no zresztą osiemdziesięciu dolarów. Jim powinien się koniecznie na to zgodzić, jeżeli choć odrobinę dba o swe życie. Przecież ta suma, to jedno nic, a on, Cornelius, zostając tu, zaglądając śmierci w oczy, daje dowód zupełnego oddania się przyjacielowi pana Steina.

– Widok tego nikczemnika – mówił Jim – był mi wstrętny. Rwał sobie włosy, bił się w piersi, kiwał się, trzymając ręce na brzuchu i udawał, że leje łzy.

„Niech krew twoja spadnie na twą głowę" wrzasnął nareszcie i wyleciał. Jim przyznał mi się, że nie zamknął oka po wyjściu Corneliusa. Leżał na plecach, na cienkiej macie pokrywającej bambusową podłogę i wsłuchiwał się w szmery, dochodzące z poszycia dachu. Nagle poprzez szczelinę błysnęła gwiazda. Myśli kotłowały mu się w mózgu, a pomimo to właśnie tej nocy dojrzał

plan wyrzucenia z kraju Sherifa Alego. Myślał o tym od dawna, w każdej chwili wolnej od zajęć interesami Steina, ale plan działania zjawił się w jego umyśle niespodziewanie. Już widział mordercze narzędzia wdzierające się na szczyt góry; o śnie mowy być nie mogło, tak czuł się podniecony. Wyskoczył boso na werandę. Chodził po niej cichym krokiem i natknął się na dziewczynę, opartą o ścianę, stojącą jakby na straży. Tak był zajęty myślami, iż nie zadziwiła go jej obecność i pytanie, czy nie wie, gdzie może być Cornelius. Po prostu odpowiedział – że nie wie. Jęknęła z cicha i rzuciła okiem na prawo i lewo. Wszędzie było spokojnie. Jim, cały oddany swej myśli, nie mógł powstrzymać się, by się natychmiast nią nie podzielić z dziewczyną. Słuchała, cichutko klaskała w ręce, szeptała swe zachwyty, ale widocznie ciągle była zaniepokojona. Przywykł podobno zwierzać się przed nią ze wszystkiego, a ona ze swej strony udzielała mu bez wątpienia wielu pożytecznych wskazówek tyczących się rozmaitych spraw w Patusanie. Przyznawał się sam, że niejednokrotnie dobrze wyszedł na jej radach. W każdym razie teraz tłumaczył jej wszystko szczegółowo, a ona raptem ścisnęła jego ramię i znikła. Wówczas niespodziewanie zjawił się skądś Cornelius, a ujrzawszy Jima, uskoczył na bok, jakby unikając strzału i stał jakiś czas nieruchomo. Następnie zbliżył się ostrożnie jak podejrzliwy kot:

– Byli tu rybacy z rybami – rzekł drżącym głosem. – Chcieli rybę sprzedać – rozumie pan?...

Musiała być druga po północy, bardzo właściwa pora do włóczenia się z rybą! Jim nie zwrócił na to uwagi i nic nie odrzekł, bo, co prawda, nie słyszał nawet, co do niego mówiono. Zawołał bezmyślnie „O!" napił się wody ze stojącego dzbana i nie zważając, że Cornelius jest pod wpływem jakiegoś wielkiego wzruszenia, bo chwycił się rękami za balustradę werandy, by nie

upaść – wrócił na swą matę i wyciągnął się, by spokojnie rozmyślać. Nagle usłyszał czyjeś kroki – ucichły – i poprzez ścianę ktoś szepnął drżącym głosem:

– Czy pan śpi?

– Nie! A o co chodzi? – odparł Jim gwałtownie i coś od ściany odskoczyło, jakby szepczący przeraził się.

Niezmiernie tym rozdrażniony, Jim wybiegł na werandę, a Cornelius pobiegł aż do schodów i tam schwycił się złamanego słupa.

– Pomyślał pan o tym, co mówiłem? – spytał Cornelius, z trudnością wymawiając słowa, jak gdyby go febra trzęsła.

– Nie! – wrzasnął z gniewem Jim. – Nie myślałem i myśleć nie będę. Całe życie spędzę tu w Patusanie!

– To umrzesz tu – odparł Cornelius, drżąc gwałtownie.

Wszystko to było tak niedorzeczne i wyzywające, iż Jim nie wiedział, czy ma się śmiać czy gniewać.

– Nie umrę, póki ciebie stąd nie wypędzę – krzyknął zniecierpliwiony. Na wpół serio (podniecony był, jak wiecie, własnymi myślami) krzyczał dalej – Nic mi się stać nie może! Możecie najpiekielniejsze tworzyć plany!

Cornelius, skurczony tam w cieniu, zdał mu się w tej chwili uosobieniem wszystkich trudności i przykrości, jakie na swej drodze spotkał. Stracił panowanie nad sobą i puścił wodze swemu uniesieniu, nazywając go kłamcą, łotrem, oszustem. Przyznawał, że stracił zupełnie miarę, cały Patusan wyzywał do walki, twierdził, że wszyscy skakać będą, jak on zagra i dalej groził tonem przechwałki. Sam mi mówił, że był wówczas śmieszny. Uszy mu pałały na samo wspomnienie. Musiał być nieprzytomny widocznie. Dziewczyna, siedząca z nami, skinęła szybko główką i rzekła z dziecięcą powagą.

– Ja słyszałam to wszystko. – Jim roześmiał się zarumieniony.

Potok jego słów wyczerpał się, jak mówił, a on sam uspokoił się, nie słysząc jednego słowa z ust tej postaci, jakby martwej, zwisającej się na balustradzie werandy. Nasłuchiwał przez chwilę. Żadnego głosu, żadnego ruchu.

– Zdawało się, że ten łajdak umarł, gdy ja tak hałasowałem – rzekł.

Tak był zawstydzony swym postępowaniem, iż nie wyrzekłszy słowa, wbiegł do izby i rzucił się na matę.

Widocznie jednak ta burza dobrze mu zrobiła, gdyż zasnął natychmiast i spał resztę nocy jak dziecko. Nie spał już tak od wielu tygodni.

– Ale ja nie spałam – rzekła dziewczyna, opierając się łokciem o stół – czuwałam!

Wielkie jej oczy błysnęły i wpatrzyły się we mnie wymownie.

Rozdział XXX

Możecie sobie wyobrazić, z jaką uwagą przysłuchiwałem się temu. Wszystkie te szczegóły nabrały znaczenia dwadzieścia cztery godziny potem. Z rana Cornelius nie wspominał o wypadkach zaszłych w nocy.

– Przypuszczam, że wróci pan do mego biednego domu – szepnął słodziutko, gdy Jim wchodził do czółna, by się udać do Doramina.

Jim kiwnął tylko głową, nie patrząc na niego.

Jim spędził cały dzień ze starym „nakhodą", przedstawiając konieczność energicznego działania i natychmiastowego wzięcia się do pracy wszystkich wodzów plemienia Bugis, którzy zostali wezwani na tę naradę. Z przyjemnością przypominał sobie, jak był wymowny i przekonywający.

– Przedstawiłem im grozę położenia, zrozumieli, że nadeszła chwila stanowcza – opowiadał mi. – Bo rzeczywiście, wysłańcy Sherifa Alego krążyli koło osady i podobno uprowadzili z sobą kilka kobiet. Na rynku znów zjawili się jego emisariusze w białych szatach i przechadzając się dumnym krokiem, przechwalali się przyjaźnią Radży dla ich pana. Jeden z nich stanął pod drzewem, a opierając się na lufie karabinu, wzywał lud do modlitwy i skruchy radząc, by wymordował wszystkich obcych spomiędzy siebie, bo jedni – jak mówił – są niewiernymi, a inni gorzej nawet, są dziećmi szatana!

Opowiadano, że niektórzy ze słuchaczy głośno wyrażali chęć pójścia za tymi radami. Wzbudziło to postrach ogromny. Jim, niezmiernie zadowolony ze swej dziennej pracy, przed zachodem

słońca wrócił do domu. Bugisowie obiecali mu uroczyście, że wystąpią do walki, on odpowiadał głową za powodzenie sprawy i tak czuł się tym podniecony i uszczęśliwiony, iż spotkawszy Corneliusa, usiłował być dla niego grzeczny. W odpowiedzi Cornelius stał się nieznośnie jowialny, śmiał się, wykrzywiał, w końcu schwycił się za brodę, rozparł na stole, rzucając wokoło niepewne spojrzenia. Dziewczyna się nie pokazała i Jim chciał wcześnie udać się na spoczynek. Gdy powstał, mówiąc „dobranoc", Cornelius zerwał się, przewrócił krzesło i rzucił się pod stół, jakby coś podnosił. Jim patrzył zdziwiony, jak wyłaził stamtąd z otwartą gębą i przerażonymi oczyma. Cornelius chwycił za róg stołu, by nie upaść.

– Co panu jest? Jest pan chory? – spytał Jim.

– Tak, tak! Tak! Mam kurcze żołądka – odparł tamten.

Jim najzupełniej uwierzył temu. W obecnym nastroju ducha większe jeszcze kłamstwo znalazłoby u niego wiarę.

Śniło się Jimowi, że jakiś potężny głos płynący z nieba woła nań: „Zbudź się, zbudź" i pomimo, że spał kamiennym snem – zbudził się. Czerwony blask pochodni padał na jego oczy. Gęste zwoje czarnego dymu kłębiły się nad głową jakiegoś zjawiska, nadziemskiej istoty w białej szacie, o surowej, pełnej niepokoju twarzy. Po chwili poznał dziewczynę. Trzymała pochodnię we wzniesionej ręce i monotonnym, naglącym głosem, powtarzała: „Wstań! Wstań! Wstań!" Zerwał się; ona wsunęła mu w rękę rewolwer, który przed chwilą wisiał na ścianie; tym razem był nabity. Schwycił go nie mówiąc słowa, zdziwiony, oślepiony światłem. Czego ona może chcieć od niego? – myślał. Ona cichutko spytała:

– Czy możesz pan poradzić sobie z czterema?

Śmiał się, opowiadając mi, jak myślał, że tu chodzi o jej obronę.

– Ależ naturalnie, naturalnie – odparł – rozkazuj, co mam czynić.

Niezupełnie był wybudzony ze snu i zdawało mu się, że jest niezmiernie grzeczny ukazując taką gotowość do usług. Dziewczyna wyszła z izby, Jim podążył za nią; w korytarzu potknęli się o staruchę, która gotowała czasami prostą strawę, chociaż tak była stara i niedołężna, iż nie rozumiała, co się do niej mówi. Stara podniosła się i mrucząc powlokła się za nimi. Na werandzie hamak z żaglowego płótna należący do Corneliusa poruszał się swobodnie – był pusty.

Dom handlowy Steina w Patusanie, jak i w innych miejscowościach, składał się pierwotnie z czterech budynków. Teraz dwa z nich obróciły się w kupę pali, połamanej trzciny, zgniłego poszycia i tylko główny spichrz stał naprzeciw domu agenta. Była to podłużna szopa zlepiona z błota i gliny, na jednym jej końcu były szerokie drzwi z mocnych desek i drzwi te trzymały się jeszcze na zawiasach. W jednej ze ścian znajdował się duży otwór, jakby okno, z trzema drewnianymi sztabami. Zanim zeszli z werandy, dziewczyna odwróciła się i rzuciła mu szybko te słowa:

– Mieli napaść na pana, gdyś spał!

Jim opowiadał mi, że doznał wielkiego rozczarowania. Więc to wciąż ta stara historia! Znudziło go już to czyhanie na jego życie. Miał już dość tych gróźb, gniewał się w duchu na dziewczynę, że go tak zawiodła. Poszedł za nią, gdyż był przekonany, że to ona potrzebuje jego pomocy i miał wielką ochotę cofnąć się z powrotem. Ale dziewczyna szła prędko i Jim poszedł za nią na dziedziniec. Płotu i ogrodzenia żadnego nie było, dawno to wszystko się rozsypało, wędrowały tędy co rano stada byków, węsząc, chrapiąc, nie spiesząc się wcale; całość wyglądała na jakąś puszczę. Jim z dziewczyną tonęli w głębokiej trawie. Światło pochodni czyniło otaczającą ich ciemność jeszcze głębszą. Noc była cudna, lekki wietrzyk płynął od rzeki. Jim odczuł tę piękność

natury. Nie zapomnijcie, że opowiadam wam miłosną historię. Cudowna ta noc otaczała ich jakby pieszczotą. Płomień pochodni od czasu do czasu z hałasem wyskakiwał w górę, poza tym cisza była zupełna.

– Siedzą w spichrzu – szepnęła dziewczyna – czekają na umówiony znak.

– Kto ma go dać? – spytał.

Wstrząsnęła pochodnią, która żywszym zapłonęła blaskiem, sypiąc iskry wokoło.

– Spałeś pan tak niespokojnie – szepnęła. – Czuwałam cały czas!

– Ty! – krzyknął rozglądając się wokoło.

– Pan myśli, że tylko dziś czuwałam? – odparła ze zdumieniem.

Zdawało mu się, jak powiadał, że otrzymał cios w piersi. Tchu mu zbrakło. Pomyślał, że był brutalem, poczuł wyrzuty sumienia, ale zarazem dobrze mu było, czuł się wzruszony, szczęśliwy, wniebowzięty. Muszę znów przypomnieć wam, że to miłość wam opisuję; łatwo to poznać można z ich głupiego zachowania się, z tego stania w blaskach pochodni, jakby umyślnie chcieli służyć za cel dla morderców. Gdyby emisariusze Sherifa Ali – jak mówił Jim – mieli odrobinę zapału, to właśnie była odpowiednia chwila do ataku. Serce Jima tłukło się w piersi – nie ze strachu jednak – ale zdawało mu się, że trawa szeleści, więc szybko usunął się w cień. Coś ciemnego, nieokreślonego przebiegło pośpiesznie. Wielkim głosem zawołał:

– Cornelius! Cornelius!

Żadnej odpowiedzi, cisza zupełna. Dziewczyna znów znalazła się u jego boku.

– Uciekaj! – zawołała.

Stara nadchodziła, skurczona jej postać stanęła w promieniu światła.

– Uciekaj! – powtórzyła dziewczyna z uniesieniem.

– Teraz z pewnością są przerażeni, usłyszeli twój głos, wiedzą, żeś się zbudził, wiedzą, żeś wielki, silny, nieustraszony...

– Jeżeli nim jestem... – zaczął, ale ona mu przerwała.

– Tak – dzisiejszej nocy. Ale co będzie jutro, pojutrze, czy później jeszcze? Czy ja zdołam czuwać zawsze?

Łkaniem głos jej się załamał, co Jima niewypowiedzianie wzruszyło. Mówił mi, że nigdy nie czuł się tak mały, bezsilny – a co do odwagi, jakaż z niej korzyść – myślał. Ucieczka nawet wydawała mu się bezużyteczna, a chociaż ona wciąż szeptała z gorączkowym uporem – uciekaj do Doramina, on wiedział, że nie ma dla niego ucieczki od tego odosobnienia, tylko – w niej.

– Myślałem – mówił mi – że gdy oddalę się od niej, wszystko będzie dla mnie skończone!

Ale ponieważ nie mógł stać tak wiecznie na miejscu, postanowił pójść do spichrza. Pozwolił jej iść z sobą, nie myśląc nawet, że mogłoby być inaczej; zdawało mu się, że są nierozerwalnie z sobą związani.

– Jestem nieustraszony – czy tak? – szepnął przez zęby.

Ona wstrzymała go za ramię.

– Czekaj, aż usłyszysz mój głos – rzekła i z pochodnią w ręce pobiegła.

Jim pozostał sam w ciemności, przycisnął ucho do drzwi; żaden głos, żadne westchnienie nie dochodziło z wewnątrz. Starucha tylko jęknęła gdzieś za jego plecami. Nagle usłyszał krzyk dziewczyny:

– Teraz! Pchnij!

Pchnął z całej siły, drzwi z trzaskiem się rozwarły, odsłaniając wnętrze szopy, oświetlone ponurym blaskiem pochodni. Kłęby dymu wiły się po pustym koszu, stojącym na środku, śmiecie i gałgany poruszyły się pod wpływem pędu powietrza. Dziewczyna

przez okno wsunęła pochodnię. Jim widział jej nagie ramię, dzierżące mocno, jak gdyby było ulane z żelaza, ciężką pochodnię. Góra starych mat zalegała jeden róg szopy i sięgała prawie do sufitu, poza tym – było zupełnie pusto.

Jim opowiadał mi, że w tej chwili doznał ogromnego rozczarowania. Tyle otrzymał ostrzeżeń, otoczony był tylu najrozmaitszymi niebezpieczeństwami, że raz pragnął zetknąć się z rzeczywistością, sprawiło by mu to ulgę.

– Oczyściłoby to powietrze chociaż na kilka godzin, rozumiesz pan? – mówił Jim. – Na Jowisza! Żyłem tyle dni z takim ciężarem na piersi!

Myślał, że przynajmniej teraz coś mu wpadnie w ręce, a tu nic! Ani śladu, ani znaku, że ktoś tu był. Podniósł rewolwer w górę, gdy drzwi się rozwarły, a teraz ręka mu opadła.

– Strzelaj! Broń się! – krzyknęła przez okno dziewczyna rozdzierającym głosem.

Stojąc w ciemności, z ramieniem wyciągniętym do wnętrza szopy, nie mogła widzieć, co się tam dzieje, a nie śmiała cofać ręki z pochodnią.

– Ależ tu nie ma nikogo! – wrzasnął Jim i już miał parsknąć pogardliwym śmiechem, gdy stanął nagle jak wryty.

Spod mat błysnęła para oczu.

– Wyłaź mi zaraz! – wrzasnął Jim; i wysunęła się ciemna głowa, straszna, jakby pozbawiona korpusu i dziko patrzała na niego.

Po chwili drgnęła cała góra mat, wyskoczył z niej człowiek i biegł ku Jimowi. Prawe ramię miał zwieszone, a w ręce, ponad głową, świeciło ostrze krisa. Płótno obejmujące biodra tego człowieka, wydawało się oślepiająco białe przy jego ciemnej skórze; nagie ciało było wilgotne. Jim wszystko to zauważył. Opowiadał, że doznał w tej chwili wielkiej ulgi, mściwej rozkoszy. Celował

z rozwagą. Wytrzymał trzecią część sekundy, napastnik w szybkich skokach zbliżał się, a Jim z przyjemnością myślał: to już trup! Pewny był siebie, pozwolił mu zbliżyć się, widział jego rozwarte nozdrza, błyszczące oczy i – strzelił.

Huk w tej zamkniętej przestrzeni był ogłaszający. Cofnął się o krok wstecz. Napastnik zadarł głowę, wyciągnął ramiona i wypuścił nóż. Jim przekonał się później, że go trafił w usta, kula przebiła czaszkę. Biegł pędem i teraz runął naprzód, gwałtownie uderzając głową o ziemię tuż przy nagich stopach Jima. Jim zachował całą przytomność umysłu, teraz doznał spokoju, ukojenia, nie czuł w sobie żadnej niechęci, jak gdyby śmierć tego człowieka załatwiła wszystkie rachunki. Szopa napełniona była gęstym, czarnym dymem, płomień rzucał krwawe światło. Jim minął trupa i szedł pewnym krokiem w głąb szopy, mierząc do drugiej, nagiej postaci, stojącej w rogu. Gdy miał już pociągnąć za cyngiel, człowiek odrzucił daleko ciężką dzidę, oparł się o ścianę, przysiadł w kucki, złożone ręce składając między nogi.

– Chcesz, bym ci życie darował? – pytał Jim.

Tamten milczał.

– Ilu was jest jeszcze? – spytał znów Jim.

– Jeszcze dwóch Tuan (panie) – odparł słodko, patrząc wielkimi, zahipnotyzowanymi oczami w lufę rewolweru. Rzeczywiście dwóch jeszcze wypełzło spod mat, ostentacyjnie pokazując, że są bezbronni.

Rozdział XXXI

Jim skorzystał ze swej wyjątkowej pozycji i jak stado baranów wyprowadził ich z szopy. Przez cały ten czas pochodnia nie drgnęła nawet w dłoni dziewczyny. Trzej „czarni" ślepo słuchali Jima poruszając się jak automaty. Kazał im stanąć w szeregu.

– Wziąć się za ręce – krzyknął. – Usłuchali. – Kto wysunie ramię lub się obejrzy – padnie trupem! – Marsz!

Szli razem, sztywnym krokiem, Jim za nimi, a obok niego – dziewczyna w białej, długiej szacie. Czarne włosy sięgały jej do pasa. Nie wypuściła pochodni z rąk. Wyniosła jej postać sunęła tak lekko, iż zdawało się nie dotyka ziemi; ciszę mącił tylko szelest wysokiej trawy.

– Stać! – krzyknął Jim.

Brzeg rzeki był w tym miejscu prostopadły; wielka świeżość płynęła z dołu, światło pochodni padło na ciemną, zupełnie gładką powierzchnię wody; po jednej i drugiej stronie ciągnęły się szeregiem domy.

– Pozdrówcie Szerifa Alego, zanim ja sam go odwiedzę – rzekł Jim. Ani jedna głowa nie drgnęła.

– Skaczcie! – huknął.

Zrobił się jeden wielki plusk, woda buchnęła w górę, czarne głowy konwulsyjnie drgały i znikły, w rzece coś bulgotało gwałtownie i powoli cichło, umiejętnie dali nurka, drżąc ze strachu, by ich teraz jeszcze kula na tamten świat nie wyprawiła. Jim zwrócił się do dziewczyny, uważnego, milczącego świadka tej sceny. Zdawało mu się, że serce jego nagle urosło, zmieścić się w piersi nie

może i dusi go coś w gardle. To zapewne pozbawiło go głosu przez jakiś czas, a ona, odpłaciwszy mu się spojrzeniem, szerokim ruchem ręki rzuciła pochodnię do rzeki. Czerwony płomień zatoczył wielkie koło i sycząc jak potworna żmija, zgasł, a spokój słodkiej gwiaździstej nocy spłynął na nich.

Nie mówił mi, co powiedział, gdy głos odzyskał. Przypuszczam, że nie mógł być bardzo wymowny. Otaczała ich cisza, noc, jedna z tych, co zdają się stworzone, by dawać schronienie naszym uczuciom, a są takie chwile, w których dusze jakby uwolnione z ciemnej powłoki jaśnieją cudowną wrażliwością, czyniącą milczenie wymowniejszym od słów.

– A dziewczyna – mówił Jim – rozpłakała się. Naturalna reakcja. Musiała być diablo zmieszana, a przy tym kochała mnie... rozumiesz pan... Ja także... nie wiedziałem... ani mi to przez głowę nie przeszło...

Tu zerwał się i chodzić zaczął pośpiesznie.

– Kocham ją, kocham bardzo. Więcej niż wyrazić mogę. Rozumie się, że tego opowiedzieć nie można. Zupełnie się człowiek inaczej na swe czyny zapatruje, gdy mu dane jest do zrozumienia, że obecność jego jest konieczna, niezbędna – dla drugiej osoby. Ja właśnie to czuję. Czyż to niezadziwiające! Ale pomyśl tylko, jakie było jej życie. Przecie to było okropne! A ja przyszedłem tu i znalazłem ją w takim położeniu, jak gdyby ktoś, włócząc się po świecie, znalazł nagle tonącego w ciemnej, bezdennej przepaści. Na Jowisza! Nie ma ani chwili do stracenia... No! przecież to także rodzaj zaufania... Zdaje mi się, że godny jestem tego...

Muszę wam przypomnieć, że dziewczyna już dawno nas opuściła. Jim stuknął się w piersi.

– Tak, czuję to. Jak również to, że zasłużyłem na to szczęście, które mi tu dopisało!

On miał dar znajdywania głębszego znaczenia we wszystkim, co mu się przytrafiało. Tak się zapatrywał na swą miłosną sprawę; było to idylliczne, trochę uroczyste i również prawdziwe, kiedy wierzył z całą powagą młodości. W jakiś czas potem, przy innych okolicznościach, powiedział mi:

– Jestem tu zaledwie od dwóch lat, a doprawdy, nie mogę sobie wystawić, bym mógł żyć gdzie indziej. Sama myśl o świecie poza granicami tego kraju przeraża mnie, gdyż, rozumiesz pan – dodał z oczami utkwionymi w koniec buta, którym rozbijał grudkę ziemi (szliśmy brzegiem rzeki) – gdyż nie zapomniałem, dlaczego tu przybyłem. Jeszcze nie!

Nie pozwoliłem sobie spojrzeć na niego, ale zdaje mi się, że usłyszałem westchnienie; milczeliśmy czas jakiś.

– Na moją duszę i sumienie – zaczął znowu – jeżeli rzecz taka może być zapomniana, to mam prawo wyrzucić ją z pamięci. Spytaj pan, kogo chcesz tutaj... – tu głos jego drgnął. – Czy to nie dziwne – mówił tonem słodkim, łagodnym – że lud ten cały, który gotów dla mnie wszystko uczynić, nigdy zrozumieć mnie nie zdoła? Nigdy! Gdyby pan przestał mi wierzyć, nie mógłbym wezwać ich na świadków! Ciężko mi z tym jednak. Głupi jestem, prawda? Czegóż więcej żądać mogę? Jeżeli spytasz się ich pan, kto jest sprawiedliwy, uczciwy, komu by w opiekę oddali życie swe – odpowiedzą: Tuan Jim. A tymczasem oni nigdy nie mogą poznać istotnej, rzeczywistej prawdy...

Tak do mnie mówił ostatniego dnia mego pobytu w Patusanie. Jednego słowa nie wyrzekłem, czułem, że powie coś jeszcze i dojdzie do samego dna. Słońce, którego skoncentrowany blask nadawał ziemi pozór roziskrzonego kłębu pyłu, zapadło za lasy, a światło, płynące z opalowego nieba, rzucało na świat bez cieniów i błysków złudzenie spokojnej, myślącej wielkości. Nie wiem,

dlaczego słuchając go zdawałem sobie tak jasno sprawę ze stopniowego ciemnienia rzeki i powietrza, z tej powolnej pracy nocy, ogarniającej wszystkie widzialne kształty, zacierającej je coraz bardziej i bardziej, jak gdyby spadał na nie czarny, delikatny pyłek.

– Na Jowisza! – zaczął gwałtownie – są dnie, w których człowiek czuje się zupełnie głupi, ale to powiedzieć mogę, że dałem sobie radę z tą okropną rzeczą, przygniatającą mi czaszkę... Zapomniałem?... Niech mnie powieszą, jeżeli wiem! Mogę spokojnie o tym myśleć. Bo zresztą czegóż to dowodziło? Niczego. Przypuszczam, że i pan nie sądzi inaczej...

Pośpieszyłem mruknąć coś niezrozumiałego.

– Wszystko jedno zresztą – rzekł. – Jestem zadowolony... prawie. Potrzebuję tylko spojrzeć na pierwszego przechodzącego człowieka, by odzyskać ufność w siebie. Oni rozumieć nie mogą, co się we mnie dzieje. To, co zrobiłem tutaj, zasługuje na uznanie!

– Rozumie się – odparłem.

– A jednak nie powierzyłby mi pan własnego okrętu – co?

– A niechże cię licho porwie! – krzyknąłem. – Dajże z tym pokój!

– Aha! Widzi pan – zawołał – ale spróbuj powiedzieć to któremuś z nich tutaj. Nazwą pana głupcem, kłamcą, a może gorzej jeszcze. Tym więc sposobem mogę wytrzymać. Uczyniłem coś dla nich, ale i oni mi się odpłacili.

– Kochany chłopcze – zawołałem – pozostaniesz dla nich zawsze niezbadaną tajemnicą.

Nastało długie milczenie.

– Tajemnicą – powtórzył. – Dobrze, więc zostaw mnie tu na zawsze.

Gdy słońce zupełnie zaszło, ciemność coraz większa spadała na nas z każdym podmuchem wietrzyku. Na środku dróżki ujrzałem sylwetkę wiernego Tamb' Itama, a poprzez mroczną przestrzeń

bystre me oko dojrzało białą postać chodzącą tam i na powrót po werandzie. Gdy Jim z nieodstępnym Tamb' Itamem udał się na wieczorny przegląd całej gospodarki, wróciłem do domu sam, gdzie spotkała mnie dziewczyna, czekająca widocznie na tę sposobność.

Nie umiem wam powiedzieć, co ona chciała ze mnie wydobyć. Z pozoru rzecz prostą, a jednak zupełnie niemożliwą, jak, dajmy na to, dokładny opis kształtów chmury. Chciała pewności, zaświadczenia, obietnicy, wyjaśnienia – nie wiem jak to nazwać, ta rzecz nie ma nazwy. Ciemno było zupełnie, odróżniałem więc tylko miękką linię jej białej szaty, blady owal twarzyczki i wielkie orbity oczu, w których coś się poruszało, jak to bywa, gdy człowiek zapuści wzrok na dno niezmiernie głębokiej studni. Co się tam porusza? – zadajecie sobie pytanie. Potwór jakiś, a może tylko zabłąkany promyczek ze świata? Uderzyła mnie myśl – nie śmiejcie się ze mnie – że ona była bardziej niezbadana w swej dziecięcej nieświadomości niż sfinksy rzucające przechodniom dziecinne zagadki. Przybyła do Patusanu niemowlęciem, tu wyrosła, nie wiedziała nic i nie miała najmniejszego pojęcia o czymkolwiek. Zadawałem sobie pytanie, czy ona jest pewna, że coś poza Patusanem istnieje? Jakie sobie wytworzyła pojęcie o świecie – nikt nie zdołałby zbadać; znała tylko jedną zdradzoną kobietę i słyszała o sprawcy jej nieszczęścia. Kochanek jej, obdarzony niewypowiedzianym urokiem, również przybył z tamtego świata. Cóż się z nią stanie, jeżeli on powróci do tych niepojętych sfer domagających się zawsze powrotu swych dzieci? Matka przed śmiercią ze łzami ostrzegała ją przed tym...

Mocno schwyciła me ramię, a gdy stanąłem, cofnęła rękę pośpiesznie. Była śmiała, a zarazem strwożona. Nie bała się niczego, ale była zgnębiona niepewnością. Ja należałem do tego

Nieznanego, które mogło w każdej chwili powołać do siebie Jima; znałem tajemnicę jego natury i jego zamiary; byłem powiernikiem grożącej tajemnicy – może zbrojny jej potęgą! Zdawało mi się, iż przypuszczała, że jednym słowem mogę wydrzeć Jima z jej ramion; przekonany jestem, że przeszła przez wszystkie męki w czasie naszej długiej rozmowy z Jimem, przez takie niepokoje, że mogłaby knuć spisek na me życie, gdyby dusza jej zdolna była do tego. Takie miałem wrażenie i dzielę się nim z wami; spadło to na mnie niespodziewanie i gdy nareszcie zrozumiałem, ogarnęło mnie nadzwyczajne zdziwienie. Usta moje niezdolne są wyrazić tego szeptu, słodkiego a namiętnego, tego błagania, wyrażonego wzniesieniem białych ramion. Opadły. Postać cała drgnęła, jak wysmukłe drzewo miotane wichrem, blady owal twarzyczki pochylił się ku ziemi; nie można było rozróżnić rysów, głębia oczu była bezdenna; dwa szerokie rękawy podniosły się do góry, robiąc wrażenie dwóch rozwijających się skrzydeł i stała milcząca, rękami obejmując głowę.

Rozdział XXXII

Byłem głęboko wzruszony: jej młodość, nieświadomość, piękność mająca urok polnego kwiatu, prośby, jej bezradność, przemawiały do mnie z siłą równą prawie jej trwodze. Bała się rzeczy nieznanych, tak jak my wszyscy, ale jej nieświadomość, naiwność, powiększała bezmiernie te rzeczy nieznane. Ja wobec niej uosabiałem ten świat nieznany, ani troszczący się o Jima, ani potrzebujący go. Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Niewymownie bolesny szept jej rozwiązał mi usta. Zacząłem ją przekonywać, że ja przynajmniej nie mam zamiaru zabierać jej Jima.

Po cóż więc przybyłem? Stała nieporuszona jak marmurowa statua. Usiłowałem wyjaśnić, że sprowadziła mnie przyjaźń, konieczność rozejrzenia się w jego życiu i że raczej namawiałbym go do pozostania.

– Oni nas zawsze porzucają – szepnęła.

Z grobu, który zawsze stroiła kwiatami, tchnienie nocy nieść się zdawało tę smutną świadomość.

– Nic pani z Jimem rozłączyć nie zdoła – rzekłem. Takie jest moje przekonanie teraz, takie było wówczas; ona szepnęła, jakby do siebie mówiła:

– Przysiągł mi to.

– Żądała pani tego? – spytałem.

– Nie! Nigdy!

Ona go prosiła, by uciekał. To było tej nocy, nad brzegiem rzeki, gdy zabił tego czarnego – tamtych wypędził, a ona rzuciła pochodnię do rzeki, bo on tak na nią patrzył. Niebezpieczeństwo

minęło tylko na czas krótki, ale on powiedział, że jej nie zostawi na pastwę Corneliusa. Ona nalegała. Prosiła, by ją porzucił! Powiedział, że nie może, że to niemożliwe. Drżał mówiąc to. Czuła, że drży... Nie potrzeba wielkiej imaginacji, by sobie tę scenę odtworzyć i słyszeć prawie ich szepty. Ona bała się o niego; sądzę, że wówczas widziała w nim tylko predestynowaną ofiarę niebezpieczeństw, które ona lepiej od niego rozumiała. Chociaż samą obecnością swoją zawładnął jej sercem, ona nie wierzyła w jego powodzenie. Wówczas wszyscy nie doceniali wartości Jima, nie przewidywali, kim się stać się może. Cornelius chciał się pozbyć niewygodnego świadka swych czynów. Sherif Ali nie lękał się go, przeciwnie, czuł pogardę dla białego człowieka. Jim miał być zamordowany tylko ze względów religijnych, a nie dlatego, by miał być niebezpieczny. To przekonanie potwierdził Cornelius w jedynej rozmowie, jaką udało mu się ze mną przeprowadzić.

– Czcigodny panie! – mówił. – Skądże ja mogłem wiedzieć, kim on jest? W jaki sposób zdobył zaufanie całego ludu? Ja z początku dziwiłem się, dlaczego pan Stein przysyła takiego młokosa na miejsce starego sługi? Gotów byłem ocalić go za osiemdziesiąt dolarów. Czemu nie uciekał? Czyż miałem dać się zasztyletować dla miłości jakiegoś obcego przybysza?

Czołgał się prawie u mych nóg, podnosząc ręce, jakby chciał mnie obejmować za kolana.

– Cóż znaczą te dolary? To nic nieznacząca suma, ofiarowana biednemu starcowi, zrujnowanemu przez zmarłą diablicę!

Tu zaczął płakać.

Ale ja uprzedzam wypadki. Z Corneliusem rozmawiałem po skończeniu rozmowy z dziewczyną. Ona zupełnie pozbawiona była egoizmu, gdy nalegała na Jima, by ją, a nawet kraj ten zupełnie porzucił. Myślała jedynie o grożących mu

niebezpieczeństwach. Padła mu do nóg – opowiadała mi – tam, na brzegu rzeki, przy dyskretnym blasku gwiazd, padającym na wielkie, milczące cienie, nieskończone przestrzenie i drżące w powierzchni wody, nabierającej pozorów morza. On podniósł ją ku sobie i wówczas walczyć przestała. Rozumie się. Ujęły ją silne ręce, usłyszała słodki głos, poczuła dzielne ramię, na którym mogła spocząć jej głowa. Było to potrzebą – niezbędną potrzebą zbolałego serca i skołatanego umysłu. Popęd młodości, nastrój chwili... Cóż chcecie? To rzecz zrozumiała – chyba tylko ktoś niezdolny czegokolwiek pod słońcem zrozumieć nie pojmie tego. Zatem czuła się w tej chwili szczęśliwa.

– Na Jowisza! – pan wie, to rzecz poważna – do kpin się nie nadaje! – szepnął pośpiesznie Jim, gdym stanął po raz pierwszy na progu ich domu.

Tak, w romansie ich nie było miejsca na żarty; wśród nieszczęść życiowych zamienili przysięgi jak rycerz z dziewicą na nizinach nawiedzanych przez duchy. Światło gwiazd im wystarczało, światło tak słabe, iż nie mogło cieniom nadać kształtów i wskazać przeciwnego brzegu rzeki. Patrzyłem tej nocy na rzekę z tego samego miejsca; płynęła milcząca i czarna jak Styks; nazajutrz wyjechałem, ale nieprędko zapomnę, od czego chciała być ocalona właściwie, gdy go błagała, by odjechał póki czas jeszcze.

Powiedziała mi, co to było, spokojnie – była teraz zbyt namiętnie zaangażowana, by się unosić – głosem słodkim rzekła:

– Nie chciałam umierać płacząc.

Zdawało mi się, że źle słyszałem.

– Nie chciałaś pani umierać płacząc? – powtórzyłem za nią.

– Jak matka moja – dodała pośpiesznie.

– Matka moja gorzko płakała umierając – wyjaśniła.

Jakiś niepojęty spokój zdawał się podnosić wokoło nas, łagodząc nadmierność wzruszeń. A mnie się zdawało, że tracę grunt pod nogami wśród głębi wód i ogarnął mnie nagle strach, strach wobec tej nieznanej głębi. Opowiadała mi, że gdy matka konała, musiała odejść od jej łoża, by stanąć przy drzwiach i bronić wejścia Corneliusowi. Chciał wejść, pięściami bił o drzwi krzycząc ochrypłym głosem: „Puść mnie! Puść mnie!" W głębi izby, na matach, konająca kobieta, już pozbawiona mowy i niemogąca ręką poruszyć, ruchem głowy i spojrzeniem zdawała się wołać: „Nie! Nie!". A posłuszna córka całą siłą drzwi podpierała i nie spuszczała oka z matki.

– Łzy jak groch sypały się z jej oczu – i umarła – zakończyła opowiadanie córka tak spokojnym, dziwnym głosem, iż podziałał na moją imaginację, przedstawiając okropność tej sceny daleko silniej niż najbardziej patetyczny opis.

– Przysiągł, że nigdy mnie nie porzuci, gdy staliśmy tam – sami. Przysiągł mi!...

– I czy to możliwe, że pani – pani! – nie wierzyła mu? – spytałem ze szczerą wymówką. Dlaczego ona nie mogła mu wierzyć? Po co czepia się tak tej niepewności i trwogi, jak gdyby one były strażniczkami miłości. To było okropne. Powinna była sobie z tej uczciwej miłości zbudować ustroń niezmąconego spokoju. Może nie wiedziała, nie umiała.

Noc stała się tak ciemna, że postać jej zniknęła sprzed mych oczu, jak gdyby była duchem. Nagle usłyszałem znów spokojny jej szept:

– Inni mężczyźni tak samo przysięgali.

Było to jakby echem myśli pełnych smutku i przerażenia. Dodała ciszej jeszcze:

– Mój ojciec tak postąpił.

Umilkła, by głośno odetchnąć. Jej ojciec także... O tych więc rzeczach wiedziała! Pośpieszyłem powiedzieć:

– Ale on jest przecież inny!

O tym widocznie nie chciała dyskutować; ale po chwili ten dziwny szept wpadł mi znów w ucho:

– Dlaczego jest inny? Czy jest lepszy? Czy tak?...

– Na honor – zawołałem – wierzę, że jest lepszy!

Z którejś chaty, gdzie mieszkali podwładni Jima, popłynęła przejmująca i smutna pieśń.

Za rzeką (u Doramina zapewne) paliło się wielkie ognisko jak ogromna kula błyszcząca wśród nocy.

– Czy jest bardziej godny zaufania? – szepnęła.

– Tak – odparłem.

– Godniejszy zaufania niż inni – powtórzyła powoli.

– Tu – rzekłem – nikomu na myśl nie przyszło, nikt by nie śmiał wątpić w jego słowa – z wyjątkiem pani!

– Jest odważniejszy od innych – mówiła zmienionym głosem.

– Trwoga nigdy go pani nie wydrze – odparłem nerwowo.

Pieśń nagle ucichła. Rozległy się głosy w oddali, między nimi i głos Jima. Uderzyło mnie jej milczenie.

– Co on pani powiedział? Mówił coś pani? – pytałem.

Nie było odpowiedzi.

– Co on pani powiedział? – nalegałem.

– Czy pan myśli, że potrafię opowiedzieć? Czy ja wiem? Jakże mogę to rozumieć? – krzyknęła nareszcie. Poruszyła się. Zdaje mi się, że załamała ręce. – Jest coś, czego on nie może zapomnieć!

– Tym lepiej dla pani – odparłem posępnie.

– Co to jest? Co to jest? – pytała błagalnie. – Mówił, że doznał trwogi. Jakże ja mogę wierzyć? Czy jestem wariatką, by uwierzyć? Wy wszyscy pamiętacie o czymś! Wszyscy do tego wracacie! Co to

jest? Powiedz mi pan! Co to za rzecz? Czy to żyje, czy jest martwe? Nienawidzę tego. To jest okrutne. Czy to... nieszczęście... posiada fizjonomię lub głos? Czy on to zobaczy lub usłyszy? Może we śnie, gdy mnie nie może widzieć – wówczas wstanie i odejdzie. Ach! Nigdy mu tego nie przebaczę. Matka moja przebaczyła, ale ja – nigdy! Czy to będzie znak jakiś – wezwanie...

To było straszne. Nie dowierzała nawet jego marzeniom sennym – i myślała, że ja jej powiem, dlaczego! W ten sposób biedny śmiertelnik porwany czarem nadziemskiego zjawiska może próbować wydrzeć od innego ducha straszną tajemnicę praw, jakie posiada tamten świat nad bezcielesną duszą, błądzącą wśród namiętności tego świata. Zdawało mi się, że grunt usuwa mi się pod nogami. Ale jeżeli duchy wywołane naszą trwogą i niepokojem nie ustępują naleganiom takich jak my czarodziejów? – Ja – drżałem wobec takiego zadania. Czy to będzie znak jakiś, czy wezwanie! Skąd przyszły jej te słowa, gdzie je znalazła? Kobiety znajdują natchnienie w takich chwilach, które dla nas są tylko straszne, niedorzeczne lub banalne. To, że ona umiała o tym mówić, napełniało przerażeniem moje serce. Gdyby kopnięty kamień jęknął z bólu, nie byłoby to cudem większym i wzbudzającym większą litość. Słowa wypowiedziane wśród ciemnej nocy nadawały ich życiu tragiczną barwę. Przecież jej tego wytłumaczyć nie można. Złościłem się w duchu na moją niemoc. A Jim, także – biedny chłopiec! Kto o nim pamięta lub potrzebuje go? Ale tego chciał. Prawdopodobnie zapomniano nawet o jego egzystencji.

Jej nieruchomość świadczyła, że czeka na odpowiedź, a ja miałem mówić o moim bracie, którego przeszłość tonęła w krainie zapomnienia. Wzruszała mnie moja odpowiedzialność i jej rozpacz. Oddałbym wszystko za możność uspokojenia tej wątłej duszyczki miotającej się wśród swej nieświadomości jak ptak tłukący

skrzydłami o nielitościwe pręty klatki. Nic łatwiejszego, jak powiedzieć: nie bój się o nic! A nic trudniejszego. Nie wiem, jak się zabija trwogę. Jak się widmu przebija serce, ścina głowę, dusi za gardło? To jest przedsięwzięcie, na które rzucasz się wśród snu i rad jesteś, żeś uciekł od tego z wilgotnymi od potu włosami i drżąc na całym ciele. Do takiego rozpaczliwego spotkania potrzebujesz zaczarowanego i zatrutego ostrza, zanurzonego w kłamstwie tak subtelnym, że nie sposób znaleźć takiego na ziemi! Tylko we śnie można się na to narażać!

Zacząłem moje egzorcyzmy z ciężkim sercem i zarazem z jakąś ponurą złością. Głos Jima, podniesiony gniewem, rozlegał się teraz donośnie, karcił niedbalstwo jakiegoś milczącego grzesznika. Nie ma rzeczy – mówiłem wyraźnym szeptem – nie ma rzeczy w tym nieznanym świecie, tak skorym do wydarcia jej szczęścia – jak sądziła – nie ma rzeczy żywej czy martwej, nie ma fizjonomii, głosu, potęgi, mogącej oderwać Jima od niej. Odetchnąłem, a ona szepnęła słodko:

– Mówił mi tak.

– Powiedział pani prawdę – rzekłem.

– Nie ma nic – westchnęła i nagle zwróciła się do mnie z zaledwie dostrzegalnym błaganiem w głosie:

– A więc dlaczego przybył pan stamtąd? Mówił o panu zbyt często. Lękałam się pana. Czy... potrzebuje go pan?

– Nigdy więcej nie wrócę – rzekłem z goryczą. – On mi niepotrzebny i nikt go nie potrzebuje.

– Nikt – powtórzyła tonem zwątpienia.

– Nikt. Wierzy pani, że jest silny, rozumny, odważny, wielki – więc dlaczego nie ufasz mu? Odjadę jutro – i wszystko będzie skończone. Już nigdy głos z tamtego świata nie zakłóci pani spokoju. Świat, którego pani nie zna, jest zbyt wielki, by odczuć

mógł brak Jima. Rozumie pani? Zbyt wielki! Trzyma pani jego serce w swych dłoniach. Musi pani to odczuwać, musi wiedzieć o tym.

– Tak, wiem o tym – szepnęła nieruchoma i cicha jak statua.

Czułem, że niczego nie dokonałem, a teraz już nie jestem pewny, czego pragnąłem dokonać. Wówczas byłem przeniknięty niewytłumaczonym zapałem, jak przed jakimś wielkim, użytecznym zadaniem. Ona była panią jego serca, jak to jej mówiłem. Należał do niej zupełnie – oby tylko mogła w to uwierzyć! Miałem jej powiedzieć, że na całym świecie nie ma nikogo, kto by potrzebował jego serca, umysłu, ręki. Był to zwykły los, a jednak zdawało się czymś okropnym wyrazić się tak o człowieku. Słuchała, nie mówiła słowa, a jej milczenie było jakby protestem niezwalczonej niewiasty. Co ją obchodzić może świat leżący za lasami? – spytałem. Z tłumów zamieszkujących obszary nieznane, upewniałem ją, nie przyjdzie nigdy żaden znak, żadne wezwanie. Nigdy! Nigdy! Nigdy! Ze zdziwieniem przypominam sobie, z jaką mocą wymawiałem te wyrazy. Miałem złudzenie, że nareszcie schwyciłem widmo za gardło. Po co ma się trwożyć? Wie, że jest silny, mądry, dzielny. Jest taki bez wątpienia. Mało tego. Jest wielki – niezwalczony – a świat go nie chce, zapomniał o nim, nie poznałby go nawet!

Umilkłem; głęboka cisza otaczała Patusan, tylko tam, na rzece, ktoś pluskał wiosłem o wodę.

– Dlaczego? – szepnęła.

Odczułem gniew, jakiego się doznaje mocując się z kimś. Widmo usiłowało wydrzeć mi się.

– Dlaczego? – powtórzyła głośniej – powiedz mi!

A ponieważ zakłopotany milczałem, tupnęła nogą jak rozkapryszone dziecię.

– Dlaczego? Mów!

– Chcesz wiedzieć? – krzyknąłem wściekły.

– Tak! – zawołała.

– Bo nie jest dość dobry – rzekłem brutalnie.

W tej chwili światło na przeciwnym brzegu rzeki błysnęło, rozszerzając swój krąg i nagle stało się tylko krwawym punktem. Schwyciła mnie za rękę. Nie podnosząc głosu, wyraziła cały bezmiar pogardy, goryczy, rozpaczy.

– To właśnie on mi mówił... ale kłamiesz!

Te ostatnie słowa wypowiedziała miejscowym dialektem.

– Wysłuchaj mnie! – prosiłem; głęboko westchnęła, odrzuciła mą rękę.

– Nikt, nikt nie jest dość dobry – zacząłem z wielkim przejęciem.

Słyszałem, jak tłumione łkania rozdzierały jej piersi. Spuściłem głowę. Co tu słowa pomogą? Czyjeś kroki rozległy się w pobliżu; usunąłem się, nie wymówiwszy jednego słowa więcej...

Rozdział XXXIII

Marlow wstał pospiesznie i zachwiał się, jak gdyby stanął na ziemi po szybkiej wędrówce po nadziemskich przestworzach. Oparł się o balustradę i spojrzał na szereg trzcinowych foteli. Wyciągnięte w nich ciała zbudziły się z obezwładnienia.

Ten i ów zerwał się jakby przerażony; tu i tam błysnęło cygaro; Marlow patrzył na nich oczami człowieka, wyrwanego z marzeń sennych, zupełnie obcych temu otoczeniu. Ktoś szepnął zachęcająco:

– No i cóż dalej?

– Nic – odparł Marlow – powiedział jej – nie uwierzyła mu – nic więcej. Co do mnie – nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy smucić. Nie mogę powiedzieć, w co wierzyłem wówczas i do dziś dnia nie wiem. Ale w co wierzył ten biedak? Prawda zawsze na wierzch wylezie – powiadają. Magna est veritas et... Tak, gdy zdarzy się okazja. Istnieje prawo, nie ulega wątpliwości, prawo – kierujące szczęściem w rzucaniu kości. To nie sprawiedliwość rozstrzyga o losie ludzi – ale wypadek, zdarzenie, fortuna – sprzymierzenie cierpliwego czasu – utrzymuje skrupulatną równowagę. Obaj powiedzieliśmy tę samą rzecz. Czy obaj powiedzieliśmy prawdę, czy jeden tylko z nas – czy żaden?...

Marlow umilkł, złożył ręce na piersiach i zmienionym tonem ciągnął dalej:

– Powiedziała – kłamiecie! Biedna! Cóż, należało to zostawić okazji, której sprzymierzeńca, Czasu, nie można przyspieszyć, a wróg – Śmierć – nie chce czekać.

Cofnąłem się – zdjęty trwogą, przyznać to muszę. Dodałem do jej niepokoju wzmiankę o czymś strasznym, niezrozumiałym, pozostającym wieczną dla niej zagadką. To tak, jak gdybym patrzył na pracę nieubłaganego przeznaczenia, którego jesteśmy ofiarami i – narzędziami.

Litość brała na myśl o tej dziewczynie, stojącej tam nieruchomo; kroki Jima sprawiały donośny hałas, gdy w grubych butach wchodził na werandę.

– Jak to? Po ciemku? – zawołał zdziwiony. – A cóż wy tak po ciemku robicie?

Po chwili ujrzał ją zapewne.

– Halo, dziewczyno moja! – zawołał radośnie.

– Halo, mój chłopcze! – odparła natychmiast.

Tak się zwykle witali z sobą, a pewna junakieria, brzmiąca w jej głosie o wysokich tonach, nadawała mu dziecinny urok. Sprawiało to niewymowną przyjemność Jimowi. Po raz ostatni słyszałem to ich powitanie i poczułem chłód w sercu. Głos był niby ten sam, ale ja w nim odczułem – bolesny jęk.

– A co zrobiłaś z Marlowem? Czy poszedł spać? To dziwne, że go nie spotkałem... Czy jesteś tam, Marlowie?

Milczałem. Nie myślałem wracać do domu – nie teraz w każdym razie. Doprawdy, nie mógłbym; gdy Jim mnie wołał, usiłowałem uciec przez małą furtkę, prowadzącą do nowo wykarczowanego kawału gruntu. Nie; nie mógłbym teraz stanąć przed nimi.

Szedłem przed siebie ze spuszczoną głową. Tu i ówdzie leżały powalone drzewa; trawa została wypalona.

Jim miał tu założyć plantację kawy.

Wielka góra, wznosząca podwójny swój szczyt, czarny jak węgiel w żółtym blasku ukazującego się księżyca, zdawała się rzucać cień na świeżo przygotowany grunt. Jim próbował już rozmaitych

rzeczy; podziwiałem jego energię, przedsiębiorczość, przenikliwość. Nic na ziemi nie wydawało się bardziej rzeczywiste niż jego plany, energia, zapał; podniósłszy oczy, ujrzałem na dnie szczeliny między górami wysuwającą się tarczę księżyca.

Przez chwilę wyglądało to, jak gdyby gładki krążek spadł z obłoków na ziemię i potoczył się na dno przepaści; jego wznoszący się ruch przypominał odskoczenie czegoś sprężystego; rosnące na stoku góry drzewo przecinało ciemną linią sam środek księżyca.

W tym chwilowym zaćmieniu światła pnie zwalonych drzew tworzyły ciemne plamy, a ciężkie cienie słały się u mych nóg od mojej osoby i od wzgórka grobu wiecznie ustrojonego kwiatami. W przyćmionym blasku księżyca kwiaty przybierały kształty obce naszej pamięci i kolory nieokreślone dla oka, jak gdyby były kwiatami nie z tego świata i tylko dla grobów przeznaczonymi. Potężny ich aromat zawisł w powietrzu, jak woń jakichś kadzideł. Kawałki białego koralu, otaczające grób, tworzyły jakby różaniec ze zbielałych czaszek, a tak cicho i spokojnie było wokoło, iż zdawało się, że wszelki ruch i głos na świecie zamarł na wieki.

Ziemia cała zdawała się być olbrzymim grobem i stałem tak czas jakiś myśląc o żywych, co zagrzebani w zapadłych kątach, z dala od świata, muszą dzielić jego tragiczną czy śmiechu godną niedolę. Może i szlachetną walkę – kto wie? Ludzkie serce dość jest obszerne, by objąć cały świat. Dźwiganie tego ciężaru można nazwać dzielnością, ale kto by miał dość odwagi, by go odrzucić?

Musiałem popaść w sentymentalny nastrój; to tylko wiem, że stałem tam tak długo, iż zapomniałem o wszystkim, co żyło, co przemawiało do mnie; miałem to dziwne, smutne złudzenie, iż jestem ostatnim okazem rodzaju ludzkiego.

Nagle zjawił się Cornelius; jak robak jaki wypełzł spod ziemi. Przypuszczam, że dom jego musiał być gdzieś w pobliżu, ale nigdy dotąd nie widziałem go. Biegł ku mnie dróżką; nogi jego, obute w białe, brudne trzewiki, odcinały się od czerni ziemi; stanął przede mną i zaczął jęczeć i wić się.

Jego wyschłe ciało ginęło prawie w zbyt obszernym ubraniu. Miał na sobie odświętne szaty, co mi przypomniało, że spędzam w Patusanie już czwartą niedzielę. Przez cały czas mego pobytu czułem, że ma on wielką ochotę zwierzyć mi się, czeka tylko na stosowną chwilę.

Krążył nieustannie, z wyrazem gorącego pragnienia na żółtej twarzy, ale powstrzymywała go nieśmiałość, jak również moja wyraźna niechęć zadawania się z tak wstrętnym osobnikiem. Jedno spojrzenie Jima, moje, a nawet Tamb' Itama, zmuszało go do odwrotu, po chwili znów pojawiał się z wyrazem pokory, błagalnej prośby, co nie zdołało ukryć nikczemnej jego natury, jak zręcznie włożona szata nie zdoła skryć potwornych kształtów ciała.

Nie wiem, czy natura moja została zdemoralizowana zetknięciem się z widmem strachu przed godziną, dość, że bez żadnego oporu pozwoliłem mu się wziąć w niewolę. Skazany byłem widocznie na to, że będę powiernikiem zwierzeń i stanę wobec pytań, na które nikt nie zdołałby znaleźć odpowiedzi.

Obecne me położenie było nieznośne, ale pogarda, jaką miałem dla tego człowieka, ułatwiała mi je. Bo cóż ta marna istota znaczyła? Nic mnie już nie obchodziło, gdy uspokoiłem się co do Jima, o którego jedynie dbałem. Powiedział mi, że jest zadowolony... prawie. Nie każdy to ośmieli się o sobie powiedzieć. Ja – mając prawo uważania siebie za dostatecznie uczciwego – nie śmiem. Wy również, jak przypuszczam?

Marlow umilkł, jakby oczekując na odpowiedź. Nikt się nie odezwał.

– Tak – mówił dalej. – Nikt nie może tego wiedzieć, ponieważ prawda może być wydarta z nas tylko przez jakąś okrutną, straszną katastrofę. Ale on był jednym z nas i mógł powiedzieć, że jest zadowolony... prawie. Pomyślcie tylko! Prawie zadowolony. Wobec tego, cóż mogły znaczyć uboczne rzeczy? Czyż mógł dbać o to, kto go podejrzewa, nie wierzy mu, kocha go lub nienawidzi – tym bardziej, jeżeli nienawidził go taki Cornelius?

Z takiego wroga Jim nic sobie nie robił.

– Kochany Marlowie – mówił – czuję, że gdy będę szedł prostą drogą, nic nie może mnie dotknąć. A ja przecież tak postępuję. Byłeś tu dość długo, przyglądałeś się i powiedz szczerze, czyż nie jestem najzupełniej bezpieczny. Wszystko ode mnie zależy. A, na Jowisza, niemało ufam sobie! Najgorszą rzecz, jaką może zrobić – to zabić mnie. Ani przez chwile taka myśl nie powstała w mej głowie. Nie mógłby, rozumiesz to – choćbym mu podał do ręki nabitą fuzję i odwrócił się do niego plecami. To tchórz nieporównany. A gdyby nawet mógł to uczynić i uczynił? Więc – cóż? Przecież ja nie po życie tu przybyłem – prawda? Chciałem odgrodzić się murem od całego świata, no, więc zostanę tu...

– Póki zupełnie nie będziesz zadowolony – pospieszyłem powiedzieć.

Siedzieliśmy wówczas pod płóciennym dachem, rozpiętym nad jego łodzią; dwadzieścia wioseł jednocześnie biło o wodę, tworząc jeden plusk, a za naszymi plecami Tamb' Itam rzucał spojrzenia na prawo i lewo, sterując uważnie olbrzymią łodzią. Jim pochylił głowę i nasza ostatnia rozmowa rwała się jakoś. Odprowadzał mnie on aż do ujścia rzeki. Mój statek wypłynął dzień wcześniej, a ja pozostałem dłużej.

Jim nierad był, że w ogóle wspominałem Corneliusa. Co prawda, niewiele powiedziałem. Ten człowiek był zbyt mało znaczący, by mógł być niebezpieczny, pomimo, że nienawiść przelewała się w jego sercu; tytułował mnie „czcigodnym panem" co drugie słowo i jęczał u mego boku, przeprowadzając mnie od grobu „nieboszczki żony", do wrót posiadłości Jima. Skarżył się, że jest najnieszczęśliwszym człowiekiem, ofiarą, zdeptaną jak robak; błagał, bym spojrzał na niego. Za nic w świecie nie odwróciłbym głowy w tym celu; ale rzuciwszy ukośne spojrzenie, widziałem jego wstrętny cień sunący obok niego, a księżyc, wiszący po prawej naszej stronie, patrzył spokojnie na to widowisko. Usiłował wytłumaczyć się – jak już wam mówiłem – ze swego udziału w wydarzeniach pamiętnej nocy.

– Ocaliłbym go, czcigodny panie! Ocaliłbym go za osiemdziesiąt dolarów! – mówił słodziutkim tonem.

– Ocalił się sam – odparłem – i przebaczył ci!

Usłyszałem jakiś chichot, odwróciłem się, a on już gotów był do ucieczki.

– Czego się śmiejesz? – spytałem, zatrzymując się.

– Nie daj się pan oszukiwać, czcigodny panie! – zawołał, tracąc widocznie panowanie nad sobą.

– On ocalił siebie! On nic nie wie, czcigodny panie! Kto on jest? Czego on chce, ten złodziej? Ciska wszystkim piasek w oczy i panu także, czcigodny panie, ale mnie on piaskiem oczu nie zasypie. To wielki głupiec, czcigodny panie!

Pogardliwie się roześmiałem i poszedłem dalej. Przyskoczył znów do mnie i szepnął:

– On tu jest jak małe dziecko – małe dziecko – nic więcej.

Naturalnie nie zwracałem na niego najmniejszej uwagi, a ponieważ czas naglił, gdyż zbliżaliśmy się do bambusowego

ogrodzenia błyszczącego w świetle księżyca – od razu przystąpił do interesu. Stał się bardzo płaczliwy. Wielkie nieszczęścia przewróciły mu w głowie. Miał nadzieję, że zapomnę o tym, co mówił w napadzie żalu. Nie chciał nic przez to powiedzieć, ale czcigodny pan nie wie, co to jest być zrujnowanym, zdeptanym. Po tym wstępie zaczął gadać w sposób tak niejasny, podstępny, iż przez długi czas nie mogłem zrozumieć, do czego zmierza. Chciał, bym wybłagał u Jima jakąś łaskę dla niego. Zdaje mi się, że chodziło tu o jakieś pieniądze. Powtarzał ciągle te słowa: „Skromna pensja – odpowiednie podarunki". Domagał się wynagrodzenia za coś i w końcu powiedział, że przecież życie nic nie warte, jeżeli człowiek ma być ze wszystkiego odarty. Nie pisnąłem słowa naturalnie, ale bacznie się przysłuchiwałem. Zrozumiałem w końcu, iż uważał, że należy mu się pewne wynagrodzenie za dziewczynę. Wychował ją. Cudze dziecko! Niemało miał kłopotów i przykrości – stary już jest – należą mu się odpowiednie podarunki. Jeżeli czcigodny pan powie słówko... Stanąłem, by spojrzeć na niego z ciekawością, a bojąc się widocznie, bym jego wymagania nie uważał za nazbyt przesadzone, pośpiesznie zrobił koncesję. Za „odpowiedni prezent", w tej chwili udzielony, jak oświadczył, gotów zająć się dziewczyną „już bez żadnych dodatków – gdy pan ten wracać będzie do domu". Jego żółta twarz, pomarszczona, jakby wyciśnięta, zdradzała chciwość i skąpstwo z niczym niezrównane. Skomlał nieustannie. „Żadnych więcej kłopotów – naturalny opiekun – za małą sumę..."

Stałem i podziwiałem go. Widocznie do takich rzeczy miał powołanie. W skurczonej jego postaci spostrzegłem jakąś pewność siebie, jak gdyby nigdy nie spotykał go zawód. Przypuszczał zapewne, że rozważam w duchu jego propozycję, gdyż stał się słodki jak miód.

– Każdy z panów zostawia coś, gdy nadejdzie czas powrotu do domu – zaczął przekonywającym tonem.

Zatrzasnąłem za sobą furtkę.

– W tym wypadku, panie Corneliusie, ten czas nigdy nie nadejdzie – rzekłem.

Przez parę sekund nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Co takiego? – krzyknął nareszcie.

– Jak to – powiedziałem – czyż nie słyszał pan, co mówił? Nigdy nie wróci do domu.

– O, tego za wiele! – wrzasnął.

Już nie mówił do mnie „czcigodny panie". Milczał przez chwilę, po czym bez śladu dawnej pokory mówił cichym głosem:

– Nigdy nie odjedzie – a! On – on – on przychodzi tu diabeł wie skąd – przychodzi – diabeł wie – po co – aby deptać po mnie, póki nie zdechnę – a – deptać po mnie tak – Przebierał nogami – tak, nie wiadomo dlaczego – póki nie umrę...

Głos jego stał się ledwie dosłyszalny; męczył go kaszel; zbliżył się do ogrodzenia i szeptem zwierzył mi się, że nie będzie deptany dłużej.

– Cierpliwości! Cierpliwości! – szeptał, bijąc się w piersi.

Nie śmiałem się już, za to on wybuchnął dzikim śmiechem:

– Ha! Ha! Ha! Zobaczymy! Zobaczymy! Co? Wykraść ode mnie wszystko! Wszystko! Wszystko?

Głowa mu zwisła na jedno ramię, załamał ręce. Zdawałoby się, że kochał dziewczynę niezwykłą miłością, że duch jego został zgnębiony, a serce złamane. Nagle podniósł głowę i rzucił ohydną obelgę.

– Podobna do swej matki – oszustki. Zupełnie. I z twarzy także! Diablica!

Oparł czoło o bambusowe pręty i wylewał cały potok gróźb, złorzeczeń w języku portugalskim, jednocześnie wykonując takie ruchy, jak gdyby miał śmiertelny atak choroby. Było to niewypowiedzianie komiczne i ohydne; co prędzej oddaliłem się. Coś krzyczał za mną. Zapewne jakieś obelgi na Jima, ale niezbyt głośno – znajdowaliśmy się za blisko domu. Słyszałem tylko wyraźnie:

– Jak małe dziecko – jak małe dziecko.

Rozdział XXXIV

Ale nazajutrz, gdy pierwszy zakręt rzeki zakrył domy Patusanu przed moim wzrokiem, wszystko, co tam widziałem, straciło swą barwę, rysunek i znaczenie, jak malowidło na płótnie, gdy się do niego odwrócisz plecami. Ale pozostało w mej pamięci nieruchome, jakby życie zostało powstrzymane tam cudownym sposobem. Zapamiętałem ambicje, trwogi, nienawiści i nadzieje.

Odwróciłem się od zatrzymanego obrazu, a wracałem do świata, gdzie wszystko żyje, rusza się, zalane światłem padającym tak na błoto, jak na kamienie. Nie zamierzałem się w nim całkowicie zanurzyć, wystarczyło mi, żeby utrzymać nad powierzchnią głowę. Co zaś do tego, co za sobą zostawiałem, nie mogłem wyobrazić sobie żadnej zmiany.

Ale postać, wokoło której wszystkie inne na tym obrazie są zgrupowane, jedna żyjąca postać – tej pewny nie jestem. Żadna pałeczka czarodzieja nie zdoła w oczach moich, on do nas należy.

Jim, jak wam mówiłem, towarzyszył mi podczas pierwszego etapu mojej podróży powrotnej do tego świata, którego sam się wyrzekł; nasza droga zdawała się wieść przez samo serce niedostępnej puszczy.

Pustkowia po jednej i drugiej stronie rzeki zalane były słońcem; tu znów masy wysokiej roślinności spuszczały się do wody, a łódź, pchana potężnymi rzutami wioseł, pruła powietrze jakby zgęszczone i gorące w cieniu wyniosłych drzew.

Cień nieuniknionej rozłąki wytworzył już olbrzymią przestrzeń między nami i gdyśmy rozmawiali, to przychodziły nam słowa

z wysiłkiem, tak jakby głosy nasze z trudnością tę przestrzeń przebywały.

Łódź mknęła szybko; siedzieliśmy obok siebie w stojącym, rozgrzanym powietrzu; zapachy mchów, błota, kwiatów, tej płodnej ziemi, biły nam w twarze; aż nagle, jak gdyby jakaś wielka prawica podniosła ciężką zasłonę, roztoczył się przed nami bezmierny widok.

Samo światło jakby drgnęło, sklepienie niebios nad naszymi głowami pogłębiło się, oddalony szum dobiegł naszych uszu, owiała nas świeżość, napełniła nasze płuca, przyśpieszyła bieg myśli, krwi – zginęły lasy, a ukazał się ciemnobłękitny brzeg morza. Odetchnąłem głęboko, odżyłem w tym bezmiarze otwartego widnokręgu, w tej atmosferze, zdającej się drgać trudem, życiem, energią świata. To sklepienie niebios, to morze otwarte było dla mnie. Dziewczyna miała słuszność – był znak, było w nich wezwanie, na które odpowiedziałem każdym atomem mojej istoty. Pozwoliłem moim oczom błąkać się po tym przestworzu, jak człowiek uwolniony z pęt wyciąga swe członki, biega, skacze, poddaje się wzniosłemu uczuciu wolności.

– Jakież to wspaniałe! – krzyknąłem i wówczas spojrzałem na grzesznika siedzącego u mego boku.

Z głową spuszczoną na piersi, nie podnosząc oczu, odparł: „Tak!”, jak gdyby obawiał się ujrzeć wypisaną na tle tego jasnego nieba ukrytą troskę swego romantycznego sumienia.

Pamiętam najmniejszy szczegół tego popołudnia. Wylądowaliśmy na kawałeczku płaskiego wybrzeża, zaraz za nim wznosiły się skaliste wzgórza, spowite u podnóży pnącą się roślinnością. Równa, spokojna powierzchnia morza, barwy ciemnobłękitnej, zlewała się z linią widnokręgu na poziomie naszych oczu Wzdłuż brzegu ciągnęły się łańcuchem o nierównych

ogniwach wysepki i odbijały się w wodzie jak w błyszczącym zwierciadle. W górze samotny, wielki ptak, cały czarny, to wznosił się, to spuszczał powolnym ruchem skrzydeł. Brudne, osmolone lepianki o dachach zrobionych z podartych mat, skupiły się wewnątrz ogrodzenia z pali koloru hebanowego. Na wodzie ukazała się mała łódeczka, siedzieli w niej dwaj chudzi, zupełnie czarni ludzie, z trudem pracowali, by przesunąć łódkę po błyszczącym zwierciadle. Lepianki te tworzyły wieś rybacką, cieszącą się specjalną opieką białego Lorda, a przybywający ludzie – byli to wódz plemienia i jego zięć. Wylądowali i zbliżali się ku nam, chudzi, ciemnobrunatni, jakby w dymie uwędzeni, z popiołem przylepionym do skóry na nagich plecach i piersiach. Głowy ich owiązane były brudnymi, lecz starannie ułożonymi chustami i stary rozpoczął natychmiast swe skargi, wyciągając chude ramię, wlepiając w Jima koprowe oczy z wyrazem wielkiej ufności. Ludzie Radży nie dają im spokoju; napadli na nich za jaja, które mieszkańcy wsi zbierali tam, na tych wysepkach – mówił, wskazując ręką. Jim słuchał czas jakiś, nie patrząc na nich, nareszcie powiedział łagodnie, by poczekali. Później rozpatrzy ich sprawę. Cofnęli się posłusznie i siedli w kucki w niejakim oddaleniu, złożywszy wiosła na piasku; oczy ich ze srebrzystym połyskiem biegały za każdym naszym ruchem; w tym bezmiarze morza i ciszy wybrzeża czułem Potęgę, czuwającą nad nami, karłami, rzuconymi na ten szmat błyszczącego piasku.

– Nie ma spokoju dlatego – mówił Jim – że już od wielu pokoleń rybacy z tej wsi uważani byli za osobistych niewolników radży – i ten stary grzyb zrozumieć nie może...

– Żeś ty to wszystko zmienił – zawołałem.

– Tak, zmieniłem to wszystko – mruknął posępnie.

– Trafiłeś nareszcie na sposobność, okazję.

– Doprawdy? A no tak, przypuszczam – odparł. – Odzyskałem ufność w samego siebie, dobre imię, ale czasami chciałbym... Nie! Trzymać się będę tego, co mam. Niczego więcej spodziewać się nie mogę. – Wyciągnął ku morzu ramiona. – Nie tam w każdym razie. – Tupnął nogą w ziemię. – Tu moja granica, bo mniej niż to nie zadowoliłby mnie.

Chodziliśmy po wybrzeżu. Jim rzucił ukośne spojrzenie na dwóch rybaków i rzekł:

– Tak, zmieniłem to wszystko, ale niech pan sobie tylko wyobrazi, co by było, gdybym to porzucił. W piekle nie mogłoby być gorzej. Nie! Jutro pójdę znów na kawę do starego Tunku Allanga i narobię wrzawy o te nieszczęsne jaja. Nigdy nie mogę spocząć. Muszę uczepić się tej ich wiary we mnie, by się czuć bezpiecznym i by... – Namyślał się nad odpowiednim słowem, zdawał się go szukać na morzu – by... mieć coś wspólnego z tymi, których może już nigdy nie ujrzę, z tobą na przykład.

Głęboko czułem się upokorzony jego słowami.

– Na miłość Boga – rzekłem – nie unoś się nade mną, drogi chłopcze; myśl o sobie.

Czułem dla niego wdzięczność, że wyróżnił mnie z szeregów nic nieznaczących tłumów. A doprawdy, czymże tak bardzo mogłem się pysznić? Odwróciłem pałającą twarz; w blaskach chylącego się, pociemniałego słońca, przypominającego rozżarzony węgiel wyjęty z płomieni, morze – w swym niezmąconym spokoju oczekiwało zbliżenia się płomiennej kuli. Dwa razy Jim chciał przemówić, ale powstrzymał się; nareszcie jak gdyby znalazł formułę – rzekł:

– Będę wierny, będę wierny – powtórzył, nie patrząc na mnie, ale pozwalając po raz pierwszy błąkać się swemu oku po tej powierzchni wód, których błękit przeszedł w purpurę w ogniu zachodzącego słońca.

Ach! Jakimże on był romantykiem. Przypominały mi się słowa Steina: „Zanurzony w niszczących żywiołach!... Podążać za swym marzeniem, podążać wiecznie – zawsze, usque ad finem...” Był romantykiem! Kto odgadnie, jakie kształty, zjawiska, jakie ukojenie widział w tych blaskach zachodu?... Malutka łódeczka odczepiła się od mego statku i zbliżała się, by mnie zabrać.

– A przy tym jest Jewel! – rzekł.

Drgnąłem, wyrwany z tej ciszy ziemi, nieba, morza, chłonącej wszystkie moje myśli.

– Jest Jewel! – powtórzył.

– Tak – szepnąłem.

– Nie potrzebuję mówić, czym ona dla mnie jest – ciągnął dalej – Widziałeś sam, przyjdzie czas, że zrozumie...

– Mam nadzieję – przerwałem mu.

– Ona mi także wierzy – szepnął i nagle zmieniając ton, spytał.

– Ciekawym, kiedy my się zobaczymy?

– Nigdy – chyba ty stąd wyjedziesz – odparłem, unikając jego wzroku. Nie zdawał się zdziwiony, milczał przez chwilę.

– A więc żegnam – rzekł – może tak i lepiej.

Uścisnęliśmy sobie ręce, a ja poszedłem do łódki, czekającej z nosem na brzegu. Mój statek rozwinął już żagle i drgał na purpurowym morzu, cały zabarwiony różowym odcieniem.

– Czy wrócisz prędko do domu? – spytał Jim, gdym wchodził do łodzi.

– Zapewne za rok, jeżeli żyć będę – odparłem.

Plusnęły wiosła, raz, drugi. Jim, stojąc na brzegu, podniósł głowę.

– Powiedz im... – zaczął.

Dałem znak ludziom, by wiosłować przestali i czekałem ze zdziwieniem. Powiedzieć co? Na wpół zanurzona w wodzie

błyszcząca kula rzucała wprost na niego swe promienie, widziałem krwawe blaski w jego oczach, patrzących na mnie smutnie.

– Nie, nic! – rzekł i ruchem ręki wysyłał łódkę w dal.

Nie spojrzałem już na brzeg, dopóki się nie znalazłem na pokładzie mego statku. Słońce tymczasem zupełnie zaszło. Wschód tonął w zmierzchu, wybrzeże ze swym morzem skał, było prawie czarne, jakby otwierało wrota dla zbliżającej się nocy; zachód gorzał purpurą i złotem, jedna tylko oderwana czarna chmura płynęła po nim, rzucając cień na wodę; ujrzałem raz jeszcze Jima, patrzącego na przygotowujący się do drogi statek.

Dwaj półnadzy rybacy zbliżyli się ku niemu, gdy tylko się oddaliłem; zapewne przelewali w uszy białego Lorda wszystkie swe nędze, bóle, cierpienia, a on słuchał, przejmował się tym, bo czyż to nie było cząstką tego szczęścia, na które on, jak mówił – zasłużył.

Ciemne ich postacie prędko zatarły się w zmroku, dłużej był widzialny ich opiekun. Od stóp do głów biało odziany, odrzynał się długo na tle ciemnej nocy z morzem u swych stóp i okazją u boku – jeszcze zakwefioną. I cóż myślicie? Czy była jeszcze zakwefiona? Ja nie wiem. Dla mnie ta biała postać w ciszy wybrzeża i morza zdawała się stać w samym sercu wielkiej zagadki. Z obłoków szybko spływał mrok na jego głowę, znikł już grunt spod jego nóg, a on sam wydawał się nie większy od dziecka – stał się plamą – malutką plamką, zdawał się wchłaniać w siebie ostatnią jasność zapadłego w ciemność świata. I nagle straciłem go z oczu...

Rozdział XXXV

Tymi słowy zakończył Marlow swe opowiadanie. Audytorium jego rozpierzchło się natychmiast. Ludzie parami lub pojedynczo opuszczali werandę, nie tracąc czasu, nie robiąc żadnych uwag, jak gdyby ostatni obraz tej niedokończonej historii, sam ton opowiadającego czynił dyskusję zbyteczną, a komentarze niemożliwe. Każdy z nich unosił swe wrażenie, jak jakąś tajemnicę; ale pomiędzy słuchaczami był jeden człowiek, mający usłyszeć ostatnie słowo tej historii. Przyszło do niego we dwa lata później, w grubym pakiecie, zaadresowanym prostym pismem Marlowa.

Uprzywilejowany człowiek otworzył pakiet, przejrzał papiery, złożył je na stole i podszedł do okna. Mieszkał pod samym dachem wysokiego gmachu i wzrok jego mógł sięgać daleko, jak gdyby znajdował się na szczycie latarni morskiej. Pochyłości dachów błyszczały, tworząc jakby nieruchome fale, a z głębin leżącego u jego stóp miasta płynął głuchy, nieustanny pomruk. Dzwonnice kościołów wystrzelały w górę; padający deszcz przyspieszał mrok zimowego wieczoru; wielki zegar na wieży wybijał godzinę, a potężny jego dźwięk drgał w powietrzu przeciągle i donośnie. Zaciągnął ciężkie kotary okien.

Błysnęło światło lampy, kroki chodzącego po pokoju człowieka głuszone były dywanem, zajmującym całą podłogę. Skończyły się lata jego wędrówki. Nie będzie już więcej widnokręgów, jak nadzieja niemających granic, nie ujrzy zapadającego mroku w lasach tak uroczystych jak świątynie, nie będzie już w pogoni za krainą wiecznie nieodkrytą, a kryjącą się gdzieś – za wzgórzem,

za strumieniem, za następną falą. Wybiła godzina! Już nigdy więcej! Nigdy! Ale leżący w świetle lampy pakiet przywołał dźwięki, wizje, wspomnienia minionej przeszłości – cały tłum rozmaitych fizjonomii, głosów rozlegających się na wybrzeżach dalekich mórz, pod namiętnymi, żarem ziejącymi promieniami słońca. Westchnął i zabrał się do czytania.

Papiery podzielone były na trzy części. Spora ilość kartek, gęsto zapisanych, była spięta razem; duży, szary arkusz papieru z niewieloma słowami nakreślonymi obcym pismem i wyjaśniający list Marlowa. Wypadł z niego drugi, pożółkły i postrzępiony. Podniósł go, położył na boku, przebiegł szybko oczami list Marlowa i zabrał się do czytania z uczuciem, że zapuszcza ciekawe oko w kraj dotąd niezbadany.

...Przypuszczam, że nie zapomniał Pan o Jimie – tymi słowy zaczynał się list. – Pan jeden okazał zainteresowanie tym, który przeżył opowiadaną wam historię, choć, pamiętam doskonale, nie wierzył Pan, że okiełznał on już swój los. Przepowiadał Pan, że wyczerpie się i obrzydnie mu wszystko, chociaż spełni swe zadanie, odzyska honor i zazna miłości. Mówił Pan, że zna dobrze „tego rodzaju sprawy", złudne zadowolenie i nieuniknione rozczarowanie. Powiedział Pan również – pamiętam to dobrze – że „poświęcać im życie (im, to jest ludzkości o skórze ciemnej, żółtej lub czarnej), to jakby się duszę zaprzedawało dzikiej bestii". Utrzymywał Pan, „że tego rodzaju rzecz" można znieść i wytrzymać, gdy jest oparta na stałym przekonaniu o prawdzie idei, które do nas, jako do pewnej rasy, należą, w imię których powstał porządek i moralność etycznego postępu. „Musimy czuć za plecami ich siłę – mówił Pan – musimy wierzyć w ich konieczność i sprawiedliwość, by ofiara z naszych jestestw nabrała istotnej wartości". „Bez tego poświęcenie jest tylko zapomnieniem,

całopaleniem swej istoty – prostą zgubą". Innymi słowy, twierdził Pan, że walczyć musimy w szeregach, albo też życie nasze nie liczy się. Możliwe! Pan musi to wiedzieć, Pan, który sam, bez niczyjej pomocy dawał sobie radę w niejednej przygodzie i wychodził Pan z nich nie osmoliwszy sobie skrzydeł. Jim był pozostawiony samemu sobie i powstaje pytanie, czy na koniec nie wyznawał wiary w siłę potężniejszą niż prawa ogólnego porządku i postępu.

Ja nic nie twierdzę. Może po przeczytaniu – Pan zdoła orzec. Nie jesteśmy w stanie dokładnie mu się przyjrzeć, tym bardziej, że ostatnie spojrzenie możemy na niego rzucić jedynie za pośrednictwem cudzych oczu. Nie waham się podzielić z Panem szczegółami ostatniego epizodu, który, jak się zwykł wyrażać, „przyszedł do niego". Może to była ta ostatnia okazja, na którą, zdaje mi się, czekał nieustannie, by móc sformułować przesłanie do tego nieubłaganego świata. Pamięta Pan, że gdyśmy się po raz ostatni żegnali, spytał, czy prędko powrócę do domu i nagle krzyknął za mną: „Powiedz im..." Czekałem – z ciekawością, przyznaję – i nadzieją także, a on krzyknął tylko: „Nie, nic!" Oto wszystko, nic więcej; żadnego przesłania nie będzie, chyba to, jakie każdy z nas może wyciągnąć dla siebie z wymowy faktów, będących tak często bardziej zagadkowymi niż najzręczniej ułożone procesy. Co prawda, raz usiłował wyzwolić się, ale to mu się nie udało, jak się Pan przekona, jeżeli zechce Pan przejrzeć dołączony tu szary arkusz. Usiłował napisać. Widzisz nagłówek: „Fort Patusan". Zdaje mi się, że powziął plan zamienienia swego domu na miejsce obronne. Była to myśl doskonała: głęboki rów, wał z palisadą, a po rogach ustawione na platformach – działa. Doramin chciał mu dostarczyć broni palnej; w ten sposób każdy człowiek z ich partii wiedział, że jest jedno bezpieczne miejsce, do którego wszyscy wierni partyzanci mogą zbiec się w chwili niebezpieczeństwa. To wszystko

świadczyło o jego zdolnościach przewidywania i o tym, że wierzył w przyszłość. Ci, których nazywał „swoimi ludźmi" – uwolnieni z niewoli szeryfa – mieli skupić się razem i pobudować się w obrębie fortyfikacji, tworząc tym sposobem oddzielną część Patusanu. „Fort Patusan", żadnej daty, jak Pan widzi. Czymże jest cyfra lub nazwa wobec tego wyjątkowego dnia? O kim on myślał, kreśląc te słowa – nie wiadomo. Schwycił raz drugi za pióro i napisał: „Stała się rzecz straszna... muszę natychmiast..." – pióro prysnęło atramentem i koniec.

Historię ostatnich wypadków znajdzie Pan w tych kilku załączonych kartach. Przyznać Pan musi, że romantyczność jej przechodzi wszelkie najdziksze młodzieńcze marzenia, a zarazem zdaje mi się, że jest w niej pewna straszna, głęboka logika, tak jak gdyby jedynie nasza imaginacja roztaczała nad nami potęgę przygniatającego nas losu. Nieostrożność naszych myśli spada na nasze głowy; kto z mieczem igra, od miecza ginie. Ta nadzwyczajna przygoda, w której to jest najdziwniejsze, że jest prawdziwa, zjawia się jak nieunikniona konsekwencja. Coś podobnego zdarzyć się musiało. Powtarzasz sobie pytanie: czy taka rzecz zdarzyć się mogła? A jednak zdarzyła się – i tu o logice tego wypadku roztrząsać nie można.

Przedstawiam ci to tak, jak gdybym był naocznym świadkiem. Moje informacje były urywkowe, ale zlepiłem wszystkie kawałki i wytworzył się dość jasny obraz. Ciekawy jestem, jak on by to sam opowiedział. Z tylu rzeczy zwierzył mi się, iż czasami zdaje mi się, że on musi zaraz się zjawić i opowiedzieć tę historię własnymi słowami, głosem niby obojętnym, a pełnym uczucia, trochę zdziwiony, znudzony, trochę dotknięty, ale tu i ówdzie wypowiadający słowo lub zdanie pozwalające rzucić spojrzenie na jego wewnętrzną istotę, tak trudną i niepodatną

do orientowania się w niej. Trudno uwierzyć, że on już nigdy nie przyjdzie. Nie usłyszę już więcej jego głosu, nie ujrzę jego ogorzałej twarzy z białą linią na czole i młodzieńczych oczu, przechodzących w uniesieniu w ciemną, głęboką, bezdenną barwę błękitu.

Rozdział XXXVI

Zaczyna się to od wielkiego dzieła dokonanego przez niejakiego Browna, który z najzupełniejszym powodzeniem wykradł statek hiszpański z małej zatoki w pobliżu Zamboanga. Zanim się spotkałem z tym człowiekiem, informacje moje były bardzo niedokładne, ale zupełnie niespodziewanie natknąłem się na niego w ostatnich godzinach jego życia. Na szczęście, chciał i mógł mówić jeszcze wśród duszących ataków astmy, a wyschłe jego ciało wiło się ze złośliwej radości na samo wspomnienie Jima. Radował się, „że i tak w końcu odpłacił się mu". Pieścił się wspomnieniem czynu swego. Musiałem znieść ponure spojrzenie jego zapadłych, zmarszczkami otoczonych oczu, jeżeli chciałem dowiedzieć się czegoś; więc znosiłem je, rozmyślając o tym, jak pewna forma zła pokrewna jest szaleństwu, wypływa ze spotęgowanego egoizmu, podsycana jest oporem, duszę szarpie na strzępy, dając sztuczną moc ciału. Historia ta odkrywa także niepodejrzewane głębie chytrości nędznego Corneliusa, którego odrażająca a potężna nienawiść działała niby subtelne natchnienie, wskazując mu niezawodnie drogę ku zemście.

– Gdy tylko spojrzałem na niego, zrozumiałem, jakim jest głupcem! – mówił ciężko, dysząc, dogorywający Brown. – To miał być mężczyzna! On! To był żałosny blagier! Gdyby był mężczyzną, to by powiedział do mnie: „Łapy precz od mojego łupu!". Bodaj go zaraza! Do diabła z tą jego wyższą duszą! Miał mnie tam, ale nie zdobył się na to, by załatwić się ze mną jak należało. Taki osioł puścił mnie żywego, jakbym nie był wart nawet

kopniaka!... – Brown rozpaczliwie walczył, by chwycić odrobinę tchu. – Puścił mnie... Więc ja musiałem z nim skończyć... nie mogłem znieść, że on panował tam... gdzie ja... siedziałem jak szczur w pułapce... Zdaje mi się... że muszę... ale... umrę zadowolony. Pan... nie wiem jak się nazywasz... ale dałbym ci banknot pięciofuntowy – gdybym go miał – za możność wygadania się... – jakem Brown – wykrzywił się wstrętnie – szlachetny Brown!

Mówił to wszystko, dysząc straszliwie, patrząc na mnie żółtymi oczyma, wyłażącymi ze zniszczonej, ciemnej twarzy; wymachiwał lewą ręką; zmierzwiona, szpakowata broda sięgała mu prawie do kolan, brudna, podarta kołdra zakrywała mu nogi. Znalazłem go w Bangkoku za pośrednictwem tego ruchliwego Schomberga, hotelarza, który zaprowadził mnie do umierającego. Okazało się, że jakiś pijak, włóczęga – biały, żyjący wśród tuziemców z żoną Syjamką – uważał sobie za wielki honor dać przytułek umierającemu, sławnemu Brownowi.

Konający mówił gorączkowo, ale często w środku słowa niewidzialna ręka chwytała go za gardło i wówczas patrzył na mnie milcząc, z wyrazem wątpliwości i strachu. Zdawało się, że lęka się, bym nie znudził się opowiadaniem; bo gdy odejdę, on nie zdoła wypowiedzieć wszystkiego i nie wyrazi swego zadowolenia! Umarł zdaje się w ciągu nocy, ale wypowiedział do końca historię swego wspaniałego czynu.

Szlachetnie urodzony wcześnie zaczął karierę łotra awanturnika, a przeszedłszy rozmaite stopnie upadku moralnego i materialnego – stał się postrachem mórz i oceanów, gdyż zebrał garstkę podobnych mu ludzi, włóczył się w celach rabunku i gwałtu na skradzionym statku (o tej kradzieży opowiadają sobie marynarze po świecie całym), a bezczelną odwagą i szatańskim sprytem obdarzony, wywijał się zawsze z rąk poszukujących go władz. Nareszcie

odwróciło się od niego szczęście i razem ze swą załogą, nędzą, głodem, chorobami do postaci szkieletów doprowadzoną – postanowił szukać ratunku w Patusanie, dokąd przybył na wielkiej łodzi, pozostawiając statek swój pod opieką jednego z załogi, resztę zabierając z sobą. Początkowo miał zamiar tylko wybłagać dla siebie żywność, ale widząc zamożność obszernej siedziby ludzkiej, powziął szalony zamiar zagarnięcia jej dla siebie, licząc na to, że tuziemcy nie zdołają się oprzeć niespodzianej napaści białych, uważanych przez nich za istoty wyższe, obdarzone nadprzyrodzoną siłą. Morderczym ogniem zaznaczył wjazd swój do Patusanu, postanawiając wzniecić pożar ze wszystkich stron i puścić z dymem wszelkie siedziby ludzkie, aby stać się panem całej okolicy. Może by i udał mu się ten szalony zamiar, gdyż tuziemcy przekonani byli, że za tą łodzią z garstką białych sunąć muszą zbrojne okręty z całą armią chciwych napastników, ale Dain Waris, obdarzony odwagą niezwykłą u tej rasy i wierzący w niezwalczoną potęgę Jima, który dzień przedtem udał się w głąb kraju dla załatwienia jakichś nieporozumień międzyplemiennych, postanowił bronić się do upadłego. Biali zapędzeni na wysepkę, znaleźli się w krytycznym położeniu i zrozpaczony Brown zrozumiał, że nadeszła dla niego ostatnia godzina. Ale chytry Radża zapragnął skorzystać z okoliczności, wysłał do napastników Corneliusa i obiecał im swą pomoc, jeżeli oni w zamian pomogą mu w odzyskaniu dawnej władzy. Corneliusowi rola takiego pośrednika bardzo dogadzała, pragnął się teraz zemścić i zgubić Jima, uknuł więc z Brownem piekielny plan.

Bugisowie nic o tych podstępnych układach nie wiedząc, czekali tylko powrotu Jima, by wytępić napastników co do nogi. Gdy Jim powrócił i dowiedział się o napaści białych, sam udał się nad zatokę, dzielącą go od nieprzyjaciela, by się z nim, jak człowiek z człowiekiem rozmówić. Brown wiedział przez Corneliusa, że część

wojowników z Dain Warisem na czele zajęła dół rzeki, więc odwrót ma zamknięty, rozumiał, że dla niego wyjścia nie ma, nie chciał słuchać namów Corneliusa, nie zabił bezbronnego Jima, bo wiedział, że tuziemcy, chociaż stracą tego wodza, uzmysławiającego dla nich nadprzyrodzoną potęgę, bronić się będą, a on z kilku zaledwie ludźmi nie podoła im. Postanowił jednak zemścić się na tym ziomku, który doszedł do szczytu władzy i potęgi tam, gdzie jego spotkało upokorzenie. Uprzedzony więc przez Corneliusa o charakterze Jima, przemówił do niego w imię uczuć, jakie łączyć winny dwóch przedstawicieli rasy białej, i błagał go o wypuszczenie na wolność, ręcząc honorem, że odpłynie ze swymi ludźmi, nie czyniąc tuziemcom żadnej krzywdy. Jim, tknięty litością dla tych wynędzniałych nieszczęsnych rozbitków życiowych, stawia czoło wszystkim wodzom, domagającym się na radzie wojennej wymordowania najezdników i żąda, by ich puszczono wolno, głową swą ręcząc, że żadna krzywda krajowcom się nie stanie. Przystano na to, gdyż słowo Jima wyrocznią było dla nich. Dano znać Dain Warisowi i wojownikom jego zajmującym dół rzeki, że biali mają być przepuszczeni bez strzału z powrotem do statku swego. Zlecenie to poniósł Tamb' Itam i na dowód wiarogodności słów swoich, obrączkę srebrną Jima wręczył Dain Warisowi. Nie spodziewając się niczego, wojownicy, rozłożeni obozem nad brzegiem rzeki, zażywali spokoju, gdy przeprowadzony przez Corneliusa boczną drogą Brown napada na obóz z tyłu i celnymi strzałami kładzie trupem najlepszych wodzów, a między nimi Dain Warisa, nadzieję życia starego Doramina, chlubę plemienia Bugisów! Reszta wojowników przekonana, że cała armia białych napada na nich, rozproszyła się i pospieszyła z hiobową wieścią do Patusanu. Pierwszy powrócił Tamb' Itam, wpadł na dziedziniec domu Jima, gdzie spotkał „Jewel", która, jak gromem

tą wieścią rażona, posłała go na górę do spoczywającego w tej chwili Jima.

Tamb' Itam pobiegł na schody. Pan jego spał!

– To ja, Tamb' Itam – krzyknął, stojąc u drzwi – niosę nowiny niecierpiące zwłoki.

Widząc, że Jim obudził się, zaczął mówić, nie zwlekając:

– Tuanie, to dzień okropny, przeklęty!

Jim wsparł się na łokciu, tak jak to uczynił Dain Waris, gdy zjawił się przed nim wysłannik przyjaciela. Wówczas Tamb' Itam opowiadał rzecz całą, usiłując zachować porządek wypadków.

– Gdy powtórzyłem mu zlecenie, Dain Waris krzyknął na swych ludzi: „Dajcie co jeść Tamb' Itamowi"...

Jim spuścił nogi z łóżka i patrzył tak strasznymi oczyma, iż słowa zamarły w gardle sługi.

– Gadaj! – krzyknął. – Czy zginął?

– Obyś żył wiecznie! – zawołał Tamb' Itam. – Była to okropna zdrada. Na odgłos pierwszych strzałów wyskoczył z namiotu i padł...

Jim podszedł do okna i uderzeniem pięści otworzył okiennicę.

Światło zalało pokój; wówczas głosem pewnym, lecz szybkim zaczął wydawać rozkazy, by biegł do tego i owego, by gotowali się do pościgu, wysyłali posłańców; mówiąc tak, siadł na łóżku, pospiesznie wiążąc trzewiki i nagle spojrzał w górę.

– Czego tu jeszcze stoisz? – spytał – nie trać czasu.

Tamb' Itam nie poruszył się.

– Przebacz, Tuanie... ale... ale... – jąkał się.

– Co? – wrzasnął Jim, chwytając za poręcz łóżka.

– Niebezpiecznie dla sługi twego iść między lud – rzekł Tamb' Itam po chwili wahania.

Teraz Jim zrozumiał. Z powodu impulsywnego skoku wycofał się z jednego świata, a dziś ten świat drugi, dzieło jego własnych rąk, runął na jego głowę. Niebezpiecznie jest dla sługi jego iść między jego lud! Zdaje mi się, że właśnie w tej chwili postanowił stawić czoło nieszczęściu w sposób, jaki jedynie uważał za stosowny; opuścił pokój i siadł przy długim stole, gdzie zwykł był codziennie załatwiać sprawy swego świata, głosząc prawdę, bez wątpienia zamieszkującą jego serce. Czarne potęgi nie obedrą go po raz drugi ze spokoju ducha! Siedział jak posąg wykuty z kamienia. Tamb' Itam uczynił pokorną uwagę, że należy pomyśleć o środkach obrony. Dziewczyna, którą kochał, zbliżyła się i przemówiła, ale w jego ruchu ręki tyle było błagania o milczenie, iż przerażona usunęła się. Wyszła na werandę, siadła na schodach, jakby chciała własnym ciałem bronić go od zewnętrznych niebezpieczeństw.

Jakie myśli przewinęły się w jego umyśle, jakie wspomnienia? Kto może to wiedzieć? Wszystko przeminęło i on, który raz zawiódł zaufanie, znów stracił wiarę ludzi. Wówczas, jak sądzę, usiłował napisać do kogoś i zaniechał tego. Samotność zataczała nad nim wielkie kręgi. Lud w jego ręce złożył bezpieczeństwo swego życia, a teraz – nigdy, nigdy zrozumieć go nie zdoła. Cały dzień siedział tak, nie wydawszy głosu. Późnym wieczorem podszedł do drzwi i zawołał na Tamb' Itama.

– Co słychać? – spytał.

– Dużo płaczu, dużo gniewu – odparł wierny sługa.

– Czy ty wiesz wszystko? – szepnął.

– Tak, Tuanie, wiem, wrota dobrze są strzeżone. Będziemy musieli stoczyć walkę.

– Walkę? O co? – spytał.

– Aby ocalić nasze życie.

– Ja nie mam już życia.

Tamb' Itam usłyszał jęk dziewczyny stojącej za drzwiami.

– Kto wie? – mówił Tamb' Itam. – Śmiałość, przebiegłość pozwoliłyby nam nawet uciec. Bo przecież w sercach tamtych ludzi strach jeszcze nie wygasł.

Wyszedł, marząc o łodziach i otwartym morzu, zostawiając Jima z dziewczyną.

Nie mam serca dzielić się z wami tym, co zaszło między nimi, gdy ona przez godzinę czy więcej, którą z nim spędziła, walczyła o swoje szczęście. Nie wiadomo, czy on miał jakieś nadzieje, czegoś się spodziewał. Był niewzruszony, a ze wzrastającym wyosobnieniem uporu duch jego zdawał się wznosić nad ruinami jego egzystencji. Ona wołała: „Walcz!" Nie rozumiała. O cóż tu można walczyć? On miał dowieść swej potęgi w inny sposób i sam miał odnieść zwycięstwo nad swym fatalnym losem.

Wyszedł na dziedziniec, a za nim, z rozpuszczonymi włosami, błędnymi oczyma, bez tchu prawie, wysunęła się dziewczyna.

– Otworzyć wrota! – krzyknął.

Następnie, zwracając się do ludzi, którzy jeszcze zostali w fortecy, pozwolił im wracać do domów.

– Na jak długo, Tuanie? – spytał jeden z nich nieśmiało.

– Na całe życie – odparł ponurym głosem.

Cisza zaległa miasto po wybuchu jęków, płaczów, lamentów, przeciągających nad rzeką jak podmuch wichru z otwartego przybytku cierpienia!

Ale szeptem powtarzane wieści napełniały serca przerażeniem i strasznymi wątpliwościami. Wracają łupieżcy, przywożąc wielu innych z sobą, na wielkim okręcie, ani jedna istota żywa nie pozostanie. Ludzie przejęci byli uczuciem niechybnego niebezpieczeństwa, tak jak w czasie trzęsienia ziemi; szeptem dzielili

się swymi podejrzeniami, patrząc jeden na drugiego z przerażeniem, jakby już widzieli jakąś straszną wróżbę.

Słońce chyliło się za lasy, gdy ciało Daina Warisa przywieziono Doraminowi. Czterech ludzi niosło je, zakryte białym prześcieradłem, które stara matka wysłała na brzeg rzeki na powitanie syna. Złożono ciało u nóg Doramina, a starzec siedział czas długi, z rękami wspartymi na kolanach i patrzył, patrzył... Delikatnie poruszały się palmy, liście owocowych drzew melodyjnie szeleściły. Wszyscy nieżonaci ludzie plemienia jego stali w pełnym uzbrojeniu; nareszcie stary nakhoda podniósł oczy. Toczył nimi po tłumie, jakby szukał czyjejś twarzy. Znów opuścił głowę na piersi. Szepty tłumów zlały się z lekkim szelestem liści.

Gdy odkryto ciało Daina Warisa na znak dany przez Doramina, leżał ten przyjaciel białego lorda, jak go zwykle nazywali, spokojny, niezmieniony, z oczami na wpół otwartymi, jakby miał zaraz przemówić. Doramin pochylił się trochę naprzód, jak człowiek, szukający czegoś na ziemi. Oczy jego błądziły od głowy do stóp trupa, może szukając rany? Była niewielka, na czole; bez słowa jeden z bliżej stojących pochylił się, ściągnął srebrną obrączkę ze skostniałej ręki i podał ją Doraminowi. Pomruk strachu i grozy pełny przeleciał przez tłum na widok tego znanego przedmiotu. Spojrzał stary nakhoda i nagle wydał z siebie straszny ryk, ryk bólu, wściekłości, tak potężny, jak ryk śmiertelnym ciosem ugodzonego bawołu, strachem przejmując serca obecnych głębią swego smutku i gniewu. Przez chwilę zaległa śmiertelna cisza, gdy czterech ludzi uniosło trupa, by go złożyć u stóp stojącego w głębi drzewa. Wówczas wszystkie kobiety wybuchnęły wielkim jękiem; żal swój wyrażały krzykami; słońce zachodziło, a w przerwach tych kobiecych jęków rozlegały się wysokie śpiewne głosy dwóch starców, intonujące wersety Koranu.

W tym czasie Jim, wsparty na armatce, plecami zwrócony do swego domu, patrzył na rzekę; dziewczyna, cała drżąca, stała na progu i nie spuszczała z niego oczu. Tamb' Itam nie odchodził od swego pana, czekając cierpliwie na to, co zdarzyć się może. Nagle Jim, zdający się rozmyślać spokojnie, zwrócił się do niego i rzekł:

– Czas już z tym skończyć.

– Tuanie? – zawołał Tamb' Itam podbiegając. Nie wiedział, o czym mówi jego pan; dziewczyna, widząc ruch Jima, podbiegła również pospiesznie.

Będąc w połowie dziedzińca, krzyknęła:

– Będziesz walczył?

Jim obrócił się do niej i opierając plecami o armatkę, odparł:

– Nie ma o co walczyć.

Mówiąc to, uczynił jeden krok naprzód.

– Zgodzisz się na ucieczkę? – krzyknęła znów.

– Tu nie ma ucieczki – odparł, zatrzymując się, co i ona uczyniła, pożerając go oczyma.

– I pójdziesz? – spytała powoli.

Pochylił głowę.

– A! – krzyknęła. – Jesteś szalony lub fałszywy! Pamiętasz tę noc, gdy cię błagałam, byś mnie opuścił, a powiedziałeś, że nie mógłbyś, że to niemożliwe! Pamiętasz, powiedziałeś, że nigdy mnie nie opuścisz? A ja cię o te przysięgi nie prosiłam. Dobrowolnie je składałeś!

– Dość, biedaczko moja – rzekł – nie miałabyś ze mnie wielkiej pociechy.

Tamb' Itam opowiadał, że gdy tak z sobą rozmawiali, ona śmiać się zaczęła tak głośno i dziko, jak to czynią ludzie nawiedzeni przez bóstwo. Pan jego złożył swe ręce na głowie. Natychmiast śmiać się przestała.

– Po raz ostatni pytam – krzyknęła groźnie – będziesz się bronił?

– Nic mnie dotknąć nie może – odparł z ostatnim przebłyskiem dumy i egoizmu.

Tamb' Itam widział, jak dziewczyna jednym susem przypadła do niego i ramionami chwyciła za szyję.

– O, nie puszczę cię! – krzyknęła. – Jesteś mój! – łkała, złożywszy głowę na jego ramieniu.

Niebo nad Patusanem, krwisto czerwone, bezmierne, zdawało się ociekać krwią, płynącą z otwartej arterii.

Olbrzymie purpurowe słońce osiadało na szczytach drzew, a czarny las pod nim miał ponury wygląd.

Tamb' Itam mówił mi, że wieczoru tego widok nieba był straszny i groźny. Najzupełniej wierzę temu, gdyż wiem, że o sześćdziesiąt mil od wybrzeży Patusanu przeszedł cyklon, w samym Patusanie prawie nieodczuwany.

Nagle Tamb' Itam ujrzał, że Jim chwyta ręce dziewczyny, by je oderwać od swej szyi.

Ona przechyliła się w tył, jej włosy dotykały ziemi.

– Chodź tu! – krzyknął Jim, wzywając wiernego sługę, by pomógł mu złożyć ją na ziemi.

Z trudem odczepili jej palce od rąk Jima. Jim pochylił się nad nią, spojrzał serdecznie w jej twarz i skoczył na brzeg rzeki, gdzie stały czółna. Tamb' Itam udał się za nim, ale odwrócił głowę i widział, jak dziewczyna zerwała się, podbiegła kilka kroków i padła na kolana.

– Tuanie! Tuanie! – wołał Tamb' Itam.

Jim już wskoczył do czółna i trzymał wiosło w ręce. Nie obejrzał się ani razu. Tamb' Itam ledwie zdołał wdrapać się za nim, dziewczyna pozostała na klęczkach, z załamanymi rękami. Pozostała chwilę w tej błagalnej pozycji, po czym zerwała się.

– Jesteś fałszywy! – krzyknęła.

– Przebacz mi! – odpowiedział donośnie Jim.

– Nigdy! Nigdy! – wołała.

Tamb' Itam wziął wiosło z rąk swego pana. Gdy przybyli na przeciwległy brzeg, Jim zabronił mu iść dalej; ale on nie posłuchał i w niejakim oddaleniu szedł za Jimem do obozu Doramina.

Ściemniało się. Błysnęły tu i ówdzie pochodnie. Spotykani ludzie okazywali wielkie przerażenie i pośpiesznie usuwali się na bok, by dać przejść Jimowi. Rozlegały się bolesne jęki kobiet. Dziedziniec zapełniony był zbrojnymi Bugisami i ludem Patusanu.

Nie wiem doprawdy, co to zbiegowisko miało oznaczać. Czy to były przygotowania do wojny, do zemsty, czy też do odparcia grożącej napaści najeźdźców? Niemało czasu upłynęło, zanim przestano się lękać powrotu białych ludzi; jaka była łączność między nimi a ich białym lordem, nie mogli zrozumieć. Nawet dla tych prostych umysłów Jim pozostał przesłonięty jakimś cieniem.

Doramin, zrozpaczony, zgnębiony, odosobniony od tłumu, siedział na swym fotelu, trzymając na kolanach parę pistoletów. Gdy Jim ukazał się, wszystkie głowy zwróciły się ku niemu; tłum rozstąpił się na prawo i lewo i Jim przeszedł tą drogą, widział jak ci ludzie unikają jego spojrzenia. Szły za nim stłumione szepty: „To on jest sprawcą wszystkiego. On urok rzucił..." Czy słyszał te słowa?

Gdy Jim stanął w blasku rzucanym przez pochodnie, jęki kobiet ścichły nagle. Doramin nie podniósł głowy, a Jim stał przed nim czas jakiś, nie mówiąc słowa. Następnie rzucił na lewo spojrzenie i poszedł w tym kierunku mierzonym krokiem. Matka Dain Warisa skulona siedziała przy trupie, siwe jej włosy całkowicie zakrywały jej twarz. Jim zbliżył się, spojrzał na swego martwego przyjaciela i wrócił na dawne swe miejsce.

– Przyszedł! Przyszedł! – powtarzały wszystkie usta.

– Odpowiadać miał własną głową – ktoś wyrzekł głośno. Słysząc to, Jim zwrócił się do tłumów.

– Tak. Odpowiedzialność przyjąłem na siebie.

Stał znów przed Doraminem i po chwili rzekł:

– Przybyłem zbolały, zgnębiony. Staję przed tobą bezbronny.

Starzec, ciężko dźwigając w górę głowę, jak wół idący w jarzmie, usiłował podnieść się, chwytając jednocześnie leżące na kolanach pistolety. Z gardła jego wydobywały się jakieś charczące, bulgoczące, nieludzkie dźwięki, dwóch ludzi pośpieszyło mu z pomocą. Lud zauważył, że obrączka, którą trzymał na kolanach, spadła i potoczyła się pod nogi białego człowieka; Jim patrzył na ten talizman, za pomocą którego otwarły się dla niego wrota sławy, miłości, powodzenia w obrębie tych lasów, obramowanych srebrzystą pianą, na tych wybrzeżach o zachodzie słońca wyglądających jak niedostępna twierdza. Doramin, walczący ze sobą, by utrzymać się na nogach, tworzył z podtrzymującymi go ludźmi jakąś chwiejącą się, drżącą grupę. Z jego małych oczu wyzierał szalony ból, wściekłość z jakimś przebłyskiem okrucieństwa i gdy Jim stał jakby stężały w sobie w czerwonych blaskach pochodni i patrzał mu prosto w oczy, Doramin wsparł się całym ciężarem na ramieniu stojącego po lewej stronie młodzieńca i wznosząc prawą rękę, przeszył kulą pierś najlepszego przyjaciela swego syna.

Tłum, który widząc wzniesioną rękę starego wodza, pośpiesznie skoczył na bok, teraz po strzale rzucił się naprzód. Powiadają, że biały człowiek rzucił na prawo i lewo spojrzenie dumne, nieugięte. Przytknął rękę do ust i runął na ziemię, nie drgnąwszy więcej.

I oto koniec. Odszedł z sercem niezbadanym, zapomniany, nie otrzymawszy przebaczenia, owiany nadzwyczajnym romantyzmem.

Nawet w najdzikszych wizjach swych młodzieńczych marzeń nie mógł przewidzieć takiego zakończenia, darzącego go takim zwycięstwem! Bardzo być może, że gdy w ostatniej chwili rzucał te dumne, nieugięte spojrzenia, stanął nareszcie oko w oko z tą okazją, która, jak wschodnia oblubienica, dotąd z zasłoną na twarzy stała u jego boku.

Skamieniałą z bólu „Jewel" wraz z wiernym Tamb' Itamem zabrał jakiś Malajczyk, agent handlowy Steina i na swym statku przewiózł do jego domu. Tam z ust Tamba dowiedziałem się o tym wszystkim, gdy w nieustannych mych po świecie wędrówkach zawitałem do starego druha.

Widzimy jego niewyraźną sylwetkę zdobywcy sławy, jak wyrywa się z ramion zazdrosnej miłości na znak, na wezwanie swego wzniosłego egoizmu. Porzuca żywą kobietę, by święcić swe bezlitosne śluby z mglistym ideałem postępowania. Zastanawiam się, czy jest teraz zupełnie zadowolony? Powinniśmy to wiedzieć, wszak to jeden z nas. I czyż nie stawiłem się kiedyś, wywołany niczym duch, by ręczyć za jego wiecznotrwałą wierność? I czy ostatecznie tak bardzo się myliłem? Nie ma już Jima, a są dni, w których rzeczywistość jego istnienia przedstawia mi się z potężną, przygniatającą siłą; to znów – na honor! – są chwile, że mi znika z oczu, jak ubezcieleśniony duch błąkający się wśród namiętności tego świata, gotów poddać się wymaganiom swego własnego świata cieniów.

Kto wie? On odszedł z sercem nieprzeniknionym, a biedna dziewczyna, niema i bezwolna, wiedzie swe życie w domu Stein. Stein postarzał się bardzo ostatnio. Sam to czuje i często mówi, że czyni „przygotowania, by zostawić to wszystko, przygotowania, by odejść..." i smętnie macha ręką do swych motyli.

ISBN 978-83-268-0390-1

Wydanie elektroniczne 2012

Na okładce wykorzystano fragment obrazu „East Indiaman Kent off Deal, England" Williama Johna Hugginsa (1781–1845).

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji

publio